

Biblioteka  
U.M.K.  
22. Toruń

327290

100



163



**ANDRZEJ CHENIER.**

ANDREW CHURCH

3/32

# ANDRZEJ CHENIER.

## Powieść historyczna

Z CZASÓW REWOLUCYI FRANCUZKIEJ.

(1792—1794).

163

przez

M E R Y.

PRZEKŁAD

**J. H. Kraszewskiego.**

Z przydaniem wiadomości o życiu Andrzeja Chenier.



*Kraszewski*

709

N. XII. 1945.

W I L N O.

Wakładem i Drukiem Józefa Zawadzkiego.

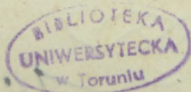


1852.

17901 CHEVIL  
Powieść historyczna  
1852-1853  
1852-1853  
1852-1853  
1852-1853  
1852-1853

Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem oznaczonej liczby egzemplarzy. Wilno, 16 Marca 1852 roku.

Cenzor PAWEŁ KUKOLNIK.



1852-1853

397290

1852-1853

K. 687 / 62



## I.

### Hotel de la Tour-d'Aigues.

**P**EWNEGO razu, pan prokurator generalny trybunału w Aix, był łaskaw zaprosić mnie na wieczór, który dawał w domu swoim na ulicy Święto-Michalskiej. Pan Borely, jest najprzyjemniejszym, najdowcipniejszym i najzacniejszym z urzędników. Szczęściem jest dla każdego odpowiedzieć na grzeczne jego wezwanie; bo każdy pewien jest, że znajdzie tu przyjęcie wdzięczne człowieka wykształconego, który zrzucając z siebie toę, zapomina o sądach i procesach.

Aix jest miastem stworzonym dla nauki, pełnym wdzięku i spokoju. Marsylja, rzecz można, stanowi jego handlowe przedmieście. Korzystałem z zaproszenia P. Borely i zabawiłem nieco w zacnym grodzie Sexcjusza. Raz, gdym z panem prokuratorem rozmawiał stojąc w oknie jego domu, spostrzegłem na przeciwko ogród spokojny, pusty jak cmentarz, opuszczony przez żywych i umarłych.

— Patrz pan, rzekłem do P. Borely, co to za miłej melancholji ustron; gdyby z tych wysokich traw wyglądały zielonawe złomki posągów, i urna skruszona wodowstręt-

něj Najady, sądziłbym się w Rzymie, na górze Quirinalu. Któż jest szczęśliwym posiadaczem tego ogrodu?

—Nie żyje on, był nim hrabia de C....

—A! stare to, szlacheckie w Prowancyi nazwisko; nie ma nic bardziej malowniczego nad stary zameczek hrabiów C... w głębi golfu Carry. Więc i ten ogród był jego własnością; cóż to za śmieszność umierać mając tak piękne rzeczy!

—Ale, przerwał mi pan Borely wskazując palcem na wspaniały hotel, ogród ten należy do hotelu, a hotel był także własnością hrabiego.

—To jakiś hrabia bajeczny! kochany prokuratorze... zowiesz-że ten ogromny gmach hotelem! To pałac przecie, to Luwr wasz! Któż jest posiadaczem tego Luwru?

—Wdowa, hrabina de C... O! o! gdybym opowiedział ci całą historją, gotów byś z nią powieść napisać.

—Jeśli się pan nie obawiasz powieści, powiedz mi też historją.

—Nie będzie długa. Ten Luwr nasz, jak go pan nazywasz, zamieszkuje dwie tylko osoby, hrabina de C... i stara jěj sługa; zajmują one jedyne pomieszkanie dotąd mieszkalne; a hrabina od lat czterdziestu nie wyszła z niego krokiem.

—Jak to? nie widuje nikogo?

—Nikogo. Hotel jěj dla wszystkich bez wyjątku zamknięty.

—Ależ wnosząc z hotelu, domyślać się można i znacznego majątku?

—Sto tysięcy franków dochodu.

—Są na świecie szczęśliwi spadkobiercy!

—Wedle powszechnego odgłosu, sąsiadka moja przepe-  
dza czas bardzo przyjemnie i wedle upodobania. Czyta,  
pracuje nad literaturą, tłumaczy Horacjusza...

—Co? tłumaczy Horacjusza! zawołałem przerywając pa-  
nu Borely— z oryginału czy z innego tłumaczenia?

—Cóż znowu! z oryginału! Pani de C... mocniejsza jest  
w łacinie od pana.

—A! panie prokuratorze, nie wyjadę z Aix, żebym nie od-  
wiedził godnej sąsiadki pańskiej.

—Próżne by to było staranie.

—Napiszę do niej list wierszami, i po łacinie.

—Szkoda czasu i łaciny.

—No! szanowny prokuratorze, chcesz-li się założyć i za-  
kład przegrać ze mną?

—I owszem.

—Zakładam się o sto franków na ubogich, że wnijdę  
do tego niedostępnego hotelu.

—Radbym przegrać zakład, bobyś nam pan pierwszy  
opowiedział, co w sobie ten pusty Luwr zawiera. Wyo-  
braź pan sobie, że umeblowanie jest z roku 1788, że nie  
nie zmieniono w niem i nie poprawiono, nie tknięto' nawet  
niedopalonej główki, która zagasła zduszona nogą Mira-  
beau odjeżdżającego do Paryża.

—Prokuratorze, podbudzasz moję ciekawość do najwyż-  
szego stopnia, wnijdę...

—Przyjmuje zakład.

—Nigdy w życiu nie przegrał zakładu.

—Wszystko począć trzeba kiedyś.

Wyszedłem od P. Borely, usiłując zaraz zrobić przetom  
przed twierdzą hrabiny de C... Główną kwatery moję za-

łożyłem w rogu ulicy Cztérech-Delfinów, ulicy pustéj, którą zaludnia najpiękniejszy jarzáb w świecie, stare drzewo, rzekłbyś sadzone przez konsula Sexcjsza.

Z mojego punktu widzenia, pałac pani de C. ukazywał mi się w całym blasku swéj wdzięcznej i poważnej architektury: cios, z którego zbudowany, tak jeszcze piękny, młody, czysty, że nie rychło dójrzyć można opuszczenia i zniszczenia zachmurzających całość tego wspaniałego gmachu; okna są nieprzeliczone, ale szyby z nich znikły, mchy i saxyfragi, potężną swą wegetacyą powolnie, poobalały, porosadzały jakby minami, całe połaci gziemsów i fryz, i rzuciły, na wysokie trawy dziedzińca, urny, rzeźby, przepyszne ozdoby, okrywające przysklepienia drzwi i nagłówki frontonów. Nic tu nie przyczyniła się ręka ludzka, same trawy powolnie dokonały tego zniszczenia, i podpisały je kwiatami dzikimi wytwornéj piękności.

Wszystkie wnijścia tego pałacu zamurowano jak w klasztorze, na który interdykt rzucono. Siłąc się znaleźć drzwiczki wśród ogromnych murów, odkryłem ciasną furtkę, a przy niéj młotek zardzawiał. Zdało mi się nadaremnie stukać do wrót tych, które od pół wieku tyle rąk znużyły, a nieśmiejąc robić wyłomu, bo to tylko generałom dozwolono, wróciłem do piérwszej mojej myśli; pobiegłem do hotelu pani Alary, w którym stałem, zaimprovizowałem dwadzieścia łacińskich dystychów, i posłałem je pocztą, hrabinéj de C....

Dwa dni oczekiwałem na odpowiedź, i nie przyszła. Nadto widać rachowałem na moje dystychy. Prokurator starał się mi odjąć odwagę i nadzieję, i prosił mnie, żebym się nie narażał na nowe niepowodzenia. Mogę pana zapewnić! rzekł, że wszystkie większe figury tutejsze, wszy-

scy znakomitsi podróżni, artyści sławni, ludzie naszego miasta, tacy jak Granet, Mignet, Thiers, Peisse, Roucton, Roux-Martin, podbudzeni cudami, które o tym pałacu prawią, stokrotnie usiłowali dostać się do niego. Pani de C... *zatyka uszy i dozwala im krzyczeć*, wedle słów piosenki ułożonej w naszym mieście przez jednego urzędnika.

Kilku zacnych sąsiadów pana Borely, ruszyli ramionami widząc moją zarozumiałość, gdym upierał się, że do tego Illium wejść muszę, choćby mi przyszło konia drewnianego budować.

—Jak to, mówił mi P. Desfougères, rektor akademii, książdz arcy-biskup. Pan prokurator-generalny, pierwszy prezydent trybunału P. Emmanuel Poulle, pan Thiers, cofnąć się musieli od tych murów niedostępnych, a...

—A mnie się uda! przerwałem rektorowi.

—Życzę tego bardzo, rzekł P. Desfougères, bom właśnie podał rządowi projekt przesłiczny. Chciałbym żeby kupiono ten hotel od pani de C... i założono w nim schronienie dla weteranów uniwersytetów francuzkich. Byłby to hotel inwalidów nauki.

—Zajmujemy się gorąco tym projektem, rzekł prokurator, myśl wyborna.

—Jutro przedstawię ją hrabinę de C... odezwałem się wśród mnogich zaprzeczeń i niedowierzania powszechnego.

Codziennie bywałem na obiedzie u prokuratora Borely, co wieczór znajdowałem się w jego salonie, wśród codziennego towarzystwa miejscowego, i codzień, co wieczora, witano mnie szyderskiem pytaniem: A cóż? widziałeś pan nieznanne cuda hotelu pani de C..? Na to przybierałem postawę człowieka pewnego siebie, który wygląda tylko pory dogodnej do spełnienia co postanowił.

Jednego lipcowego poranku, termometr Reaumura wskazywał stopni trzydzieści, gotowałem się do szturm, przed małą furtką hotelu. Upał wygnał przechodniów; ulica przypominała Pompeję. Aix spało całe... Cisza przerywana tylko szmerem wodotrysku Cztérech-Delfinów panowała, a dzwon Ś. Jana powolnie się zdala odzywał.

Różpatrując stronę północną, zobaczyłem okno ogromne, wyniosłe, całkiem otwarte, ale zasłonięte kratą żelazną. Z pomocą szczeb w kracie, spróbowałem dostać się do niego, uczepiłem się szczebli. Wziąwszy za nie lażłem dalej i usiadłem wreszcie na oknie. W tej chwili rektor akademji, przeszedł mimo i odezwał się półgłosem: Doniosę o tém prokuratorowi. Dałem mu znak tylko wyrażający: Idź sobie, a zostaw mnie przy mojem obłączeniu.

Przez kraty żelazne, oczy moje zakradły się w głąb ogromnej, głębokiej i ciemnej sali, pełnej resztek dawniej wspaniałości. Kobięta, która, jak mi się zdawało, mieć mogła ze siedmdziesiąt pięć lat może, szła coś przerywając sobie robotę kiedy niekiedy, i głowę ociężałą sennością, którą wywoływało gorąco, spuszczała na jedno lub drugie ramię.

Na odgłos umyślny nóg moich, odwróciła się biedaczka, i krzyknęła zdziwiona, wyciągając ręce ku mnie. Powitałem ją ruchem i uśmiechem jak mogłem najuprzejmiej, i w języku prowanckim wybierając dźwięków i wyrazów najmelodyjniejszych, począłem zachwalać bogate obicia leżące przedemną.

—Co tam robisz? spytała mnie dość ostro.

—Niech się pani nie gniewa, odpowiedziałem, przynoszę jój wiadomość o dzieciach.

Mówiąc to mogłem wprawdzie trafić najgorzej i wpaść na starą pannę, lub bezdzietną wdowę; ale we wszyst-

kich grach tego świata, w które się bez kart bawimy, nie trzebaż zawsze coś oddać losowi? Miałem za sobą dziewięćdziesiąt przeciwko stu. W południowych krajach, wszystkie niemal kobiety mają dzieci. Uśmiechnęła się staruszka i odezwała się głosem wzruszonym.

—Więc z Menosque przybywasz?

—Właśnie.

—I widziałeś pana Dulme?

—A jakże, widziałem pana Dulme; pomówimy o tém, ale chcecie mnie wpuścić.

Na to straszne słowo, biedna kobiecina cofnęła się z krzesłem i zdawało się jakby chciała przeżegnać.

Pospieszyłem zapewnić ją, że nic złego nie zamyślam, i poczęliśmy, w języku naszym prowancskim, rozmowę, która wkrótce stała się tak wesołą;— (wesołość jest córką tego pięknego języka, w którym każdy wyraz błyska dowcipem),— że stara strażnica tego dziewiczego hotelu wzięła klucz, wstała, położyła palec na ustach i dała mi znak, nadzwyczaj radujący: znak, że mi drzwi otworzy.

W téj chwili karzełkami mi się wydali Ks. arcybiskup, pan prezydent, rektor i ministrowie 11 oktobra i 1 marca!

Zląłem z okna, i w tejże chwili furtka zaskrzypiała na starych wrzeciądzach.

—Niema nikogo na ulicy? spytała staruszka.

—Jak zawsze— nikogo, jedno tylko słońce.

Drzwi zamknęły się zaraz. Byłem w korytarzu ciemnym, który wiódł do jasnej sieni.

—Mój Boże! gdyby to margrabina wiedziała, wypędziłaby mnie niezawodnie!

—Naprzód ręczę, że o tém wiedzieć nie będzie, rzekłem, bo nikt z nią nie mówi, wyjąwszy was; a gdyby

i wypędziła, nie byłoby to wielkie nieszczęście: wyszlibyście z tego więzienia, pojechali do Menosque zobaczyć dzieci i P. Dulme, i zapewne poszlibyście jeszcze za mąż.

To życzenie wystrzelone do uszu prawie osiemdziesiątletniej staruszkii, wzbudziło w niej śmiech, który echo feudalne, usłpione w sieni od r. 1788, powtórzyło. Zachwycałem się naprzód wschodami, które są przepyszne, ale okryte całe warstwą grubego pyłu; noga ich ludzka nie tknęła od czasów PP. Villars, margrabiego d'Argens, P. de Valbelle, de Forbin, Vernet'a i Mirabeau. Jest to dziś przytułek przelotnego ptastwa; wielka ptaszarnia puha-czów i sów.

Przeszliśmy przez obszerne kuchnie, w których pajaki założyły swoje przędzalnię na obszerną skalę, a staruszka, wskazując mi bramę ogrodu, rzekła:— Nie otwierała się od pięćdziesięciu siedmiu lat ani razu (było to w r. 1845). Nie bez trudności dały się odjąć dwie żelazne zapory, i wszedłem do ogrodu, gdzie przytomność moja, osłupiła zdziwieniem wielką rodzinę kotów, rachujących z podania na niepodległość swego teritorium, przez ich dziadów uważanego za niedostępne rodzajowi ludzkiemu.

W tej chwili, miałem minę natręta, który wpadł na repetycyą bajki La Fontain'a, granęj przez artystów właściwych. Towarzystwo kocie zdawało się naradzać nad wypadkiem tak dziwnie płaczącym tradycyę rodzinnę. Młodszy, niby obwiniali starszych, wymawiając im zwodne ich obietnice niezgwałconego bezpieczeństwa, nagle zawiedzione najściem jakiegoś nieznanego zwierzęcia. Żal mi było, bo lubię koty, żem tak raj ich zamącił, raj ustalony edyktem zwołującym stany-powszechnę, dla tych stworzeń wdzięcznych i ładnych; i usunąłem się wyraziwszy im pantominą znaczącą, jak bolałem na tym wypadkiem.



Prezydent i minister gabinetu 1 marca, pewnie by im grzechności tyle nie okazali.

Staruszka zaprowadziła mnie potem do górnych apartamentów; tu odetchnąłem wonią, którą wiek XVIII zostawił po sobie w tém feodalném ustroniu, niezamęconą niczym oddechem od 1788 roku. W piérwszym salonie, do którego wszedłem, znalazłem formalny bunt krzesel. Nieład mebli świadczył o ostatnim wybuchu społeczności arystokratycznej, zachwyconej uraganem powiewającym z Paryża.

Niczyja ręka nie starała się zatrzeć śladów bezładzia, jakie sprawił ostatni wieczór w tym hotelu, gdy młoda jeszcze i jaśniejąca hrabina de C..., buntując się przeciwko buntowi, zamknęła drzwi swojego Łuwru w niebytności męża, i postanowiła całe życie zamknięta jak królowa Egipska, w piramidzie pustej swego pałacu, protestować się przeciw zmianom.

W téj chwili nie wiedziałem, że z okna hotelu pana prokuratora, z ulicy Ś. Michała, rektor, prezydent, państwo Borely, widzieli mnie w ogrodzie pani de C... i rozsyłali oznajmując wszędzie o zwyciężkim moim wjeździe, do tego niedostępnego państwa. Prokurator zaprosił zaraz na obiad licznych swych przyjaciół, i sto franków między ubogich rozdzielić kazał.

Salon, w którym się znajdowałem, nie miał sobie pewnie, we Francyi całej równego; przypomniat mi dolinę jedną przy Ponte-Centino we Włoszech, w której wrzące lawy wulkanu, tchnienie Boże ostudziło nagle, zostawując ostyglym kształty, które im siła ognia nadała. Każde krzesło tego salonu wyłamywało się z symetrycznego swego porządku, i świadczyło o uczuciu tego, który z niego tylko co powstał, w r. 1788. Ten zjazd mebli zdawał się

mówić jeszcze. Jak gdybym słyshał rozprawy o nowinach przyniesionych z Paryża, wstrząsających miękki spokój tych szczęśliwych próżniaków. Krzesła mówiły wyraźnie:

—Ale czy też to prawda?

—Tak jest, P. de Gallifet, odebrał list od P. de S. Blancard, szambelana J. K. Mości.

—P. d'Albertas miał także list z Wersalu.

—Od kogo?

—Od P. de Grave. Piszą za pewno, że ogromny deficit w finansach odkryto. Król wydał edykt. Poznano źródło złego. Nadto jest kass do których wpływają podatki. Edykt zmniejsza ich liczbę. Tym sposobem, oszczędzi się około siedmiu milionów.

—Wielka rzecz!

—Myślicie że to deficit zapełni?

—Ależ król J. M. tak sądzi.

—Król w tych rzeczach mylić się może.

—Listy P. de Grave i pana szambelana nie piszą wszystkiego,

—A!

—Cóż więcej słyshać?

—Jest edykt drugi.

—Nic pewniejszego. Edykt zwołujący Stany-powszechne.

—Francya ocalona!

—Zgubiona Francya!

—Średni stan wyzwoli się.

—Szlachta upadnie!

—Anglija daje nam rewolucyą swoję!

Salon ten rozlega się jeszcze wykrzykami podobnemi, dziwnie sprzecznemi z szytymi na kanwie bajkami La Fontain'a, zdobiaczami powywracane krzeselka; z grupami pasterzy różowych wśród kwiatów i baranków rozsypane-

mi po nad drzwiami; z zegarem spoczywającym od lat pięćdziesiąt siedmiu, wystawującym chytrego bożka Kupidyna, który całe stado serc przebija strzałą.

W chwili gdy do sąsiedniego wchodził salonu, starszka zaleciła mi, żebym się jak najciszej znajdował, i zabroniła mi niemal oddychać. Spytałem ją o powód tej ostrożności, zachmurzyła się poważnie i szepnęła:

—Salon, do którego wchodzimy, dotyka gabinetu hrabiniej de C... Skłoniłem się z uszanowaniem, i odpowiedziałem jej znakiem przyrzekającym, że zatrzymam oddech, jak człowiek pływający pod wodą.

Odpowiedź moja doskonałą wyrażona pantomimą, tylko co drugi raz nie pobudziła jej do głośnego śmiechu, który byłby niebezpieczny, pod drzwami pani de C... Starszka zagryzła usta i wstrzymała się od niego.

Salon ten miał fizjognomją spokojną; krzeselka nie zdradzały politycznego poruszenia umysłów; dwa z nich tylko usunięte na stronę, zdawały się rozmawiać z sobą przed kominem; miały minę ostróżną i tajemniczą. Wielem czynił domysłów nad dwojgiem tych siedzeń szymatycznych: pewnie tu dwóch ludzi, przewidujących i przebiegłych, oddalili się od tłumu w chwili, gdy reszta rozprawiała o nowinach z Paryża, i musieli tak sobie mówić po cichu:

—Koniec końcem zły obrót rzeczy biorą.

—I ja tak myślę.

—Rewolucya u wrót stoi.

—Już weszła.

—Najmędrszy kto się do niczego mięszać nie będzie.

—Nie mieszajmy się do niczego.

—Często głośno wypowiedziane zdanie, drogo może kosztować.

—Może kosztować życie.

—Są ludzie co zapamiętają słówko, a potem...

—A potem gotowa kompromitacya.

—Nie kompromitujmy się.

Zastanowiwszy się przez chwilę nad polityczną ostrożnością tych dwóch krzeseł, szedłem dalej na palcach, przez pokłady pyłu, ku drzwiom gabinetu pani de C... Staruszka była wzruszona: szerokie koronki czepca drżały na jej skroniach, nic wstrzymać mnie nie mogło. Przez niedojrzałą szczelinę dopuściłem się niegodziwej czynności, rzuciłem wzrokiem na niedostępny gabinet pani de C... Pani de C... siedziała w obszernym fotelu, i czytała nieruchoma z uwagą nadzwyczajną; szlachetną jej i pogodną twarz przeszłość nie naznaczyła rysami rozdrażnienia i smutku; był to anachoreta w pustyni, Ś. Hieronim rodzaju żeńskiego, w Thebaidzie z wspaniałego i odludnego pałacu.

W istocie, w postanowieniu i heroizmie tej zaczętej niewiasty, było coś wzruszającego i uderzającego podziwieniem. W kwiecie wieku, piękna, wielbiona, pożegnała świat, rodzinę, przyjaciół; nie chciała widzieć rewolucyj, które pod jej oknami się snuły: cofnęła się do znaney przeszłości. Nie chciała znać ani chwały, ani szarów, które naród taki jak Francya miał zrodzić, krusząc dwa zarówno dla siebie ciężkie brzemiona, despotyzm i swobodę.

Ale nie zaczepiajmy rzeczy poważnych jeszcze, przyjdą one zawsze zawczasie! Wyszedłem z salonu, gdzieem był bardzo krótko, i przesunąłem się przez drugi, którego obicie, szyte perłami, zdało mi się bardzo bogate: ogromne kawały poodzierały się od murów, i przegniły od wilgoci. Minąłem później długi parawan, na którym mięęły mi się wiekiście XVIII w. fantazje, nieuchronne stado pastérzy wiedzionych przez kilka owieczek: wsze-

dłem jeszcze do długiej galerji, z której odgłos moich kroków spłoszył stado ptaków i gromadę innych zwierzątek mniej wdzięcznych, opanowujących zwykle bezpłatnie i niszczących niegodnie wszelką pustkę niezamieszkaną.

Zwiedzałem ten wspaniały gmach w r. 1845, to jest w epoce właśnie, gdy gorączka nieruchomości zapalała wszystkie głowy we Francji; gdy każdy przyszły obywatel Rzeczypospolitej, pragnął posiadać kilka kamieni w kupę złożonych, gdy zapis w księdze hipotecznej ceniono jak miejsce w raju;— a tu pod nogami memi, nad głową, w około, rozlegał się ogromny pałac, zbudowany z rzymskiego ciosu, cudne dzieło architektury, okryte wzgardą kobiety— i ta jedna kobieta, wśród zaślepionego materializmem świata, miała prawdę za sobą!

Dozwalała rozsypywać się w proch wszystkiemu, co zdobiło wewnątrz tego pałacu, meblom, obrazom, obiciom kobiercom, lamperjom, drzwiom, malowaniom, ozdobom, posągom, rzeźbom i sufitom; a gdyby jeszcze pół wieku pożyła, dała by była murom nawet spaść sobie na głowę, heroicznie wieńcząc najheroiczniejsze postanowienie. Nie raz spekulatorowie, komissanci czarnej bandy, przychodzili do okien pałacu wołając o jej uszy cenami bajeczными. Wołali napróżno, był to głos w pustyni. Dopóki żyła, nigdy ta monumentalna i skamieniała protestacya nie mogła się stać fabryką, przędzalnią, warsztatem, czems powszedniem posługującym przemysłowi;— dziedzice dopiero mieli dopełnić metamorfozy.

Wstrzymany na pochodzie moim, stosem zbutwiałych ciekawości, zapragnąłem zręcznemi słowy wybadać sługę, co też o swojej pani myślała. Ale dyplomacya moja rozbiła się o jej pocziwą wierność. Postępowanie pani de C... zdawało się jej bardzo naturalne; każdyby tak w jej

miejscu uczynił; było to życie tak dobre, jak i drugie. Tylem się dowiedział. Natomiast udzieliła mi drobnych szczegółów zaspokajających ciekawość; między innymi, mówiła, że wychodzi co rana, przededniem, i skupuje żywność dla siebie i pani.

Wielcem jój był wdzięczny za tę wiadomość uspakajającą, bo gotów już byłem przypuścić, że jak anachoretom w pustyni, ptak żywność codzienną dla pani de C... przynosi.

Jakieś przecucie mówiło mi, że przeglądając wszystkie kątki tego schronienia, zrobię jakieś niespodziewane odkrycie: traf, gdy się na jego grzeczość spuścimy, zawsze się nam przysłuży jakąś niespodzianką.

W końcu galerji, nie dowierzałem jednym drzwiom, które się otworzyć nie chciały, i patrzałem na nie, jak się pogląda na człowieka, który spytany odpowiadać nie chce. Zamek nie stał na zawadzie; bo zamku tu jak wszędzie nie było: chodziło tylko o popchnięcie drzwi otwartych, ale według wszelkiego podobieństwa gratami jakimiś przywalonych, lub upadłego muru gruzem. Że stan ogólny pałacu nie zdawał się po mnie wielkiej ostrożności w obejściu wymagać, i w ruinie wszystko wolno, rozbiłem drzwi spruchniałe, jak w Cyrku koń rozbija papierem naciągniętą obręcz, i wszedłem do maleńkiego pokoiku zarzuconego bezimiennymi sprzętami, których rozklasfikować nie potrafiły nawet tapicer.

Okno pokoiku, zasłonięte firanką podartą w kawałki, zdobiły gniazda jaskółek do najęcia. Spoglądając w ogród przez rozpierchłe deszczułki zazdrostki, odkryłem na lewo, kilka liter wrytych na murze; czas zczernił pyłem

rysy, i na pierwszy rzut oka rzekłbyś, że były wypukłe. Wyczytałem łatwo dwa imiona:

Chenier:— Trudaine

jedno nad drugim. Wychodząc chciałem się lepiej jeszcze napisowi przypatrzeć, żeby być pewnym, że go dobrze wyczytał.

Staruszka przypomniała mi, że odwiedziny moje trochę już niegrzecznie się przeciągają, że lęka się by na nią nie zadzwoniła pani; począłem ją jak najgrzeczniej przeproszać i musiałem wychodzić przez wielkie wschody, których babilońską majestatyczność ujrzałem po raz wtóry z rozkoszą. Kolosalne okrągłe okno, dziś otwór tylko, wylewa na zapyłone stopnie strumienie światła niepokojące kolonją sów, gospodarujących we wszystkich muru rozpadlinach. Jedyna ozdoba wspaniałego tego miejsca, pozostała jeszcze: jest to długi łańcuch, na którym wisiał pajak. Pajaka niema, znikł kędyś, rozplątał. Gwiazda jasna uczt tutejszych, zagasła z niemi razem. Łańcuch pozostał, opowiadając o przepychu przeszłości.

Pocziwa staruszka otworzyła furtkę z nadzwyczajnymi ostrożnościami, i kazała mi się wprzód przypatrzeć czy nie było kogo w ulicy. Zazwyczaj, ulice w Aix są zupełnie puste, zdają się brzydzić przechodniem, jak natura czczością. Nie wahałem się zaręczyć, iż niema niebezpieczeństwa by mnie kto postrzegł. Uścisnąłem rękę czcigodnej staruszki, która nie chciała przyjąć ofiarowanego przezemnie datku i szczęśliwy z mojej wycieczki, stąpałem po trawie ulicy Cztérech-Delfinów.

O szóstej, udałem się do prokuratora, u którego licznie zgromadzonych znalazłem gości. Przynaglono mnie do opowiedzenia ze wszelkimi szczegółami mojej podróży po pałacu pani de C... i nakłoniono, żebym ją opisał. W o-

wym czasie wstrzymywały mnie od tego powody szczególne, dziś już nieistniejące, a niedozwalające mi ogłosić tój powieści; lecz przyrzekłem, w kilka dni potém, użyć hotelu pani de C... jako prologu do nieznanéj historii z życia Andrzeja Chenier, opowiedzianéj mi przez kogoś, co hotel ten widywał w całym blasku, do roku 1788.

Imię Chenier'a, które wyczytałem na murze, nie poprzedzała żadna głoska. Konsul-generalny Chenier miał czterech synów: Marję-Józefa, Sowera, Andrzeja i Konstantego. Nazwisko Trudain'a wpisane obok, zastępowało niejako imię Andrzeja. Pytałem się siebie w jakiej epoce Andrzej mógł w Aix przebywać? Młode swe lata przepędził w Narbonne; pozostały mu miłe wspomnienia tego pięknego kraju i brzegów Alby, zapewne poeta nasz, przed 1789, zapragnął zobaczyć ulubioną stronę, i czas jakiś zatrzymał się w Aix.

Może też wracając ze Szwajcarji z Trudain'em, w Aix przebywał? I to być może bardzo. Andrzej Chenier urodzony w Konstantynopolu, u brzegów Sekwany miłując zawsze wybrzeże Śródziemnego morza, może w tój epoce, zawrócił się z podróży ku południowi. Trzecie jeszcze uczynić można przypuszczenie: Andrzej Chenier przed 89 służył wojskowo, był podporucznikiem w regimencie Angoumois, który stał załogą w Strasburgu i kilku miastach południowych.

Wkrótce obrzydł mu stan jego, rzucił szablę i ujął lyrę, wrócił do Paryża, dokąd go los jego wzywał. *Quis vincere fatum?* Kto los swój zwycięży? napisał rzymski Andrzej Chenier!

Zresztą, niewiele mi szło o ścisłe oznaczenie, w której z tych trzech epok Andrzej Chenier znajdował się gościem w hotelu pani de C... Był tu— miałem te-



go dowody. Rozmawiając z jednym z jego współczesnych, z tych ludzi co widzieli wszystko, dowiedziałem się mnóstwo szczegółów o pobycie Andrzeja Chenier w Aix, w Prowansyi, około 86 lub 87 roku.

Gdyby nie odwiedziły moje w hotelu pani de C..., gdyby nie odkrycie dwóch imion w owym pokoiku, nigdybym nie dowiedział się epizodu tego życia poety. W ciągu lat pięciu, pokilkakrotnie czyniłem poszukiwania w Rouen i Wersalu, miastach, w których Chenier przebywał, aby związać historją moję pobytu w Aix z epokami 93 i 94; gdym się oświecił, spisałem wszystko. Jest to historja poety rzuconego wśród rewolucyi.

---

## II.

### Wieczór dawnych czasów w tymże hotelu.

Osiemdziesiąt dziewięć wkrótce miał zaświtać; w hotelu de la Tour d'Aigues; w Aix, dawano wieczór świetny. Pogoda i spokój złotego wieku jaśniały w salonach i masowały się odbite w twarzach kobiet i mężczyzn. Wszystko ten świat, kołysany błogiem uczuciem, zdawał się być pokrewnym szytym na obiciu postaciom, na którym pasterze i pasterki Lignonu, uśmiechali się do siebie, niosąc krzywe w rękę laseczki strojne różowemi wstążkami.

Towarzystwo dnia tego rozprawiało o wszystkich płochych chwili zajęciach, gdy oznajmiono podróżnego, krewnego nieboszczyka P. de Voltaire: był to Florjan, przybywający z Langwedocyi, dążący do Paryża, chwilę wstrzymany w Aix. Oczekiwano na niego niecierpliwie; wiadziano już, że miał wydać dwa romanse Estellę i Gala-

CHEN.



theę, przyrzekł je odczytać tego wieczora. W téjże chwili prawie, margrabia d'Albertas przybył z zamku swojego Gemenos, z księdzem Delille. Hotel de la Tour d'Aigues, od kilku dni także ugaszcział jednego jeszcze podróżnego, mającego pozyskać wielką sławę, młodego Andrzeja Chenier. Wieczór zapowiadał się świetny. Młode kobiety wyższej klasy uśmiechały się z radości na samą myśl usłyszenia Estelli, wprzód niżeli ją w Wersalu w hotelu de Grave, dokąd Florjana oczekiwano, przeczytają.

Pan de Florjan rozwinął rękopism, który był podobno siódmą kopją, i szlachetne serce słuchaczy zabiło z radości w chwili, gdy się dał słyszeć początek: *O wy! pasterki kraju mojego, wy które pod słonianem pokryciem zakrywacie wdzięki, któremi by tyle innych się pyszniło!* Uwaga ciągle współczucia pełna, niekiedy zapału, towarzyszyła czytaniu pasterki okcytańskiej. Oklaski, prawie zgodne, dały się słyszeć w końcu, a ksiądz Delille, który poetę w prozie nie uważał za strasznego rywala, przepowiedział Florjanowej sielance, wielkie powodzenie.

—Teraz, rzekł pisarz sielankowy, jeśli szlachetne towarzystwo dozwoli, młody kompozytor przybywając z Włoch i podróżujący ze mną, zaśpiewa jedną z piosnek Estelli, przy fortepjanie.

Szmer powszechnej radości przebiegł po kątach uprzywilejowanego salonu. Młody człowiek niewielkiego wzrostu, twarzy ożywionej oczyma włoskimi, siadł do fortepjanu i zaśpiewał piosnkę:

A! jest-li w waszém siole  
Pasterz tak piękny i czuły....

Arję uznano zachwycającą; okryto ją nieskończonemi oklaskami.

—Ten młodzieniec pójdzie wysoko, rzekł pan Florjan.

—Jak się nazywa? spytało kilka głosów.

—Cherubini.

—Co za rokoszny wieczór! powtarzano na wszystkich prawie krzestach.

Pan d'Albertas głos zabrał.

—Mamy nowe szczęście jeszcze, rzekł; JMPan Delille powie nam wiersze, które ułożył w zamku moim Gemenos, wiersze przeznaczone do poematu: *Wieśniak*. Odgłosy radości nastąpiły po tych wyrazach; poeta wstał, skromnie się ułożył, jak człowiek do tryumfów przywykły i deklamował ustęp znany, poczynający się:

O wesół Gemenos! dolina szczęśliwa!...

Widziałem cię winnemi uwieńczoną grony,

Figa cię ukochała! ubóstwia oliwa.....

Urywek ten przyjęty został z uwielbieniem na jakie wówczas wszystkie poezje Delilla zasługiwały zwykle. P. d'Albertas, poczciwy szlachcic, wyśmienitego serca, rozpływał się z radości słuchając tych wierszy sławiących *Tempe Prowancyi*. Była to ostatnia wesoła chwila jego życia; wkrótce miał upaść od sztyletu zbrojcy w tej rokosznej oazie, pełnej cienia i wody, nad którą wznoszą się cztery wieżyce zamku Gemenos.

Wieczera wytworna uwieńczyła ten wieczor literacko-pasterski. Jak to zwykle bywa w takich razach, przytomni rozmawiali o prozie i wierszach, które słyszeli.

P. de Castellane nadewszystko nadał żywy obrót rozmowie, uwaga, która zdała się bardzo trafną:

—Mamy tu, o kilka mil od Aix, zamek przypominający myśl jedną i jednego filozofa....

—Zamek Vauvenargues, ozwało się kilka głosów.

—Tak jest. No! Vauvenargues to przecie powiedział, że *literatura jest odbiciem społeczeństwa*. Jest to myśl nadzwyczaj trafna, niezmiernie prawdziwa. Społeczność nasza, tak wzruszona i niespokojna za czasów Frondy i w ostatnich wojnach religijnych, dziś jest uśmierzona zupełnie, wypogodzona ostatecznie; odtąd zachowa to usposobienie, bo doświadczenie uczy ludzi. To też, pisarze, muzycy, poeci, spójrzmy co czynią? Piszą, śpiewają, wedle spokojnego smaku swój epoki. Francya wpada w pał słuchając powieści z życia dwójgu, prostych pasterzy. Obyczaje nasze złagodzone są do tego stopnia, że inné literatury nie pragną, a pisarze odpowiadają tym szczęśliwym wymaganiom, dziełami naiwności pełnemi, śpiewami prostemi, godnemi złotego wieku.

—Nic prawdziwszego, odezwał się P. de Florjan; pisarze nim pisać poczną, przysłuchują się światu, dają mu to czego pragnie, tym tylko sposobem zyskują sławę sobie i powodzenie dziełom swoim. Tak naprzykład, gdyby dziś poeta ujął trąbę marsową, lub powołać chciał lud do buntu przeciw królowi, nie miałby i jednego czytelnika.

—O! ani jednego! zawołali biesiadnicy i mężowie stanu 1788 roku.

—To też, ciągnął dalej pan de Florjan, powiem jak pan Rousseau z Genewy, i daleko szczęśliwiej od niego: *Widziałem obyczaje wieku*, i piszę sielanki.

—Ślicznie! ślicznie panie de Florjan! zawołało kilku gości.

Pan de Florjan mówił dalej:

—Wszystkie nadużycia energicznie potępione przez sławnego krewnego mego P. de Voltaire, znikły. Wojna encyklopedystów dościgła celu swego. Lazur niebios ukazuje się po burzy. Gdyby pan de Voltaire, od dziewięciu

czy dziesięciu lat zmarły, miał jeszcze pióro w ręku, pi-  
sały przesłiczne sielanki, o pasterkach z nad brzegów Fer-  
nejskiego jeziora.

—Najniezawodniej! powtórzyło szlachetne zgromadze-  
nie; i pan Rousseau z Genewy także!

—Ależ on także, ciągnął dalej pan de Florjan; Rous-  
seau miał już skłonność pewną do rodzaju sielankowego.  
Napisał mnóstwo sielanek sam o tém nie wiedząc; cóż by  
to on dziś natworzył w tym rodzaju, gdyby Francya za-  
pragnęła od niego eklogi? a nie *Umowy społecznej*?

—Rzecz oczéwista, rzekł P. Delille, że Rousseau dziś  
jak my puścił by się w pasterstwo. Zresztą według mnie,  
nie doskonalszego nie stworzył nad *Wieszczka wiejskiego*.

—*Capo d'opera*, dorzucił młody Cherubini.

—Tak, arcy-dzieło! rzekł P. Florjan, muzyka fran-  
cuzka nie może pójść dalej.

Rozprawa, coraz żywszą się stając, zesła na inne  
kwestje, na których ją opuścim; dość dla nas, żeśmy skre-  
ślili cząstkę tego obrazu historycznego czasu, gdy spo-  
łeczność Francyi usypiała, w błogostawionéj nieopatrzności  
swój, na progu 89 roku. Biesiadnicy napełniali wykrzy-  
kami salę, tak, że trudno było pojedynczą usłyszeć rozmo-  
wę, wiedzioną u końcu stoła, między młodą kobietą a poe-  
tą, co się do powszechnéj wrzawy nie mięszał.

—Tak, pani, mówił poeta odpowiadając na jedno obo-  
jętne pytanie mające służyć za początek rozmowie— tak,  
ja lubię rolę słuchacza.

—Jednakże, pan też poetą jesteś? spytała młoda ko-  
biéta.

—Poeta... pani... nie wiem doprawdy... wątpię... Byłem  
podporucznikiem w regimencie *Royal-angoumois*, dziś nim  
nie jestem, mozem być wczoraj poetą, a dzisiaj...

—Jak to, dziśbyś pan miał stracić i podporucznikowstwo w poezji? Możnaż tak nie dbać o stanowisko swoje?

—Probuje życia, probuje...

—Urodziłeś się pan w kraju bardzo mogącym natchnąć poetę, w Konstantynopolu.

—A kraj ten jednak żadnego turka nie uczynił poetą.

—Konstantynopol czekał zapewne, na czterech synów konsula Chenier.

—Dziękuję pani za braci moich.

—Pozwolisz mi pan być trochę natrętną?

—O! pani, młodość, wdzięk, piękność, nie mają prawa pytać nawet o pozwolenie?

—Patrzałem na pana uważnie, gdy Florjan czytał *Estelle*, gdy P. Delille mówił swe wiersze, i twarz jego nie odbijała powszechnego zachwyty?

—Zachwycam się zawsze w głębi siebie. P. de Florjan, Ks. Delille są pisarzami wielkich zalet. We Francyi wielkim tylko talentom powodzi się— a im się powiodło.

—Zdaje mi się, że dość niezręczne zadaję panu pytania....

—A! nie, to ja tak zapomniałem odpowiadać, od czasu jak wyszedłem z wojska.

—Muszę mówić na ten raz wyraźniej— co pan sądzisz o Estelli P. de Florjan?

—Jest to wytworne tłumaczenie wielu naszych kobierców. Pasterze i pasterki są nie wiem czém, ale pewnie nie pasterzami i nie pastérkami.

—Widzisz pan, żeś się powoli odpowiadać przyzwyczaił, jak gdybyś miał wrócić do wojskowej służby.

—O! służyłem Francyi sześć miesięcy, i pewien jestem,

że tego rodzaju służby pół roku było za wiele. Nie moje to powołanie.

—Chciałabym też, panie Chenier, wiedzieć zdanie jego o wierszach Ks. Delille, tak ślicznie nam wydeklamowanych.

—W istocie pani, deklamuje prześlicznie.

—Tak, ale o poezji co pan sądzisz.

—O poezji! a! w istocie— wiersze napisane z wielką łatwością, ale przyznam się pani, że nie bardzo lubię poezję w rodzaju naprzykład ustępu:

Figa cię ukochała, ubóstwia oliwa...

Zdaje mi się, że nie tak poeta powinienby malować zachwycającą Tessalską dolinę Gemenos. Nad wszystkie te wierszyki łatwe, zręczne ale zimne, całe życie przenosić będę czworowiersz, który mi ktoś wczoraj przeczytał, u jednego adwokata parlamentu. Czworowiersza tego autorem jest ziomek pani, pan de Valbelle, szczęśliwy kochanek panny Clairon, aktorki teatru komedyi. Jednego wieczora przechadzali się razem w parku w Tourves, nie daleko Aix; panna Clairon spoglądała na gwiazdę oczyma pożądliwości, a Valbelle ułożył czworowiersz, który moim zdaniem wart tyle, co cała konstellacya:

Kiedy nam nocą na pogodnym niebie

Miłości chwila wybija;

Niech wzrok twój gwiazdy omija,

Zdjąć ich nie mogę dla ciebie.

Chenier powiedział te kilka wierszy z zachwycającem uczucia wyrazem, a oczy jego, których źrenice jaśniały lazurem rodzinnego Bosforu, zabłyśły ogniem pod szero-kiem czołem, pełnym przeszłości.

Młoda kobieta spójrzała długo na poetę, i dwie łzy ta-

jemnicze, dwie perły nieodgadnionego smutku, spłynęły po jój piękném licu. Andrzej Chenier myślał o poetycznych miłostkach pana de Valbelle z panną Clairon.

—Zrobisz pan kiedy uwagę, rzekła młoda kobieta poczynając się uśmiechać, jak to czasem niewiele potrzeba, żeby być smutnym w końcu najweselszej uczty?

—O! nie wszystkim to pani! W ogólności, wesołość podbudza się sama środkami sztucznemi; odurza wszystkie głowy, gwałci biesiadników dyssydentów i nieusposobionych do niej, i naówczas wywołuje smutek w kątku filozoficznym stołu, z którego tylko poglądną na nią jak przechodzi.

—Może to wspomnienie tego biédnego Valbelle, tak mnie poruszyło przed chwilą. Był to przyjaciel rodziny mojej, i tak miły człowiek.

—Przebacz pani, dzika to była myśl z mojej strony myśl egipska, wprowadzić do téj sali biesiadnej, smutną trumnę.

—O! cudna to myśl panie; Egipcyanie mieli słusność... Nie, nie nazwisko to tego człowieka smutek mi w duszę wlało, niesłusznem pana obwiniła; cós jakby chmura krwi przesunęła mi się przed oczyma, muszę być strasznie blada, nieprawdaż?

—Pani to mówisz z uśmiechem, a ja się nie przestraszam... owszem rumieniec jój jaśnieje nadzwyczajnie... oto zwierciadło, które nie potrafi kłamać, aby ją uspokoić... Nie wierz pani mnie, ale jemu.

Młoda kobieta powstała powolnie i zbliżyła się do zwierciadła; potem usiadła znowu w miejscu, i odezwała się spokojnie.

—W istocie okropnie jestem blada; skłamałeś pan bardzo grzecznie panie Chenier...



—Pani...

—O! mamy tu sędziego z Wenecyi, który wyrok jego skassował.

Z uśmiechu przeszła do powagi i mówiła: W naszych rodzinach wojskowych, miewamy zawsze podobne przeczucie nieszczęść. Gdy wuj mój zabity został na okręcie *la Belle-Poule*, którym dowodził pan de la Clochette, matka moja, w chwili jego śmierci zbladła przed zwierciadłem. Mój mąż jest teraz z okrętem swoim na morzu; wielkie niebezpieczeństwo mu zagraża. Zobaczysz panie Chenier, zapamiętaj ten dzień... Niewiasty Gallów od brzegów Ronu, dziś jeszcze jak niegdyś, mają genjusz przeczucia.

Chenier z dziwnym oczu wyrazem spójrzył na młodą kobietę. Goście się rozchodzić zaczęli, posługacze niosący lektyki napełniali sieni, w podwórzu błyskały pochodnie przewodników, krzyżowały się pożegnania, obiecywano sobie zobaczyć się wprędce, wieszowano tak miłego wieczora. Chenier oczyma gnał za młodą kobietą, wśród tego świetnego tłoku ją widział tylko, wszyscy sobą byli zajęci.

W tém zbliżył się pan de Castellane i odezwał się:— Będziemyż długo jeszcze mieć przyjemność cieszenia się nim tutaj?

—Niestety! nie, odpowiedział poeta, za dwa dni odjeżdżam do Paryża. Ojciec mój czeka na mnie.

—Ślicznąś pan miał sąsiadkę u stołu.

—O! precudną. Nie miałem odwagi spytać o jój nazwisko.

—Jest to hrabina Margareta de G.

—Żona oficera od marynarki?

—Mąż jój dowodzi okrętem *l'Epervier*, który ma missją do Senegalu.

Andrzej obojętnie tego wysłuchał, uklonił się panu de Castellane i za służącym poszedł wielkimi wschodami.

Dwa poprzednie rozdziały są jakby prologiem następującej powieści.



### III.

### L i s t.

Starym swoim zwyczajem, wiosna odmładzała piękne drzewa lasów Satory, pod Wersalem; kwiaty dzikie, zielone wzgórza, krzaki wonne, budziły się z pierwszemi kwietnia poranki, jak gdyby ludzie nie zaprzestali używać świeżych bogactw, jakimi natura dla nich się stroi, po nudnej zimie.

A była to wiosna roku 93: dwóch ludzi, ubranych z prostotą więcej niż skromną, usiedli, trochę na ustroni od ścieżek uczęszczanych, w lasku Satory; starszy zdawał się mieć około czterdziestu pięciu lat; twarz jego łagodna i pojętna oblana była melancholją; towarzysz jego mógł mieć około lat trzydziestu, był średniego wzrostu, głowę jego okrywały piękne czarne włosy, czoło było szerokie, oczy jego niebieskie, rysy twarzy energii pełne. Byli to dwaj znakomici poeci: pierwszy z nich Roucher, drugi Andrzej Chenier.

Andrzej Chenier rozłożył właśnie list, który zdawał się bardzo długi, sądząc po wielkości koperty, i odezwał się do przyjaciela:

—List ten oddał mi nie postyljon, ale jakiś tajemniczy posłaniec. Nikt przez tę pustynię nie przechodzi. Schro-

nienie wyborne. Nie trzeba dziś niczém gardzić, nawet przestrogiami nieznanymi.— Czytajmy, list bez podpisu.

«Z wielkiej liczby ludzi, którzy od r. 1789 miotają się we Francyi, żaden może nie miał czasu, obejrzeć się z uwagą na siebie. Każdy więcéj spoglądał na drugich, i przez mgłę krwawą téj wojny domowéj, która trwa od lat czterech, nikt pewnie nie przypatrzył się nawet rysom twarzy najbliższego sąsiada. Nikt nikogo nie badał, popychano się, a silniejsi wywracali słabszych. Nikt się nie zna. Gorączka powszechna tak silna, że wszystkie charaktery, powołania, instynkta wyszły z miejsca; tak, że ci co się zrodzili do życia patriarchalnego na łonie rodzin swoich, porwali do rąk topory, i ukazują się nam w złowrogim blasku, w odzieży kata, gdy drudzy, co w sereu mieli namiętność energiczną, przestraszyli się sami siebie, widząc czyny drugich i żyją dziś na ustroni, spokojni i zapomnieni. Twój ulubiony pisarz Bernardin de St. Pierre, mówi o kataklyzmie jakimś, co wszystkie strefy pomięszał i krainy zwrótnikowe przerzucił na bieguny, a biegunowe ku zwrótnikom. Teorja ta zapożyczona z fizyki, da się zastosować do zjawisk umysłowych. Krew uderzyła do głowy Francyi. Wszystkie strefy społeczne zmięszały się i wywróciły.

«Zbierz ducha w siebie, Andrzej Chénier; pochwyć w przelocie, w pośród zewnętrznych naszych ciemności, jeden z tych błysków, które Bóg najgrubszym zsyła nocom, i spytaj się czy śmieć będziesz wyrzec, żeś się urodził na takie życie, jakie od lat czterech prowadzisz. Konstantynopol był kolebką twoją; greczynka ci matką była; język wielkich poetów twoim pierwszym przyjacielem; morze pierwszą kochanką. Przepłynąłeś potem Archipelag, jak naddziad twój, Homer ślepy, i przybyłeś do Europy

z potężnym poezji zapasem, z dźwiękami melodyi i miłości pełnemi. Cóżes zrobić ze skarbami temi, które Bóg zrzuca w dusz ludzkich pustynie, na ukochane mu głowy? Pożyczyłeś mowy cudzej, miasto nauczyć ich swego języka; pisałeś pospolite pamflety; rozpoczęłeś polemikę z Brissot'em i Collot d'Herbois; pisałeś satyry prozą przeciw Piotrowi Manuel, prokuratorowi generalnemu gminy paryżkiej; związałeś się z ideologami, a duszę starego ojca zalałeś goryczą, gdy gazety paryżkie rozległy się smutnemi waszemi rozterki z bratem Marją-Józefem! Otóż do czego wiesz, niepohamowany popęd namiętności politycznych, nawet najpoczciwsze dusze! W imię republikańskiej zasady braterstwa, szarpaliście się bracia rodzeni! Daliście do rozwiązania świata, to smutne zadanie: który z nich będzie Kaimem? Wy! wy poeci oba! nie pomyśleli-żeście nigdy o matce waszej, gdy obu pieścili na jednych kolanach siedząc nad brzegami Bosforu! Oczy wasze ni razu nie zwróciły się ku tej drogiej mogile. Zapomnieliście matki dla Collot d'Herbois, dla Garat'a i Cabanis'a. O! szlachetna, o! piękna ta polityka wasza, która dwóch poetów, wiesz do tego bratobójczego braterstwa!"

Tu Andrzej Chenier przerwał czytanie listu, i odezwał się głosem wzruszonym do towarzysza:

—Chciałbym bardzo wiedzieć, kto mi to pisze. Maszli jakie imię, którebys pod tym listem podpisał?

—Właśnie słuchając myślałem o tém, rzekł Roucher... Nie jest to list Pange'a.

—O! de Pange nie tracił by czasu na pisanie, przyszedł by i powiedział co myśli.

—Byłże by to, który z braci Trudaine?

—Nie... z téjże przyczyny nie sędzę... ale to być musi ktoś, kogo jednak obchodzę żywo, bo w téj chwili każdy

skłonny do egoizmu; osobiste sprawy pochłonywają każdego i o bliźnim zapomnieć każą.

—Lepiej się zastanowiwszy, rzekł Roucher po chwili, myślę, że chyba kobieta mogła powziąć myśl napisania takiego listu. Mężczyźni w zagadnieniach politycznych nigdy na rzeczy z tego stanowiska nie patrzą. Wszyscy, w stronnictwach swych mają teorie niepokonane, żaden nie śmie oprzeć się zimnym rachmistrzom mówiącym w imieniu filozofji i ludzkości. Mężczyzna, w czasie w którym żyjemy, nie śmiałby nic podobnego napisać, bojąc się odpowiedzi zwyczajnej, która na nic nie odpowiada, a do wszystkiego służy: nie znacie się na polityce wy co tak mówicie. Są powody wyższe patriotyzmu i dobra powszechnego, które zabijają wszelkie podobne uwagi; przedewszystkiem potrzeba być obywatelem.

—Zdaje mi się, że masz słusność Roucher—kobieta... kobieta, której podobno nie znam, a którą los mój obchodzi... Mężczyźni i kobiety nigdy się w polityce nie zgadzają; my mówimy głową, kobiety sercem; ale kończmy czytanie:

«Andrzeju Chenier, zapoznałeś powołanie swoje; przy wstępie do życia, wzięłeś zapał szlachetnych popędów za powołanie wojskowe, wszedłeś w szeregi. Wkrótce niesmak się wyrodził; poznałeś że rzemiosło żołnierza nie było dla ciebie, i oddałeś się podrójom.

«Gdy rewolucya wybuchła, uległeś pociągowi idei poczciwych, i stałeś się publicystą. Raz, pod cieniem drzew w Passy, muza grecka, muza matki twój, doradziła ci słodkie wczasy i kapłaństwo poezji; przyniosła ci siedmiostronną lirę, i ręka twa już wyciągniona była by ją pochwycić, gdy wszedł Cabanis i podał ci pióro, a tyś napisał zamiast wielkiego poematu, świstek, pod tytułem:

*Przestroga Francuzom o ich prawdziwych nieprzyjaciółach.*

«Drugi raz, w lasku d'Autruil, trzymałeś kwiaty w ręku; miękki trawy kobierzec rozścielał się pod twemi nogami, śpiew ptaków odzywał się nad twoją głową, w około jaśniały wdzięki kwietniowej jutrzeńki; już usta twe poczynają wiersz joński, gdy przyjaciel twój Garat spotkał cię i namówił do ogłoszenia sławnego twego: *Numeru trzynastego Dziennika Towarzystwa 1789*. Od téj chwili muza twa zwinęła skrzydła, uczyniono cię redaktorem głównym *Gazety paryzkiej*, i Homer pisał Illjadę klubu Jakóbinów.

«O! wiem jak się usprawiedliwiać będziesz, a choć to tłumaczenie uczciwe, ja go nie przyjmuję. Tak, rzeczesz mi, kto wśród krajowych wstrząśnień trzyma pióro w ręku, winien tym orężem walczyć o zwycięstwo wielkich zasad porządku społecznego i ludzkości, choćby miał paść na tém polu obywatelskiém. Jest to prawdą dla wielu, ale ty, Andrzej Chénier, tyś nic na tém polu nie miał do czynienia, to nie cyrk olimpijski. Choć całą głową przenosisz pisarzy, z któremi walczysz, oni cię zwyciężą; oni cię zawsze zgniotą. Pisarz dogmatyczny, suchy, pedant, zimny, trzeźwy i wstrzemięźliwy bo bezsilny, zwycięży cię w tych zapasach; powiedzą o nim, że jest poważny i głęboki; o tobie żeś powierzchowny i poeta. Upadniesz bez korzyści dla swojej sprawy, bez sławy dla imienia twego.

«Ręka, co kreśli tych słów kilka, nigdy nie dotknęła twojej, Andrzej Chénier, ale serce co nią kieruje, liczy zdaleka wszystkie uderzenia twójego; ale głos proroczy wychodzi z tych zimnych kart, które w téj chwili czytasz, i woła do ciebie byś złożył cest gladyatora, a wziął lyrę

poety: to jest, wszedł na drogę, która jest jedynem i istotnem powołaniem twojem. Opatrzność, która wybranych swych chce ocalić, posługuje się czasem ręką niegodną, i pisze nią oznajmienia swe; dziś może moją wybiera: nie pogardzaj tém, co ci się zdawać może pochodzić z nizka, to, mam-li wierzyć przeczuciu, pochodzi z wysoka.”

—Niepodobna wątpić, rzekł Chenier, kobiety to list... spójrz zresztą na pismo, płeć w niem wyraźna; charaktery nakreślone nieśmiało, znaków pisarskich całkiem braknie, linje z lewa ku prawej się podnoszą i tracą równowagę... to pisała kobieta...

—I najpodobniej, dodał Roucher, kobieta mieszkająca w Wersalu.

—Niewątpliwie, a nikt jednak nie wie, zdaje mi się, że tu obrałem schronienie.

—Nikt, prócz téj kobiety— zauważył Roucher.

—Prawda, bo pisze do mnie i posyła mi list przez pośtańca, którego spotykam na progu domu.

—Chce być niepoznaną, mówił Roucher, bo odpowiedzi nie żąda, i adresu ci nie daje.

Chenier pomyślał chwilę i rzekł:

—O! znajdę ją, muszę znaleźć! jestem pewny.

—Wątpię— rzekł Roucher.

—Zobaczysz, mój przyjacielu.

—Gdybyśmy żyli w zwyczajnych czasach, rzecz byłaby łatwą, ale i my nie zbyt w ruchach naszych swobodni, a lękając się sami, żeby nas nie odkryto, ciężko myśleć o szpiegowaniu drugich.

—W planie moim przewidziałem tę trudność, i— usuniętą została. Znajdę tę kobietę nie ruszając się z domu.

Uśmiech smutny, jak wszystkie uśmiechy owego czasu mignął na twarzy poety Roucher, i rzekł później:

—Przyjacielu, zrobiłeś dość uwag o piśmie tego listu i wiele domysłów nad jego autorem prawdopodobnym. Teraz radbym się dowiedzieć, co myślisz o naukach i przestrożach nieznanego lub nieznanomój...

—O! nieznanomój! rzekł Chenier zastanowiwszy się.

—No! niech i tak będzie, nieznanomój, przypuszczam płęć żeńską. No — cóż myślisz?

—Mój przyjacielu, gdybym nie myślał, że stokroć ma słuszność, czyżbym się starał ją poznać? Tak myśleć i pisać może tylko kobieta wyższych usposobień... sądę, że młodą być musi — bardzo młodą. W terażniejszych czasach, stare kobiety zamykają się w domach i nie mieszają do tego, co się dzieje zewnątrz — musi być młodą...

—Jednakże, przerwał Roucher, listem dowodzi niejakiego doświadczenia...

—A! mój Boże, ostatnie cztery lata, dały doświadczenie dzieciom nawet. Z tej strony wszyscyśmy starzy.

—Dobrze, zawołał Roucher, uśmiechając się — przypuściliśmy, że jest młodą; przypuścimy jeszcze, że piękna.

—O! to nie zaprzeczona! piękna! myśli jakie zamyka ten list, muszą się z natury swój odbijać w twarzy i oczach; dusza musi jaśnieć we wszystkich rysach tej nieznaniej twarzy; czytając ten list, widzę ją.

—Chenier, rzekł Roucher z westchnieniem, bardzo już dawno, jak się nam podobnej treści nie wydarzyła rozmowa.

—Niestety! tak jest, przyjacielu, wina w tém rewolucyi... wielu jest ludzi, co żyć nie mogą bez wzruszeń ulicznych i wrażeń Izb, umierając z nudy, gdy im ich zabraknie. Ludzie ci pocieszają nas z sobą gwałtownie, nas co umiemy żyć najdrobniejszym zjawiskiem natury, promieniem słońca, lub gwiazdą, cieniem drzewa, wonią kwiatu. Gdybyśmy powołali z sobą tych ludzi czytać wiersze,



poglądać na naturę i mówić o tajemnicach duszy i roskoszach życia, jakby nas pogardliwą zbyli odmową! a my idziemy za nimi, głupcy! I ty, mój poczciwy przyjacielu, ty co umiesz sobie zapewnić tak doskonale całodniowe szczęście dwónastą wierszami o wiosnie, i ty ulegasz powszechnemu pociagowi, mięszasz się do dziwnego świata, który twoim nie mówi językiem, niema upodobań twoich, twych obyczajów, twych przywyknień, twój wiary i miłości.

—Bo muszę! rzekł naiwnie Roucher; gdy ci panowie nie chcą ze mną układać dwónastu wierszy na cześć wiosny, to i ja z niemi zmuszony jestem pisać dwanaście kart o prawach ludzkości.

—Tak! otóż to logika nasza! Musimy zabawiać nudy tych panów, my co nie potrzebujemy nikogo do szczęścia, mając niewinne fantazje poetów. Dość poświęcaliśmy się dla ich przyjemności, teraz pożyjmy, trochę dla siebie.

Poeci rozmawiając tak skończyli swą przechadzkę, i weszli do małego domku, prawie odosobnionego, okrytego dwóma pięknymi drzewy, które zdawały się odkradzione z blizkiego lasu, na osłonę przytułku dwóch wygnańców.

Staruszka otworzyła im drzwi, Andrzej spytał jak zazwyczaj:

—Nic nowego?

—Nic, odpowiedziano mu.

—Czy już czasem, rzekł Roucher, nie wyglądasz wiadomości od młodej i pięknej kobiety, która do ciebie pisała?

—Roucher, rzekł Chenier uśmiechając się, zawsze wdzięcznie żartować umiesz, ale zdaje mi się, że jutro już nie będzie z czego.

—Jutro! Jak to! w tak krótkim czasie tajemniczy korespondent twój, miałby zrzucić osłony?

—Tak, przyjacielu, jeśli jutra doczekamy równie pięknego, wiosennego dnia jak dzisiaj.



#### IV.

### Zywo pogrzebiony.

Domek, w którym dwaj poeci wynaleźli dla siebie przytułek, jak dwa ptaki burzą gnane, wznosił się dawniej, a raczej, zniżał się pod pagórkim od Wersalu wznoszącym się do hypodromu Satory.

Wieczorem, w chwili, gdy słońce zdaje się dotykać wierzchołka lasów, Chenier wybrał sobie na postrzegalnię miejsce za żaluzją mieszkania swego, i wzrok, gorącej ciekawości pełen, kierował drogą ku Satory.

Dwie kobiety powolnie szły brzegiem lasu od strony małego domku: ubior ich bardzo skromny nie dawał rozpoznać żadnej różnicy stanu między niemi, ale wprawne oko omylić się nie mogło: jedna miała w postawie coś skromnego i uniżonego, objawiającego położenie zależne; druga, pomimo widocznego usiłowania ukrycia wytworności i szlachetności do jakiej zwykła, musiała być wyższego stanu, jedną z tych gwiazd promienistych nagle zagastych pod stropami Wersalu, po wystrzale 10 sierpnia.

Andrzej Chenier długo uważał wszystkie ruchy téj kobiety, która pagórek Satory zdawała się wybierać na miejsce wieczornej przechadzki; nie szła ona bezmyślnie, jakby dla odetchnienia tylko wieczorném powietrzem. Niekiedy, oczy jój, ciągle prawie zwrócone ku ziemi, wlepiły się

w jeden punkt i szukały przez otwory drzew widoku domu Cheniera. Ten kierunek ich stał się jeszcze wyraźniejszym, gdy dwie kobiety zbliżyły się do muru otaczającego ogródek. Ta, która zdradzała się swą postawą, podniosła głowę i spójrzała w okno Andrzeja wzrokiem długim i przeciągłym; ruch odkrył jój twarz.... twarz była nieznajoma.

Chenier mógł schwycić ogół rysów: twarz ta miała blask kwitnących lat młodości, i odznaczała się szczególną szlachetnością, odbijającą dziwnie od prostoty stroju, ubioru głowy, chusteczki i płaszczyka.

Andrzej ujrzał ją przechodzącą i znikającą zaraz za drzewami; oparł łokcie na oknie, twarz na rękę i szukał we wspomnieniach swoich; ale w nich nie znalazł téj kobiety i dla niego była istotnie nieznajomą: a jednak coś mu mówiła, że ona ten list pisała; wątpliwość, gdyby jaka być mogła, o schyłku dnia całkiem usuniętą została.

Młoda kobieta, zchodząc z pagórka, przeszła po raz drugi przed domkiem, i w mroku zatrzymała się na chwilę, bo pod drzewami było już dosyć ciemno. Chenier nie tracił czasu na próżnych domysłach, gdy tak łatwo mu było wprost prawdy dochodzić: zbiegł szybko ze czterech wschodów jedynego swego pięterka, lotem przebiegł ogródek, otworzył furtkę, i przybył na gościniec dosyć w czas jeszcze, bo mógł rozeznąć dwie kobiety, jak dwa cienie elizejskie, przesuwające się w kłębie drzew trochę oddalonych od brzeżu lasu.

Andrzej podwoił kroku i poszedł w tym kierunku, ukrywając się za drzewami; plan ten strategiczny zaimprovizowany naprędce, prosty był ale dobry; szedł wślad za kobietami nie będąc postrzeżony, do miasta, a tu przybywszy, zginął w tłumie przechodniów, nie wzbudzał już po-

dejrzeń, i nie tracąc śladu, już miał niechybnie odkryć dom gdzie mieszkały.

Niechybne plany najpospolicięj się nie udają. Andrzej, który z oczów dwóch kobiet nie tracił, na chwilę je zgubił tylko i już znaleźć nie mógł. Przez tę krótką chwilę postradał owoc całej pracy, i pomimo usiłowania rozpoznać nie potrafił w tłumie, dwóch nieznajomych. Chenier znalazł się w pustyni. Zamiast jednej, dwie miał teraz tajemnice; ale w sercu poety było teraz życie nowe, i obietnica przyszłości: niebieskie zjawisko nie obdarzyłoby go rozkoszniejszymi widzeniami. Wszystkie burze przeszłości, wszystkie dni nieszczęścia znikły z pamięci jego; znalazł piękną i młodą kobietę, która czuwała nad nim, jak anioł stróż ziemski, i oczyszczała swém poświęceniem atmosferę ciężącą nad wszystkimi, w godzinach tych dni smutnych.

Pochwycony rozmyślaniami, Chenier nie postrzegł się, że błądził bez celu i w kierunku oddalającym go od domu, bo właśnie wszedł był w jedną z tych uliczek samotnych, które napępniały kwartał Ś. Ludwika. Dom hrabiego de Pressy stał przed nim; pan ten starego dworu był jednym z blizkich przyjaciół Cheniera, znał dawny wielki świat Wersalski; nie było kogo by się mógł lepiej poradzić.

Nim bronzowy młot wiszący u drzwi podniósł, spojrział na facyatę domu. Wszystkie okna w trzy rzędy były zamknięte szczelnie; żaden promyk wewnętrznego światła nie błyskał w ściśniętych żaluzjach. Można było sądzić, że mieszkanie to zostało opuszczone w epoce emigracyi prawie powszechnej. Jednakże Chenier podniósł młot, który opadł wydając rozgłośne echo. Od tego uderzenia nie poruszyły się drzwi jeszcze, za drugim otworzyło się okno i ukazała białogłowa ostróżnie wychylająca na ulicę. Chenier pokazał się i powiedział kto był.

W chwilę potém drzwi zaskrzypiały na wrzeczadkach, i Chenier, wszedł na korytarz ciemny, obszerny, zaledwie nieco rozwidniony lampą służącego. Pan de Pressy jest w domu? zapytał poeta.

—Jest, panie Chenier.

Służący poprowadził gościa i poprowadził go ku ogrodowi; otworzył drzwi i Chenier znalazł się w przepysznym salonie, oświeconym żyrandolami, zaludnionym troistym krzesel rżędem.

—Oznajmuję pana Andrzeja Chenier, rzekł służący odchodząc.

Poeta zdziwiony został niepomału tém przygotowaniem uroczystém, tym zbytkiem najświetniejsze dni monarchji przypominającym. Rzekłbyś, że król J. M. był jeszcze w Wersalu, a pan de Pressy dawał bal tego wieczora rodzinom najznakomitszym monarszego dworu.

Tu powieściopisarz chciałby pójść za starym zwyczajem i zrysować wizerunek fizyczny i moralny pana de Pressy, ale woli po rozmyśle, żeby P. de Pressy sam się odmalował, lub wyrzezał historyczny swój posąg, słowami i czynem.

Pan de Pressy wszedł, ubrany, utrefiony, uperfumowany, jak na ranek w *Oeil de Boeuf*. Rzekłbyś, że tylko, co wstał z krzesła, na którém służył za wzór Roucher'owi, a portretu jego oczekiwano do galerji w Trianon.

—A! to ty, kochany poeto! zawołał ściskając za ręce Chenier'a. Bardzo zapominasz o nieprzyjaciolach swoich? Spodziewam się, że nie przychodzisz żądać odemnie jakiej postugi. Wiesz, że umarłem od 10 sierpnia 1792 roku, umarłem i tu pogrzebiony zostałem, czekając zmartwych-

wstania, którego się spodziewam, gdy król będzie wolny, wkrótce, nieprawdaż, kochany nieprzyjacielu?

Kochany Pressy, rzekł Chenier, sługa twój widać lepiej mnie zna od ciebie, otwiera tylko przyjaciółom.

—A więc, kochany poeto, rewolucya nas nie poróżniła?

—O! bynajmniej.

—Teraz więc, słuchaj drogi Andrzeju, nie wiem powodu jaki cię do mnie sprowadza; lecz nim mówić zaczniesz, muszę ci zrobić przestrożę, którą spotykam wszystkich rzadkich moich gości. Zabroniono im przynosić mi wieści wszelkiego rodzaju. Nie chcę wiedzieć o niczym, nie nie chcę czytać, nie widzieć. Sługa mój niemy jest przedemną. Dziesiątego sierpnia, byłem w Tuileries; wiesz zapewne jakem się tam sprawił— wyszedłem z honorem. Nazajutrz, powiedziałem z Hektorem: *Sat patriae Priamoque datum*, i przyszedłem zagrzebać się tu w 34 roku życia, własnymi rękoma. Nie wiem i nie chcę wiedzieć, co się odtąd stało.

Rewolucye w oczach moich mają tę potężną wadę, że są nudne. Raz doradziłem był sobie emigrować. Ale dokąd? do Anglii? czy do Niemiec? są to kraje zbyt smutne dla ludzi wesołych. Mnie potrzeba co rana, gdy się budzę, zobaczyć dzwonicę kaplicy Wersalskiej; jest mi ona czem maszt okrętu dla marynarza, co się na nim urodził. Dzwonicy téj wszędzie brak mi będzie: zostaję tutaj. Widzisz kochany poeto, obyczaje moje domowe w niczym się nie zmieniły. Jestem ubrany, jak na wieczерzę w szczipłem przyjaciół gronku.

Dziś, czwartek, jest to mój dzień; przyjmuje, salon niebieski, jak widzisz wystrojony. Przybywasz w samą porę... patrzysz na mnie z wytrzeszczonemi oczyma, kochany poeto;

rumienisz się na myśl znajdowania w towarzystwie pięknych pań, w tym śmiesznym stroju *Žirondyna* zakrawającego na *Górala*. Uspokój się; jest to mój dzień przyjęcia, ale nie przyjmuję nikogo. Rodzina moja zwykle przyjmowała we czwartki. Dopełniam obowiązku, bądź co bądź, ale nic nie będzie, a raczej nikt...

—Tém lepiej, rzekł Chenier uśmiechając się, bom już miał prosić o pożyczanie wieczornego ubrania.

—Jakżeś bo mógł przyjąć ten strój niewolniczy! przerwał P. Pressy. Ubrany jesteś zupełnie jak marmur starożytny wystawujący barbarzyńcę, który prosi o jałmużnę. Co do mnie, dam się posiekać w kawałki, nim pozwolę sobie łąbać włosy, *à la Titus* lub *Caracalla*, i włożę karmajolę z gąbkowego sukna! Wówczas, kiedy mi jeszcze mówiono co się dzieje, ktoś mi powiadał, że są rewolucyoniści co przyjęli spodnie długie, i jak błazny włoskiej komedyi się ubierają. Jeśli i ta moda stanie się zaraźliwą, bądź zdrów sławiony francuzki smaku! Wystaw pan sobie dworaka lub poetę w długich spodniach! O! o! tych wyrazów domawiając pan de Pressy rozśmiał się z cicha, wziął rękę Cheniera i rzekł: Wybacz, kochany poeto, daruj umarłemu, Rzadko mi się wydarza mówić w moim grobie; wyplacam się z zaległości mojej roztrzepanej prozy, przed pierwszym jakiego napadłem poetą... No... wróćmy do przedmiotu. Miałeś myśl jakąś przychodząc do mnie, mów, słucham.

—Tak kochany de Pressy, w istocie myśl mnie tu przywiódła. Ale ze wszystkiego, co mi powiadasz, sądzę niepotrzebnem prosić cię o objaśnienia, boć widzę nie należysz już do świata żyjących...

—Mów dla tego i pytaj, kochany poeto. Może przypadkiem....

—I ja rachuję na przypadki, rzekł Chenier przerywając mu, chciałbym jakiej wiadomości o młodej i pięknej kobiecie.

—Jak się zowie, Chenier?

—Nie wiem, jak się zowie.

—Gdzie mieszka?

—Nie wiem, gdzie mieszka.

—A cóż wiesz o niej?

—Nic.

—Do zbytku już jesteś poetą, nadużywasz naiwności czystej muzy, matki twój. Przychodzisz do mnie czegoś się dowiedzieć, z takimi tylko danymi!

—Ale kochany Pressy, wszystkiego ci powiedzieć nie mogę, ponieważ...

—Prawda, Chenier, rozumiem, uważasz na moją przestrożę. Zabroniono jest najwyraźniej odwiedzającym mnie, mówić o tém, co się zewnątrz dzieje; nawet dla ciebie, Chenier, nie zrobię wyjątku.

—Ten zakaz niezmiernie mnie pęta.

—Ale probuj dla tego, probuj kochany poeto powiedzieć mi coś, nie uwiadamiając o niczém.

—Jest to kobieta wzrostu więcej niż średniego, w sukni...

—Ostróżnie, Chenier, przestrożę pamiętaj! powiesz mi o jakiej piekielnej modzie nowej, która mi krew zburzy.

—No, to ci nie powiem o sukni; ale ubranie głowy.

—Tém bardziej! Niech mnie Bóg uchwowa, żebym wiedział, jak dziś kobiety głowy stroją... może całkiem ich nie ubierają!!

—Dam więc pokój głowie; twarz pełna powagi i szlachetności, oczy czarne bardzo piękne, popiersie prześliznych kształtów, postawa ex-hrabiny, nadewszystko nóżki malutkie, jakich mało, nóżki które zdają się ze wstrętem



stapać po ubitej ziemi, jak gdyby przywykły posuwać się po posadzkach, po marmurach i kobiercach...

—Wybornie, Chenier, i chcesz żebym cię oświecił, kierując się podobnemi wskazówkami? To dosyć trudno. Wszystko to zbyt nieokreślone, opis twój dałby się zastosować do pięćdziesięciu kobiet dawnego dworu.

—Gdybym mógł nieco zapomnieć o przestrodze.

—No, Chenier, dozwalam ci o niej troszeczkę zapomnieć, na chwilę ją usunąć, ale nie nadużywaj.

—Mogę ci pokazać list.

—O! to, nie! nadużywasz!

—Urywek... pismo...

—Ani urywku! dosyć będzie adresu.

—Kiedy go niema.

—No! to pokaż takie cztery wiersze, w których by nie było: cztery wiersze nic nieznaczące; listy są zazwyczaj pełne podobnych.

Chenier oddał się na chwilę, przebiegł oczyma list bezimienny, i znalazłszy co żądał, ukazał kawałeczek najmniej znaczący.

Pan de Pressy przebiegł go oczyma i poblądł; smutek głęboki wyrzył się na jego twarzy; ale nadludzkiem usiłowaniem zwyciężając się, przybrał swój uśmiech i wdzięczny układ dworaka, oddał list Chenierowi i rzekł: nie znam tego pisma...

Chenier dostrzegł zmięszania P. de Pressy, ale przybrał postawę roztargnioną człowieka, który nic nie widzi.

—Muszę cierpliwie nosić moją zagadkę, rzekł, dopóki jój los nie rozwiąże.

—To najlepiej, rzekł P. de Pressy udając zupełną obojętność.

—A musi już być bardzo późno, dodał Chenier żegnając się; przyjaciel mój Roucher może być o mnie niespokojny. Żegnaj cię kochany, Pressy— żegnaj.

—Bądź zdrow kochany poeto; pamiętaj, że przyjmuje w czwartki.



## V.

### D w a j   b r a c i a .

Wróciwszy do swój izdebki, młody poeta uczuł w sobie burzę gwałtowniejszą od wszystkich, jakimi wrzały rynki od jutrzeńki 89 roku. Jakiem litości okiem zmierzył on papiery, rękopisma, gazety nagromadzone przed sobą! Zbiór *Dziennika paryzkiego* i dodatków do niego, wiązkę zapyłoną exemplarzy sławnego N. 43, pół wydania swój *przestrogi Francuzom*, wstęp do satyry na Brissot'a, i mnóstwo urywków ołówkiem pisanych tragedyj, które brat jego Marja-Józef zwał *bezstronnemi*, z powodu niewinności klassycznego ich wątku.

—I ja także, rzekł z gorzkim uśmiechem— i ja także, dość żyłem dla drugich, żyjmy teraz dla siebie! Gdybym był zmuszony poddać się moralności politycznej tych ludzi, młodość moja zwiędła by napróżno od powiewu bezpłodnego ich szalonych zapędów! Z jakiego grodu Pentapolis, przeklętej i zniszczonej ogniem nieba, wyszli ci ludzie, co na swój krwawej drodze nigdy się nie wstrzymali dla wejścia kobiety, by żyć, by kochać?

Otworzył okno, a że w téj nocnej godzinie, nie lękał się być spostrzeżonym, oczy jego spoczęły, i rozczuliły się widokiem pięknej nocy kwietniowej. Gwiazdy pływały

nad parą okrywającą drzew wierzchołki, powietrze miłe, balsamem oblewało duszę. Wszystkie harmonje nocne mówiły językiem boskim, pojętnym dla wszystkich, a niezrozumianym od nikogo. Miasta spały na prędcę, gotując jutro nowe nienawiści i walki.

Andrzej zwracał ciągle oczy ku miejscu, w którym piękna nieznajoma zatrzymała się chwilę, spoglądając na jego domek. Noc pod drzwiami była czarna, a jednak z okna widać było postać ludzką, poruszającą się i nie podchodzącą bliżej.

Chenier wlepił oczy w to dziwne zjawisko, które zdawało się być niebezpieczeństwem: przerażenie jego zbyt się przedłużało, i już myślał zejść i zbliżyć się wprost ku temu co groziło, gdy głos jakiś zanucił ten wiersz w obcym języku:

Czy wiesz? grozi ci tuż,  
Napad zdradliwy Emira,  
Rozbojnika z wyspy Róz,  
Który choć drzwi nie zawiera  
Zasypia. . . . .

O! ze wszystkich harmonij téj nocy, żadna większą rozkoszą nie napoiła serca młodego poety, nad tę strofę bojaźliwie zanuconą, w starym języku synów Homerowych. Andrzej powstrzymał wykrzyk radości i przebiegłszy wschody i ogródek dwoma skokami, rzucił się w objęcia brata Marji-Józefa, który rzekł do niego.

—Nie chcę by mnie kto widział, nawet Roucher...— nie chciałem nawet, żebyś ty mnie zobaczył, ale list napisany do ciebie nie byłby mi zastąpił téj chwili.

—Z Paryża przybywasz mój Józefie?

—W téj chwili; unikałem gościńca, przyszedłem przez

las od Ville-d'Array... Chodź— oddalmy się ztąd, Andrzej, pogadamy trochę na ustroniu, w lesie.

Marja-Józef i Andrzej zeszli z drogi i stanawszy w cstróżném oddaleniu od mieszkań, piérwszy rzekł do brata:

—Drogi Andrzej, wczoraj, 10 kwietnia, Robespierre wyrzekł wreszcie oskarżenie Żirondynów.

—Byłem tego pewny; Żirondyni zginęli.

—A z niemi kochany Andrzej, wszyscy ich stronni-  
cy, wszyscy ludzie występnie umiarkowani. I twoje tam  
imię wspomnianem było. Dziś może jeszcze nie jesteś w nie-  
bezpieczeństwie, ale jutro będziesz... to nieuchronna. Wi-  
dzą chód ludzi i wypadków: wir ten porywa wszystko.

—No, drogi Józefie, uściśnijmy się serdecznie, i niech  
wir ten pochwyci nierozłączając nas obu.

—Ja walczyć będę, kochany Andrzej; będę się opie-  
rał, znam tajemnice żywota politycznego, które mnie mo-  
gą ocalić; ale ty— tylko poetą jesteś, marzycielem; nic nie  
umiesz, nic nie przygotowałeś na obronę twój przeszłości  
przed przyszłością. Rozdrażniłeś silnych, głupcom poka-  
załeś swój rozum, zimnym swe serce płomieniste. Zano-  
towany jesteś we wszystkich mściwych-głowach, zażądają  
twój głowy, powiesz, że nie warto z katem o nią wal-  
czyć; przez niedbalstwo schylisz ją, a historia, kłamli-  
wa jak zawsze, na czole mojem wycisnie piętno Kaina.

—Nigdy! nigdy! przerwał Andrzej; nie wiem, co mi  
Bóg zgotował, ale wiem, że nigdy historia nie splami  
twego patryjotyzmu, często zapalczego, lecz zawsze  
czystego! Nie potwarzajmy tak towarzyszków naszych—  
pisarzy przyszłości.

—Niech i tak będzie, mój kochany Andrzej; historia,

choć raz sprawiedliwa, nie będzie mnie obwiniać, ale krew w żyłach moich, krew która jest twoją także, oburza się jeszcze na myśl tę, że teraz spocznieś ubezpieczony, bo ja, w przekonaniu twém, nie powinienem lękać się plamy historii. Czyż tego mi ma być dosyć Andrzej? Nie. Chcę żebyś żył; chcę żebyś obrał sobie ziemię przytułku gdzieby sen twój był spokojny i przebudzenie wesołe; chcę twój młodej głowie wyszukać podpory innéj, któraby nie była pniem kata.

—Zaprawdę, dobry mój bracie, rzekł Andrzej składając ręce na krzyż i wznosząc oczy na gwiazdy—zaprawdę, nie rozumiem tego niebezpieczeństwa które mi ma grozić; szukam w méj głowie popełnionych zbrodni, godnych kary śmierci, i nie mogę ich znaleźć...

—Ale Andrzej, przerwał Marja-Józef—wiekuiste z ciebie dziecko; nigdy polityki rozumieć nie będziesz.

—Słowo w słowo czytałem to wczoraj w jednym liście.

—W jakim liście?

—W liście kobiety.

—Otoż jest, kobieta znowu! zawsze te kobiety! Andrzej, nigdy na człowieka nie wyjdiesz.

—Człowiekiem więc nazywasz tego co zażąda głowy niewinnéj jak moja, dla ustalenia porządku społecznego?

—W rewolucjach, Andrzej, nie można rachować na logikę rozumową.

—Czémże rozumować?

—Namiętnością.

—To antypody logiki.

—To logika rewolucyi, kochany Andrzej; jest to *twarda konieczność* o której mówi Horacy, *saeva necessitas*; to prawo nieprzewidziane, które wystrzela jedną noc,

jak kwiat aloesu, i daje głowę niewinną potrzebie chwilowej, nie troszcząc się o jutrzejsze wrażenie.

—No, kochany Józefie— nie tedy nie rozumiem rewolucyjnej logiki.

—Tak, ale piorun co zabija nie pyta cię, czy rozumiesz fenomena elektryczności. Kochany Andrzeju, nie trać czasu na rozprawach o meteorach; wyjeżdżaj jutro; jedź do Anglii którą znasz, gdzie masz przyjaciół. Chciałem ubezpieczyć podróż twoją; postarałem ci się o pasport, oto go masz. Papier ten zawiera w sobie życie twoje i mojego połowę. Choremu daje się lekarstwo, zagrożonemu pasport.

—Kochany Józefie, przyjmuję pasport.

—I wyjeżdżasz jutro?

—Jutro?.. nie.. Na cóż to jutro? czyż niebezpieczeństwo tak blizkie?

—Tak, tak, Andrzeju, blizkie, groźne! mam ci mówić całą prawdę? Widziałem się dziś rano z Robespierrem, mówiłem z nim; człowiek ten ponury jest i zakryty jak przyszłość; ale niekiedy wyrzuca z siebie wyrazy urwane jak wyrocznie Sybilli, a dla uszu pojętnych odkrywa myśl całą, sądząc że ją osłonił. Po tej rozmowie, znam Robespiera najlepiej; znam go lepiej może niżeli on sam siebie, wiem bowiem do czego zmierza; widzę dokąd fatalność niezłomna pcha go w tej wielkiej tragedyi którą grać będzie na benefis kata. My co piszemy dramata, umiemy przewidzieć z pierwszych scen rozwiązanie; jaką to wyższość wieszczą mają pisarze dramatyczni nad resztą ludzi, gdy los zmienia ich na prostych widzów. Wczoraj obwiniono Żirondynów; jutro zabraknie im przyjaciół, im, co o włos nie sprzymierzyli całej Francyi! To dopiero pierwsze sceny, wykład przedmiotu. Przybywa, publiczność i roznamiętnia się; akcja musi się rozwijać. W tragedyi którą

z życia Karola IX napisałem, protestanci obwinieni są w pierwszym akcie; rzeź w ostatnim: to będzie rozwiązaniem z Żirondynami! Historia wiekuiście się powtarza, bo namiętności panujące wypadkom zawsze są też same; bo potok ludu unosi zawsze jak rzeka Araxus, o której mówi poeta, wszystko co nieostróżne ręce porzuca na brzegu. Myślisz że po zniszczeniu Żirondynów, hekatomba dostateczną uznana będzie? Nie. Historia powtarzać się musi.

Ujrzymy proskrypcye Marjusza i Sylli, usłyszmy znowu ponure żale rozlegające się w naszych przystaniach: *Ziemia mnie moja wygnała!*; Napaści zewnętrzne, szalony opór wewnątrz ukoronują dyktaturę Grozy; naówczas głowy wszystkie na włosku ramion najsilniejszych trzymać się będą; naówczas będą tylko wigilje boleści, bez jutra. Tę przyszłość, ja przyjąłem; idę do niej, biegnę naprzeciw mego przeznaczenia, i nie oglądam za siebie: gotów jestem zapieczętować krwią moją swobodę której nie ujrzę, która będzie innych udziałem. Ofiara życia mojego spełniona: przepadły jak krople wody w kataraktach rewolucyi. Wiem że ginę, ale na horyzoncie oglądam już spokojne wody co kraj mój użyźnią.

Krew moja niech spłaci cały dług rodziny; sądę że mam dość energii w sercu na obronę głowy mojej, od głupiej fantazji karta, któryby jej mógł pożądać. Ty mój bracie, usunąłeś się od walki, jak Enfelle; schroniłeś się pod święty laur poświęcony Muzom; nie należysz do Cyrku; idź i zapłodnij młodość swą spokojniejszém niebem. Zostaw ciężką pracę toczenia skały Syzyffa z doliny ku górze, i prosz Bogów aby ci otwarli wrota słoniowe wiodące do elizejskich gajów.

Prośba ta, w której wybuchy serca łączyły się z żywymi obrazami wymowy klassycznej epoki owój, na czas jakiś

oniemiła Andrzeja Chenier. Nasz młody poeta do łez poruszony, już miał uleźć pierwszemu natchnieniu, ale panująca chwila myśl wstrzymała go i zamknęła mu usta. Józef ścisnął ręce brata, a dwaj wielcy poeci, stojąc tak jeden na przeciw drugiego i ognisto mieszając westchnienia, mieli jedynymi świadkami drzewa i gwiazdy, tych wiekustych powierników smutnych ludzkości tajemnic.

Andrzej przemógł się z wysileniem, i rzekł stłumionym głosem:

—Nie, nie— to niepodobna, bracie.. Nogi moje głębiej w tę ziemię wrosły niżeli otaczające nas drzewa. Zostaw mnie losowi memu.

—Buntujesz się przeciwko głosowi krwi własnej, kochany Andrzeju— Chcesz całej prawdy?

—O! mój Boże, mów co chcesz, odpowiedział Andrzej obojętnie, nie wykorzenisz drzewa.

—Andrzeju, imię twe wymówione zostało w tajemniczych naradach, w spiskach nocnych którymi kierują ludzie, co nigdy nie przebaczą nikomu. Zapisany jesteś na kartach wyznaczonych... obiecano głowę twoją ludowi. Głowa ta, twoją już nie jest.

—Kochany bracie, rzekł Andrzej ze smutnym uśmiechem, doprawdy, mówisz o życiu i śmierci jakbyśmy żyli w czasach pogodnych, gdy śmierć i życie mają jakąś cenę. Życie, umrzeć, dziś to słowa jednoznaczne. Kto dziś dba o życie? Kto się dziś lęka umrzeć? Nikt... nawet kobiety. Gdybym mógł zgodzić się na opuszczenie Francji, to pewnie nie ze strachu śmierci. Twoje straszliwe groźby wcale mnie nie poruszają. Pojechałbym jedynie żeby zadość uczynić pragnieniu twego braterskiego serca, które do mnie przemawiało w sposób tak czuły, ale wierź mi, drogi



bracie, jestem jak żołnierz na placu boju: nie radź bratu by uciekał.

—Przynajmniej, Andrzej, powiedz mi otwarcie... Kobieta cię wstrzymuje?

—Tak jest.

—No, to jedźcie razem, i...

Andrzej powolnym ręki ruchem wstrzymał brata, i wiążąc dłoń jego ze swoją, zwierzył mu się całkowicie, żadnego nie tając szczegółu. Dodał kończąc:

—Kochany Józefie, z największą odrazą odkrywam ci tajemnicę, której część należy do kobiety, aleś mnie zmusił do tej ostateczności.

Pierwsze już blaski jutrzeńki migotały na drzew wierzchołkach, a to wesołe rozbudzenie natury, okryło smutkiem twarze braci. Nieszczęśliwe czasy, gdy z przestraczem pogląda się na uśmiechnięty brzask dnia wiosennego. Józef wejrzał w niebo z melancholijném utęsknieniem, i rzekł do brata:

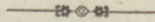
—Musimy się rozłączyć; pomyślę o nowém twojem położeniu, i napiszę do ciebie przez posłańca za którego ręczę. Bądź ostróznym... obiecujesz mi być ostróznym?

—Przysięgam ci na to w obec ostatnich gwiazd tej nocy pamiętnój.

Bracia pożegnali się we łzach, i w lasku rozeszli.

Józef kierował się jak żeglarz ostatnią gwiazdą zachodu, szukając drożyn myśliwych rozsypanych pod Ville-d'Avray, a brat jego poszedł uliczkami znanymi sobie, które go wiodły do domku. Roucher nie postrzegł jego oddalenia; autor poematu *miesiący*, wiódł życie wcale nieobciążające przyjaciół i w nowém swém schronieniu zapomniał już był burzy i walk, w jakie go los pomimo woli był wepchnął.

Zamknięty jak anachoreta, czytywał co wieczór zamiast brewiarza: *Praedium rusticum*, ojca Vanniére, i porównywał poemat z Georgikami Wirgiljusza, na wzór paralleli Ks. Rapin, uczonego anafomisty starożytności, pisząc powolnie rozprawę. O dziewiątej zamykał Vanniera i rękopism swój paralleli, usypiając i marząc w snach swoich o wiejskim domku i ptaszarni, o domowych zwierzętach, które francuzki Wirgiliusz tak dobrze opisał, a sztycharz Lejay tak wybornie na stali wyraził. W téj chwili *Góra* i *Zironda* walczyły z sobą jak Skamander i Wulkan Illjady, a poeta *miesiący* uśmiechając się zasypiał.



## VI.

**Klaudyusz Mouriez.**

Pan de Pressy wstał, usiadł przed stołem i napisał następujący bilet:

Panie Gubernatorze!

Wyrządziłeś pan obelgę kobiecie, wdowie zostającej pod moją opieką. Jest to kobieta wyższej klasy, ale pochodzenie jój nie powiększa obelgi. Pod tym względem r. 89 ma zupełną słuszność.

W odpowiedzi swój raczysz mi wskazać godzinę i miejsce gdzie się spotkamy. Obiecuję sobie dowieść panu na placu, żem równie szlachetnego pochodzenia jak pan.

Świadek mój czekać będzie na rozkazy wasze.

P. de Pressy złożył bilet, zapieczętował go fantazyjną pieczętką, i śmiejąc się rzekł do Walentego:

—No, stary mój wojaku z Pondichery, uczynimy z tobą małeńką wycieczkę...

—Pan wychodzisz z hotelu? zawołał Walenty z zadziwieniem i przestrawem.

—A muszę, Walenty... mam obowiązek do spełnienia... spodziewam się powrócić zaraz.... chyba bym... Dowiesz się nazwiska pana gubernatora prowincyi w hotelu de Grave, zapiszesz je na bilecie... Oddasz potém list mój jego służącemu i będziesz czekał odpowiedzi.

—Muszę słuchać pana hrabiego, rzekł Walenty z widocznym smutkiem.

—O to cię dziś tylko proszę, Walenty.

—Spełnię rozkaz pana hrabiego.

—I bądź co bądź, nie powstydzisz się za mnie mój Walenty.

Stary sługa wziął bilet, ubrał się przyzwoicie, ale z prostotą owym czasom właściwą, i wyszedł ślepo spełnić polecenie pana.

Pan de Pressy, zostawszy sam na sam, otworzył maleńki familijny relikwiarzyk i wyjął z niego portrecik pastelowy, któremu czule począł się przypatrywać. Był to portret młodej kobiety w stroju idealnym pastérki, piękności idealniejszej jeszcze od ubioru; uśmiechała się jak wschodzące słońce, i z pomiędzy dwóch łuków ust koralowych, ukazywała dwa rzędy cudnych kształtów pereł. Malarz, korzystając z przywilejów epoki i fantazji stroju dozwolonych pasterkom ówczesnym, nie żałował cudnych nagości pastelowi, a suknia grała w nim rolę podrzędną i nieznaczącą.

Żywe poruszenie dało się widzieć na szlachetnej i zawsze wypogodzonej twarzy Hr. de Pressy: ale jak wszyscy ludzie których łzy nigdy na zewnątrz nie płyną, co tajemnej boleści objawić się nie dają, nawet w samotności, na tych-

miast rozjaśnił znowu oblicze, zamknął portret w relikwi-  
arzyku i szedł do pokojów przytykających ku ogródowi.

Tu, z panoplii dziedzicznej, wysunął szpadę, spróbował  
jój gardy, dotknął ostrza i schował do pochwy; potem  
przerzucił kilka książek narzuconych na gierydonie, wziął  
*Almanach Muz* z r. 1788, usiadł i przeczytał kilka siela-  
nek, czekając powrotu Walentego.

Usłyszawszy uderzenie młota, pan de Pressy zamknął  
zbiór ulotnych poezji, i poszedł otworzyć, bo nie miał się  
kim wyręczyć z powodu rewolucyi. Uśmiechał się zawsze,  
gdy mu przychodziło samemu iść otwierać jedynemu słudze.

Walenty na twarzy dziwnie zmieniony, widoczne nosił  
ślady niepowodzenia, które go spotkało, lub może obelgi.  
Rozmowa poczęła się zaraz w sieni.

—Wyśmienicie, mój Walenty, rzekł hrabia, pomimo  
twój nogi kulawej i siódmego krzyżyka, widzę żeś z pokole-  
nia tych ludzi, co to się w siedmioletniej odznaczyli wojnie;  
no, i jakąż mi przynosisz odpowiedź?

—A! panie hrabio, jeśli mi trochę nie dopomożesz...  
niepotrafię tego opowiedzieć...

—Powiedz mi wprost jak było— nic łatwiejszego.

—Wcale bo to nie łatwo... prawdziwie, nie wiem od  
czego zacząć... panie hrabio, bądź łaskaw, jakoś mi po-  
móż trochę.

—Widziałeś się z gubernatorem?

—Nie, panie hrabio.

—Jakto? a list mój?

—Kazał mi go oddać nazad przedarłszy na czworo, przez  
sekretarza swego, z taką odpowiedzią:— Spiskowych posy-  
łamy do więzienia la Force, a warjatów do Charenton.

—Cóż to ma znaczyć, Walenty?

—Pan hrabia lepiej to może zrozumiesz odemnie, wiedząc coś napisał?

—A cóżes ty Walenty, odpowiedział na to zuchwalstwo?

—Nic, panie hrabio...

—Prawda! prawda! cóż było odpowiedzieć! wiesz jak się pan gubernator nazywa, Walenty?

—Wiém.

—Zowie się?

—Zowie się... Klaudyusz Mouriez.

—Ba, nazwisko wcale nie ma miny szlacheckiej.

—Cóżbys pan Hrabia powiedział zobaczywszy samego!

—A ty go widziałeś?

—Widziałem... gdy sekretarz otworzył drzwi odnosząc cztery kawałki rozdartego listu.

—No cóż, wygląda przyzwoicie?

—Wygląda całkiem nieprzyzwoicie. Jest to drab pięć stóp cali osiem, włosy kręcone, bez pudru, obcięte nisko; twarz maskaronu, oczy jak węgle, rysy ostre, nos jak dziob jastrzębi, cera jakby ją pod zwrótnikami, opalił;— gdyby z piekła dezserterowali, wiedziałbym jakie mu pochodzenie naznaczyć. Nie dziwuję się wcale, że pani hrabina znikła, boć to aniołek... gdy ten cyklop wszedł do hotelu de Grave.

—Nie mówmy już o nim, przerwał pan de Pressy, złem zrobił żem pomyślał na chwilę o pojedynku, nadto honoru dla niego.

—O, panie hrabio!

—Nie mówmy o tém Walenty, zajmijmy się piękną hrabiną: trzeba nam wiedzieć koniecznie, nieodzownie, gdzie ona jest. Zerwałem wszystkie węzły wiążące mnie z dworem, z kobietami, ze światem; ale niezmiennie pierwsze postanowienia, honor mi nakazuje bronić hrabinę w chwili, gdy piękność jej wystawia ją na niebezpieczeństwo.

—Panie hrabio, rośnie mi serce od tego co pan mówi.

—Słuchaj Walenty: postrzegłem w tobie wielką zręczność, okrytą pozornie dobroduszością; jest to najcenniejsza zręczność, bo się jój nie każdy domyśla. Był człowiek obdarzony przebiegłością cudowną, który napisał dwa tomy najwymyślniejszych sposobów zwodzenia mężów, ojców i opiekunów. Świat, zawsze biorący wszystko powierzchownie, nazwał tego wynalazcę *dobrą duszą*, dla tego że twarz sobie ułożył głupawą... Ja cię porównyвам do poety Lafontaine'a.

Walenty skłonił się rumieniąc przez skromność.

—Widzisz że cię dobrze znam, Walenty, kończył pan de Pressy; dam ci więc czego brakło twemu sławnemu prototypowi, dam ci pieniędzy ile zechcesz, a ty sześć godzin w dzień poświęcisz poszukiwaniu hrabiny. Nie wyjechała z Wersalu, za to ręczę... Nie zaprzeczaj mi; przysięgam że jest w Wersalu; wczoraj poznałem jój charakter na jednym liście.. jest w Wersalu... Ty ją znajdziesz Walenty; na to jesteś *dobrą duszą*.

—Pan hrabia może być pewien, że dołożę wszelkiego starania, żeby był kontent ze mnie.

—Poczniesz dziś zaraz, Walenty, w tej chwili.. Oto worek, a gdy zapotrzebujesz, nie oszczędzaj pieniędzy, będziesz ich miał ile zechcesz.. Idź.. idź, Walenty.

Stary sługa wyszedł; pan de Pressy zamknął się w bibliotece i począł pisać komentarz nad *pocałunkiem* Dorata, który się tak poczyna:

Thais spała,—piękna we śnie,  
Ptaszek umilkł wśród krzewiny,  
I wstrzymując słodkie pieśnię,  
By niezmacić snu godziny....

Następujące dalej wiersze, w r. 1849, moralniejszym, cytować się nie dadzą.



## VII.

### Z a k o b i é t a.

Walenty szedł z głową spuszczoną, aż do głównych stajni Wersalskich, i tyłem się obróciwszy do sztachet opuszczonego zamku, obejrzał się smutnie na prawo i lewo po mieście, które dwóma skrzydłami swemi rozciągało się na dalekim horyzoncie.

W myśli starego żeglarza, następujący rozwijał się monolog:

—Pan hrabia, pan mój, mówił sobie—godzien jest żeby mu służyć gorliwie i z poświęceniem; niezaprzeczone to dla mnie: ale we wszystkiém jest miara, nawet cnota wiernego sługi ma pewne granice. Mam przed sobą nie jedno miasto, ale dwa, z ulicami ginącemi gdzieś daleko, hotelami z których najmniejszy ma tyle okien co dni w roku, i każą mi znaleźć kobietę w tym świecie, co się zowie Wersalem! To tak zupełnie jakby mi kazali szukać igły, którą pani Dubarrey wpuściła w sadzawkę *Cent-Suisses*, i żebym miał do wyboru, wołałbym jeszcze igły szukać.

Hrabia chce mnie zachęcić pochlebstwem; porównywa mnie do dobrej duszy pana de Lafontaine, który wymyślił całe dwa tomy samotrzasków i potapek do polowania na kobiety; radbym go widzieć na mojem miejscu, tego P. de Lafontaine, żeby mi kazali wśród rzeczypospolitej szukać Hrabiny, kiedy Hrabiów niema.

Stary majtek spędził lata swój młodości wśród wrza-

wy burz morskich i wojny; niejeden okręt rozdarto pod nim, a żelazne jego uszy oparły się gromom artylleryji na morzach Indyjskich; w dodatku zbroiła go ta wzgarda z jaką wszyscy żeglarze patrzą na sprawy lądu i ziemi;—wrzawa też w tój chwili obejmująca miasto Wersal, wcale go nie poruszyła.

Kupy kobiet i mężczyzn biegały po placach i szerokich ulicach śpiewając pieśni patriotyczne; deputacye jakieś zalewały ulice Parafialną i Pompową, idąc ku Ratuszowi, gdzie Klaudyusz Mouriez, zwykle wysyłany na poskromienie rozruchów, miał je przyjmować. Ten hałas publiczny, tak straszny uszom spokojnych mieszczan, zaledwie drasnął starego majtka, jak wietrzyk od wysp Azorskich; dla niego było to coś nakształt swawoli studentów wypuszczonych na wakacye; nie raczył się nawet dłużej temu przypatrywać.

Monolog który był w myśli rozpoczął przed sztachelami zamkowemi, ciągnął się dalej, a krzyki tłumu przerwać go nie zdołały. Zdaje mi się, mówił, że te hałasliwe sceny uliczne powinny by wiele osób do okien wywołać, a tu nie widzę wcale ciekawych. Prawda, że jeśli pani hrabina schroniła się do którego z domów miasta, pewnie nie wybrała sobie tych ludniejszych jego części. Tu jój twarzy w oknie nie spotkam, choćby ciekawość doradziła jój tak nieostróżny postępek, który nuda i zaryglowanie mogłyby potrosze wymówić. Gdzieindziej szukajmy.

Walenty pożegnał ostatniem wejrzeniem spokojnej wzgardy, hałasliwe manifestacye tłumu, i wszedł w długie ulice wysadzone drzewami, które są gościńcem do Paryża. Tu, pod gęstym drzew cieniem, zgromadziły się pojedyncze domki których wrzawa miejska nie obchodzi, które w tych godzinach zamięszek, zdają się schronieniem i przytułkiem otwar-



tym prześladowanym lub zobojętnionym. Domki te były zamieszkane, jak się to łatwo poznać dawało, ale ich mieszkańcy nie ukazywali się na progu domów, i pewnie, deputacje owe i zaburzenia, gdyby się zwróciły w tę stronę, nie otwały by jednego okna, ani wyciągnęły jednej twarzy na całą linię tych grobów żyjących.

Stary sługa poczuł w sobie zniechęcenie; przerwał nawet monolog swój, i nie bojąc się podsłuchania, zaczął głośno mówić, jak to zwykle stare gaduły, którym braknie słuchacza.

—Podjąłem się, mruzczał sobie, rzeczy do wykonania niepodobnej. Ten pan Pressy nie pojmuje by co było trudnego; myśli że to jeszcze rok 1788, gdy piękne panie haftowały sobie spokojnie siedząc pod drzewami ulic Viroflay i Sévres. Ba! wszystkie te rajskie płaszki uleciały; kasztany tylko stoją. W miarę jak szedł coraz dalej, odkrywał Walenty coraz nowe schronienia, nowe przytułki, nowe grobowce; wszędzie cisza, nieruchomość, śmierć, lub raczej, życie ukryte z przestachu, osłaniające się przed wejrzeniem nieprzyjaciół.

—W rzeczy, pan de Pressy— mówił— jest sprawiedliwy, naprowadzę go na rozwagę, i nic mu niemówiąc co się tu dzieje, potrafię dowieść, że nie jestem P. de Lafontaine, że mi niepodobna znaleźć téj perły, którą zgubił w cieśninie Magellańskiej.

Zatrzymał się, pomyślał chwilę i dodał:

—Jednakże, wstyd trochę majtkowi, człowiekowi zręcznemu, mającemu pieniądze i nie szlachcicowi, wyznaczyć nieudolność swoją przed młodym paniczem, któremu się zdaje, że niema nic trudnego. Jest to upokarzające dla weterana jak ja.. A spróbujmy odkryć... tak, spróbujmy.. łatwo to powiedzieć! jak pomyślę, to mi się w oczach mać!

«Isć na los jest podobno jedynym sposobem, w podobnym razie. Gdy nas spotyka niemożność materialna, niepodobienstwo fizyczne, los ostatnim chyba może być przewodnikiem, jedyną nicią w labiryncie powszechnym.

Na rogu ulicy zwanój *Fleurus*, stał naówczas jeden z tych domków spokojnych i ustronnych, osłoniiony od złośliwości przechodniów żelaznemi sztachetami. Dwoje dzieci bawiły się wewnątrz na trawie, a trzy kobiety siedząc na darniowych ławkach, przyglądały się im robiąc wełniane ponczochoy.

Na gościńcu obok, przed sztachetami, rodzaj Sabaudczyka śpiewał przygrywając sobie na lirze, a głos jego fatszywy czy wybór piosenki, doskonale tłumaczył osamotnienie w jakim zostawał. Walenty szukał tylko powodu żeby się zatrzymać, i stanął jako słuchacz jedyny przed trubadurem, rzucając z ukosa wejrzenie na trzy kobiety.

Sabaudczyk śpiewał nową piosnkę, do *Monitora*, na nutę niewinną mistrza Adama: *Skoro światło dzienne*. Piosnka ta podobała się bardzo Walentemu, i dla nuty przebaczył chętnie wyrazom, których pierwsza zwrotka tak brzmiała:

Dumne Italji dzieci,  
Którym księża pany,  
Cień Brutusa ku nam leci,  
Stańcie się Rzymiany.  
Idźcie przeciw swemu panu,  
Zbudźcie się nareście,  
I na gruzach Watykanu  
Kapitol swój wzniesicie.

Po śpiewie, Sabaudczyk wyjął z kieszeni miseczkę drewnianą, i wyciągnął ją ku trzem kobietom, przez sztachety. Trzy głowy poruszyły się jednomyślnie odmawiając datku, a śpiewak odwróciwszy się, znalazł jednego tylko

*dilettanta* cały tłum zastępującego, i zażądał od niego cenny miejsca w pierwszej łoży. Walenty, trochę zmieszany niespodziewanym żądaniem, zanurzył rękę w głęboką kieszeń swych spodni axamitnych, i znalazłszy w niej tylko worek pański, rozwiązał go, zaczął szukać zdawkowej monety, lub dwunastu groszy, ale same spotkał luidory. Stary żeglarz nie chciał śpiewaka odprawić z niczym nakarmiwszy go słodką nadzieją datku, i niemając do wyboru tylko albo mu dać sztukę złota lub odmówić, dał luidora.

Sabaudezyk, promieniejący radością, uczuł się w obowiązku wywiązania za tę wspaniałomyślność, przedstawując narodowy swój taniec nad zwykły program; ale Walenty nie czekając końca widowiska, poszedł dalej, błądząc bez celu po pustych ulicach wiodących ku północnej części Wersalu.

Nagle wstrzymał się, jakby myśl którą powziął uderzyła go piorunem, nogą tupnął o ziemię, ręką za czoło się chwycił; oczy jego zabłyły.

Odwrócił głowę i wzrokiem powiódł na wszystkie strony, chcąc wyszukać śpiewaka, i zobaczył go zaraz poruszającego swą lyrę przed drugim ogródkiem zamieszkanym.

Walentemu nie trudno przyszło go doznać, bo on, widząc zmierzającego ku sobie wspaniałego słuchacza, sam ku niemu podszedł, poskakując nowy taniec, jakiego żaden balet Wersalski nie widział.

—Potrzebuję cię, mój przyjacielu, rzekł do niego Walenty usuwając się z nim na bok, musisz mi zrobić jedną przysługę, nagrodzę ci za nią jak należy.

—Niech no pan mówi, pójdę w ogień za was, odpowiedział wędrujący muzyk.

—Umiesz dużo piosnek na pamięć?

—O! juściż dosyć ich umiem, kochany panie; jestem pa-

ryżanin, z przedmieścia S. Jakóba N. 32. Umiem: *Dumne Italji dzieci; Gdy mój kochany powróci; Nie pójdziemy w las już więcej; Pięknas i jasnowłosa moja Amarylko*. Umiem marsz gwardyj Francuzkich, ale to zabronione przez rząd. Jeśli pan każe to mu w domu zaśpiewam. Trubadur dumną przybrał postawę, jak artysta który nareście trafił na znawcę wśród zawodu swego, pełnego niepowodzeń.

—Tyle tylko umiesz, mój przyjacielu! ej no! poszukaj trochę w głowie?

—Chcę pana temi naprzód zabawić, a potem znajdą się i inne. Zaśpiewam panu: *Amarylko! Amarylko... tyś...*

Walenty urwał piosnkę o Amarylce na pierwszym wierszu, gwałtowném poruszeniem.

—Daj pokój, przyjacielu, nie tego ja chcę...

—To możebyś pan życzył... *Droga Zeliyo, mocno kochać ciebie?*

—Nie... ale umiesz że? ba! kiedy bo ja jój zapomniałem także... czekaj!.. zaśpiewam ci nutę...

—Aha! aha wiem, kochany panie!

Kto umie kochać, podobać się umie,  
Czegoż mu więcej potrzeba?

—Otoż to! to mój przyjacielu... zawołał Walenty uszczęśliwiony... taż sama, a umiesz że ją całą!

—Umiem, ale poczekajcie no... zdaje mi się że także przez rząd zakazana.

—Cóż znowu? to piosnka pasterska!

—Ja ją panu w domu zaśpiewam.

—O nie! właśnie potrzeba żebyś ją zaśpiewał publicznie, i dam ci za każdy raz po dwadzieścia cztery soldi...

—A! panie! musisz ją pan bardzo lubić... na nieszczęście coś mi się zdaje, że to przeciwko Rzeczypospolitej.

—Nie wiesz co pleciesz, i....

—Czekaj no pan, dobrze ją rozbierzmy.

Oddaj mi serce droga dziewczyno,

Kollin ci oddał już swoje—

Ty zawsze będziesz moja jedyną

Wielkość moja—skarby moje...

—Otoż to jest! rzekł Walenty, gdzie ty tu u licha znalazłeś co przeciwko Rzeczypospolitéj? Owszem jest to piosnka antimonarchiczna, bo pastérz mówi że ona będzie całą jego wielkością... piosnka czysta republikańska.

—A prawda kochany panie, prawda! No! będziesz ją pan miał za swój miły grosz, i...

—E! poczekaj przyjacielu! mnie ta piosnka nie koniecz-  
nie potrzebna... ktoś inny ją lubi nad inne, i przenosił ją  
dawniej nad wszystkie; dawno mu już téj piosnki nikt nie  
zaśpiewał... uszczęśliwisz tego kogoś.

—O! zaśpiewam mu ją tysiąc razy... przerwał artysta  
wędrujący. Prowadź mnie pan pod okna téj osoby.

—Ba! otoż w tém sęk przyjacielu...

—Rozumiem, rozumiem—kochany panie.— Jest to... jest  
to osoba... która się... jak wiele innych... ukrywa, i...

—Właśnie, zrozumiałeś dobrze....

—Ale nie myślicie jój odszukiwać tym sposobem w ja-  
kim złym celu; bo jeśli tak, to schowajcie sobie pieniądze,  
śpiewać nie będę.

—Pocziwy z ciebie chłopiec, mój przyjacielu... O! bądź  
o to spokojny: mogłeś myśleć żeby stary majtek chciał ko-  
mukolwiek przykrość wyrządzić?

—No, no! to nie rachujcie mi żem się z tém wyrwał;  
łaskawco. Prowadź mnie, zapłacisz za dzień talarka, wię-  
cej nie żądam, tyle zwykle zarabiam.

—Nie, nie, mówiłem ci cenę, od tego nie ustąpię; luidora za dwadzieście piosnek! już się nie targujmy. Jeśli cię zbogacę, tém ci gorzej, trzeba się było wprzódy targować! Słowo się dało.

—No! zawołał śpiewak śmiejąc się do rozpuku, jeśli macie pieniądze do wyrzucenia... wszystko jedno, wolę już je zbierać. Ruszajmy.

—Chcesz ruszać, dokąd? przyjacielu.

—Alboż ja wiem.

—I ja nie wiem... to jest, nie jestem pewny zkąd zaczniemy naszą przechadzkę. Ty lepiej znasz miejscowość z powodu zatrudnień twych. Musisz próbować przed każdym domkiem ustronnym, takim jak ten u którego bramy tylko co śpiewałeś; ja powoli pójdę za tobą.

—Teraz już zaczynam rozumieć, kochany panie. Poczniemy od ulicy Wolności.

—Ja tych nowych nazwisk nie znam.

—Wszystko to jedno, ja je znam— Ale! kochany panie, trochę to będzie nudno śpiewać ciągle jedną piosnkę.

—A co ci to szkodzi, kiedy niema nikogo.

—A prawda.

—Tylko zaczynać będziesz zawsze od innój.

—Rozumiem; kończyć będę: *Kto umie kochać*, a zaczynać: *Dumne Italji dzieci...*

—Nie, nie! wściekły paryzki Sabaudeczyku! daj mi pokój z temi dumnymi dziećmi!

—No, to *Amarylko*.

—Śpiewaj co chcesz, tylko nie te dumne dzieci.

—A jednak to wcale piękne.

—Nie zaprzeczam jój piękności; ale w naszych przechadzkach daj jój pokój.

—Jak pan chcesz.

—Teraz już nie mówmy do siebie; idź o dziesięć kroków przedemną, i poczynaj od pierwszej furtki jaka będzie na drodze.

Początek tój próby nie bardzo był pomyslny. Wyczerpano wszystkie domy ulicy Wolności, nigdzie nie otworzyło się okno żadne. Szczekanie tylko gdzieniegdzie odpowiedziało na pieśń wirtuoza; przeszedł ogrodnik z grabiami na ramieniu, po za sztachetami, i sam jeden słuchał dwudziestu może powtórzeń piosenki.

Przy ostatnim drzewie, Walenty i śpiewak zeszli się, a Sabaudczyk dosyć nieśmiało zapytał.

—Czy pozwolicie rozpocząć ulicę Konstytucyjną?

—Pocznijmy ją, rzekł Walenty.

Ale i tu nie było skutku; jednakże objawiające się gdzie-niegdzie wzruszenie, kazały się spodziewać powodzenia. Śpiew był powodem otwarcia dwóch żaluzji i wywołał dwie głowy sześćdziesiątletnich staruszek. Przebywszy do końca, Walenty rzekł do artysty.

—Teraz, zaczynam się czegoś spodziewać.

—Jeśli się nam ciągle tak będzie udawać, rzekł uśmiechając się śpiewak, worek pański się wyczerpie, a nie pan nie wskórasz. Pan musisz szukać młodej i pięknej kobiety i pewnie nie dla siebie...

—Nie czarownik jesteś, mój kochany, istotnie szukam kobiety przepysznej...

—Którą mąż stracił?

—Nie, ale ona męża straciła.

—Nie rozumiem, kochany weteranie.

—Wdowa.

—A! rozumiem teraz.

—Ty co śpiewasz we wszystkich częściach miasta, i

pod wszystkimi balkonami,—spójrzałeś kiedy w okno hotelu de Grave, na ulicy Rezerwuaru?

—To ona! żywo przerwał śpiewak uliczny, ja ją znam, miała kwiaty na balkonie. Tak! pyszna kobieta, rzucała mi sztuki dwunasto-soldowe obwinięte w papier, ale od dwóch czy trzech miesięcy opuściła ten hotel. Teraz tam zamknięto,—kwiatów niema... Spotkałem ją tydzień temu, przebraną za prostą kobietę, w ulicy Satory; musi mieszkać gdzieś w tamtej stronie miasta... O! musimy ją znaleźć, panie weteranie, musimy koniecznie..

—No! jeśli ją znasz, możesz dalej sam już próbować. Przytomność moja ci niepotrzebna, a mogła by być podejrzaną lub niebezpieczną... weź te dwa luidory zadatku, a jeśli ci się uda ją wyszukać, dam ci co zechcesz! Od dziś dnia, codziennie spotykać się będziemy, co ranka, o dzień wiatęj, przed wielką bramą zamkową.

—Dobrze, kochany panie weteranie.

Walenty pobiegł uradowany z nadzieją do P. de Presy, ale nie chciał mu szczegółowiec nic powiedzieć o swojej wyprawie.



## VIII.

### Portret.

Powieść rasza dość już daleko zaszła, i czytelnik widzieć może, jak wyjątkowy charakter nadaje jej epoka, z której przedmiot nasz wybraliśmy. Życie postaci naszych, całkiem się odróżnia od wszelkiego żywota historycznych osób innego czasu. Czy to przez dziwactwo, czy ze strachu, czy z ostrożności, każdy się ośłania i zamurowywa nic na zewnątrz nie wystawując; szlachetne in-



stynkta i namiętności dzikie stykają się z sobą w cieniu; będzie to jakby podziemna historia téj chwili straszliwej, w której łoskot zewnętrzny wszystkich uwagę odwracał, nie pozwalając niczyjemu wejrzeniu rozpoznać tego, co się przed światłem dnia ukrywało.

—Słuchaj mnie z uwagą Walenty, mówił P. de Pressy osłaniając się szerokim płaszczem w jednym z salonów dolnych hotelu; słuchaj mnie z uwagą; odrywasz mnie od moich przywyknień, wyprowadzasz za próg domu, rzecz to bardzo ważna! Mogęż ufać twoim doniesieniom?

—Przysięgam panu hrabiemu, że doniesienie moje na zupełną wiarę zasługuje. Proszę iść za mną z zamkniętymi oczyma. Śpiewak sabaudczyk Wincenty, sześć dni szukał domu pani hrabinéj; nareszcie piosenką odkrył go *w ulicy Thiers N. 19*. Podejście moje powiodło się. Tege ranka, z rozkazu pańskiego nająłem w tejże ulicy N. 18, oddzielony od 19, ogrodem tylko i uliczką wiazową, odzwiernego odprawiłem z gratyfikacją; w ostatku, co lepiej nadewszystko, prześliznąłem się od drzewa do drzewa sunąc aż pod murek N. 19, i widziałem na moje oczy, poznałem doskonale panią hrabinę, w chwili gdy otwierała ostrożnie okno, chcąc spojrzeć na pola: możnaż żądać pewniejszych doniesień?

—Widzisz Walenty, chcę nim wyjdę z domu, być pewnym, zupełnie pewnym swego— wejdź do mojego gabinetu i przynieś mi szkatułkę, którą onegdaj przy tobie otwierałem.

—Zaraz, panie hrabio.

Walenty wypełnił polecenie i przyniósł żądany relikwiarz.

Hrabia dobył z niego portret, i ukazując go Walentemu przy świetle wiązki świec, zapytał: kto to jest?

—Na pierwszy rzut oka, podobniusienskie, jak dwie lilje. To pani hrabina.

—Sądziś więc Walenty, że to jest portret osoby, którą zrana widziałeś?

—Przecież, niema na świecie dwóch takich twarzy!... tylko... pani hrabina inaczej teraz ubrana...

—Dość, otwieraj drzwi Walenty i prowadź mnie.

Hrabia włożył kapelusz myśliwski, portret wziął pod pachę i przeszedł przez sieni. Walenty otworzył drzwi, ale krzyknął z podziwienia; bo ktoś przez nie wszedł do środka. Był to Andrzej Chenier.

—Hrabia wychodzisz? spytał cofając się nazad.

—Wychodzę! ja! odparł hrabia nie zmiészany, przechadzałem się po sieni, oczekując gości. Usłyszeliśmy chód w ulicy pustej, a Walenty odgadł ciebie.

—Wszak przyjmujesz co czwartki?— spytał Chenier.

—I dla tego właśnie zgadliśmy cię, gdyż nadchodził, rzekł hrabia śmiejąc się, a że to dziś jeden z moich czwartków, przyjmuję w żółtej sali... Chodź, chodź, kochany poeto... Walenty, przysuń-że krzesło P. Chenier, a potem idź sobie do swego zajęcia... No! Chenier, nie pytam cię co nowego? nigdy w ten sposób nie zapytuję teraz,— ale co tam słyhać starego? Wiesz, że nie wychodzimy z r. 1788.

—Nic nie wiem kochany hrabio, żyję jak wy tu, w pustyni, nie obawiaj się, nie ci nie powiem... Od was to chciałbym się czegoś nauczyć?

—Ode mnie? o! kochany poeto, nie żądaj tylko, żebym cię uczył poezji!

—Kochany Pressy— ty masz w rękę jedną z tajemnic mojego życia.

—O! jakże to mówisz poważnie... no, pomówmy więc jeśli chcesz, o tej tajemnicy.

—Od ostatniego widzenia się naszego, zastanowiłem się

lepiej, jestem pewny, że znasz tę, która pisała list pokazywany ci przezemnie.

—Zkąd-że to wnosisz? rzekł hrabia z uśmiechem.

—W przeszły czwartek zdradziło cię wzruszenie, zdradza cię ono dziś znowu; pomimo arystokratycznego wdzięku twych rysów, czytam w nich, że ją znasz.

Hrabia przechylił od niechcenia głowę na poręcz krzesła, założył nogi, i prawą ręką gładząc się po brodzie:

—Zawsześ poetą, rzekł, wyobraźnia cię uwodzi. Ja nigdy wzruszyć się nie daję. Znasz godło rodziny de Pressy?

—Nie, odparł Chenier ponurym głosem.

—No, zawołał hrabia zdejmując z palca swój sygnetyk, patrz kochany poeto, to herb mój i godło: łacina nie wysmieniła może, ale tém zrozumiała. Andrzej wziął pierścień, jakby przez grzeczność tylko, i zwrócił z miną człowieka, który prosiłby o wyjaśnienie.

—Kochany poeto, niewiele się rozumiesz na heraldyce, widać to: mam w polu lazurówym, złocistą ryse z tém godłem: *Ad omnia paratus*: to jest: gotów na wszystko. Dosyć mi rzucić okiem na ten pierścień, by poškromić w sobie wszelkie wzruszenie, jeśli by mi się na nie zbiegało. Godło to jest hasłem mojej rodziny, głosem ojców moich. Słucham go i jestem mu posłuszny.

Chenier przybrał postawę skromną, ale poważną; oko jego, burzliwe zzieleniałe, błysnęło płomieniem; szerokie czoło zmarszczyło się jak u starca, i rzekł:

—Hrabio de Pressy, spójrz więc, na godło rodziny swjej. Ta kobieta, której mówisz że nieznasz, jest w niebezpieczeństwie— życie jej zagrożone.

Hrabia rzucił się i powstał mimowolnie, a w tém na podłogę upadł portret, który trzymał dotąd pod ręką. Chenier schylił się i zawołał: to ona! to ona!

Pan de Pressy energicznie starał się okazać spokojnym, i rzekł podnosząc portret:

—Ha! jeśli ta pani jest w niebezpieczeństwie, toś ją powinien ratować. Po cóżeś tu przyszedł panie Chenier?

—Dawiesz się o tém panie de Pressy, zawołał poeta najżywym opanowany wzruszeniem; tu, u ciebie muszę znaleźć wiadomości potrzebne mi, po nie przyszedłem. Oto kartka, którą odebrałem; bez podpisu, bez adresu, jak zawsze. Słuchaj hrabio:— «Ostatnie to wyrazy odbierasz ode mnie. Obrałam była sobie schronienie, z którego mogłam czuwać nad tobą; ale przytułek ten odkryto, zostałam zdradzona. Dziś rano, podkradł się ktoś zastaniając drzewami pod mur mojego ogródka. Wczoraj nieostróżnie pokazałam się w oknie, od strony gościńca. Musiał tam być szpieg nieprzyjaciół moich, wysłaniec ich przebrany za wędrownego śpiewaka, który poznawszy mnie, nie umiał pokryć swęj radości. Nie dodaję reszty szczegółów. Kartka ta będzie ostatnim dowodem żywego współczucia, jakie dla pana czuję. Przyszłej nocy, obawiam się najgorszego;— szczęściem w epoce naszej, kobiety także umierać umieją.»

—No, kochany Andrzeju, rzekł hrabia z lekkim uśmiechem, po przeczytaniu téj kartki, jestem wielce uspokojony.

—Jak to? kartka ta uspokaja cię panie hrabio o los kobiety, która cię obchodzi?

—Tak jest.

—I myślisz, że twoje, tak, spokojnie wyrzeczone, uspokaja mnie! Nie myślisz-że nic mi więcej powiedzieć, nic objaśnić?

—Kochany poeto, znajduję cię, doprawdy bardzo dzi-

wnym. A tyż mi się objaśniasz? Mów do mnie otwarcie, odpowiem ci po szlachecku.

—Niestety! Hrabio nic ci powiedzieć nie mogę, ty sam wiesz wszystko!

—Jak poznałeś tę kobietę?

—Ja jęj nie znam.

—Nie znasz kobiety, która do ciebie pisuje foljanty!

—Nie znam, przysięgam ci to na popioły matki mojej.

—I nie mówiłeś z nią nigdy?

—Nigdy.

—Aleś ją widzieć musiał, poznałeś przecie jęj portret?

—Widziałem ją dwa razy, ale zdaleka, bardzo zdaleka.

—Wierzę ci, Chenier, wiem żeś szczerzy. Otoż, mogę cię uspokoić zupełnie, kobieta o której mowa, przeleżała się daremnie, przysięgam ci, że żadne nie grozi jęj niebezpieczeństwo.

—Jakże wiesz o tém, hrabio de Pressy?

—Przekonam cię, zaczekaj chwilę tylko.

Hrabia zadzwonił, i w chwilę potem, drzwi salonu otwały się, wszedł Walenty.

—Walenty, rzekł hrabia, posłuchasz kartki, którą pisała kobieta pewna, a potem odpowiesz na pytania, jakie ci zada pan Chenier. Ja do waszj rozmowy się nie mieszam.

Hrabia spart się o komin i począł patrzeć w zwierciadło.

Gdy kartkę przeczytano, Walenty w następnych słowach wytłómaczył się:

—Osoba, która to pisała, nie ulega żadnemu niebezpieczeństwu, ręczę panu honorem starego majtka. Może spać spokojnie nocy dzisiejszj, pomimo owych dwóch szpiegów, których widziała, nie straszne to dla nięj szpiegi.

—Widzisz kochany poeto, rzekł hrabia, zdaje mi się, że się nie mógł namówić z Walentym.

—Doprawdy, przerwał Chenier, wszystko to zadziwia mnie, durzy. Widzę po uspokojeniu twém, że nie jęć w istocie grozić nie może.

—Ale zagrażałoby,— rzekł hrabia tajemniczo,— gdybyśmy tu dłużej o tém mówili.

—Wyprawiasz mnie panie hrabio?

—Wyprawiam, ale po przyjacielsku, zrozumiej mnie proszę.

—Jednakże pozbywasz się zawsze. Będę teraz wiedział, hrabio, jak przyjmujesz przyjaciół we czwartki!

—Kochany poeto, myślisz się nadać na mnie? Godzi się tak brać rzeczy? Nie należyż sobie wzajemnie w teraźniejszych czasach wiele wybaczać? No, porozumiejmy się. Rozporządzamyż my dzisiaj wolą naszą, otwartością, grzecznością nawet? Wszystko przewrócone. Nie jesteśmy panami cnót, ani występków naszych. Jest w powietrzu coś panującego, co nas zmienia w automaty i wiąże nasze naturalne ruchy. Widzisz Andrzeju, że umiem mówić rozumnie, gdy tego potrzeba.

Hrabia wymówił to głosem dziwnie łagodnym, któremu towarzyszył wzrok pełen uczucia. Chenier wstał, podał rękę hrabiemu i rzekł:

—Dopełniłem obowiązku. Jeśli się jakie przytrafi nieszczęście, sumienie przynajmniej nic mi wyrzucać nie będzie.

—Do widzenia, kochany Andrzeju,— rzekł hrabia ściskając dłoń podaną sobie,— teraz, przyjmuję codziennie i we wszystkich salonach moich. Walenty, poświęć panu Chenier w korytarzu i zamknij drzwi hotelu jak najpilniej,

czasem bywasz nieuważny. Odważnym być można i ostróżnym razem.

Andrzej wyszedł, i drzwi się za nim zamknęły; ale ostatnie słowa hrabiego do Walentego były zbyt wyszukane i nie zręczne; przez to dał się domyśleć, że wyjdzie wkrótce. Zresztą, już wchodząc, Andrzej uważał po ubiorze hrabiego, po jego zakłopotaniu, że musiał mieć zamiar nocnej wycieczki. Była to zręczność wyborna, której nie mógł opuścić.

Noc ciemna okrywała ulice; rewerberzy, urządzone za Ludwika XVI w r. 1786, jak świadczą medale, w prestantkach, oświecały je słabo, powiększając jeszcze ciemności. Andrzej stanął w rogu uliczki nie daleko hotelu de Pressy, i czekał na to, co nie ochybnie musiało się przytrafić, na wyjście hrabiego.

W kwadrans potem, pan de Pressy z Walentym wyszedł i w górę ulicą się posunął. Andrzej za nim postępował po nad domami na palcach idąc za temi dwoma ludźmi, którzy mu w tej chwili cały świat zaludniali.

Szedł śladem, z oczyma wlepionemi w czarne ich cienie, wstrzymując oddech, i szukając stopami, ulic opuszczonych, trawy, która je zarastała. Szedł niemi aż do ulicy wiodącej do swego domu właśnie, i ujrzał zatrzymujących się przed sztachetami, otwierających bramkę, wchodzących do jednego z ogródków.

Okropna rozpacz porwała poetę. Tajemnica była odkryta. Hrabia szedł na schadzkę w umówione miejsce, nie było wątpliwości o tém, kto na niego oczekiwał w tym odosobnionym domku: pan de Pressy był jej kochankiem!

Kobieta tak wzniosła, serce tak piękne, nagle w oczach jego splamione zostały intrygą pospolitą, mającą za świadka sługę! Myśl ta głowę mu rozsadzała.

—Będę całą noc stał u tego domu, rzekł w sobie, a jutro światło dzienne natchnie mnie jakim postanowieniem zbawienném! Ale nogi mu osłabły; i usiadł na jednym z pagórków trawą okrytych, które otaczają wielkie gościńce, jak znużony podróżny.

---

## IX.

### Wyznanie niespodziane.

Niema straszniejszych boleści nad te, którym imienia nawet dać nie można, bo ich brak w słowniku cierpiącej ludzkości. Zazdrość jest pospolitém uczuciem, córką miłości własnej; powściągniona do pewnego stopnia, wspólna wszystkim prawie organizacyom, musi mieć nawet pewien jakiś urok drażniący, gdy tyle istot życie całe spędza na zazdrości i żyć z nią może wysmienicie; lecz gdy ten szatan domowy kłótni codziennych, zmieni się w sępa prometeuszowskiego, gdy zamiast drasnąć skórę, wyżera wątrobę, o! niema naówczas nazwiska na to uczucie, na tę śmierć żywą; nie jest to zazdrość, lecz piekło!

Ta boleść nieznośna obejmowała w téj chwili Andrzeja Chenier. Od czasu wielkiego poety Prometeusza, wszyscy co ognia niebieskiego zachwycić chcieli, musieli w godzinie życia odbyć wiek Kaukazu. Andrzej ujrzał hrabiego de Pressy znikającego w cieniach nocy i drzew, usłyszał łoskot drzwi ostrożnie zamykanych, a oczy jego starały się przez sztachety schwycić promyk światła wewnętrznego z okien domu; ale nic nie błyskało z przodu, nie słychać nie było, a ucho chwytające niby szepty głosów ludzkich, poznawało w nich zaraz szum wiatru



nocnego, poruszającego liśćmi, i w przestankach odzywający się w ulicach ogrodu.

Nie trzeba mu było jednak słyszeć, by wszystko wiedzieć, czuć i cierpieć. W podobnym zbiegu okoliczności, któżby mógł jeszcze wątpić nawet? Chwilami, przystępy szału ogarniały głowę jego, zbliżał się do sztachet, chcąc przstraszyć kochanków niespodzianym głosem wielkim, jaki się czasem z głębi ciszy puszcza odzywa i śmiertelną bladością wszystkie ośłania twarze.

Godziny płynęły, jeśli godzinami zwać można, te wieki przetrwane w boleściach namiętnych. Słabe opalowe światelko ukazywało się nad wierzchołkami drzew, i kilka gwiazd rozsianych na ciemnym niebie, bladnąc zaczęły przy świetle jutrzeńki. W tej chwili, która już nocą nie jest, a nie jest jeszcze świtem, Andrzej usłyszał bardzo wyraźnie zamykanie drzwi i chód w ogrodzie; ktoś szedł ze środka ku bramce. Chenier ukrył się za krzakiem głogu przy sztachetach rosnącym, a serce jego tak gwałtownie bić zaczęło, że tylko co nie stracił następującej rozmowy:

—Spażesz ty trochę Walenty?

—Niewiele panie hrabio.

—I ja także spać będę pewnie cały ranek, obudzisz mnie o dwónastój dopiero... Co za noc Walenty!

Dwaj rozmawiający przeszli, i minawszy gościniec, znikli w ciemnych głębiach ulicy Thiers.

Andrzej wyszedł ze swego schronienia i odezwał się z uśmiechem potępieńca: tak, słyszałem wyraźnie, zawołał głośno, wykrzyknął zwycięzko z poetą łacińskim: *Qualis nox, dii deaeque!*— a ja żyję jeszcze, choć to słyszał!

Posępne i szalone myśli zajęchały w głowę; obłąkanie

w nim mówiło i natchnęło najdziksze monologi, po których najdziwniejsze nastąpić miały czynności.

—Tak! miałbym w takiej chwili rozmyślać jeszcze! Rozwaga jest cnotą epok spokoju. Biorą bastylle szturmem, wyłamują drzwi pałaców, zalewają tłumami Wersal i Tuileries, a ja bym się miał wstrzymywać, szanując parkan ogrodu!

Murek był niski, Andrzej go przelaź z łatwością i upadł na drugą stronę. Brzask dnia oświecił ogród.

Poeta drżał jak winowajca w chwili, gdy ma spełnić zbrodnię, i poczynął pojmować, że łatwiej wpaść do ogrodu królewskiego, niż przeleźć płot podwórka, w którym mieszka kobieta; nie byłby może cofnął się od Bastylli w chwili szturm, zawahał się przed drzwiami od ganku: nigdy drzwi żadne mocniej zamknięte mu się nie wydały. Widać było sień i wschody wiodące do pokojów na górze. Nikt ich nie strzegł, drzwi otwarte na wciąż przerażały tem opuszczeniem obojętnem.

Po rozwadze, Andrzej przypuścił, że te podwoje roztwarte zostały przez roztargnienie, przez nieuwagę hrabiego.

—Ale, rzekł w sobie potem, sługa jego Walenty nie miał takich powodów roztargnienia, jak pan jego, po bezsenności całonocnej.

Czekał wschodu słońca w ganku; blask jego dodaje odwagi i zmienia wahanie się nocne w stanowcze zamiary.

Z pierwszym jego promieniem, Andrzej wszedł do sieni. Nogi mu jednak chwiały się jeszcze. Zobaczył w prawo salon otwarty, i wszedł. W przedmiotach tu znajdujących się, wszystko wskazywało, że go zamieszkiwała kobieta. Konsolle, gierydony, krzesła, okryte były świetniami, a wdzięcznemi fraszkami właściwemi niewieście.

Ale w wazach Japońskich kwiaty były powiędte, choć obok ogród rozkwitał bzami i różami wiosennemi. — To nic nie dowodzi, rzekł w sobie, w terażniejszych czasach kobieta, szczególnież ona, nie myśli o codziennem odnawianiu kwiatów.

Dzień coraz był większy, żadnego przecie nie słychać było szelestu, żaden sługa się nie ukazał. Milczenie to miało w sobie coś straszego. W około ogrodu, pola dźwięczały wesółemi odgłosami wiosny.

Ciekawość nieprzełamana ciągnęła dalej poetę; stanął nogą na pierwszym stopniu wschodów, a że pierwszy krok tylko trudny, wszedł do górnych pokojów. Czworko drzwi w prawo i lewo znalazł otwartych w korytarzu silnie oświeconym dnia blaskiem. Co chwila lękał się spotkania sługi, myśl ta przerażała go i radziła się cofnąć, nim by się na scenę nieprzyjemną naraził.

Ale nikt się nie ukazywał. Andrzej odważył się wejść do jednego pokoju, i znalazł w nim sprząty w nieładzie, a kwiaty jak na dole, oddawna powiędte. Przegląd trwał dalej, wszędzie pustka, niezamieszkanie, cisza.

Andrzej przestał się skradać i wystrzegać, szedł głośno, mówił do siebie, zamykał drzwi hałaśnie; wyzywał ludzi, żeby się pokazali... Głuche milczenie. Poeta ręce założył, głowę na piersi spuścił — myślał.

Ale daremnie dumął, nic nie umiał wywnioskować. Jeden tylko zamiar przyszedł mu do głowy i zaraz się go chwycił.

Hrabia de Pressy rozkazał Walentemu wejść do siebie o południu. Andrzej przygotował plan napaści, i z pustego domu powrócił do siebie spocząć trochę, a doczekawszy godziny stosownej, udał się pustemi zaułkami do pana de Pressy.

Hrabia kończył się ubierać po pańsku, gdy Walenty oznajmił pana Chenier.

—Kochany hrabio, rzekł poeta, mówiłeś mi wczoraj, że przyjmujesz co dzień, korzystam z twój gościnności. Zresztą mam powód dzisiaj naprzykrzać się odwiedzina-  
mi. Spędziłem noc w śmiertelnej trwodze, zgadujesz pan z jakiego powodu.

—Chenier, rzekł hrabia bardzo naturalnie—jesteś poe-  
tą, to jest dzieckiem. Nie mówił-żem ci wczoraj, że ko-  
bieta, która cię zajmuje, nie podlega żadnemu niebezpie-  
czeństwu? Czy wierzysz memu szlacheckiemu słowu?

—Wierzę, kochany hrabio; lecz pozwól, że możesz—  
w najlepszej wierze mylić się, a gdy chodzi o życie i cześć  
kobiety, potrzeba...

—Potrzeba, potrzeba,—przerwał hrabia—wierzyć sło-  
wu de Pressy.

—Znasz hrabio największy błąd, w jaki zwykle wpa-  
dają ludzie większego świata?

—Nie, poeto, obaczmy ten błąd, proszę cię.

—Tym błędem jest mniemanie, że poeci są głupcami.

—Tegom nie mówił, kochany Andrzeju.

—Nie mówi się to nigdy, ale się myśli ciągle.

—No, ale o cóż ci idzie? Co znaczy ten epigrammat na  
ludzi wielkiego świata?

—Idzie mi o to hrabio... że jesteś w najzupełniejszym  
błędzie sądząc i mówiąc, że ta kobieta dzisiejszej nocy  
nie była w niebezpieczeństwie.

—Kochany Andrzeju, choćbyś mnie miał drugi raz przy-  
bić epigrammatem, powtórzę ci żeś poeta.

—Kochany hrabio, poeci widzą to, co inni ludzie, a  
w dodatku często i to czego nikt nie widzi.

—Mają czworo oczów, rzecz wiadoma—kończ.

—Kończę. Wiem z najlepszego źródła, że ostatniej nocy dwóch ludzi wkradło się do domu na ulicy Thiers, zapewne w zamiarze nie najlepszym względem osoby, która nas obu obchodzi.

Andrzej wyrzekł to powolnie, a zielone oczy jego wlepiły się w hrabiego.

—A! wiesz o tém! rzekł hrabia głosem pozornie niewzruszonym, mogącym pospolitego człowieka omamić.

—Tak, kochany hrabio, wiem o tém, a nawet honorem zapewniam, że to co wiem jest jedyną prawdą.

—A ja, kochany Chenier, stoję przy tém, co mówię.

—Łatwo mi jednak będzie dowieść, hrabio de Pressy, że dom pod N. 18, w ulicy Thiers, zeszłej nocy napadnięty był przez dwóch ludzi, którzy o świcie dopiero go opuścili. Wychodząc jeden z nich rzekł do drugiego...

—Co za noc!— Człowiek ten kto był, niewiadomo.

—A! człowiek co się z tém odezwał nie jest wiadomy!— rzekł hrabia z najwspanialszą flegmą.

—Tak, ale mi przyrzeczono wyjawić imię jego, gdy go dójda.

—Cóż myślisz uczynić, gdy się go dowiesz?

—Będę strzegł tej kobiety od nocnych zasadzek.

—Kochany Andrzeju, nie mogę zrozumieć tego, co mi mówisz.

—Ale mnie już nie nazywasz poetą?

—Jesteś nim przecie więcej niż kiedykolwiek. Czoło twe okrywają chmury, a mówisz jak wyrocznia Kumejska.

—Hrabio de Pressy, pozwolisz mi odłonić te chmury?

—A! jeśli ci się podoba, nie uważaj na mnie, proszę...

—Chcesz wiedzieć nazwisko tego nieznajomego.

— Bardzohym rad je wiedzieć, choć to dla mnie rzecz obojętna.

— Przebaczysz mi co powiem?

— Wszystko a wszystko... któż był ten nieznamy?

— Był to hrabia de Pressy.

— Ja? rzekł hrabia śmiejąc się z przymusem.

— Tak, pan, wiész to lepiej odemnie.

— Słowo honoru, kochany Andrzeju, nie wiem na jakęs dziś, chodząc po ulicy Thiers, nastąpił trawę!

— A jeśli o słowie honoru mowa, przysiąż, że co mówię jest fałszem.

— O! o! we własnym domu przychodzisz mi dyktować prawa! Doprawdy, nadużywasz swobód 89 roku.

— Hrabio, wykręcasz się.

— Tak! wykręcam się! cóż z tego? nie jestem panem w domu? A kiedy mi się podoba wykręcać?

— Żartujesz nader przyjemnie hrabio, ale przyjdzie chwila, że z żartów wyjdziemy na serjo.

— Chyba gdy mnie jako arystokratę każesz uwiezić? Cemu nie, panie Chenier? nie uważasz, że od pół godziny przemawiasz do mnie w sposób najnieprzyzwoicięj zaczepny.

— Hrabio, zbijasz się z drogi. Mówiliśmy bardzo łągodnie i przyjaźnie. Ja swoje, pan swoje utrzymywałeś: samęs mnie zachęcił, a gdym cię przyparł do muru za własnym twém pozwoleniem, uśmiech skonał na ustach, i wejrzanie tve poczęło się mroczyć.

— A więc, tak było Andrzeju Chenier, tak, ja to ostatniej nocy wszedłem do tego domu: przyznaję, dość ci tego?

— Nie ze wszystkiém.

— Wymagasz wiele.

— Mam do tego prawo.

— Obaczmy jakie?

— Hrabio, ja tę kobietę kocham.

Hrabia de Pressy ogromnym, homerycznym niepohamowanym, potężnym rozśmiał się śmiechem; śmiech taki miścić się tylko może w arystokratycznej piersi, do której przeszedł spadkiem od bohaterów Illjady.

Chenier zdziwiony patrzył osłupiałym wzrokiem na ten wybuch wesołości przechodzący różne koleje, i czekał na próżno by się skończył.

— Kochasz tę kobietę? zawołał hrabia.

I powolnie śmiał się jeszcze, ale uśmiech już gasnął na jego ustach.

— I cóż hrabio, odparł Chenier z miną naiwnie dziecianną, często poecie właściwą— cóż zresztą w tém dziwnego? Zdaje mi się, że w wieku moim kochać się można. Zmusiłeś mnie do wyznania, uczyniłem ci je; tak jest, kocham ją.

— Chenier, niemasz jeszcze pojęcia, jak mi się to wyznanie gwałtownie śmieszném wydawać musi; nie równie komicznego chyba w komedyi Goldoniego, tłumaczenia Cailhava.. Znasz tę komedję pod tytułem:— *Nieostróżny Kochanek*. Znasz ją?

— Nie.

— Ale znasz-li przynajmniej tę kobietę którą kochasz?

— Hrabio, mówiłem ci to wczoraj jeszcze, nie znam jej.

— Ta kobieta, kochany poeto, jest — żoną moją!

## X.

### Gotuje się prawo o podejrzanych.

Na tę piorunującą wiadomość, że śmiechem wyrzeczoną, Andrzej Chenier, znalazł się w położeniu doskonale opisa-

ném przez przodka swego Owidjusza—położeniu człowieka w którego grom uderzył: żyje on, ale życia nie czuje.

*Fulmine tactus,  
Vivit et est vitae nescius ipse suae.*

Gdy obłok krwi oblewający jego czoło rozszedł się, mowa mu wróciła, i odezwał się głosem stłumionym:

—Hrabio, wyrzekłeś słowo, które rozmowę zabija i związki rozrywa. Bądź zdrów—bądź zdrów hrabio de Pressy!

Posunął się ku drzwiom, ale na głos hrabiego dwakroć go wzywający, odwrócił głowę.

—Chenier, Chenier gorzej niż poeta, jesteś dziecko, bądź przecie człowiekiem. Cóż znowu! Chcesz zerwać stosunki ze mną dla tego, że kochasz się w mojej żonie? Gdybym ja to uczynił, miałbym powód przynajmniej, ale ty, nie masz prawa! nie przyznaję ci go!

—Hrabio de Pressy,—rzekł Chenier odwracając się na jedną nodze,—nie obrażaj się moją otwartością.

—Nie obawiaj się, mów.

—Nie mam dla ciebie ani nienawiści, ani wstrętu, przeciwnie;—ale zmuszony jestem wyjść bo w tej chwili ohydny mi się wydajesz.

—Z powodu żeś mężem mojej żony? spytał hrabia z uśmiechem. W istocie wyznajesz to z dziwną otwartością! Bądź zdrów Chenier—i dodał ciszej—Otoż to poeta!

Walenty, przechadzający się po sieni, nie chciał wypuścić Chenier'a drzwiami od ulicy; przeprowadził go przez ogród i otworzył mu fórtkę na pole; poeta dał się ślepo prowadzić, nie mówiąc, a Walenty odezwał się do niego.

—Trzeba być ostróżniejszym niż kiedy—wiadomo panu dla czego.



Chenier nic nie odpowiedział, Walenty dodał:

— Nie wiesz pan czemu?

— Nie, odparł Chenier machinalnie.

— Bo dziś rano odebraliśmy bardzo nie dobre nowiny z Paryża. Zdaje się, że to pana niewiele obchodzi—jednakże .. pan wie o czém mówię?

— Nie! powtórzył poeta jak automat Vaucanson'a, jedno słówko wciąż tylko mówiący.

— A! nie wiesz pan! no! otoż, ma zapisać postanowienie względem...

— Dziękuję ci Walenty! przerwał Chenier sucho i rzucił się w pole, zostawując sługę ogłupiałym ze zdziwienia.

Andrzej szedł długo bez celu, nim pomyślał o kierunku drogi; kilka godzin upłynęły nim trafił do domu, którego nie szukał. Roucher przechadzał się po ogrodzie; pośpieszył naprzeciw przyjaciela z radością dziecka, które otrzymało nagrodę i zawołał.

— Kochany Andrzej, zrobiłem najpiękniejsze w świecie odkrycie, mrę z niecierpliwości, żeby się niem z tobą podzielić.

Andrzej, który w myśli miał jedno tylko odkrycie, zadrżał, ścisnął za ręce przyjaciela, i badał go wzrokiem.

— Odkryłem nareszcie dwa wiersze literalnie przetłómaczone, a właśnie tłumaczem ich jest pan de Voltaire w Henrjadzie,—sam o tém nie wiedział jak je przetłóżył. Nie dziwi to cię Andrzej?

— Tak, rzekł Andrzej obojętnie, jak gdyby mówił nie.

— Mało to cię zdaje się dziwić.

— Owszem wielce mnie to dziwi.

— Dwa te wiersze łacińskie są Vid'y... Uważaj tylko dobrze ich znaczenie.

— Uważam.

— Słuchaj:

*Turba sacerdotum, pede, fortunata, quieto  
Emilios calcat cineres tumulosque Catonum.*

— Prawda! wyśmienicie! rzekł Andrzej chcąc odejść.

— Jak to? wyśmienicie! zawołał Roucher wstrzymując go, ależ nie słyszałeś tłumaczenia pana de Voltaire?

— A tak! tłumaczenia!

— Oto jest:

*Des prêtres fortunés foulent d'un pied tranquille,  
Les tombeaux des Catons, et les cendres d'Emile.*

— Prześlicznie przetłumaczone! odparł Andrzej wyrwijąc się z rąk przyjaciela.

— Prawda że dobrze, kochany Andrzeju?

— Bardzo dobrze!

— I dosłownie.

— Dosłownie ... ale mój Roucher, mam tam robotę zaczęłą na górze — zobaczemy się wieczorem; muszę cię porzucić.

— Alboż już będąc ze mną, nie czujesz się jakby sam, Andrzeju?

— Tak, Roucher, — zawsześmy jednym we dwojgu ty i ja, ale dziś mam coś...

— A! rozumiem Chenier.. rozumiem... W istocie, to okropne.

— Co okropne?

— To co cię zajmuje.

— A! więc wiesz?

— Boże mój, wszak to wszyscy wiedzą!

— Jak to Roucher? wszyscy wiedzą już o tém?

— Kiedy już i gazety o tém piszą!

— Co ty mówisz? A! zgaduję, to musi być zemsta Brissol'a?.

— I wielu innych Andrzej!

— To cios ostatni, cios najsroźszy, dobijający, Roucher, przyjacielu? A imie kobiety czy także wymieniają pisma publiczne?

— Jakić kobiety?

— Hrabinej de Pressy.

— Co za hrabinej? zawołał Roucher robiąc wielkie oczy.

— O nić niema mowy! A! chwala Bogu!

— Zdaje mi się Andrzej, że się nie rozumiemy, ja ci mówię, o wielkiej dzisiejszej nowinie..

— Właśnie i ja ci o nić mówię.

— O prawie na podejrzanych, które pan Robespierre ma ogłosić.

— To tylko to!

— Zdaje mi się, że bardzo dostateczne.

— To nic..

— Co sobie myślisz Andrzej? prawo na podejrzanych! prawo przeciwko mnie, przeciwko tobie, przeciwko przyjaciołom naszym, przeciwko pisarzom *Suplementów*! przeciwko stronnikom Żirondystów! Ty mówisz że to nic.

— Tak, nic.

— Ciagle swoje!

— Ale, mój kochany Roucher, zdawało mi się tylko co, żeśmy się zgodzali, bo ty sam zadumywałeś się nad łacińską Vidy poezją.

— To prawda, rzekł Roucher dobrodusznie. Ja także zapomniałem na chwilę o prawie na podejrzanych.

— Nie dziwuj się więc że i ja zapominam o niem.

— A propos Vidy, mój Chenier, czy ci się podoba ostatni wiersz poematu o Chrystusie?

— Cóżes ty znalazł w tym wierszu?

— Spondaiczny.

— Wielkie nieszczęście!

— Nie znasz może tego wiersza?

— Nie.

— No, to sądzić o nim nie możesz.

— Oczéwiście; nie sądzę też.

— Ten wiersz..

— Bądź zdrów, Roucher.

— Andrzej, nie chcesz słyszeć tego wiersza?

— Ha! mów go!

— Uważaj dwa spondeje u końca:

*Supremamque auram, ponens caput, expiravit.*

— Wiersz brzydki! Bądź zdrów Roucher.

Andrzej pobiegł ku domowi.

Roucher pozostawszy sam, dalej ciągnął monolog.

— Brzydki? Są to bardzo ostry, niesprawiedliwy nawet! bo dwa spondeje wyrażają bardzo dobrze dokonanie i oddech ostatni, lepiej niż daktyl i spondej ułożone według prawideł hexametru. Chenier się na tém nie poznał.

Szczęśliwy poeta!

Zbierzcie wszystkie księgi filozoficzne i wyciśnijcie z nich elixyr elektryczny nowój teorii, coby warta była takiej mądrości praktycznej! Co za szczytna wzgarda ludzi i rzeczy! Poeta *Miesiący*, uśmiechający się do wierszy, gdy wszystko w koło niego rozwała się i rozpada, większy jest od Plinjusza, który rozkazuje stérnikowi zawrócić do Pontonian'a, pod popioły wulkanu.

W téj chwili Andrzej Chenier, walczył z inną filozofją praktyczną, przeciwko burzy zewnętrznej, ludźmi miotającój. Gdy miłość uciekała z ziemi, a nienawiści potężne su-

szyły wszystkie kwiaty wiosny 93; wielki poeta kochał kobietę nieznaną, i na ciemnym horyzoncie widział przed sobą tylko tę tęczę jasną.

Dusza jego złamana boleścią, żądała od ciała trochy spoczynku, by się rzucić w pogoń uczucia, nie zważając na zasady polityczne i grożące prześladowania. Czém dla niego były straszliwe słydy z Paryża przyniesione!.. Cięższych tajemnic pragnął rozwiązania od siebie. Kto był ten hrabia de Pressy, zamknięty w swym pustym domu, i żyjący zdala od żony? Kto to była ta kobieta, opuszczona od męża, a poświęcająca się na anioła stróża poety? Co to był za dom ów, w którym hrabia przepędzał noce, w najczystszej samotności, zostawując po sobie nazajutrz drzwi pootwierane i uwiędłe kwiaty? Całe życie Andrzeja Chenier było w tych trzech zadaniach. Głupi byli ci, co w tej chwili gotowali prawo na podejrzanych! Ci prześladowcy nie mieli żon, nie znali miłości chyba!

Poeta skończył na postanowieniu pewniejszym, a gdy ciało spoczęło, dusza odzyskała swą siłę i działać była gotowa.

Gdy ostatnie błyski zmierzchu zagały, Andrzej wyszedł ze swego schronienia i udał się ku ulicy Thiers, pod N. 18. Nie była to godzina w której hrabia przybywał; można więc było nie lękając się spotkania, wniknąć powtórnie do ogrodu, znanymi już drogami. Noc sprzyjała śmiałości i niebezpieczeństw pełnemu przedsięwzięciu, bo poeta wiedział, że hrabia de Pressy, mimo swego wdzięcznego pańskiego rozrzepania, miał u boku szpadę, której w potrzebie heroicznie umiał używać.

Na ten raz Andrzej domek porzucił na lewo, i zwiedził kupkę drzew, chcąc wybrać w niej dobre stanowisko do nowych postrzeżeń.

Gdy rozpatrywał wszystkie zakątki małego ogródka, i przechodził ponad parkanem żelaznym, oddzielającym go od sąsiedniego, rzucił okiem nań i ujrzał kobietę, idącą zamyśloną, powolnie ku ulicy ocienionej, od strony sztachet i bramy.

Noc była ciemna, nie można było ufać własnym oczóm, oceniając przedmioty.

To też, pomimo roztargnienia, Chenier nie mógł się nie uśmiechnąć z siebie, i rzekł w duchu.

— O złudzenie miłości! wszędzie mi się widzi to czego szukam: jakżem głupi! zdaje mi się że w tej kobiecie widzę hrabinę de Pressy!

Jednak, gdy w braku rzeczywistości i marzenie nam drogie, a miło spojrzeć na obojętną kobietę, która nam ukochaną przypomina, poeta nasz sparł się na sztachetach, okrywając głowę swą liśćmi obfitemi w tej roku porze, i wstrzymując oddech, patrzył na przechadzającą się blisko piękną sąsiadkę.

Mimo ciemności jakie panowały pod sklepieniami zielonemi ogrodu, Andrzej rozpoznał postać, figurę, chód hrabinę, i pół-wiersz innego poety, jednego z przodków jego, na myśl mu przyszedł.

*Quis fallere possit amantem!*

O! nie myślę się, nie myślę! pomyślał w duchu, nie mogąc wykrzyknąć.

Uliczka, po której wieczorną odbywała przechadzkę kobieta, nie była długa; i w niewielkich przestankach, szła i wracała przed oczyma śledczemi, których błyski twarz jej oświecić pragnęły.

Przybycie drugiej kobiety na ulicę, wszelką zniszczyło wątpliwość. Nowo przychodząca była wyraźnie towarzyszką czy przyjaciółką hrabinę, a zresztą rozmowa poczęła

się zaraz po cichu, i jój urywki dolatujące uszów poety, zdradzały piękną nieznajomą.

Chenier usłyszał bardzo wyraźnie te słowa bez ciagu, ale znaczące, które w przechodzie go doszły ... Nikt się już w ... nieukazał—falszywy postrach, który.— tak, ten człowiek widziany w ogrodzie, był to starzec...— należy i śpiewaków się wystrzegać. Dom zmienia właścicieli— trzeba być bardzo ostróżnym.. gdzie się schronić zresztą, gdy.. jeśli pan Chenier niema...

Na to imię, które dotknęło uszów poety, ostatni poranek wyjaśnił się, jak gdyby słońce zajrzało w tę ciemność. Chenier całej mocy swój duszy wezwał w pomoc, dla oświecenia się i postanowienia czegoś..

W tejże chwili, łoskot drzwi zamykanych i chód po trawie cichy, doszły uszu jego. Dwóch ludzi wchodzili ostróżnie na ganek domu pustego. Nie było najmniejszej wątpliwości o tych nocnych przychodniach; hrabia de Pressy z Walentym poznani zostali; przybyli o tej godzinie co wczora.

Tak, tłumaczyło się wszystko;— jasność ze wszech stron spędzała tajemnice i ciemności. Dom pusty musiał się łączyć nieznanem przejściem z domem zamieszkanym. Małżonkowie, rozdzieleni zapewne rewolucyjnymi postrachy, łączyli się co wieczora przez stykające z sobą ogrody. Numer 18 był tylko ukrytém wejściem do 19.

Sztachety dzielące je, musiały mieć bramkę, której po nocy dójrzeć nie było można, a którą hrabia umiał otworzyć. Myśli te, logicznie wysnute z okoliczności, przebiegły błyskawicą po głowie Andrzeja.

Poeta ścisnął w rękę żelazny parkan konwulsyjnie, i oczekiwiał na dalsze odkrycia, jakich mu ta noc straszliwa dostarczyć miała.



## XI.

**B i a ł a K a r t a .**

Gdyby wszyscy młodzi ludzie tamtej epoki byli naówczas w położeniu Andrzeja Chenier, rok 93 nie byłby 93 rokiem.

Poetę dusiły dwa śmiertelne wzruszenia: nie wiedząc któremu się poddać, znosił oba razem, jak człowiek cohy konając od dwóch sztyletów, cierpiał dwie śmierci w jednej.

Była nadewszystko chwila nieznośna, chwila oczekiwana, gdy miał być świadkiem niemym otwarcia się tej tajemniczej bramki łączącej dwa ogrody. Człowiek, który się nie cofa przed tą ostateczną boleścią miłości, i czeka na nią odważny, nie może się już lękać żadnego nieszczęścia więcej—bo żadne nie przewyższy cierpienia, jakiego wówczas doświadczył.

Noc szła powolnie, nie sprowadzając żadnych nowych wypadków, w dramacie który odegrywali trzej oddaleni od siebie i nie wiedzący o sobie aktorowie. Poeta porównywał położenie swoje do stanowiska skazanego na śmierć, który w więzieniu, usłyszał bijącą godzinę ostatnią, a nie może się doczekać przybycia kata i stróży; śni mu się nadzieja przebaczenia, wśród zdziwionej niepewności jakę zrodziło opóźnienie śmierci.

Kobięta rozpoczęła była ze swą towarzyszką rozmowę przerywaną i rozszżytą, która wieczorem bywa jakby spistem rzeczy długiego dnia wypadków i myśli. Zatrzymała się, przechadzając niedaleko Andrzeja, i odezwała głosem cichym, ale wyraźnym.

—Niepodobna, mówię ci, żeby ten młody człowiek nie zajął się choć cokolwiek kobietą nieznaną, która ten list



pisaka. Ostatnia kartka moja, była przerażająca, jutro będę miała za obowiązek sobie, uspokoić go.

— Uspokoić go, listem który ma być napisany jutro? spytała druga kobieta.

— Tak jest.

— Więc pójdę zaraz jutro do Viroflay oznajmić o tém wiernemu posłańcowi twemu pani, Denisowi.

— I jak najranięj Aniela, jak najranięj; trzeba żeby go odebrał Chenier, przed południem.

— Tak jest, pani, bo pan Roucher, zawsze śpi jeszcze o téj godzinie.

— Wstaniesz więc, moja Aniela ze słońcem, a teraz odejdz sobie i spocznij, dobranoc.

— Pani mnie nie chce słuhać i lękam się dla nięj wilgoci wieczornęj..

— Dobra moja Aniela, czyż dziś kobiety czegokolwiek lękać się mogą?

— Pani ma zawsze słuszość.

Aniela wyszła z alei i znikła wkrótce; młoda kobieta poczęła przechadzać się znowu, chcąc sobie zapewne nagrodzić zamknięcie całodniowe.

Nowy niepokój dla Andrzeja!

Mysł, która go gwałtownie schwyciła, nie była rozsądną ani przyzwoitą, ale są chwile, w których umysł traci spokój, ten stér czynności, i zrzeka się rozumu a słuha ślepo instynktu.

Wydarł białą kartkę z małego Albumu, któremu powierzał natchnienia swęj muzy, napisał na nięj imię i nazwisko, a gdy młoda kobieta przeszła koło niego, wyciągnął rękę i upuścił papier na ulicę, na której białość jego odbiła się wyraziście i śrębrzysto w pośród gęstych cieni.

W téj chwili i biesiadnicy uczyły obywatelskięj, w licz-

bie dwóch tysięcy, schodzili ulicą Thiers, śpiewając hymn piękny Marji - Józefa Chenier. Ta burza potężna głosów, jakby wyzyw nieprzyjaciół zahuczała obok, a Andrzej jej nie usłyszał. Cała jego dusza przeszła w wejrzenie, wlepione w punkt jeden.

Te chwile stanowcze, które przynoszą z sobą objawienie czegoś nieznanego i losy całego życia, ciężą nad głową jak brzemie nieskończoności.

Kobięta zawróciła się ulicą, a każdy krok jej uderzał o pierś poety, zatrzymała się nagle, i odgłos głuchy westchnienia, dał się słyszeć wyraźnie wśród milczenia nocy.

Nie zawsze potrzeba zjawiska nagłego i straszliwego wśród ciemności smutnych, by duszę napełnić bojaźnią; najmniejsza drobnostka rozrywając, logikę wypadków codziennych, burzy umysł i rodzi przestrasz jak niebezpieczeństwo śmierci.

W powietrzu nie było powiewu: najłżejszy wiaterek nieporuszył lekkich drzew listków, a młoda kobięta ujrzała nagle u nóg swoich, coś straszego, odtrącającego rękę, która się ku niemu schylała. Łęklwym wzrokiem szybko obiegła do koła, i podjęła białą kartkę z ostrożnością i obawą z jaką się bierze rozżarzony węgiel. Mimo ciemności panującej pod drzewami, imię Andrzeja Chenier napisane wielkimi głoskami, dawało się czytać wyraźnie... kartka wyrwała się z jej rąk jakby je paliła; jakiś głos dziwny wyszedł z ust kobiety, a dwie jej ręce wyciągnęły się z podziwem ku gąszczu zielonej, której liśćmi zdawał się od kraty poruszać wiaterek, gdy reszta ogrodu leżała w ciszy spokojnej.

W téjże chwili usłyszała, głos wdzięczny mówiący jej:  
— *Czyż dzisiaj kobiety lękać się czego mogą?*

—Tak nie obawiają się niczego, odpowiedziała kobieta, zbliżając śmiało ku sztchetom i głosowi.

—Pani, rzekł poeta drżący, mówi do ciebie przyjaciel... Jestem Andrzej Chenier.

—To on! to on! zawołała kobieta, i ścisnęła podaną jej rękę.

—Niech będą błogostawione rewolucye— pani, mówił Chenier, winienem im ten popęd otwarty, tę szczerotę przyjaźni, którą w innych czasach odepchnęły by odemnie przyzwoitości. Ty pani i ja, spotykamy się pierwszy raz jak starzy przyjaciele...

—Bośmy też przyjaciele dawni, panie Chenier, odpowiedziała młoda kobieta— a dowodem żem pana poznała po głosie.

—Smutném by dla mnie było, pani, zniszczyć w niej złudzenie, które mnie w tej chwili takim szczęściem obdarza nie zasłużoném... ale muszę, sumiennie wyznać jej, że głos mój do dziś dnia znany być jej nie mógł.

—Nie panie, znam go od lat pięciu— poszukaj lepiej we wspomnieniach swoich.

—Daruj mi pani, że początek tej rozmowy, oddala to co mi najpilniej było ci powiedzieć; muszę pozostać wśród zakreślonego mi przez panię obwodu, choćbym miał do śmierci żałować tej drogiej chwili straconej... Wszystkie wspomnienia zatarła twoja przytomność, lecz gdybym miał być szczęście kiedy głos twój słyszeć, byłbym go musiał słyszeć ciągle, wyzywać nieustannie... Zresztą, pani, jeśli to złudzenie ma dla ciebie wdzięk jaki, zachowaj je życie całe, ja z niego uczynię sobie rzeczywistość.

—Powiedziałeś pan słusznie, że żyjemy w czasach w których niepewność jutra, uwalnia nas od starych towarzyskich prawideł przyzwoitości; mnie jednak wiele chodzi

o to bym mu dowiodła, żeśmy dawno znajomi; muszę więc zaraz uspokoić jego sumienie, któremu by trudno było, jakkolwiek bądź, zmyślenie moje przyjąć za rzeczywistość... Pięć lat temu, panie, przejeżdżałeś przez Prowancję, byłeś w hotelu de la Tour d'Aigues, w Aix. i...

—Tak! tak! zawołał Chenier wstrzymując wykrzyk radości, niebezpieczny z powodu sąsiedztwa. Daruj mi pani... Jesteś pani hrabiną Margaretą de G... Tak! poznałem cię niemogąc rozpoznać. Wrażenie drugie było dalszym ciągiem pierwszego... Pod skromnym jej strojem 93 roku, nic mi nie wskazywało świetnej hrabiny 88-go; ale urok wdzięku i blask piękności nie został zniszczony jak stroje nasze, wyziewem politycznego szatana, i po pięciu latach, wrócił mi w stroju pospolitym, ten typ idealny i boski, który każdy poeta ma w sobie i zachowuje jako marzenie czci swojej!

—Dziękuję panu, żeś w tych czasach pozostał wiernym dawnym nawykniom francuzkiej grzeczności... Cienie dworaków Wersalskich zadrżą z radości słysząc mowę twoją. Jednakże, racz rozmowę sprowadzić w tor na który ją rzucałam, jak pan mówisz, i wytłumacz mi tajemnicę znajdowania się pańskiego w tym ogrodzie?

—Pani, rzekł Chenier wahając się—Bóg świadkiem że mnie tu traf sprowadził.

—Panie Chenier, proszę pana, bądź szczerý jak szlachcic, kiedyś grzeczny jak dworak.

—Pani...

Głos poety uwiązał nagle na ustach, jakby mu język zdrewniał, ale ruchem gwałtownym, niepohamowanym i piorunowo wymownym, dokończył przerwaną mowę, i odepchnął hrabinę od ogrodowych sztachet.

Kobięta jak zraniona gazella odskoczyła i zgadu-

jąc po ruchu gwałtowności, grożące niebezpieczeństwo nieznanie, schroniła się w najciemniejszy zakąt zarośli.

O kilka kroków od Chenier'a była studnia do polewania, której otwór cały prawie okrywały rośliny bujne i zdziębate porastające rychło opuszczone miejsca. Poeta nie widząc innego nad to schronienia, nie wahał się, wsunął się, rozsuwając liście w ten niebezpieczny przytułek, i rozpierając silnie nogami i rękoma, uczepił na chropowatych ścianach wewnętrznych, a zawieszony nad przepaścią, czekał co los mu zeszele przez hrabiego de Pressy.

Domyślił się zapewne czytelnik, że odgłos kroków i rozmowy uderzył ucho Chenier'a, i że wypadek ten, łatwo mogący się przewidzieć, przerwał nagle rozmowę.

Hrabia a za nim Walenty, zeszli z ganku i pomimo ostrożności z jaką stąpali, poruszyli rozłamane schodów kamienie; szli potem zwolna ku sztachetom; zatrzymali się przy studni, śledząc i badając: hrabia ścisnął w rękę szpadę obnażoną z pochew, a postawa jego dumna, zdradzała silną wolę i odwagę.

Ciemność i milczenie panowały w obu ogrodach.

Walenty z rękoma na piersiach założonemi, z głową od niechcenia na ramię zwieszoną, szydersko jakoś, niedójrzanie śledził niebezpieczeństwo.

Nic nie widząc, ani mogąc dostyszeć, hrabia na kilka słów się odważył, umyślnie nawet był nieostrożnym w ten sposób, dla wywołania coby grozić mogło, bo mu nieznośnie dolegała bezużyteczna nieczynność.

— Walenty rzekł, rozumiem znaczenie twego milczenia: słucham twój myśli, no! jeszcze raz ręczę ci że mnie uszy nie omyliły... Któs tu rozmawiał... tu... w tém miejscu... jestem tego pewny.

—Jeśli pan hrabia pewny i ręczy, to naturalnie wierzyć muszę.

—Są tu pewne głosy odbicia w tym ogrodzie, które znam doskonale, rzekł hrabia: toż samo było w Trianon, bawiliśmy się tam często z królową i panią de Polignac. Mówiący po cichu, w nocy, przed sztachetami, słyszany był bardzo wyraźnie pod murami pałacu. Tu głos od szlachet tych idzie ulicą i odbija się od facjaty nagięj domku, i dla tego słyhać go dobrze, jeśli tam kto słyha. Mogę nawet zapewnić żem nie tylko głos słyszał, ale wyrazi: *marzenie czci mojej*... Rozumiesz; spodziewam się Walenty, że to mi się przyśnić nie mogło. Juściż drzewo nie-mogło gadać ze studnią o *marzeniu czci swojej*, a wyrazi te z nieba nie padły.

—A! panie hrabio, rzekł Walenty kłaniając się—pan mi to tak wytlómaczysz, że...

—Że nareście nic nie zrozumiesz.

—Choroba to być może panie hrabio.

—Przybyliśmy tu na zasadzkę, dla bronienia hrabinęj w przypadku jakiej napaści jakobińskięj. Teraz rola moja zmienia się, będę musiał się może bronić od jakiego niewieściucha Żyrodyn'a, który we dnie propaguje *umowę społeczną*, a nocą *sztukę kochania*.

—Tu, pan hrabia pozwoli mi się zaprotestować. Juściż pani hrabina nie słyhała by lada adwokata Żirondynów.

—Doskonale wiem co mówię, Walenty, a mówię głośno co wiem, bo mnie słyha ukryty w tych krzakach człowiek zapewne odważny, wyjdzie z nich, i znajdzie szpadę gotową złożyć się z nim; mamy nawet gotowy grobowiec dla ukrycia trupa... tę studnię.

—Musi być głęboka, bo bardzo ciasna—rzekł Walenty zbliżając się.

Hrabia wstrzymał go ruchem nagłym, i wskazał mu po za sztachetami sąsiedni ogródek.

W cieniach nocnych bliższej ulicy, przesunęła się w tej chwili postać ludzka, której chód poważny przypominał mary o jakich prawią podania ludu. Pan de Pressy zbliżył się ku sztachetom, i oczyma począł śledzić zjawiska, które znikło zaraz w czarnych zaroślach drzew i ukazało się znowu na brzegu najciemniejszym małego ogródka.

—Walenty, rzekł hrabia po cichu— czy ty wierzysz w duchy i mary?

—Nie, panie hrabio, jestem majtek, a na okrętach duchów niema. Dla tego w nie wierzyć nie mogę.

—No! cóż myślisz, o tém cośmy widzieli w drugim ogródku?

—Myślę panie hrabio, że to sobie naturalna kobiéta.

—A mógłbyś ją nazwać?

—Zdaje się panie hrabio.

—Prawda że omylić się niepodobna?

—Tak, boć to pani hrabina, jak ja jestem Walentym.

—Ona! ona! w najciemniejszą noc, serce by moje przez oczy ją poznało.

I hrabia umilkł, śledząc wszystkie ruchy wdzięcznej postaci.



## XII.

### Stryj i synowiec.

W wigilją tego dnia trwogi, znajdujemy w jednej z sal ratusza Wersalskiego, Klaudyusza Mouriez, rozmawiającego z młodym człowiekiem około dwudziestu-dwuletnim, którego twarz poważną napełnia wyraz głęboki i poczciwy.

Klaudysza Mouriez wizerunek cielesny już nam skręślił Walenty, a moralny wkrótce się nam przedstawi sam przez się.

—Adrjanie, bratanku, wołał Klaudysz Mouriez przechadzając się żywo— są różne rodzaje republikanów. Ty jesteś republikanin *de Viris illustribus*. Masz lat dwadzieścia i dwa, ja trzydzieści pięć; masz cnoty a ja namiętności; nie pragniesz nic, a ja chcę wszystkiego. Nasz republikanizm jest wcale różnego pochodzenia!

—Stryju kochany, różnica taka: ja chcę służyć rzeczpospolitój, a ty chcesz żeby ci ona na coś posłużyła.

—Powiedziano to ładnie, Adrjanie, aleś ty to wziął z jakiegoś Platona.

—Nie, z mego serca.

—Winszuję ci bratanku; ale czekaj, znajdziesz wkrótce w tém sercu cale co innego; jak się namiętności rozwiną i ty będziesz korzystał z rzeczpospolitój dla siebie.

—Nie obwiniaj mnie w przyszłości, stryju kochany, nie mogę bronić tego co jeszcze nie jest, bronię mojej terażniejszości.

—Mój Adrjanku, ty dla mnie zanadto jesteś rozumny i dowcipny. Usłuchaj mojej rady, wracaj do Calondos, do matki, która jako wdowa, potrzebuje co dzień widzieć swego jedynaka. Tam sobie zostaniesz republikaninem pó cichu, a twe cnoty spartańskie nie będą cierpieć od złego prowadzenia się sąsiadów. Jeśli chcesz mi służyć dalej za sekretarza, słuchaj mnie i czynności moich nie sądź. Sekretarz jest to rzecz sekreta zatrzymująca przy sobie, i walażąca papier za 1200 liwrow rocznie, nie więcej.

—Tak, ale ja jestem synowcem także: jestem synem brata twego, który zginął pod Fleurus; wiész to że pamięć ojca mojego winieneś wysoką godność nadzwyczajną,



którą zostałeś zaszczycony. Wszystko to daje mi prawo, odezwać się szczerze...

—A ty tego prawa nadużywasz, Adrjanie, wiesz że pomimo miny srogiej, jestem w gruncie dobry.

—Tak, stryju, gdy cię nie unosi namiętność, jesteś najlepszym z ludzi; ale cię namiętność unosi ciągle.

—Nawet teraz, gdy tak zimno rozumię i rozprawiam z tobą?

—Jako? jużes zapomniał rannego gniewu z powodu *ex*-hrabiniéj Margarety?

—No! a niemiałem sto razy racyi?

—I znowu rozpoczniemy, stryju!

—Rozpocznę sześćdziesiąt razy na godzinę, Adrjanie tyś dziecko, ja jestem mężczyzna. Znam rozciągłość obowiązków moich. Ta *ex*-hrabina jest zajadłą nieprzyjaciółką rzeczypospolitéj i spiskuje przeciwko rządowi.

—To ty śpikasz się na nią.

—Adrjanie! stajesz się zuchwałym.

—Ja tylko jeden mogę ci prawdę powiedzieć, szczęśliwszy jesteś od króla...

—Jeszcze dodaj że się kocham w téj kobiecie! no! gadaj!

Kiedyś to sam powiedział, ja już nie mam potrzeby mówić.

—Adrjanie, i ty mnie oto posądzasz?

—Nie posądzam, alem tego pewny.

—Wolę śmiać się z tych niedorzeczności Adrjanie, niżeli się za nie oburzać.

—Więc kochany stryju, nie prześladuj téj kobiety, a ja cofnę co powiedziałem.

—A obowiązki moje, Adrjanie, obowiązki?

—Obowiązkiem twym, stryju, jest być i okazywać się

uczciwym republikaninem, i budzić w drugich miłość rzeczpospolitej. Nie dawaj powodu rojalistom rzucenia na nas potwarzy; niech obyczaje twe będą surowe jak...

—A! to ty myślisz, Adrjanku, przerwał nagle Klaudyusz Mouriez, że mi w smak idą twoje kazania! a! zaprawdę, świat do góry nogami! synowcowie gdyrzą na stryjów! komedya moljerowska na wywrót! Dość tego, mój bratanku, wprowadź mi zaraz tego grajka o którego to poszło wszystko. Słuchaj mnie lub ruszaj sobie do Calvados.

—Wiesz kochany stryju, że ten biedak niewiedzieć za co został uwięziony.

—Ba! to wiem.

—To też nie myślę cię o tém uwiadamić; polecam go tylko twój ludzkości i sprawiedliwości.

—Zobaczymy... wprowadź.

Był to ów śpiewak uliczny, fałszywy Sabaudczyk Wincenty— wszedł blady jak trup.

Klaudyusz Mouriez usiadł, i przebijając w papierach, wysunął z nich arkusz, odzywając się do więźnia.

—Oto jest wywód twego uwięzienia, Wincenty. Zobaczemy jak się będziesz tłumaczył. Zatrzymano cię w ulicy Thiers, za śpiewanie piosenki zakazanej.— *Gdy mój kochany powróci...* Strzęsiono cię; znaleziono w kieszeniach kilka sztuk złota, zapytano z kąd pochodzą. Zmięszałeś się i odpowiedziałeś że ci je dał jakiś stary za odkrycie mieszkania pewnej kobiety; że po wielu poszukiwaniach daremnych, odkryłeś ją w ulicy Thiers. Czy to prawda?

—Tak jest, odparł Wincenty konającym głosem— jedna rzecz tylko fałszywa, bo nie śpiewałem: *Gdy mój kochany powróci*, to się im przystyszało.

—Zresztą, mniejsza oto...

—Jako mniejsza oto, przerwał Adrjan — szepcząc do

ucha stryjowi, owszem to najważniejsza, to jeśli nie śpiewał tój piosenki, policya nie miała go prawa zatrzymywać.

—Ja wiem co mówię Adrjanie... Słuchaj no Wincenty, a gadaj prawdę jeśli chcesz być wolny. Gdzie mieszka kobieta za którą dostałeś tyle złota?

—Mieszka w ulicy Thiers N-o 19.

—Znałeś ją zapewne, kiedyś jój szukał.

—A znałem.

—Gdzieżeś ją znał?

—Widywałem ją w oknie hotelu w ulicy Reservoir.

Klaudjusz Mouriez uśmiechnął się radośnie, a ruch ten nie uszedł oka młodego Adrjana.

—Wincenty, rzekł Mouriez głosem wzruszonym jeszcze— jeśliś prawdę powiedział, jutro będziesz wolny. Ustap— odprowadzą cię do więzienia.

Wincenty skłonił się i odszedł z rozjaśnioną twarzą.

—No, mój Adrjanku, rzekł Mouriez układając sobie postawę zimną, widzisz że'm sprawiedliwy i ludzki.

—Widzę tylko że'm zgadł— odparł Adrjan ponuro.

—A mógłżem go dziś uwolnić. Adrjanku, sam powiedz, szczerze.

—Nie o to chodzi mój stryju.

—No, a o cóż chodzi? spytał Mouriez z najniewinniejszém zdumieniem.

—Chodzi zawsze mój stryju, o ex-hrabinę Margarete. Los rzuca ci ją w ręce. Masz oto przed sobą tysiące aktów których nigdy nie czytasz, a przeczytałeś akt uwięzienia tego śpiewaka, bo cię osobiście obchodził. Widzisz że chodzi o kobietę którą prześladowałeś już w hotel de Grave, na ulicy Reservoir.

—Adrjanie, — rzekł z udaną powagą stryj, — słucham cię z pobłażaniem i dobrocią ojcowską, bo cię uważam za sy-

na, posuwam się nawet z dobroci aż do rodzaju usprawiedliwienia przed tobą. Czegoż możesz żądać więcej?

—Nie, mój stryju; wiesz że cię kocham, że usiłuję cię sprostować, używając ku temu co w tobie jest dobrego.

—Wyborny! synowczyk! rzekł Mouriez z uśmiechem,— ja, przed którym tu wszystko drży, będę jak widzę musiał drzeć z kolei przed studentem. Adrjanie, znasz i widziałeś scenę gorszącą pod hotelem de Grave!

—Tak, stryju.

—Widziałeś własnymi oczyma z jaką nieostrożnością anti-rewolucyjną, ta kobieta wywiesiła na swoim balkonie kwiaty kolorów buntowniczych?

—Stryju, możesz to mówić serjo? mogąż być buntownicze kwiaty? wśród swobody powszechniej nie wolnoż wystawić na balkonie kwiatów, jakie się komu podobają?

—Ale nie! tysiąckroć nie! otoż to dowodzi żeś dziecko, i nic polityki nie rozumiesz. Ta ex-hrabina nie mogła wywiesić w oknie chorągwi, wystawiła kwiaty!

—A! i to niesłychanie zagraża rzeczpospolitej!

—Zagraża więcej niż myślisz, gdyby dozwolono zostało tak wywieszać wszędzie oznaki rojalistów, codziennie by w ulicach były boje, a nam wojsk potrzeba na granicę. W ten sposób energija jednego człowieka, stoi załogą w Wersalu i zastępuje pół brygady wojska, którego nad Sambrą potrzeba. No! a teraz, zrozumiałeś?

—Coraz mniej rozumiem mój stryju;— jeśli mi zechcesz więcej tłumaczyć, nie rozumiem w końcu nie będę— mam moje pojęcia swobody ustalone, których nie zmienię. Niech ginie co chce, hyle zostały zasady!

Jeśliśmy na to zburzyli Bastylę, żeby potem nie mieć wolności posadzenia białego gwoździka, ha! to odbudujmy lepiej Bastylę i wybierzmy króla.

— Adrjanie, pleciesz bez sensu!

— Nigdy się widzę w tym względzie nie porozumiemy. Powiem więcéj, gdyby cię namiętność niezaślepiła, gdyby hrabina Margareta była osiemdziesiątletnią buntowniczką, dałbys jéj ręczę pokój i nie turbował bynajmniej.

— No, toś powiedział prawdę Adrjanie. Znam wpływ jaki mieć mogą młode kobiety, kobiety piękne, w tém mieście, pełném jeszcze ambrowej woni dawnéj dworskiéj galanterji, dla tego powinienem przeciw nim walczyć całą moją siłą. Tyś jak ja niewidział biesiady oranżeryjnój w Wersalu.

— Jakież mają związek uczty te z białymi gwoździkami?

— Jaki związek pytasz? Ot jest. Na téj uczcie a raczéj na téj orgji, kobiety pierwsze skłoniły do podeptania kółców rewolucyjnych, i poprzywiązywały do mundurów wstążki rojalistowskie, a więc kobiety są najniebezpieczniejszemi nieprzyjaciółmi rzeczpospolitéj; gdyby nie one, nowy porządek rzeczy byłby się ustalił spokojnie, i nie mielibyśmy całej Europy zbrojnój na barkach naszych.

— Masz słuszność stryju, spełniaj więc plan swój, tyranizuj piękną hrabinę i ocal przez to ojczyznę, której zagrażają białe gwoździki.

— Mój kochany, nie dawno opuściłeś ławę szkolną, i masz passją używać przeciw własnemu stryjowi figury retorycznej, którą zowią ironiją. Ja mam ważniejsze rzeczy na głowie, a nauczyciele moi inne mi zadali pensum.

— Ja zaś, stryju, uparcie będę poprawiał zadania twóich professorów.

— Jakże ty, Adrjanie, co czytasz co rana moje raporta policyjne, możesz mnie mieć za srogiego? Wersal jest gniazdem spisków. Szlachta kryje się po wszystkich piwnicach, pełno fałszywych emigrantów co ze swych hotelów nie wy-

szi i czekają tylko pory, by coś przedsięwziąć. Niedawno jeszcze, nie doniesionoż mi dwóch wściekłych pisarzy *Dziennika paryzkiego*: Andrzeja Chenier i Roucher, którzy się schronili do Wersalu zamyślając o kontr-rewolucyj; dwóch ludzi gorszych od stu kobiet, bo rankami piszą wierszyki w gabinetach dam, a wieczorem prozę po tajemnych schadzkach. Rozkazując zatrzymać autorów dodatku N o 13, czy będę surowym czy sprawiedliwym?

—Stryju kochany, wychodzisz z kwestji, powiększasz ją, aby zamydlić. Jeśli są śpiskowi jacy, twoim obowiązkiem czuwać nad Rzeczpospolitą. Nikt ci wyrzucać nie będzie nieszczęsnej surowości twego urzędu; alem ja chciał rozprawę ograniczyć jednem zadaniem, i oświecić cię o fałszywym kierunku, w którym idziesz z powodu namiętności wcale nie politycznej i nie republikańskiej. Niechcę, dla czci rodziny naszej, dla świętej pamięci mojego ojca, żeby mówiono że zaciętość twoja względem hrabinéj Margarety, wynikła z uczucia podejrzanego i zupełnie obcego sprawie publicznej.

—Adrjanie, Adrjanie, dość, niemasz już zemną najmniejszego pomiarkowania, muszę co chwila wstrzymywać się wspomnieniem, że jesteś moim bratankiem i przybranym synem.

—Dla tego właśnie tak otwarcie mówię; tytuł ten daje mi prawa. Gdybym był obcym, podałbym się do dymissji i pojechał do matki która czeka na mnie, ale zostaję w miejscu gdzie ci użytecznym być mogę, i nie pójdę.

Klaudysz Mouriez ruszył ramionami, siadł do biura swego i począł przewracać góry papierów na niém leżące; w ostatku tonem łagodnym rzekł.

—Adrjanie, straciliśmy godzinę czasu na próżnej gawędzie, czas drogi, nie trzeba go tracić ale używać. Ma-

my dwadzieścia listów czekających odpowiedzi. Pisz do Fouquier - Tinville list w tym sensie,.. że ogłoszenie w Wersalu o gotującém się prawie na podejrzanych, wywarło najlepszy skutek... ludność jest zawsze najlepszym ożywiona duchem i t. p.

—Ludność ożywiona najlepszym duchem! znajoma to zwrotka piosenki, rzekł Adrjan. I począł powoli bardzo zacinac pióro, żeby jak najpóźniej wziąć się do roboty.



### XIII.

#### Dwa ogródki znowu.

Hrabia de Pressy dał znak Walentemu, który w postawie stoika trzymał się trochę na ustroni, i stary sługa przybliżył się do pana.

W tej chwili zjawisko nikto na końcu ogrodu.

—Walenty, rzekł hrabia głosem umiarkowanym— tyś pełen roztropności jak wszyscy starzy majtkowie, no! czy pojmujesz też to co się w koło nas dzieje.

—Jeśli pan hrabia tego nie rozumie, ja wcale nie pochlebiam sobie, żebym miał być przebieglejszym nad niego.

—Ja bo nie mam krwi zimnej Walenty, i wyznaję to ze wstydem. Że tu była schadzka jakaś to oczewista, była rozmowa poczęta, słyszałem z niej oderwanych słów kilka. Mężczyzna znikł gdyśmy się zbliżyli, i to nie ulega wątpliwości, czemu i kobieta razem z nim nie znikła?

—Tak! słusznie pyta pan hrabia, czemu i kobieta...

—To nie pojęta, bo oboje słyszeć musieli gdyśmy nadchodzili; przestraszyli się, a hrabina przechadza się sobie spokojnie i wystawia na wejrzenia nieproszonych świad-

ków których nie widzi, ale o nich wie, ale ich czuje... co ją najwięcej właśnie przerażać powinno.

—Istotnie panie hrabio—to niepojęta rzecz!

Hrabia de Pressy sparł czoło na sztachetach i począł dumać.

W tém silne uderzenie młota dało się słyszeć w bliskości a kierunek głosu dowodził, że zastukano do bramy N-o 49.

Hrabia podniósł odniechcenią głowę i spójrzał znacząco na Walentego.

Stary sługa prawą rękę przyłożył do ucha i wskazał palcem na domek hrabiniej.

—Północ, rzekł cicho hrabia—pora nie właściwa na uczciwe odwiedziny!

—I ja to myślałem! rzekł cicho Walenty.

Brama się nie otwierała. Po długim przestanku, dwa uderzenia młota nastąpiły po pierwszym.

Hrabia ujrzał na ówczas biegnącą ku domowi z pośpiechem spłoszonej gazelli, młodą kobietę, którą teraz poznał lepiej jeszcze. Milczenie nocy w opustoszonej téj części miasta, dozwalało słyszeć wszystko, otworzyło się okno w facyacie domu wychodzącej na ulicę, i głos słaby spytał o coś nie wyraźnie.

Silniejszy odpowiedział.

—Otworzyć! w imie prawa!

—W imie prawa! rzekł hrabina nie starając się już głosu miarkować—hrabia w niebezpieczeństwie, zapomnijmy wszystkiego.

—Tegom się spodziewałem—rzekł Walenty.

Hrabia obejrzał sztachety, zmierzył ich wysokość i rzekł.

—Można przeleść.



Rzucił szpadę na drugą stronę i do Walentego się odezwał.

—No! pora spisać się ze zrećznością majtka! za mną!

To mówiąc, hrabia wlaź na sztachety, spał nogę pomiędzy dwoma ostrzami strzał zakończających je i skoczył za orężem swoim.

Dostawszy się na stronę przeciwną i nie patrząc już co się dzieje z Walentym, pobiegł zasiąść pod drzewami najbliższemi domu.

—Hrabia powinien był mi trochę dopomóźdz, odezwał się sługa i wesprzeć... ale probujmy.

Jakoż sprobował Walenty, ale choć zdrów jeszcze i i silny, odzwyczał się bardzo od łażenia na maszty.

—A! rzekł uderzając się w czoło, czemu mi też hrabia nie pomógł!

—No to ja ci pomogę, odezwał się głos cichy nad uchem jego.

Walenty powoli odwrócił głowę, jak człowiek z nadzwyczajnościami oswojony, i ujrzał przed sobą Andrzeja Chenier.

—Ani słowa! Walenty, ani chwili tracić nie można! rzekł Chenier, daj mi słowo starego żołnierza że docho-wasz tajemnicy...

—Przysięgam że będę milczał, byleś mi pan dopomógł przeleść te nieszczęsne sztachety.

Andrzej obdarzony wielką siłą, wdrapał się na sztachety i złamał pięć szpic ich, zjedzonych rdzą odwieczną: a opanowawszy tę pozycyą, pomógł Walentemu wleść na wierzch i spuścić się w drugą stronę, wstrzymując go na rękach jak na sznurach żelaznych.

—Teraz, rzekł—masz jeszcze oto mój sztylet i zachowaj mi go razem z tajemnicą moją.

Walenty podniósł prawą rękę, powtarzając swoją przysięgę, chwycił sztylet i pośpieszył za swoim panem.

W tej że chwili usłyszano powtórę— *Otworzyć, w imię prawa*, a głosowi temu towarzyszyło gwałtowne dobijanie się do bramy.

Głos odpowiedział od domku— *Zaraz! zaraz!* i w krótko potem, drzwi się otworzyły i zamknęły prędko.

Chenier wskoczył do ogrodu nie wahając się, a gotował mieć udział w walce, jeśliby do niej przyszło. Przykro mu było, bez wątpienia, kompromitować kobietę, ukazując się u niej o tej godzinie; ale są okoliczności wymagające, które wszelką rozważną i ostróżną myśl tłumią;— nie pokazę się, mówił w sobie, chyba w ostateczności, jeśli usłyszę krzyk bólesci kobiety.

Hrabia de Pressy i Walenty, zakryci krzakiem bzu, zwrócone mieli oczy na dóm, za ledwie odległy o pięć kroków, usłyszeli naprzód głosy niewyraźne odbijające się w korytarzu, potem otwieranie i zamykanie drzwi z trzaskiem i wykrzyki niecierpliwości, gniewu, ulatujące przez otwarte okna. Hałas ten wewnętrzny zbliżał się i rozległ nareszcie w salce na dole, wychodzącej ku polu, na prost hrabiego de Pressy.

—Tak,— odezwał się głos żywy, utrzymujesz że tu mieszkasz sama?

—Tak, panie, sama jedna.

—Nazywasz się.

—Aniela Brunon.

—Zamężna jesteś?

—Jestem wdową.

—No, to ty pokazałaś oknem głowę, gdy sabaudczyk śpiewał pod oknami.

—Tak jest.

—Wiemy że kłamiesz, a zatem pójdiesz z nami.

—Pójdę.

—Czy jest tu piwnica w tym domu?

—Jest? chcecie ją zobaczyć, proszę...

—Nie głupi ktoś chować się w piwnicy teraz... pani twoja jest w ogrodzie... kiedyśmy jęj nie znaleźli tutaj... daj nam dwie świece, i nie ruszaj się ztąd.

Gdy Aniela przygotowywała żądane światło, dwaj ludzie dopełniający tęg nocnej rewizji, wystawili głowy przez okno salki dolnej, i poczęli się przypatrywać ogrodowi.

—Dwóch tylko... rzekł Walenty do ucha hrabiemu.

—Nie licząc tych co są na ulicy, odpowiedział hrabia.

—Prawda! nie pomyślałem o ulicy!

—Tym czasem róbmy tu co każe obowiązek, a przyjdzie pora na ulicę także... nie widzisz że hrabina w ogrodzie być musi.

—Ba! to nie trudno zgadnąć, panie hrabio.

—Ci panowie zamysłają o polowaniu z pochodniami. Zabawka królewska!

—Tak panie hrabio, ale zapomnieli wprzód las przetrząść.

—Dobrześ to powiedział Walenty... masz wiele dowcipu.

—A! proszę pana, odbyłem dwie kampanje w Indyach.

—Prawda! no! weteranie mój, mówże, czekać, czy rzucić się na nich.

—Wielką mam ochotę szturmować do tego domu...

—Dość! otoż i oni!

Ten sam głos który wybadywał Anielę dał się słyszeć, gdy dwie świece zniesiono.

—Jeszcze jedno pytanie. Dla czegośmy musieli trzy razy stukać do bramy?

—Bo kobięta sama jedna w domu, o północy, bardzo

się może przestraszyć... A dopókim się odziała, wiele czasu straciłam.

—Doskonałe odpowiada, kobiecina!

—Łatwo dobrze odpowiedzieć, kiedy się mówi prawdę.

—Dość! dość! idź sobie!

Dwaj ichmość zeszli z ganku i przybywszy do pierwszych drzew, spotkali się ze szpadą hrabiego de Pressy, który się odezwał do nich spokojnie.

—Ani kroku dalej lub śmierć! Precz! panowie inkwizytorowie!

Przybyli odskoczyli w tył żywo i dobyli szabel puszczając z rąk świece.

W tej że chwili nowy przeciwnik wpadł jako piorun pod cienie drzew, wywijając z nadzwyczajną szybkością gracę ogrodową, odpędził dwóch ludzi i pognął za nimi aż do sali. Tu szczęściem dla nich, drzwi wiodące na ganek i ku bramie, znaleźli otwarte, wyskoczyli niemi na ulicę i uszli, a dalej ich nie gnano.

Hrabia de Pressy doznał wstrząśnienia okropnego, które nie pochodziło z uczucia doznanego niebezpieczeństwa. Scena ta odbyła się tak żywo, noc była tak ciemna, że poznać nie mógł tego zręcznego i silnego wojownika, który tak w porę na pomoc mu przyszedł; ale posiłek był dlań krwawą obrazą: nie widząc twarzy gorliwego obrońcy, hrabia w nim zgadywał kochanka i mógł go nawet nazwać. Tu dopiero godło rodziny de Pressy— *ad omnia paratus*, miało wskrzesić w nim szlachcica i przypomnieć mu godność jego poniżoną w oczach sługi.

Zmiana była nagłą.

—No! Walenty, rzekł biorąc szpadę pod lewą rękę... to zuch który wywija kijem, jako szwajcar na processji w Aix... Wiész ty kto to taki?

—Nic nie wiem panie hrabio— odezwał się Walenty, wstrzymując oddech.

—Jeśli to prosty człowiek, radbym go wynagrodzić... Nie lubię usług daremnych.

—Tak i myślę że to prosty człowiek, dodał Walenty... najpewniej... to być musiał ogrodnik miejscowy.

—Najpewniej! powtórzył echem hrabia.

—Mimo ciemności uważałem, że ubrany był tylko na wpół, jakby przebudzony zerwał się z łóżka.

—Ba!.. dobrze miał oczy przetarte, zuch! Walenty, teraz już wszystko uspokojone, hrabina wyszła z niebezpieczeństwa, przynajmniej do jutra; niewiem jakim szczęściem nadzwyczajnym, nikt mnie tu niewidział. Ukazując się, wiedziałem dobrze, że tracę owoc całorocznego ukrycia, ale w niebezpieczeństwie się nie rozumuje. Chodź Walenty, wracajmy do naszej, w drugim ogródku, zasadzki. Sługa poszedł za panem aż do sztachet.

—Wiesz Walenty, rzekł hrabia uśmiechając się— wielce mnie zdziwiłeś przybywając mi w pomoc przed chwilą.

—Cóż to? pan hrabia o mnie wątpił?

—Nie, mój Walenty, nie! nie wątpiłem ani o odwadze twój, ani o poświęceniu; ale wolno mi było zwątpić o zrzeczności. Do licha! w twoim wieku wleść na te sztachety jak się włąziło na maszt *Pomony*, pod dowództwem hrabiego d'Estaing, — to sztuka!

—A! ba! bo... widzicie, panie hrabio... żeglarze się nie starzeją... jak wieloryby... jak wieloryby... morze ich soli i osoleni... trwają...

—Otoż jeszcze raz trzeba ci się spróbować z temi sztachetami, ale ci teraz przyjdzie łatwiej, znasz drogę... Chcesz iść przodem?

Walenty zawahał się z odpowiedzią.

—No, rzekł hrabia—czego poglądasz?

—Ja... nic... tak panie hrabio... Zrobiłem sobie pewną uwagę.

—Jaką, Walenty?

—Ja wolę tu resztę nocy przepędzić... niewiadomo jeszcze jak się to skończy... Tym sposobem będę gotów i niepotrzebuję przełazić drugi raz przez sztachety... a na wypadek...

—I myślisz że cię tu samego zostawię?

—Kiedy pan z drugiej strony sztachet będzie, nie stanę więc sam. Pan jakoś silniejszy... ja, gdy mi przyjdzie trzeci raz przełazić i drapać się na wielki maszt Pomony, stracę czasu wiele...

—Ale nie, nie, Walenty, samego cię nie porzucę! Odważnie tylko! spróbuj! jeszcze! Nuż hrabina jest w ogrodzie i pozna ciebie.

—Ale nie, hrabio, niema niebezpieczeństwa... Proszę mi wierzyć, ja jestem w tej chwili zupełnie zimny i biorę rzecz chłodno, znam panią hrabinę, ona nie zostanie w *łożysku* jak *odyniec*, czekając aż ją psy *wytropią*... Pewnie już uciekła.

—Myślisz?

—Gdyby była w ogrodzie, od kwadransa już byłaby się z hrabią spotkała.

—Masz rację... w istocie, ogród i park ten wcale nie są obszerne.

—Pan hrabia pozwoli mi dać sobie radę jedną.

—Dawaj Walenty, dawaj.

—Czuję dom pusty z daleka... pewny jestem że tu już nikogo niema, ani przyjaciół, ani nieprzyjaciół. Niech mi hrabia wierzy i posłucha mnie; poczekawszy, będzie zapóźno...

—No! stary marynarzu, probuj! śmiało! Walenty rzucił ostatnie i szybkie wejrzenie na zdradliwe sztachety, od których przelezienia się wykręcał, i szybko skierował się ku domowi.

Wszędzie było pusto i niepozamykano; brama nawet od ulicy Thiers, stała otworem.

—A com ja mówił? rzekł dumnie Walenty.

—Dobrześ był natchniony, wyznaję, ale wyznaj Walenty, że niechciało ci się drugi raz przelazić.

—Mnie! panie hrabio! mnie! jabym dwadzieścia takich parkanów jednej nocy przesadził! Pan nieznasz marynarzy!

—A więc najkrótszą drogą do domu... Potem będziemy musieli wyszukać tego odważnego... ogrodnika który przyszedł nam w pomoc... Chcę mu... podziękować Walenty...

Sługa nic nie odpowiedział; w chwilę potem wracali do hotelu de Pressy.

---

#### XIV.

### S t r z e ż o n y .

Pewien że go nie poznano, a rachując na milczenie starego majtka, Andrzej Chenier zatrzymał się chwilę w progu domu, oswobodzonego od nocnych szpiegów, a przewidując że wkrótce powrócą silniejsi, udał się ulicą szybkim krokiem do siebie, otworzył zwolna furtkę ogródka i wszedł do domku z największą ostrożnością, usiłując nie obudzić przyjaciela Roucher.

Ale go tu w pokoiku jego czekała niespodzianka; zastał w nim Roucher'a czytającego *praedium rusticum*, gdyby w biały dzień.

Andrzej cofnął się na wschody, jak złodziej spotykający z czujną strażą; i miał powody ku temu, chcąc ukryć przed okiem przyjaciela ubranie rozszarpane i na w pół odarte. Inna uwaga jeszcze wstrzymała go, Chenier zmyślił uśmiech, poszedł wprost do niego i odezwał się:

— Patrz co się zyskuje na wpatrywaniu się w naturę po nocy w lesie... obdarto mnie. Roucher nie zdawał się bardzo zdziwiony nieładem stroju przyjaciela; zamknął książkę, ścisnął rękę podaną i odparł.

— Zdaje ci się Andrzej, że jesteś pod rządem leśniczych i pod opieką faunów i sylwanów. Lasy dziś są równie niebezpieczne jak miasta; niema bezpieczeństwa nigdzie, nawet w lesie. Autor podróży Anacharsysa napisał: *Tajemny przestach którego doznajesz wchodząc w lasy, oznajmuje ci Bogów przytomność*. Dziś wypadałoby zmienić Bogów na co innego.

Andrzej przerwał nagle przyjacielowi, jakby więcej spoczynku niż rozmowy potrzebował.

— Roucher, rzekł, już późno, jutro ci to opowiem.

— Już jutro mamy, odparł uśmiechając się Roucher, zaraz będzie druga... Opowiadaj zaraz, słucham.

— Ale to długie.

— Tém lepiej... no zaczynaj.

— Ale powiedz mi, mój Roucher, co za ochota bezsenności cię napadła, żeś tak przeciwko zwyczajowi się zaczął do drugiego po północy?

— Właśnie wyglądałem tylko tego zapytania.

— Masz je, więc odpowiadaj, i chodźmy oba spać...

— Odpowiedź nie może być krótka, uprzedzam.

— Ale na Boga, Roucher, zostaw tylko Fauny i Sylwany w Arkadyj, a potrafiśz być krótkim jak adwokat który broni z urzędu.



—Siadaj że Andrzej!u!

—Nie! stać będę! Jeśli siądę, słońce nas obu tu zastanie, mnie śpiącego, a ciebie odpowiadającego jeszcze.

—Początek rozraduje cię niewymównie... odebrałem przez wiernego posłańca, list zgadnij od kogo?

—Roucher, przysiągłeś sobie umorzyć mnie bezsennością... Mów prędko, od kogo i chodźmy spać.

—Od starszego Trudaina... No! i nie skaczesz z radości?

—Wyskoczę ale jutro.

—Andrzej, twoja odpowiedz przypomina mi anegdotkę o tym synu...

—Jak to! i anegdotki mi jeszcze opowiadać myślisz?

—Ale króciutenką, Chenier; był to sobie syn którego obudzono w nocy, oznajmując mu o śmierci ojca. Al rzekł—coż to będzie za zmartwienie gdy się jutro obudzę! i zasnął.

—Dobrze zrobił; dobranoc, i ja uczynię tak właśnie.

—Niechcesz żebym ci przeczytał list Trudain'a.

—Czytaj, czytaj! ale co najważniejsze...

—Chenier, zdawało mi się że ci dowiodę mojej przyjaźni, oczekując tu na ciebie do pierwszej w nocy, z tym listem.

—Dziękuję, dziękuję, kochany, pocziwy Roucher... masz słuszność... to ja... ale czytaj.

—Słuchaj więc, poczynam...

Roucher rozłożył list i czytał.

*Paryż Maj 1793.*

Kochany przyjacielu!

Piszę do ciebie, piszę do Andrzeja razem, a tak mniej to niebezpieczne. Boję się jego roztargnienia, nauczył się

gubić listy, latając za muzami po lasach, gdyby wychowaniec Sylena, o którym mówi bajka Fenelona.

Dziś jednak same dobre mam nowiny. Wiiesz że zapatruję się na położenie nasze z krwią zimną, że się obawiam złudzeń, optyki zwodniczej, z pomocą której aż nadto skłonni jesteśmy widzieć rzeczywistością sny nasze, począwszy od 89 roku. Ale, choć tak jestem niedowierzający, lubię uznać polepszenie gdy je widzę istotnym i jawnym jak słoneczne światło.

Umysły poczynają się uspakajać; burza ustała, trochę tylko po niej fali. Prawo przeciwko podejrzanym ogłoszone nie będzie; dano mu pokój, zdaje się na zawsze. Umiarkowany Boyer-Fonfrède prezyduje w konwencyj. Exaltowani mało się ruszają i możeby całkiem spoczęli, gdyby nie trybuny. Zewnątrz Paryż nabiera dawniej swęj fizjonomji; miło widzieć ten ruch wesoły w mieście niedawno ostupiałem od zdziwienia.

W tej chwili co wieczor, dwanaście teatrów otwiera się tłumom już pragnącym wrócić do zwyczajów stariej francuzkiej płochości. Jest to wyborny znak spokoju i nadchodzącego dla nas bezpieczeństwa. Gdy cała stolica myśli o zabawie, jakieżby rząd chciał ją zasmucać?

Przeszłego tygodnia mieliśmy wieczory prześliczne. Byłem w teatrze Feydeau, na pierwszym przedstawieniu komedij w pięciu aktach pod tytułem: *Dziwactwa losu*. Tłumy zalegały wezśnie teatr, z niestychaną trudnością dostać mogłem bilet na parter. Nowa komedia przyjęta została z zasłużonemi oklaskami. Autorem, którego wywołano, jest młody człowiek imieniem Theogat; idzie w ślady Moliera i czeka go najświetniejsza przyszłość.

Nie należy rozpaczać o kraju, w którym jeszcze serca się wzruszają na wrażenia słodkie literatury i sztuki.

W akademji muzyki, wielka opera *Klimena* napelnia co wieczór salę; to arcydzieło stanęło już w rzędzie na jaki zasługiwało; wszyscy znawcy przenoszą je nad *Oedipą*. Muzyka nasza dalej już postąpić nie zdoła. Po *Klimenie* dają, to balet *Bacchus i Arjana*, to *Sąd Parysa*.

Te dwa arcydzieła choreograficzne przedstawiane są z nadzwyczajnym przepychem. Dekoracya wystawująca wyspę Naxos, wielce zaleca przedziwny pędzel pana Ferretty. Niepodobno większego uczynić złudzenia. Opera komiczna narodowa, ma także swą modną nowość, a nią jest *Melomanija Champein'a*. Od czasów *Wiejskiego Wróżka*, nie słyszano piękniejszej muzyki. W teatrze francuzkim komicznym i lirycznym, drzwi oblegają od piątej godziny, z powodu prześlicznej opery Duni'ego: *Myśliwcy i Mleczarka*; Sainval cudowny jest wesołością swą, gdy śpiewa:

Zmarły jestem, utrapiony,

A! co za psie życie!

Przedstawiają także, z wielkiem powodzeniem arcydzieło Gossec'a—*Rybacy*; piękne to jak *Rybacy Teokryta*; a Leonard musi co wieczór powtarzać śliczną piosnkę:

Szymon chłopiec tegi,

Córnia mu w oczko wpadła..

Z równém zajęciem i zapałem, publiczność okrywa oklaskami w *Rozmaitościach* wodewil pod tytułem: *Podróż młodszege Roussel*. Jest to farsa która śmieszy, że się za boki trzymać potrzeba; Cambon i Robespierre byli wczoraj w łoży na tej sztuczce, i śmieli się jak dzieci.. Może też to stare dzieci.. Kto zna ludzi prócz Boga?

Ale wielka nowina dzisiejsza, to otwarcie amfiteatru Astley'a, na przedmieściu Temple. Lud płynie tłumami. Miejsca są różnych cen, począwszy od trzech liwrow do

trzech soldów; równość w obliczu zabawy. Cyrk ten, naśladowanie starożytnych, poświęcono widowiskom konnym. Szczególniej odznacza się młody jezdziec, zdaje mi się Francini, który woltyżuje w sposób zadziwiający i dokazuje sztuki równe indyjskim kuglarstwom, o których piszą Busy i Tavernier.

Tak, przyjaciele moi, widząc wszędzie tę wesołość, upojenie, szat otaczający scenę; widząc cały lud wściekle zapędzający miejsca rozrywki dla umysłu, serca i oczów, czujemy że zbliża się koniec burzy, i że wkrótce ujrzymy nad głowami lazurowe, wypogodzone niebios sklepienie.

Nowiny polityczne, które później wam udzielię, prawdziwe czy zmyślone, nie warte pewno tego co czytacie: Francuzi wracają do właściwego narodowego charakteru; śmieją się — ocaleni jesteśmy.

Wyrocznia to pewniejsza niżeli Kalchas'a. 93ci źle się począł, skończy dobrze. Gotujcie się być szczęśliwi.

Bądźcie zdrowi, chwilowi wygnañcy

Wasz brat,

*Trudaine.*

Przeczytawszy list, Roucher złożył go powolnie i spojrział na Andrzeja, który zdawał się zatopiony w myślach wynikłych z odczytania pisma przyjaciela.

—Widzisz teraz, rzekł Roucher, że miałem racya cię czekać, pomimo spóźnionej pory. Jeden ze starożytnych powiedział: Rzeczy surowsze do jutra odkładam: *ad crastinum seria remitto*, ale rzeczy wesołe, to całkiem inna!... trzeba je przyspieszyć.. Spodziewałżeś się Andrzej, zastać wracając tak dobre nowiny?

—Nie.. odparł Chenier zamyślony o przygodach N. 19. i o hrabi de Pressy.

—Odpowiadasz mi tak prostą monosyllabą suchą i nie-uważną.

Chenier wydał ostre westchnienie, i chwytając się obręczając za czarnych włosów pierścienie, zawołał:

—Przyjacielu! sprzyśniętyś się widzę, żeby mnie doprowadzić do warjacy!

—Jak to? spytał Roucher spokojnie... i to tak mi jesteś wdzięczny? Nie rozumiem cię Andrzej!

—Rozumięszże przecie, że najmniej trzecia, a ja zmęczony śmiertelnie! Czy chcesz mnie ukarać jak królobójcę Damien's'a i umorzyć mnie bezsennością!

—I ani słowa o liście Trudain'a! rzekł Roucher niby na stronie.

—Nie słyszałem i trzech wierszy z tego listu.... spałem stojąc.. Co mnie tam obchodzi opera Chimeny, wodewil Arjany! cyrk konny Robespier'a i balet Frankonich! Gdzieś u licha wyczytał, żeby dla tych głupstw warto było człowieka snu pozbawiać?

—Otoż jak sądzisz o rzeczach — Chenier!

—No! tak sądzę i po wszystkiem — bądź zdrow.

—Pozwolisz mi przeczytać ci teraz inny list, który..

—A! dosyć tych listów Roucher! na Boga dosyć!

—Donoszą mi ciekawe szczegóły o procesie kryminalnym pana Jana Pawła Marat'a, redaktora *Przyjaciela ludu*.

—Roucher! przyznaj, że to co czynisz przechodzi wszelkie granice! Jeśli nie jesteś jasnowidzącym i nie śpisz chodząc, nic cię nie potrafi wytłómaczyć w oczach moich.

—Tak ostro dziś mówisz Andrzej, że mnie to istotnie i zadziwia i zasmuca..

—Ale proszę cię, będziesz-że całą noc siedział jak przykuty w tém krześle?

—Chenier, wszak to maj, wkrótce rozświta, i nie warto...

— A! przerwał Chenier, nie warto spać, bośmy w miesiącu maju! no! kiedy ci się moja izdebka podoba, zostań że sobie w nięj, a ja pójdę spać do twojój.

Andrzej szybko posunął się do drzwi, ale w tém Roucher z zadziwiającą powstął żwawością, zaparł mu drogę od wschodów i zawołał:

— Nie pójdziesz ztąd przyjacielu!

— Ja! nie pójdę? rzekł Chenier robiąc wielkie oczy.

— Nie wyjdiesz!

— Roucher! chcesz mnie do gwałtu i użycia siły przymusić!

— Andrzej, zaklinam cię, nie zapoznawaj najlepszego swego przyjaciela. Idź za radą moją, nie czynź hałasu.. Przekupnie już ciągną ulicą, postłysz nas kto.. Bądźmy spokojni..

— Ale ja też spokojności chcę, Roucher; spijmy żeby jak najmniej robić hałasu!

— No to spijmy Andrzej.. a ja zostanę w tém krześle.

— Widzę że nie ustąpi.

— Andrzej masz zaledwie lat trzydzieści, ja pięćdziesiąt i dwa; jestem przyjacielem twoim, mentorem, zastępuję ojca twojego.. Winienes mi posłuszeństwo i uszanowanie.

— I dla tego nie dajesz mi spać? Proszę cię Roucher, wytłómacz mi czegoś się na mnie wziął.

— Cóż ci mam tłómaczyć..

— A! to już za nadto! Zmiłuj się! jeśli nagle nie zwrjowałeś, nie podobna mi zrozumieć nawet tego co dokazujesz dziś ze mną.

— Nigdy przytomniejszy nie był.

— Roucher, zawołał Chenier w najwyższym stopniu rozdrażnienia — żarty posunięte tak daleko, są nieznośne;.. wy-

czepał się cały zapas mojej cierpliwości. Poraz ostatni, daj mi wyjść! proszę! czuję że się na ciebie porwę, a serce moje poczyna opanowywać głowa. Szanujże rozpacz moją.

— A ty Chenier—szanuj kobietę..

—Kobietę!

—Jesteś trzpiot nieznośny, Andrzej — to chyba jedyne twe usprawiedliwienie.

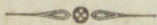
—Kobietę mówisz! jaką? spytał zdziwiony nądzwyczał poeta.

—Jak to? dla ciebie jestże na świecie dwie?

—Co! przyjacielu! ją!

Roucher palcem wskazał pokoik swój i szepnął.

— Jest tam!.



## XV.

### Zazdrość poety.

Malarze, którzy rzucili na płótno wyrazu pełne twarze, przedstawując Saula przed Pythonissą, lub proroków na górze Tabor; Salwator Rosa i Rafael, co kręśliłi przestrach piekielny i zachwyty boski, byliby złamali pędzle przed wielkim poetą, który nagle z rozpacz, przeszedł w zachwycenie na te słowa przyjaciela.

— Jest tam! powtórzył: melodia Hosanny niebieskiej, towarzyszyła tym wyrazom na ustach homerycznego poety; dwie łyzy, dyamenty radości zabłyśły w oczach jego; aureola szczęścia uwieńczyła szerokie pełne przyszłości czoło; ręce załamał z gorączkową energią cichej modlitwy, i cienie nocy rozprysły się na to promieniste objawienie.

Przyszła kolej przyjaźni; Andrzej chwycił ręce towarzysza, zaczął go przepraszać i domagać się przebaczenia.

— Mój kochany Chenier, rzekł Roucher, nie rozumiem jak z twoją przebiegłością mogłeś się dać uwieść tak długo; i ty, co mnie znasz, mógłś przez dwie godziny myśleć żem dobrowolnie drażnił cię i niecierpliwił! Jakżeś ty nie zgadł od razu?

— Prawda, przyjacielu— tak.. masz słuszność,.. rozumiem cię, nie rozumiem siebie, byłem głupi.. ale też.. co to za noc okropna! Trzeba mieć krew zimną, żeby najprostszą odgadnąć zagadkę... Schroniła się więc tutaj, szlachetna niewiasta!.. Napad nocny uzbrojonych zbrojów! Co za nieopatrność mieszkać w pustyni, w tak odosobnionym domu., Cóż ci powiedziała przychodząc.. mój drogi, opowiedz mi wszystko.. mów mi.

— Nie, nie, potrzebujesz spoczynku.

— O! spocząłem już, doczekam do dnia.

— Sama ci jutro opowie wszystko..

— Przyjacielu, nie dawaj mnie na pożarcie wiekowi— mów.

— Ale ja potrzebuję spocząć, Andrzej.

— No! teraz ty moją zaczynasz odegrywać rolę.

— A! kiedy ty zabrałeś mi pierwszą, ja muszę wziąć drugą.

— Co teraz to cię już nie rozumiem, przyjacielu! Mamyż rozpocząć na nowo naszą wojnę domową zmieniawszy tylko rolę? Tajemnica to dla mnie ciemniejsza nad dziewiąte zadanie Euklidesa.

— Andrzej, przyjacielu, cóż ci mam powiedzieć więcej! Kobieta dla której mogłeś się obawiać niebezpieczeństwa śmierci lub sromoty— jest — w tej chwili bezpieczną. Nie wymagaj więcej odemnie.

Wyraz z jakim Roucher wyrzekł ostatnie słowa, nie był zwyczajny spokojnemu poecie; była to forma niestychana



dla Andrzeja. Tajemnica znowu w chwili, gdy się wyjaśnić miała, poczęła mroczyć.

Chenier szepnął coś nie wyraźnie, przechadzał się wielkimi krokami, a że izdebka była ciasna, podobny był do lwa, który w klatce czeka na pastwę, tłumiąc ryki głucho, dla wstydu przytomnych, w obec których nie chce swęj godności królewskiej poniżyć.

Roucher otworzył *Praedium rusticum*, i usiłował przedstawić człowieka, który spokojnie czyta.

Nagle uspokojenie w sercach gwałtownych zawsze zapowiada wybuchy. Natura milczy nim uderzy piorun.

Andrzej poskoczył ku drzwiom, wstrząsając swoją lwią grzywą, i odpychając rękę przyjaciela jakby końcem palca zgiął łodygę kwiatu, i rzucił się na wschody. Tu z kolei cofnął się pchnięty niewidzialną ręką uczucia honoru, wstrzymał się nagle, i cała energja z jaką szedł, upadła u progu drzwi, które gościnności prawa okrywały poszanowaniem. W tém drzwi otwarły się jakby same przez się, i głos łagodny rzekł mu.

— Można wnijsć.

Raz pierwszy Chenier myślał, że mu się przysłyszało. Wszedł przez posłuszeństwo, bo pojmował że czynność jego dotykała występku, i padł na kolana błagając przebaczenia.

Oczy jego spuszczone widziały tylko koniec sukni, nie śmiejąc podnieść się wyżej. Wzruszenie którego jeszcze brakło téj nocy, rzuciło nim, gdy poeta usłyszał te słowa.

— Wstań pan, nie zasługuję na tę cześć — dopełniłam tylko obowiązku.

Chenier podniósł głowę i ujrzał kobietę nie młodą, zupełnie sobie nieznaną.

— Jestem Aniela, odezwała się — towarzyszka hrabiniej.

— A hrabina? spytał podnosząc się Chenier.

— Pani hrabina przysłała mnie do tego domu, który zna dobrze, dla oznajmienia panu, że ukryta jest i bezpieczna; ale mi też zaleciła żebym to powiedziała tylko przyjacielowi pańskiemu i nie pokazywała się do dnia.

— Na cóż te ostrożności?

— Dla uniknięcia tego co się stało, dla zapobieżenia pytaniom i odpowiedziom niepotrzebnym, dla skrócenia wrażeń téj nocy, dla tego żebyś pan kilka godzin wypoczął. Gadatliwość pańskiego przyjaciela zniszczyła cały plan hrabinęj, a mnie wtrąciła w kłopot nadzwyczajny.

— Przyjaciel mój nie był nadto gadatliwym; proszę go nie obwiniać pani, ja sam winien jestem wszystkiemu. Rozum przestał władać wolą moją; gorączka mnie trawi; włosy mi się palą, krew tryska oczyma. To co mi pani powiadasz, dopełnia miary rozpaczey mojej! Nie mogę żyć, usłyszawszy to coś mi pani powiedziała.

— Co pan mówisz? To szal jakiś!

— Tak, pani! to szal! szal obłąkanego, konającego, potępieńca!

— Zamiast cieszyć się, dowiedziawszy, że pani..

— Ha! zawołał Chenier porywając się za głowę, wołałbym stokroć dowiedzieć, że hrabina znajduje się w jaskini zwierząt dzikich, w więzieniu inkwizycyi, w lesie pełnym bandytów!

— Niż postyszć że jest bezpieczną? odezwała się Aniela ze smutnym uśmiechem.

— Tak! odparł Chenier uderzając nogą o podłogę.

— Tego przywiązania nie rozumiem.

— Ale bo ja wiem gdzie ona jest w téj chwili, ja to wiem! rzekł Chenier zakładając ręce i wpatrując się w Anielę.

—A! ręczę panu, że pan tego wiedzieć nie możesz.

—Nie wiem? spytał Chenier ze śmiechem szaleńca — nie wiem! Czy pani mnie wyzywasz żebym powiedział?

—Tak!

—Pani mnie doprowadzisz do ostateczności..

—Niepodobna żebyś pan odgadł schronienie hrabinęj.

—No! powiem więc! Hrabina jest w hotelu hrabięgo de Pressy!

Aniela przyjęła to ruchem, którego dwuznaczność mógł sobie tłómaczyć poeta, wedle usposobienia tój gorączkowej nocy.

—Mylisz się pan—wzruszonym głosem odparła kobięta.

—Pani, powiedziałem jak jest. Wzruszenie jęj zadało fałsz wyrazom. Ona tam! tam!

—Nie, panie, proszę mi wierzyć.

—A! to myśl okropna! Boże! zachowaj mnie przy rozumie!.. dziś to ostatni skarb człowieka... Żyły jeżą się we mnie i kásają jak węże, rozdierają mi ciało! Szatan w piersi mojęj! Ona tam! bo tam być powinna! Hrabia de Pressy, młody, odważny, miły, głowę swą ważył dla nięj przeciwko katu, przeciw zbójęcom, umiał spełnić czyn heroiczny z nadludzką skromnością! A! tak! zasługuje na miłość kobięty! oddaję mu sprawiedliwość, choć go nienawidzę! Tak! dobrze uczyniła! szlachetne jęj serce to doradziło; poszła za skinieniem bohaterskięj ręki, za wezwaniem uroczego głosu.. a teraz... co za upojenie! jakie rokosze! Na tój ziemi przeklętej, która cierpi i jęczy w boleściach, jest dwoje ludzi, którym zazdroszczą bogowie! a ja, z daleka patrzę jak żebrak, jak trędowaty, na tę ucztę która mnie okrywa żałobą, na tę radość, która jest udęczeniem mojęm, na to życie które mi śmierć przynosi.

Poeta upadł na krzesło, a piers jego zziajana, zamyka-

jąca w sobie wszystko co boleść wlać może, zdawała się buchać i rozpękać jak krater, by wyrzucić z siebie razem cały ciężar, któremu już nie starczyły słowa.

Aniela sparta o róg komina, spuściła głowę jakby nie miała co powiedzieć, i przyjęła co mówiono. Pokwadransie milczenia, poeta odzyskał siły jak wichur konający w lesie i wyrrywający się z niego; spójrzył na postawę strapionej Anieli i rzekł:

— Pani, rozumiem milczenie twoje, odpowiada ono jasno mojemu cierpieniu i trwodze. Zmusiłaś mnie mówić, powiedziałem wszystko; zmusiłem cię odpowiedzieć, zamilkłaś. Czegoż mogę żądać więcej? dość na tém.

— Panie, odezwała się Aniela głosem słabym, czego się właśnie lękała hrabina, to się stało.. Gadatliwość pana Roucher...

— Niema w tém niczyjéj winy, wina losu mojego.. czuję śmierć blisko. Ręka niewidzialna popycha mnie do grobu, czuję żelazne jéj dotknięcie na czole, a jeśli walczę, to że chciałbym raz jeszcze ujrzeć tę kobietę która zabija, a którą konający błogosławić będę.

— Więc, odezwała się Aniela podnosząc głowę śmielój, zobaczysz ją pan; mogę mu to zaręczyć.

— Ale ja chcę ją widzieć zaraz, natychmiast., A! szaleję!.. prawda! pojmuję twe skinienie pani!.. żądam niepodobieństwa! Śmiech konwulsyjny rozdarł mu usta i łyż z oczów wysączył,—Tak, dodał— jakby to można zapukać do drzwi hotelu de Pressy i powiedzieć...

Wstał drżąc cały i zakrył oczy rękami, jakby chciał zasłonić się od straszego, nieznośnego widzenia.

— Pani, rzekł ocierając łyż, głosem pewnym, pójdę za losem moim... niech będzie błogosławiony Bóg co cię tu zsyła, abys była świadkiem największej rozpaczycy jaka kie-

dy paliła serce ludzkie... Powiesz jój coś widziała i tego mi wystarczy! zapłacze nademną! Szatan fatalności pełen jest dowcipu! Hrabina Margareta poświęca się szlachetnie opiekując życiem mojem, któremu sądzi, że grożą nieprzyjaciele polityczni, a zabije mnie tu sama, w tém schronieniu w którém wstrzymały dotąd jój rozkazy i jój ręka!

— Nie, panie, powiem hrabinie com widziała, i że chcesz nadal iść za jój radą i rozkazem.

— Nie powiesz jój tego pani, zawołał Chenier głosem grobowym, bo jutrzeńka dnia tego nie zobaczy mnie żywym.

— Co! myślisz o samobójstwie! konwulsyjnie krzyknęła Aniela.

— Jeśli podniosę ręce na siebie, to szanując spokój i życie kobiety którą kocham. Winienem to hrabinie Margarecie.

— Chcesz więc umrzeć?

— Mówisz pani z konającym, jutro zobaczysz jego trupa.

— Panie Chenier! zawołała Aniela chwytając rękę poety! nie umrzesz! Biorę na siebie czynność którą zmuszona jestem popełnić.. Zobaczysz pan hrabinę..

— Kiedy?

— Natychmiast.

— Gdzie pani?

— Co panu do tego! zobaczysz ją.

— W hotelu hrabiiego?

— Któż panu mówi o nim! Zobaczysz ją — zobaczysz samą..

— Samą?

— Samą, przy mnie tylko.

— Na Boga! pani.. idźmy, idźmy natychmiast!

— Oznajmij pan, panu Roucher i powiedz mu, żeby się nie obawiał niczego, niczego. Idziemy w miejsce bezpieczne.

Chenier, który tój nocy doznał co tylko może przecierpieć człowiek, wypogodził czoło i wszedł do pokoju swego, w którym zostawił przyjaciela.

Roucher spał snem niewinnych, z książką w ręku.

Chenier napisał parę wierszy, włożył je w książkę i wyszedł.

Aniela czekała na niego na wschodach; ujęła go za rękę i szepnęła po cichu.

— Chodź pan za mną.



## XVI.

### Strona wewnętrzna i zewnętrzna terrorysty.

Kobieta w pewnym wieku, podejrzaném nazwaniem gospodyni utytułowana, otworzyła drzwi pokoju Klaudyusza Mouriez, i stawiając lichtarz na stole, odezwała się:

— Czy pan kilka razy dzwonił?

— Cztery razy, Zuzanko.

— Spałam.... Zdaje mi się, że spać o trzeciej zrana jest rzeczą godziwą, zwłaszcza, gdy kto, jak ja, cały dzień musi siedzieć nad przyjmowaniem prośb.

— Widzę, że cię to w nienajlepszy humor, dzisiejszego ranka wprawia, biedna Zuziu?

— Teraz panie, będzie tego na cały tydzień.

— Daj mi białą kamizelkę szeroko wykładaną?

— A gdzieżeś ją pan wczoraj wieczór zrzucił? Kiedyż pan zdobędziesz się na trochę ładu w tym pokoju.. to prawdziwie psiarnia.. oto kamizelka tabaczkowa, a drugiej niema.

—Daj mi nową suknię... tam, na kanapie.

—A! naprzykład! myślisz, że ci dam wyjść w tej sukni, o trzeciej zrana, żeby rozprawiać z wicherzycielami! Bierz pan mi tę kapotę z grubego sukna, a wziąwszy do niej szarfę wyglądać będziesz jak mer Paryża.

—Co tam mówi odźwierny o tej zawierusze ulicznej!

—Mówi że to gawiedz z Marly, która się gromadzi na placu wolności, i śpiewa pieśń przeciwko władzom...

—Tylko tyle... No, to nie wielkie rzeczy.

—Tak, ale co wielka rzecz, to że wołają chleba.

—A chleba dla nich nie mam.

—Przecież go potrzeba. Śmieszna z was hołota panowie obywatele patryjoci! Robicie rewolucye dla ludu, a dajecie mu mrzeć z głodu.

—Zuziu, nic nie rozumiesz polityki..... dawaj mi bóty ze sztylpami.

—Masz pan na nogach trzewiki bez sprzążek, to właśnie co potrzeba idąc przeciwko wicherzycielom, bo ich tak podobno nazywacie, gdy się przeciwko wam buntują.

—No! niech będą i trzewiki!

—Wiész pan, że nowe buty jegomościne kosztowały mnie cztery nowe talary?

—Daj mi mój pasek...

—A to na co?

—Ba! zawieszę na nim szablę!

—A po co panu ta szabla? Alboż to potrzeba zbrojno wychodzić przeciwko biedakom, którzy proszą chleba?

—No, a jeśli mnie napadną?

—Jeśli napadną, to się starym szabliskiem nie obro-

nisz. Dobremi racjami zastonisz się chyba od ludu, gdy mu ani chleba ani zajęcia dać nie możesz.

—To prawda! A teraz... na głowę...

—Nie bierz pan tego kapelusza! Co za manjera stroić się jak byś pan szedł na paradę? Ci przystojni mężczyźni wszyscy jednego kalibru! Powyzłacali by się jak monstrancye, choćby do sów i puhaczy! Oto pan masz stary kapelusz;— widział on już dęszcz na Marsowym placu... Weź pan go... zakrawasz w nim na pięknego Leandra...

—Zuziu, zobacz no przez okno od balkonu czy moi ludzie już są...

—Są już, panie Klaudyuszu...

—A wielu?

—Naliczyłam ich sześciu.

—Tylko?

—Z sierżantem.

—Sześciu żołnierzy na poskromienie rozruchu! Nie powiedząż mi, że wstępuję w ślady Lafayette'a i Bailly?

—Proszę tylko pana, dobrze się obchodzić z biednymi ludźmi.

—Bądź Zuziu spokojna.

—O! pan mówisz zawsze: bądź spokojna! a potem głupstwa robisz..

—Jednak minister inaczej to uważa; wczoraj jeszcze, winszował mi w swym liście mego obywatelstwa, i...

—Minister nie czyta tego co pisze.. lepiej ja pana znam od niego.

—Gotów jestem Zuziu... patrz gdy będę przechodził pod oknami, ale się nie pokazuj.

—Ja pójdę spać: dobranoc panu! Ma on rację ten arystokrata rojalista, co mówił przed trybunałem broniąc się:



«Obwiniają mnie, że nie lubię nowej narodowej chorągwi; przeciwnie, ja ją kocham, bo z jęj łaski oka zmrużyć nie mogę.»

—A gdzieżeś to czytała Zuziu?

—W ostatnim numerze — *Miecza-mściwego*.

Klaudyusz Mouriez okręcił się wdzięcznie przed dwóma zwierciadłami, przyjacielski pocałunek złożył na czole gosposi i zbiegł ze wschodów z miną poważną, krokiem odwagi pełnym.

Pięciu ludzi, obłamek oddziału wojskowego, stanęli w porządku; Klaudyusz Mouriez odbył rewją i zawołał głosem energicznym:

—Bracia, jeśli potrzeba będzie, dajcie się zabić, ale nie zabijajcie.

Staął na ich czole i udał się na plac Wolności. Przy świetle niejasném dwóch rewerberów, Klaudyusz Mouriez ujrzał tłum liczny bardzo, a krzyki jego szalone oznajmowały nieprzyjazne usposobienie. Wszystkie okna sąsiednie były otwarte i napełnione głowami ciekawych widzów.

—W imię prawa! zawołał Mouriez głosem stentora— oświecić wszędzie, żebym rozeznąć mógł dobrych obywateli.

Rozkaz ten wykonany został z obu stron ulicy w jednej chwili, jakby raca zapaliła wszystkie okna domów.

Klaudyusz zbliżył się do pierwszych najbliższych kup ludu, i rzekł do nich głosem silnym, wstrząsając straszną swą głową.

—Obywatele, rozkazuję wam odejść, mieszacie spokój publiczny.

—To spokój publiczny nas mięsza i niepokoi, obywatelu, zawołał silny burzyciel jakiś mający minę wodza— nie mamy roboty, i umieramy z głodu.

—Trzeba umieć cierpieć dla Rzeczypospolitej.

—Daj chleba, to cierpieć potrafię.

—Będziecie go mieli. Dziś jeszcze napiszę do Komitetu ocalenia publicznego; ale rozejdźcie się natychmiast, w imię Rzeczypospolitej.

—No! zawołał naczelnik,— a ja, zostaję tu w imieniu Wolności.

—A ja aresztuję cię w imieniu prawa— rzekł Klaudyusz chwytając burzyciela ręką silną i oddając go żołnierzom.

Krzyki wściekle wyrwały się z ust tłumu, okropne groźby towarzyszyły krzykom, Klaudyusz podobny był skale, o którą biją bałwany; ruchy téj ciżby dochodziły aż do niego, i u stóp jego konały.

—Choćby was było sto tysięcy, wołał, ja się nie cofnę przed wami, a wyzywam was, żebyście śmieli tknąć reprezentanta Konwencji narodowej. No! probujcie, zakładam ręce na piersi, bronić się nie będę!

Burza nieznacznie cichła i cofała się, krzyki stawały rzadsze i nikły w oddaleniu. Klaudyusz Mouriez szedł ciągle sam wśród téj ciżby naprzód, i nie znajdował w niej najmniejszego oporu.

—Obywatelé, rzekł naówczas, ponieważ prawu posłuszni jesteście, wybierzcie z pomiędzy was sześciu delegowanych; polecicie im przedstawić skargi wasze, niech przyjdą do mnie o południu.

Szmer zezwolenia odpowiedział na te słowa; zbiegowisko straciło charakter nieprzyjazny i straszny i rozsypywać się poczęło; o świcie nie było śladów jego.

Klaudyusz Mouriez rozkazał żołnierzom prowadzić więźnia na miejsce przeznaczenia, a sam powrócił do domu, przeszedłszy kilka ulic pełnych ciekawych, wcale nieokazujących mu sympatji.

Przyjaźni i nieprzyjaciele, wszyscy z jakąś czcią patrzali na przechodzącego olbrzyma rewolucjonistę, który umiał sam walczyć przeciwko całemu ludowi, którego głos, ruch, energia, postać, rozsiewały daleko, milczący postrach przed sobą.

Przyznać potrzeba, że Klaudyusz Mouriez w podobnych zdarzeniach nie zaniedbywał korzystać z fizycznych swych przymiotów, któremi go obdarzyła natura: trzęsa się pod nim ziemia, jak pod przenośną wieżą rzymskich kohort, drżały mu usta, płonęły oczy, nadymały się nozdrza, rozdzierała się pod piersią széroką rozłożysta republikańska kamizelka; tak przerzynał się przez tłumy jak archanioł niedobity piorunem po buncie, i spadły na naszą ziemię przez omyłkę.

Synowiec Adrjan, o świcie na nogach, czekał stryja we drzwiach ratusza, i kończył czytać raporta policyi, które w nocy poprzychodziły; pilne były jak widać, bo na nich to słowo stało dopisane u wierzchu.

—A! jesteś Adrjanku, zawołał stryj, ściskając go za rękę— idźmy prędzej, bo się przyzbiera ciekawych, a ty wiész, że ciekawi są nasieniem rozruchów.

—O! zawołał bratanek, przodem postępując po wschodach.. zawsze słowa twe mędrzejsze są od czynów.

Gdy pozostali sami, i usiedli w municypalnym laboratorium, Klaudyusz Mouriez rzekł do młodego człowieka:

—A i ty od samego rana jesteś widzę w złym humorze!

—Jest bo czego, kochany stryju.

—No! radbym wiedzieć!... daj pokój tym tajemnicom i mów.

—Oto macie, odezwał się Adrjan, rzucając papier na stół.. oto raport, który za mnie mówić będzie.

Klaudyusz wziął doniesienie policyjne, i twarz jego brązowa zdawała się rozkładać jak wosk topniejący od ognia.

—Czytałeś to? spytał naiwnie Adrjana.

—A na cóż, kochany stryju (proszę wybaczyć wyrażenie), tak nieroztropnie powierzasz mi czytanie wszystkich raportów; kiedy się mogą trafić między niemi podobne temu?

—To wyjątek... Adrjanie... to nieszczęśliwy wyjątek.

—Stryju, wyraz to za słaby... nieszczęśliwy! nie każdy tak osądzi.

—Myślisz Adrjanie, że ta awanturka będzie miała rozgłos?

—Czy myślę! Ba! ależ stryju! jesteś bo czasem naiwny, jak pierwsze słowo dziecięcia. Jak to! posyłasz dwóch zbirów porwać kobietę w domu na ulicy du Thiers N. 49; ci niezręczni nie porywają nikogo; wypędzają ich ztamtąd sromotnie łopatami, grabiami, ludzie téj kobiety, i myślicie, że ta nocna wycieczka jest *nieszczęśliwym wyjątkiem*, niemogącym mieć rozgłosu.

—Trzeba bo ci powiedzieć Adrjanie, rzekł Klaudyusz głosem łagodniejącym, że miałem ważne powody zgwałcenia w ten sposób domu obywatelskiego.

—Ale mój stryju! jaż znam te ważne powody! ten obywatel, jest to raczej obywatelka, niema o niej mowy w raporcie, ale ja łatwo odgadnę jój imię.

—Omylisz się Adrjanie... Tak, tak, i darmo nie wytrzeszczaj na mnie oczów, omyliłbyś się.

—To nie hrabina Margareta?

—Nie! odparł Klaudyusz, zdobywając się z ciężkością na kłamstwo.

—Mówisz nie! więc nie ona! nie hrabina Margareta!

—Ex-hrabina, Adrjanie.

—Ba! nie czas śpierać się o tytuły; piękny koncept, że mnie chcesz w ten sposób zbić z tropu; ale ja nie dam się spędzić..

—A to już za wiele! rzekł Klaudyusz z miną jak by się chciał buntować, ale razem łagodnie — znowu mnie ten dzieciak zmusza, żebym się tłumaczył.

—Mój stryju, trzeba umieć znosić następstwa rewolucyi, które robicie. Hierarchje, pokrewieństwo zniknąć muszą. Teraz my jesteśmy stryjami z kolei, i mogę ci to dowieść.

Adrjan wstał, otworzył okno i spojrział na niebo.

—Gdzie idziesz, dziecko! odezwał się Mouriez z akcentem nieśmiałym winowajcy, który chce przekupić sędziego.

—Ja także wybieram się na ekspedycją.

—No! jaką? spytał Klaudyusz z uśmiechem poważnym.

—Dawniej, przed 89, gdy stryj jaki dowiedział się, że synowiec jego skompromitował się w nocnej wycieczce, udawał się osobiście na miejsce przewinienia, dla stłumienia niedobrego rozgłosu w kolebce. Idę więc, w skutek nowego rzeczy porządku, spełnić ten obowiązek.. tylko na wywrót.

—Adrjanie, nie pójdziesz, rzekł Klaudyusz, zastępując odedrzwi.

—Stryju, popełniłeś czynność niegodziwą, która może zbezczęścić imię twoje i imię ojca mojego! Puszczaj mnie, puszczaj, mówię, żebym co najprędzej zaszył podarte szmaty honoru naszej rodziny, który podarłeś tój nocy.

—Adrjanie, synu kochany, rzekł Klaudyusz prawie błagającym głosem, wszystko ci przesadza twoja młodzieńcza imaginacya. Honor nasz cały, nieskompromitowany.. wierzaj mi..

—Dwóch zbirów postanych tajemnie do młodej kobiety, jak to bywało w rzeczypospolitej Weneckiej! świętość gynecceum sprofanowana o północy! a! to rzeczy uczciwe bardzo! to ucznia imię nasze! Teraz chyba uczciwe kłamstwo obronić nas może od infamji! Trzeba powiedzieć hrabiniej Margarecie że to byli dwaj bandyci; trzeba się ich zaprzec, i ich występku się wyrzec. Pierwsze poruszenie doradza mi ten krok, czynię to bez rozwagi, bo sędzę dobrém, i nie myślę czekać na dyplomatyczne rozmysły, które zawsze nie pozwalają spełnić co poczciwe... Stryju, puszczaj mnie... nie wstrzymuj mnie na drodze obowiązku...

—Czekaj jeszcze Adrjanie... światło dzienne lepiej cię natchnie, zawołał Klaudyusz, składając ręce.

—Czekać! tu niema chwili do stracenia!.. Oto już dzień świtać poczyna; idę, i wymagam więcej: nie pójdę sam, musisz pójść ze mną.

—Ja?

—Powiedziałem jasno zdaje mi się... kochany stryju. Tak, ty ze mną pójdziesz do hrabiniej Margarety. Proszę przodem, idę za panem; brat twój woła byś to uczynił z głębi swojego grobu.

Klaudyusz Mouriez, zwyciężony od dziecięcia, jak Goliath przez Dawida, schylił głowę i nie wiele wiedząc co czyni, posłuchał młodego Adrjana.



## XVII.

### Broń wygnança.

Andrzej poszedł za Anielą po wschodach, i towarzyszył jej w ogród.

Przybywszy razem po nad pochyłość boczną drogi, zastanowili się; Aniela spójrzała w niebo, i lekko na znak że się udało skinęła głową; potem pociągnęła z sobą Andrzeja w długą ulicę gęsto drzewami wysadzaną, mówiąc.

—Pamiętasz pan jak dnia jednego szedłeś tędy za nami przez te dzikie zarośle? Czy przypominasz pan sobie?

—Jakżebym mógł zapomnieć? odparł Andrzej wzruszony. Nie dawno to temu, pamiętam nawet żem wkrótce ślad stracił... właśnie w tém miejscu podobno.

—Teraz, panie Chenier, słuchaj pan dobrze co mu powiem. Proszę nie śledzić mnie gdzie się udam. Usiądź pan pod tym krzewem i czekaj na mnie.

—Słucham ślepo, rzekł poeta.

—Tak, ślepo, dobrześ pan powiedział.

Upełną kwadrans; jutrzeńka napełniła las swemi wdzięcznymi szmery wiosennemi, budząc wszystkie uspione zapachy kwiatów i głosy ptastwa.

Andrzej nastawił ucha i zdało mu się jakby usłyszał szmer sukni która się przesuwiała po trawie; nie zwrócił jednak głowy i oczekiwał na ukazanie się osoby, z okiem ciągle wlepioném w jedne miejsce.

Nagle powstał, padł na kolana i podniósł się na znak mu dany, wszystko w oka mgnieniu. Hrabina Margareta była przed nim.

—Trzeba żyć w naszych czasach, odezwała się, żeby podobnych scen być świadkiem. Ale wina nie nasza że wszystko przewrócone w prawach przyzwoitości i obowiązkach ludzi, że żyć musimy w podziemiach i ciemności: pochodzi to ze straszliwych warunków chwili dzisiejszej. To panu tłumaczy, jakim sposobem znalazłam się tutaj.

—Pani, rzekł Chenier, przyszłaś by człowieka z rozpaczcy wybawić; dobry uczynek przystoi w każdej epoce i chwili.

—Nie, panie, mylisz się. Żyjemy w momencie w którym kobieta wierzy słowu mężczyzny, grożącemu jej samobójstwem. Dziś umrzeć tak łatwo! uwierzyłam w jego rozpacz, i przybiegłam na pomoc, jakbym tonącemu wyciągnęła rękę.

—Drugi to już raz jednej noey ratujesz mnie pani; pojąłem coś pani uczyniła dla mnie, kilka godzin temu, w swoim ogrodzie, gdyś się ukazała ściągając na siebie całą uwagę... tego... tych ludzi, i dozwoliła mi uciec, korzystając z ciemności. Kobieta tylko może uczynić coś podobnego, wymyślić coś tak cudownie, a raczej jedna tylko kobieta zrobić to mogła, ta, którą życiem całym miłości i wdzięczności chciałbym otoczyć.

—Dowiodłam panu, odezwała się młoda kobieta, biorąc za rękę poetę, jak mnie obchodzisz na pierwszy wykrzyk jego rozpaczcy przybiegłszy... Teraz zdaje mi się spokojną być mogę; ustąp pan i bądź ostrożnym. Będę czuwać nad tobą, biedny wygnańcze; ale trzeba żebyś i pan zasłużył na macierzyńskie starania moje. Samobójstwo byłoby więcej niż występkiem, byłoby niewdzięcznością; nie możesz być niewdzięcznym.

Na te słowa, hrabina odwróciła się żywo i silnie ścisnąwszy dłoń Andrzeja, pociągnęła go za sobą pod inne drzewa cienistsze i gęstsze.

—Stań pan, rzekła, na tym pasie wysokich traw i nie ruszaj się więcej, nie pytaj o nic.

Pierwsze promienie słońca oświecały ulicę, zaczynały bieleć mury domków przez gałęzie drzew.



Aniela śpieszyła ku nim szybkim krokiem, i choć odgłos jęj stąpań nie rozlegał się stłumiony trawami po których szła, dosiagnął jednak uszu Margarety. Była to warta czujna, która uchodząc ze stanowiska, choć się nie odezwała słowem, oznajmywała już o niebezpieczeństwie.

Andrzej stał nieruchomy na tajemniczym swym miejscu, w którym go rozkaz kobiety postawił, jak posąg na swęj podstawie.

Aniela drżała ściskając rękę hrabinęj.

—Pani, odezwała się ochłonawszy trochę z wrażenia — dobrąś pani myśl miała stawiać mnie na straży w tęg gąszczy, zkad widać wszystko bezpiecznie. Dwóch ludzi przybyło w ulicę przed dom twój; postacie ich wcale mnie nie zaspokajały, nie traciłam ich z oczów. Zatrzymali się czyniać sobie jakieś znaki porozumienia i wskazali ręką drzwi, jak gdyby czynili ceremonje kto z nich pójdzie pierwszy. Jeden z nich był wysokiego wzrostu, i wpatrzywszy się w niego, pomimo że nie dobrze było widno, poznałam...

—To on! przerwała nagle hrabina.

—Tak, pani.

—Kto on? zapytał mimowolnie Andrzej.

Hrabina piękną swą ręką zatuliła mu usta, i spojrzęła na niego wdzięcznie lecz surowo.

—Tak! spodziewałam się tęg wizyty! rzekła... I weszli?

—Nie pani... Zdaje się, jakby czekali na positek. Dwaj pierwsi agenci policyi musieli powołać innych, widać że ich naczelnik stanął na czele wyprawy.

—Wszystkie dróżyny mojego domu muszą być otoczone przez policyą! zawołała kobieta.

—To bardzo być może, i ja to właśnie myślałam.

—Pozwól pani bym jęj ofiarował schronienie w....

—Panie Chenier, przerwała hrabina, oto już dwa niepostuszeństwa w jednej chwili... Dajesz mi pan schronienie w swoim domu... Nie bardzo by ono było bezpieczne... domy nasze sąsiadują z sobą... A cóżby pomyślano o mnie gdyby mnie u pana znaleziono! Panie Chenier, wiedz, że kobiety są lepiej przewidujące od mężczyzn... Jeśli lasek otoczono, o czém nie wątpię, cóżbyś pan uczynił? naprzykład? pozwalam panu odpowiedzieć?

—Pani, gdybym był sam...

—Ale pan sam nie jesteś, przerwała żywo hrabina, jest nas troje...

—Broniłbym pani, choćby paść przyszło.

—Ale śmierć pana nie obroniła by nas.

—Nie pani, lecz...

—Nie mów już pan więcej, panie Chenier; po ostatnich słowach niema co dodać. No! a ja, panie poeto, miałam przezorność siostry lub matki... dla pana. Spójrz, spójrz po dalekich uliczkach tego lasu. Nie zdaje się panu że tam bronie błyszczą w dali; że się straszliwe ukazują twarze, gałęzie rozsuwają i zbójcy wyłazą...

—A! to nie marzenia moje, rzekł Chenier, okrywając wejrzeniem hrabinę... to rzeczywistość... a ja nie widzę nikogo prócz niéj jednéj.

—Uciekaj więc pan, uciekaj, nie nie możesz we własnéj, nie w mojęj obronie... nie masz nawet oręża. Złapano by cię w zasadzce, bezczelnie, jak lwa co wpadł w jamę nagotowaną.

Andrzej pochwycił gałąź wiązu, odłamał ją od drzewa i oczyścił w mgnieniu oka, jak pastérz, przywykły do tego rodzaju broni w dolinach Tessalji, porywa drzewinę widząc wilka.

—To szaleństwo! co pan robisz? zawołała hrabina— sza-

leńsze jeszcze co zamysłasz? Na Boga, słuchaj pan mnie! korzystaj z ostatka cienia co nas okrywa pod temi drzewami, bo wkrótce go słońce rozpędzi.

—Ależ... pani... przerwał poeta— żądaj co podobna, na miłość Boga... a będę posłusznym! mogę się zgodzić na tak podłą ucieczkę! zawołam jak brat Godfrieda u Tassa: *Cożby rzezono, wiedząc iżem kobiecie odmówił dłoni...* Twoi nieprzyjaciele, pani, zresztą, są równie mojami, będę ich oczekiwał. Silną dłonią chwyciłem oręż który zwalczył Geryona i Anteusza, nie ja pierwszy padnę w walce; masz pani porę ucieczki, bo ci co nas szukają wprzód będą musieli bronić się odemnie.

Młoda kobieta ręce założyła spokojnie, nogą gwałtownie poruszyła trawy, i spojrzała w niebo jakby żądając z niego natchnienia.

—Dziękuję panu za to szlachetne poświęcenie; nie tylko jenjuszem naśladujesz starożytnych, ale i sercem także. Postanowiłeś więc dać się dziś zabić za mnie?

—Dziś— i zawsze.

Hrabina dała jakiś znak Anieli stojącej o kilka kroków.

Promień słońca horyzontalnie przeszywał sklepienie drzew i oświecał tę scenę.

—Teraz nas już zobaczą... czy pan nie ruszyłeś się z miejsca, panie Chenier?

—Ani krokiem.

—I zawsze nie chcesz mi być posłusznym?

—Chcę się zawsze poświęcić?

—No! dość téj próby, którą mi ranek dzisiejszy dozwolił spełnić... zastępujesz pan na to co dla niego kobieta uczynić mogła.

Anielo! otwieraj.

W największej gąszczy, Aniela podniosła tajemniczą klapę, których w owej epoce tyle zbudowano, i Andrzej ujrzał ciemną głąb, wiodącą do podziemia— Idź pan z nami, odezwała się hrabina, wchodząc najpierwsza.

Kłapa zapadła po cichu, jak wieko axamitne.

Podziemie to, dzisiaj jeszcze istniejące, wiodło tajemniczo od domu N. 19 do lasu, wygnańców i prześladowanych 93 roku: wykopane było w kształcie sklepienia, w ziemi gliniastój ale tęgój, i trzy latarnie oświecały je co dzieśnięć kroków rozstawione.

—Jak to pan znajdujesz? spytała uśmiechając się hrabina... teraz wiesz pan tajemnicę moję, panie poeto.

—Jest to niezawodnie najlepsza broń prześladowanego, rzekł Chenier... jakimże trafem znalazłaś ją pani u stóp swoich?

—Nadto pan razem chcesz wiedzieć, poeto nasz... później to panu opowiem.

—Przebacz pani, moję ciekawości niewczesnej.

—Oto są dziś, kończyła hrabina, naszego Wersalu galerje! Oto korytarze wielkich pań! kto by to nam powiedział na owej wieczerzy w hotelu de la Tour d'Aigues w Aix, w 1788! gdy pan Florjan recytował nam pastérki swoje, gdy Cherubini śpiewał: *A! jeśli jest w waszém siole...* gdy ksiądz Delisle deklamował wiersze o figach i oliwach Prowancyi.

—Dodaj pani jeszcze, przerwał Chenier, gdyś tak chmurno spoglądała na mnie wśród uczty tak wesofej! gdy twa wdzięczna twarz okryła się nagłą bladością, jak gdyby widzenie 93 roku krwawo mignęło przed jēj oczyma.

—Tak! tak! przypomina mi się to trochę... a! prawda! prawda! rzekła, śpierzając twarz swą na dłoniach.

—Nie pani, pani to doskonale pamiętasz, nie trochę tylko, ale jasno i wyraźnie...

—Tak jest! odpowiedziała hrabina melancholicznie potrząsając głową... kobieta nie może oszukać poety który widzi wszystko i wszystko zgaduje... wyznam więc panu do końca. Jest to wspomnienie tego obłoku krwi który mignął przedemną, który życie moje związał z twojem życiem, który od pierwszych twych walk, hrabinę Margarete rzucił na wszystkie drogi, jakimi poszedł awanturńczy Chenier... Tak, ten wieczór w Aix, ta wieczerza, wyryły się niezmazanemi głoskami w pamięci mojej. Ujrzałam natomiast w ciemnej głębi sali straszliwe rzeczy, widziałam przedmioty krwawe, na które niema nazwania w żadnym języku, które włos mój palą! przywiałam się do ciebie uczuciem przywiązania, które umiałabym może nazwać, gdybym była matką... Oto... Chenier... podziemie wyryto dla ciebie w dwa miesiące przez wiernego mojego Denisa, dawnego ogrodnika, dziś zamieszkującego z całą rodziną w Viroflay; on to czuwa nad Anielą i nademną co do potrzeb życia, i co wieczora opatrzność dla nas zastępuje...

Andrzej ujął rękę hrabinę, zlał ją łzami i rzekł.

—Pozwól mi pani teraz spytać, co na nią ściągnęło to prześladowanie tego...

—Wstrzymuję cię panie Chenier, nie pytaj o nic... Przyjdzie chwila gdy pytania twe stać się muszą niewczesne, pomimo woli, a wiele by mnie kosztowało odpowiedzieć ci obelżywem milczeniem. Czekaj odpowiedzi, którą czas, wielki objawiaez tajemnic, przyniesie powoli na twe pytania.

—Zgadzam się pani.

—Oto jesteśmy u końca naszej *schówki*. Mówmy cicho... lub, co lepij, zamilczmy...

—Słuchajmy czy nie będą co mówić?

—A któż mówić ma? jeśli my milczéć będziemy?

—Panie Chenier, będziesz widział i słyszał, niech to mu wystarcza. Nie pytaj więcéj.



## XVIII.

### P o e t a v a t e s .

(WIESZCZ - POETA).

Hrabina przyłożyła ucho do drewnianych drzwi zamykających podziemie, i kilka tak chwil postawszy, dała znak ręką, że żaden ją głos niedochodził.

—Teraz, odezwała się do Andrzeja Chenier nie bardzo głos niżając, wytłumaczę panu krótko cały mechanizm tego schronienia. Kto wie! może ci to kiedy na co przydać się może. Przyciskając palcem tę mosiężną klamkę, otwierają się drzwi i wchodzi do salonu. Konsola zakrywa wewnątrz drzwiczki i stanowi z nim jedność. W téj chwili niéma niebezpieczeństwa, do pełnienia téj demonstracyi, stanie się ona jaśniejszą.

Młoda kobieta przycisnęła klamkę mosiężną i przez jaśną szczelinę prostopadłą ukazała się część salonu: żaden głos, szmer, szelest nie dawał się słyszeć; ręka ciekawa popchnęła drzwiczki dalej, i Chenier wysadziwszy głowę naprzód, potem po pas wychylony, wszedł do salonu chcąc rozpatrzyć wewnętrzny mechanizm konsoli. Młoda pani weszła za nim czyniąc sprawiedliwą bardzo uwagę, która ich oboje uspokoiła.— Nie słysząc było jeszcze uderzeń do bramy, odezwała się—zaczną od tego. Będziemy mieli dość czasu zniknąć niepostrzeżeni.

—Niezawodnie! powtórzył Andrzej cały w szczęściu oglądania blasku piękności hrabiny Margaretę, oświeconej wesołym słońca promieniem.

Hrabina pomimo przestachu, ciężącego nad niemi w tej chwili, oddawała się niewinnej próżności okazywania z dumą pocie zręcznego mechanizmu ruchomej konsoli, którego robotą sama kierowała: zamknęła wreszcie drzwiczki tajemne i odezwała się do Andrzeja.

—Widzisz pan że teraz niepodobna odgadnąć wejścia do podziemia, a chcąc uciec z tego domu, jak ja tej nocy, przyciska się tylko rozasę tej konsoli i...

Ręka Cheniera dotknęła w tej chwili dłoni hrabiny, ona podniosła oczy, i ujrzała w zwierciadle dwóch ludzi wchodzących do salonu. Zimny pot oblał jej skronie: poznała Klaudyusza Mouriez.

Chenier pozostał jak był i skinieniem głowy odpowiedział na ukłon dwóch osób wchodzących do salonu.

Hrabina zebrała się na całą energją, jakiej była zdolna i patrzyła na dziwnych swych gości.

Aniela była w podziemiu.

Wielka pani, w tej piorunującej ostateczności, znalazła potrzebną energję.

—Proszę panów siedzieć, odezwała się z ruchem wdzięcznym, jak gdyby przyjmowała dwóch dworaków w swoim hotelu de Grave.

Klaudyusz Mouriez, który nie zadrzał ostatniej nocy przed rewolucją głodu, uczuł jakby słabł, i stchórzył jak tchórz, widząc broń dobytą. Adrjan spójrzył na stryja i dostrzegł bladeść śmiertelną, która pokrywała tę twarz brązową.

—Przychodzim, rzekł młody człowiek z tonem posza-

nowania, przychodzim prosić panią o chwilę rozmowy na osobności.

—Na osobności, powtórzył Klaudyusz, któremu ledwie tchu na ten jeden wyraz starczyło.

—Wszakże ten pan, odparła hrabina wskazując Cheniera, nie będzie może zbyt cennym świadkiem?

Adrjan spójrzył na stryja, który pokornie dał znak że się zgadza.

—Nie mogę odejść i pani porzucić, rzekł Chenier stanowczo ale grzecznie.

Mężczyzna który drży przed kobietą, nie zadrży przed równym sobie mężczyzną; wyrazy suche Cheniera wróciły odwagę Klaudyuszowi.

—Obywatelu, rzekł, jeśli nie wyjdiesz, rozmowa miejsca mieć nie będzie, a naówczas—biada opornym!

—Jeśli mi pani wyjść każe, wyjdę, rzekł Chenier.

—To słuszna! odezwał się Adrjan, gestem zręcznym i mało znacznym starając się stryja do pierwszego zwrócić usposobienia.

—Darujecie panowie nieśmiałości kobiety, przerwała hrabina, nie mogę się zgodzić na taką rozmowę jaką mieć chcecie.

Klaudyusz Mouriez zabierał się wybuchnąć; Adrjan uspokoił go zaraz, obejmując z miłą poufałością i odzywając się głosem słodkim.

—W istocie, nadto wymagamy, mój stryju, od kobiety; to co jej powiedzieć mamy mógłby cały Wersal słyszeć; nie mamy więc potrzeby usuwać jedyne go jej świadka który zapewna... jest mężem pani.

Chenier i hrabina ostróżne zachowali milczenie.

Adrjan zwrócił się do stryja i uśmiechnął się do nie-



go wdzięcznie, młodo.— Prawda? niegodzi się męża od żony oddzielać?

Klaudyusz coś szepnął wewnątrz, jak organ który się odzywa głucho.

—Stryj mój, obywatel Klaudyusz Mouriez, rzekł Adrjan, ma sobie nadaną, jak państwo wiecie, władzę nadzwyczajną od Komitetu ocalenia publicznego. Wojna ze ziemi, opieka uczciwym, to godło jego. Dowiedzieliśmy się z dokładnych i pewnych doniesień, że dwóch złoczyńców napadli nocy ostatniej na dóm pani, i zaręczając jęj że podobna napaść więcej mieć miejsca nie będzie, oznajmujemy jęj że winnych szukają, odkryją i ukarani będą przykładnie. Obowiązkiem naszym było począć ten dzień od kroku który pani ocenić potrafisz; później, prace administracyjne byłyby nas wstrzymały na ratuszu, i nie przyszłobyśmy tu o tak rannę godzinie, gdyby nie okoliczność która nas próg tego domu przestąpić ośmielała: brama otwarta świadczyła że mieszkańcy wstali uprzedzając słońce.

—Radam wierzyć, odpowiedziała hrabina, że co mi pan mówisz, jest wyrazem myśli stryja pańskiego pana Mouriez.

Mouriez skinął w sposób potwierdzający, i wybąknął słów kilka bez związku.

Adrjan miał wyjść, i oczyma wskazywał stryjowi drzwi salonu, ale ten nie mógł się zebrać na tak prędkie odejście; wszak czary jakieś nieprzewyciężone wstrzymwały go w tęg atmosferze spokoju, w której wdzięk wiosny, woń kwiatów, śpiew liści szumiących, piękność kobieca łączyły się łagodząc nienawiści i słodką napawając ironją namiętności polityczne epoki.

Oczy Klaudyusza Mouriez, w chwili jednej, przebiegły wszystkie wyrazy spójrzeń, od surowości upar-

tęj do najczulszej słodyczy: ta kobieta, którą ściagał tak zapalczywie w wolnych od politycznych swych prac chwilach, stała przed nim, i niewinne szczęście widzenia jej, zacie-rało w nim pamięć Fouquier-Tinvill'a, dziennika *Przyja-ciela ludu* i klubu Jakóbinów.

Naglony wzrokiem panującym Adrijana, Klaudyusz Mouriez bełkotał niewyraźne słowa pożegnania, ale nie miał odwagi skazać się na zaćmienie nagle widoku piękności; wyrazy ostatnie na drżących jego ustach zmieniły się zupełnie, i zamiast nich, rzekł następujące słowa:

—Czy pani... ma jakie podejrzenia... ktoby być mogli ci złoczyńcy, o których mówi mój synowiec?

—Nie panie, odparła hrabina z dobrze udaną prostotą.

—Dość by mi było najłżejszego śladu, do dójścia tych ludzi...

—Najmniejszych śladów nie mam.

Dwóch ludzi kochających się w jednej kobiecie, nigdy się nie omylą na sobie. Andrzej na chwilę nie odwrócił wzroku z Klaudyusza Mouriez, i oświecony nagle już wszystko zgadywał.

Dwadzieścia razy gorący poeta wstrzymał, jak sam mówił «szatana co jego sercem miotał» walka ta ostrożności i exaltacyi musiała się zakończyć: exaltacya wzięła górę.

—Mości papie, odezwał się ze szczerólnym akcentem, który zaostrzała nieustanna ironja,— chociaż pani niema żadnych do wskazania mu śladów złoczyńców, życzliwy jego wymiar sprawiedliwości zrażać by się tém nie powinien. Z tych wyżyn na jakich pan stoisz, łatwo mu widzieć dobrze i zapewnić pomyślne skutki badaniom. Skoro pan zażądaś dowiedzieć się o wszystkim, dowiesz się wszystkiego. Ja ręczę za skutek. Nadewszystko szukaj pan występnych gdzie potrzeba; ręka zbrodnicza wiodła

tém wszystkim, inni byli tylko jój ślepem narzędziem. Tę rękę dosięgnąć potrzeba, i przyjdzie to panu łatwo, tak łatwo, że uczynić tego nie zechcesz...

—A cóż mi może przeszkodzić do spełnienia mego obowiązku? zapytał Klaudyusz głosem na wpół pewnym, wpół wahającym jeszcze.

—Co może przeszkodzić! Na co te pytanie? pan to wiész przecie.

—A! ja to wiem! powtórzył Mouriez z gorzkim uśmiechem.

Chenier po kilka razy głową dał znak potwierdzający.

Adrjan, bładny z przestachu, patrzył na hrabinę która oczy spuszczone miała ciągle ku ziemi, ze stoicyzmem zupełnym.

—Jednakże, odezwał się Klaudyusz z udaną najniezgrabniejszą naiwnością, gdybym nie miał dość przebiegłości, gdybym mniej wiedział niżeli pan sądzisz, wszak wolno mi będzie, uciec się do jego światłej rady?

—Nigdy nikomu, odparł szybko Chenier, nie odmówił udzielenia światła jakie mieć mogę.

Są wyrazy które zdają się odskakiwać od piersi słuchacza jak kule od tarczy do której wymierzone były. Mouriez poskoczył jak człowiek rażony kulą wystrzeloną w pierś samą.

—Więc, rzekł smutnie się uśmiechając, udam się gdy będzie potrzeba o radę do pana.

I spójrzył na hrabinę z miną kogoś, co się spodziewa że go przytomny pośrednik ze srogiego wywiedzie kłopotu.

Hrabina udawała w téj chwili że z największą uwagą przypatrywała się wierzchołkom drzew swego ogrodu, jakby obrońcy swemu dozwalała z zupełną swobodą wyrażać myśl przedsięwziętą, nie troszcząc się wcale o wy-

padki które czasem sprowadza odwaga nieostróżna i nie w miejscu.

—Gdy będzie potrzeba! powtórzył szydersko Chenier, gdy będzie potrzeba! Ale podobne rzeczy natychmiast wyjaśnione być powinny. Sprawiedliwość jego ma-li się wlec kulawa, gdy gotowe ofiaruję jój skrzydła by dościgła celu?

—A więc! zobaczmy! rzekł Mouriez, zobaczmy tych skrzydeł— i ręce skrzyżował na piersi nakształt puklerza.

—Zobaczysz pan— mówił dalej poeta— mamy instynkta nieomylny do czytania z twarzy, jak panowie czytacie z raportów policyjnych. Dla mnie wywód sprawy tój nocy pisze się na twarzy pańskiej, w oczach jego; brzmi w każdym wyrazie jego mowy; rysuje się w wesołości smutnej która rysy jego pokrywa... do tego stopnia że uśmiech ten, ruchy, postawa byłyby inne gdyby to co zaszło nie tém było czém jest w istocie, do tego stopnia że wasz synowiec, uczciwy młodzieniec, gdyby nie tak było, już by się wydał broniąc pana, a przecież milczy i oskarża go milczeniem swoim. Czy dość to jasne? Chcesz jeszcze promyka!.. niech i tak będzie... Pan zwierzęcą namiętnością kochać śmiesz tę kobietę i sam jesteś sprawcą, sam współnikiem barbarzyńskiego napadu nocy ostatniej!

Adrjan z rozdzierającym straszliwym krzykiem, upadł i omdlał: dalej go już odwaga dzwignąć nie mogła i utrzymać.

Ziemia zadrżała pod nogami Klaudyusza, głuchy jęk wyrwał się z piersi olbrzyma, jak odgłos źródła Solfatary— Pan się urągasz reprezentantowi prawa! zawołał grzmiaćco— aresztuję pana!

—Dobrze! odparł Chenier — szlachetna odpowiedź na moje obwinienie! wybornieś się oczyścił.

—Pan prawa nie masz mnie nic zarzucić!

—Żądasz pan światła odemnie, udzielam go.

— Jesteś zuchwalcem!

— Na Boga! zawołała hrabina, ratujcie tego młodego człowieka... Zimny, jak trup...

W tej chwili, gwałtowne uderzenia młota zabrzmiały u bramy domu.

— To moi wierni towarzysze szukają mnie, zawołał Klaudyusz ze straszliwą groźbą, czuwają nademną. Myśleli żem wpadł w zasadzkę rojalistów. Pojdę im sam otworzyć, i oboje państwo zamknięci będziecie w więzieniu miejskiem.

Klaudyusz wyszedł szybko otworzyć bramkę od ulicy... kobieta stała w progu sama... Klaudyusz rzucił żywo wzrokiem po drodze i w długie cieniste aleje... żywej tam duszy nie było, nikt się nie ukazywał nigdzie.

— Czego tu chcesz! spytał ostro kobiety.

— Wracam do domu.

Była to Aniele: pełna poświęcenia kobieta; słyszała całą scenę, i przybiegła na wszelki wypadek dla odwrócenia uwagi i uratowania swój pani.

— Dom ten jest właśnie badany z rozkazu sprawiedliwości, idź sobie.

Odepchnął Anielę w ulicę nazad, zamknął drzwi, i ręce spuściwszy w szerokie kieszenie sukni, dobył z nich parę pistoletów, które przygotowawszy skierował się ku salonowi.

W tej chwili, twarz Klaudyusza Mouriez wyrażała najsprzeczniejsze uczucia; co tylko dobrego, ludzkiego było w głębi duszy jego, ulotniło się od ognia miłości i nienawiści; człowiek— wróg i kobieta— kochanka, zastaniali mu świat cały; miał ich oboje w mocy swojej, by pierwszym nasycić nienawiść, drugą miłość.



## XIX.

## Za obrazę kobiety.

Powiedział jeden ze starożytnych: chcesz-li wiedzieć jak daleko namiętności zająć mogą? Rzuć je w serce człowieka potężnego (*da posse quantum volunt*). Gdy pisarz ten starożytny wyrażał myśl głęboką, władza dostateczną była miarą rozbestwienia ludzkiego. Człowiek, któremu dano było panować, miał do niszczących swych passji odpowiednią energją i zdrowie; włókł namiętności z sobą, nie uginając się pod ich ciężarem, aż do skonania dójrzałości swojej. Co więcej, Cezar Tiberjusz, starzec łysy i wysokim wzrostem zgięty, w Kaprei dalszy ciąg uczt góry Palatyńskiego odbywał. Później ludzie już, w epokach nas bliższych, parodyowali tylko przerażającą rozpustę starożytnych: kolacyjki Regencyi i małe domki chorobliwych jój rozpustników, nigdy się nie wzniosły do cyklopejskich rozmiarów uczt Trimalciona, i pałaców jeziora Lukryńskiego, w których światło słoneczne gasiło lampę i przerywało hymny *ludzi szczęśliwych*.

Jednakże rodzaj ludzki nie przepadł jak przedpotopowe zwierzęta; indywidua gdzieniegdzie przeżyły pokolenie i świadczą, rzadkimi wyjątkami, o potędze passji starożytnych. Ci wyjątkowi ludzie zgiąć jeszcze mogą łuk Ulissa, nucić dyskiem Romulusa, jeść ucztę Trimalciona i stanąć o swęj sile, po dziesięciu nocach saturnaljów, na stosie tyrsów zwiedłych i winnych gałęzi. W zwykłych czasach, te istoty wyjątkowe zmuszone są zmaleć, żeby przyjsć do wiary ogólnej; źle im wśród społeczności która ich wzrostu nie doszła; lecz zaledwie posuną się za

granice dozwolone, otwiera się kodex karny, błyszczy miecz Temidy i muszą żyć spokojnie jak sąsiedzi w więzach małżeństwa i oszczędności domowej, nieznanej Trimalcionom. Gdy społeczność się burzy, natychmiast na wierzch wyrzuca tych olbrzymów energicznych, namiętnych, którzy w nowym świecie domagają się lwiego udziału; jeśli ich woń bitwy upoi, biegną pod chorągwie, stają się Kleberami, biorą Alexandrje szturmem z drabiną i toporem i przechodzą w mytologicznych pół-bogów; jeśli pozostaną w mieście, energja poleca ich tłumom ludu, stają się Mirabeau lub Dantonem.

Nie mogąc wznieść się tak wysoko, pozostają Klaudyuszem Mouriez; — jest to olbrzymiość podrzędna.

Władza dyktatorska, energja niepokonana, duża ognista, ciało z brązu, charakter żywy wszystkich passji, stanowiły potężną indywidualność tego człowieka; jego nienawiść i miłość były plagami okrutnymi, jak tylko mógł wyrwać się z więzów synowca i gospodyni swojej.

W silnym rzucie z jakim od bramy zmierzał ku domowi, nic mu się oprzeć nie mogło, wszystko mu uleż musiało, siła mężczyzny, modlitwa kobiety; wpadł do salonu z głuchemi wykrzykami groźby i począł szukać do koła; ale tu nic nie było — sprzęt tylko i cztery mury nagie.

Zawołał synowca głosem gniewu i przywiązania razem, bo zniknięcie Adrijana na chwilę odeгнаło wszystkie myśli inne: milczenie mu tylko odpowiedziało. Na wschodach rozcchodziło się echo pustkę znamionujące.

Wszedł straszliwy, z sercem pełnym zemsty i pragnienia dzikiego, i zapomniał wszystkiego wyjąwszy swego przybranego syna, który wpadł w ręce nieprzyjaciół; broń trzymana w rękę, wypadła z niej jak nieużyteczna.

Klaudyusz przetrząsł dom cały i obejrzał wszystkie

kąty jego najciemniejsze; potem zbiegł do ogrodu i przeschukał lasek, każde drzewo, każdy krzak od góry do dołu badając. Nie minął żadnej altanki, żadnego płotu, żadnego zakątka zarośli. Pusto wszędzie—Adrjana nigdzie nie było.

Z rozpaczą w duszy, z wściekłością w sercu, przechodził przed sztachetami rozdzielającymi, dwa ogrody, gdy z między nich ujrzał głowę człowieka, którego oczy wlepione weń były zajadle.

—Co tu robisz? zawołał—kogo szpiegujesz?

—Waćpana, odpowiedział z za sztachetów nieznajomy, z największą krwią zimną.

—A! to przynajmniej szczerze.

—Jedyna to moja cnota, żem szczerzy.

—Znasz mnie więc?

—A któż cię nie zna?

—Znasz mnie i szpiegujesz! Odwaga niepospolita jeśli nie szaleństwo.

—A chcesz téj odwagi sprobować, Klaudyuszu Mouriez?

—Czemu nie? lubię ludzi odważnych.

—Ja szukam właśnie jednego odważnego człowieka i znaleźć go nie mogę.

—Nawet teraz.

—Zwłaszcza teraz, panie Mouriez.

—Zdaje mi się obywatelu, że chcesz mnie obrazić?

—Nie mylisz się pan.

—I obrażasz mnie, insultujesz z za sztachetów, rojalisto jakiś!

—Zgadłeś pan żem rojalista; znam i ja rzemiosło pańskie, a ta krata służy mi żebyś mnie z prawa swego nie arestował. Jest to tylko mądra ostrożność.

—I tchórzliwa.



—Nie, mości panie, bo gdyby nie te sztachety, dostałbyś pan po uchu rzeczywiście, a tak odbierasz tylko policzek słowa.

—A! nędzniku!

—Nieznajomy z za sztachel rzucił dwie szpady pod nogi Klaudyuszowi i rzekł.

—Wybieraj pan jedną, a daj mi drugą.

Jak powiedział stało się.

—No! wychodź że, krzyknął Mouriez podnosząc szpadę. Przysięgam się bronić i bić się z tobą.

—Na co mam wychodzić? Bardzo nam i tak dobrze, zbliżmy się tylko i nie cofajmy. Broń się pan, panie opoliczkowany.

Pojedynek ten nie jest widać niepodobnym, ho historyczny; dwie szpady, ściśnięte w ruchach swych ciągle szczękały z zjadłością o żelazne sztachety, i zdawało się że popękać miały, ale bój trwał krótko; zręczność i zimna krew zwyciężyły, jak zawsze odwagę namiętną; Klaudyusz Mouriez raniony został w bok ostrzem piorunującym, wydał rozpaczliwy jęk i puszczając broń z rąk, osunął się na trawę.

—Obrażasz kobiety, rzekł zwycięzca, jesteś napastnikiem słabych, ale oddaję ci sprawiedliwość, masz odwagę i warto bym cię ratował.

Mouriez powstał z wysiłkiem ostatecznym, i chwytając za sztachety jak tonący porywa maszt roztrzaskany, rzekł głosem gasnącym.

—Polecam panu mego przybranego syna, Adrjana Mouriez, którego mi tu... pochwycono... miej pan o nim staranie i...

Dwie tży zabłyśły w oczach jego, i oczy zamknęły się; padł obłany krwią.

— Przysięgam ci, że to uczynię! odparł rozczulony hrabia de Pressy.

Na znak pana, nadbiegł Walenty.

— Możesz się teraz pokazać, rzekł mu hrabia — nie jesteśmy już dwóch na jednego.

— A gdzie tamten? zapytał Walenty.

— Ot tu...

— Jak to? zabity?

— Szpada mi się na nim złamała; to żelazny człowiek.. Walenty.. róbmy bądź co bądź, powinność naszą.. Trzeba wprzód ztamtąd wydobyć szpadę.

— To łatwo, panie hrabio.

— Ułamał gałąź długą, którą mógł szpady dosięgnąć i zbliżywszy się z nią do sztachet, wyciągnął ten znak świadczący o pojedynku.

— Teraz, powiedz mi gdzie Aniela? spytał hrabia.

— Tam, w domu.

— Zawołaj jęj... zaczekam na nią trochę dalej. Aniela wyszła w ganek, a hrabia rzekł do nięj:

— Masz jaki sposób powrócenia do domu.

— Mam, panie hrabio.

— Wracajże zaraz, i hrabinę wyciągnij z sobą do Paryża. Nie mów jęj o mnie; nie przebaczyłyby ci pewnie tego coś uczyniła...

— Panie hrabio, przerwała Aniela, chcięj dobrze pojąc położenie moje. Kobięta traci głowę w takich razach. Wiedziałem Klaudyusza Mouriez u pani, gdzież biedz miałam? kogo zawołać na pomoc? Bóg mi natchnął imię pańskie. Wiedziałam od Walentego, że pan jesteś w Wersalu, i byłam nieposłuszną hrabinęj, w chwili, gdy nadewszystko chodziło o jęj ocalenie.

— Dobrześ zrobiła Anielo, rzekł hrabia, a wszystko zo-

stanie w sekrecie między nami... Pani hrabina była więc sama jedna, gdyś przybiegła po mnie.

— Panie hrabio, odparła Aniela z miną kobiety, która nie przywykła kłamać — pani hrabina była.. tak.. była sama jedna...

— Czegoż drżysz, mówiąc rzecz tak prosta..

— A panie! drzę już od dwóch godzin ciągle.

— Biedna kobieta!

Hrabia ścisnął ją za rękę i mówił dalej.

— Natychmiast Anielo, wróc nazad do domu; naznacz pani miejsce pewne w którémbyście się zeszły; otwórz drzwi, i powiedz pierwszemu przechodzącemu kogo spotkasz na drodze, że w ogrodzie leży ktoś ranny potrzebujący pomocy.. potem oddalcie się z pośpiechem ale ostróżnie. Wymagam od ciebie Anielo, po tem co uczyniłem dla pani twojój, żebyś mnie o wszystkiém tajemnie uwiadamiła, pani swojej nie zdradzając. Chcę tylko wiedzieć co moje serce obchodzi... nie więcéj.

— Panie hrabio, odpowiedziała z ukłonem Aniela, usłucham cię jak należy.

— Wracaj do obowiązków, i nie zapominaj o mnie Anielo.

Strój, który hrabia de Pressy wziął na tę ranną wycieczkę, dozwalał mu przypatrzeć się wszystkiemu, co po téj scenie nastąpić miało, na ulicy Thiers.

Aniela spełniła polecenie jak najściślej, co dowiódł wkrótce tłum ciekawych, gromadzących się licznie na miejsce wypadku.

Co chwila tłum ten wzrastał, a gdy Mouriez poznany został, krzyki wściekle się rozległy—i wyraz, zabójstwo, począł się zewsząd odzywać.

Więść rozeszła się po całym mieście z szybkością iskry elektrycznej; a rozchodząc się wierna prawu jakiemu ule-

gają wszystkie nowiny polityczne, coraz się dziwniej zmieniała.

Mówiono:

—Klaudyusz Mouriez został zabity tej nocy przez dwóch Żirondynów, na drodze do Paryża.

—Wichrzyciele przekupieni przez Rojalistów, wciągnęli tej nocy Klaudyusza Mouriez na plac Wolności, i zadali mu trzy ciężkie pchnięcia sztyletami. Przewódzca zbójców został zatrzymany.

—O trzeciej zrana, Klaudyusz Mouriez wyszedł z ratusza, z synowcem swoim, dla uśmierzenia powstania Rojalistów, których ryk całe miasto słyszało. Dzielny republikanin rzucił się na buntowników, i przeszyty został przez nich.

Wśród każdej kupy, mówca stawał i ogłaszał swoją powieść. Wypowiedziano wszystko co tylko było można, wyjąwszy prawdy—jak zwykle.

Lekarze wezwani do domu pod N. 19, do salonu w którym ranna scena miała miejsce, opatrzyli ranionego, obwiązali go i zawyrokowali, że nie trzeba było tracić nadziei.

Tłum z zewnątrz krzychał wielkimi głosy, żeby zwłoki Klaudyusza Mouriez przeniesione były tryumfalnie do ratusza i wystawione na widok publiczny.

Hrabia de Pressy i Walenty, wmięszani w tłumie, odzywali się kiedy niekiedy z ostrożnością jednak.

—Ale jeśli, jak powiadają, Klaudyusz Mouriez nie umarł jeszcze, juściż trupa jego na widok publiczny wystawić nie można. Trzeba go uszanować i dozwolić mu spoczynku, otaczają go lekarze, niech cisza religijna da mu odzyskać siły.

Mędrsi mówili:

—Tak, tak, obywatel ma racya; jeśli Klaudyusz Mou-

riez ranny tylko, potrzebuje odpoczynku i spokoju. Ustapmy i dozwólmy lekarzom robić swoje.

Najsilniej exaltowani przypuszczali śmierć tylko, odrzucając wszelką nadzieję wyleczenia; potrzeba im było zabójstwa zupełnego.

Dzień tak upływał wśród niepewności, gdy ańsz z ratusza pochodzący, oznajmił urzędowie, że Klaudyusz Mouriez niebezpiecznie ranny przez podłego zbrojcę, w skutek zaburzenia ostatniej noey, nie zostanie stracony dla Rzeczpospolitej, że winni odkryci będą i śmiercią ukarani..

To ogłoszenie municypalności, uspokoiło nieco rozdrażnione umysły.

---

## XX.

### Badanie obwinionego.

— Jakżeś pan noc przepędził?

— Dość dobrze Zuziu... spałem spokojnym snem godzin kilka.

— No! no! miej cierpliwość ... wyszedłeś z niebezpieczeństwa. Doktor mówił.. czekaj pan, napisałam sobie co mówił, jego własne słowa: *Niema żadnego ważnego zbawienia, w organach żywotnych obywatela Klaudyusza Mouriez.*

— Chcesz mówić zapewne *zranienia* nie *zbawienia*.

— Napisałam *zbawienia*, i koniec!

— Jak sobie chcesz, Zuziu! i żadnych wieści o Adrjanie?

— Ah! niema żadnych!

— To Zuziu, to moja rana największa! Gdyby mnie Adrjan po czole pogłaskał, zostalibyśmy uleczeni.. Co się stało z tym biédakiem.

— Wierz pan temu co mówię, i co powiem znowu: synowiec pański wyjechał do Calvados.

— Niepodobna!

— Ależ, panie Mouriez, pan myślisz żeś bardzo zabawny dla tych co z nim żyją? To gruba omyłka. Zapewne, choć mężczyzna, nie zadrasnąłbyś muchy kiedy masz krew zimną; ale jak cię ten republikański diabeł opęta—o! uciekajcie na kraj świata, żeby twarzą waćpana nie widzieć i głosu nie słysząc. Trzeba cię bardzo kochać, i dobrze znać, żeby z nim życie pędzić.

— W istocie masz racya.. potrzebuję ci wierzyć; to mi czyni nadzieję, że Adrjan żyje..

— I że cię porzucił dla pozbycia się.. Ja jestem otwarta. Masz pan czegoś wart. Co za szaf też waćpana wpuścił w te szarfy trójkolorowe i zamęt rewolucyjny.. mnie się zdaje żeście wszyscy powarjowali. Nie lepiej ci było panie Klaudyuszu, z małym twoim dochodem, w ogródku w Honfleur, między rzeczką a morzem?

— Zuziu, kobietą jesteś i nic nie rozumiesz polityki.

— Śliczna wasza polityka! niema co mówić, macie się z czém pochwalić!

— Zdaje mi się Zuziu, że Adrjan powinien powrócić, gdy się dowie z gazet, co mi się trafiło ... znam jego serce.. nie czytałem gazet od dni czterech.. i.

— I czytać ich nie będziesz.. doktor zakazał mi dawać ich panu..

— Pozwól mi tylko przeczytać jeden numer wczorajszy.

— A! a! poczekawszy! zapewne! będziesz go miał!

— No! to powiedz mi przynajmniej Zuziu, czy jest tam mowa o moim przypadku.

— Zapewne że jest mowa.

— I cóż piszą?

— Powtarzają co było w *Przyjacielu Ludu*, w *Mieczu mściwym*, w *Patryjocie*.

— Cóż pisały te gazety?

— Zawsze to co zwykle.. Poczekaj, przeczytam co się was tycze, ale z warunkiem, że na tém przestaniesz.

— Przystaję na to Zuziu!

Gospodyni wzięła gazetę *Prudhomm'a*, poszukała artykułu i czytała co następuje:

«W nocy ostatniego *quintidi*, spokojność zamieszana została w Wersalu skupieniem się ludu przekupionego przez Pitta i Cobourga. Obywatel Klaudyusz Mouriez sam potrafił rozpędzić wichrzycieli; lecz gdy już powracał do ratusza, czterech złoczyńców wpadli nań, odebrali mu broń, i zawłókszy go do ogródka w ulicy Thiers skłóli go sztyletami. Rany są ciężkie, ale została nadzieja ocalenia.»

Klaudyusz Mouriez pomimo wielkiego osłabienia, z lekkim uśmiechem przystuchiwał się czytaniu; gospodyni zrozumieć go nie mogła.

Fakt tedy, został zdobyty dla historii, wedle wyrażenia kronikarzy.

Cała prawie historia składa się z faktów zdobytych, równie prawdziwych.

— Jeszcze cię o jedną łaskę proszę, Zuziu, rzekł Klaudyusz Mouriez błagającym głosem, daj mi spis tych co mnie odwiedzili..

— A co ci po nich? Będziesz miał czas jeszcze i później to przeczytać. Całe miasto zbiegało się dowiadywać; z tyśiąc nazwisk zapisano u drzwi twoich, na tém dosyć.

— I nikt nie domagał się tajemnej rozmowy, gdy będę w stanie mówić?

— A! a! przypominasz mi kogoś co tu dwa razy na dzień przychodzi. Jest to młody człowiek bardzo przyje-

mněj twarzy, postawa przyzwoita, ale ubior nie najstosowniejszy do niěj. Ten najupartszy ze wszystkich: chce koniecznie mówić z tobą, bądź co bądź; zamykam mu drzwi przed nosem, ale zawsze grzecznie, bo i on grzeczny; potrzeba go przyjmować przyzwoicie.

— Mówił ci jak się zowie?

— A tak! czekaj pan, mówił imie, ale go nie chciał zapisać.. Zowie się... przypominam sobie.. pan *de la Grille*.

— *De la Grille!* powtórzył Klaudyusz spoglądając w górę.. A! a! wiem! znam go! masz racyą bardzo miły człowiek... to jeden z dawnych moich przyjaciół.. Jeżeli przyjdzie, wpuść go tu natychmiast..

— Jeśli doktor pozwoli..

— Czy pozwoli czy nie.

— I jeśli mi się podoba..

— Podoba ci się, Zuziu!

— Wątpię bardzo. Zresztą, nie wróci może chyba za tydzień, a w ciągu tygodnia będziesz pan całkiem lepiej.

— Czemuż za tydzień?

— Bardzoś pan ciekawy! Nadto podobno już mówisz na konwalescenta?

— Ale bo mi daleko lepiej Zuziu— nie oszczędzaj mnie... Powiedz mi wszystko co wiesz o tym panu *de la Grille*.

— *De la Grille!* śmieszne nazwisko!.. coś to brzmi jak zmyślone.. Czyż on się tak doprawdy nazywa?

— A kiedym go poznał!

— Prawda! prawda! No! powiem ci! Ten jegomość zdaje się wielce zajmować twoim synowcem *Adrianem*... Poprzysiągł, że go wyszuka i staranie o nim mieć będzie... Prawdaż to?

— Prawda! mów dalej.

— No! to ktoś z twoich krewnych, taką rzeczą?



— Tak jest, mów tylko dalej.

— Ten pan de la Grille upierał się dowiedzieć odemnie czegoś o Adrjanie.. muszę ci powiedzieć, że mi ofiarował przepyszny pierścień.

— Któregoś nie przyjęła?

— Prawie..

— Jak to prawie?

— To jest nie odmówiłam przyjęcia, ale też i nie wzięłam; powiedziałam mu, że się namyśle..

— Tu niema co myśleć—nie możesz przyjąć.

— Dla tego, że od jednego z twoich krewnych?

— Nie przyjmiesz!

— Mam czterdzieści cztery lata, panie Klaudyuszu! mówię ci ile mam lat, bo ty to wiesz. W moim wieku prezenta się nie odrzucają..

— No! to przyjmij sobie.. ale kończ że..

— Jak to? Chcesz żebym kończyła, a przerywasz mi ciągle! Musiałam tedy powiedzieć panu de la Grille, krewnemu twemu, że Adrjan wyjechał do Calvados.

— Zapewniłaś go o tém?.

— A tak..

— I pojechał?

— Wczoraj wieczór, pocztą..

— Bez pasportu?

— Myślisz żem tak roztrzępana! kazałam mu dać pasport panu Legaigneur, z którym robię co chcę.

— Ty więc teraz komenderujesz w ratuszu?

— A kiedyś ty chory, trzeba przecie żeby ktoś rządził! Bądź spokojny, nie więcej głupstw zrobię jak drudzy.

— Zresztą bardzo dobrze żeś mu pasport dać kazała, ale pod jakimże nazwiskiem?

— Śliczne pytanie! pod nazwiskiem własném! de la Grille!

— A! to słusznie!

— Klaudyuszu, widać żeś jeszcze nie wyzdrowiał i nie przyszedł do siebie; pamięć dotąd trochę przytępiona... zaśnij sobie nim doktor nadejdzie.

— Jak tylko pan de la Grille nadejdzie.. powróci, zaraz go tu do mnie przyprowadzisz.. Dałażes mu dokładny adres mojej bratowej, matki Adrjana?

— Proszę być spokojnym, nie zapomniałam o niczém.

W tój chwili zapukano do drzwi zlekka i Legaigneur spełniający obowiązek sekretarza, ukazał się dając znak gospodyni, która przyjęła go z niecierpliwością.

— Czego chcesz? spytała żywo ale cichym głosem.

— Wielka nowina — rzekł sekretarz.. trzeba mi się zaraz widzieć z obywatelem Klaudyuszem Mouriez.

— Nie więcej jak na dwie minuty.. odparła Zuzia. Przyprowadziła Legaigneur'a do łóżka chorego. Sekretarz skłonił się nisko. Klaudyusz podał mu rękę i kazał mu usiąść, mówiąc:

— A co tam nowego?

— Tylko mi nie przedłużaj! szepnęła rozkazująca gospodyni.

— Raportuj mi krótko! rzekł Klaudyusz posłuszny.

— Oto więc rzecz cała, rzekł Legaigneur wpatrując się drżący w gospodynię — Wczoraj ważnego zatrzymano więźnia..

— Codziennie ważnych więźniów zatrzymują, przerwała Zuzia, ustawując sprzęty niepotrzebujące uporządkowania.

— Dajże mu mówić Zuziu, odparł Klaudyusz łagodnie..  
No! kogożeście zatrzymali?

— Twojego zabójcę obywatelu!

Klaudyusz poruszył się cały, wzdrygnął i zadrżał.

— Głupis! obywatelu Legaigneur, rzekła Zuzia klapiąc go po ramieniu — patrz coś zrobił, uwiadamiając go o tém tak niespodzianie.

— To nic, Zuziu, to nic, rzekł Klaudyusz wstrzymując się, dreszcz to był z gorączki, ale nie od téj wiadomości. A cóż mnie zabójca obchodzi?

— Darmo to już mówić, przerwała Zuzia, zawsze to jakiś robi skutek, obywatelu Legaigneur jesteś głupi.

Klaudyusz ruchem łagodnym, zmitygował apostrofę go spodyni i rzekł do sekretarza:

— Odmaluj mi pan wiernie tego człowieka..

— Nie widziałem go, rzekł sekretarz.

— Trzebaż go było widzieć, dodała Zuzia.

— A tak, potrzeba go było widzieć, rzekł Klaudyusz, zapytaliżecie go jak się zowie?

— Spytano go o to, odparł wzruszony nieco sekretarz.

— Jakże się nazywa?

— Otoż zapomniałem się o to właśnie zapytać — mruknął Legaigneur.

— Możesz pójść grać rolę *Cadet-Roussel'a*, zawołała Zuzia.

— Chcę zaraz widzieć tego człowieka, rzekł Klaudyusz z poruszeniem wewnętrzném, które starał się miarkować — ale jak najmniej hałasu, jak najmniej odgłosu; niech mi go przyprowadzi dwóch ludzi tylko.. Prędko, Legaigneur.. na ulicach mało jest ludzi o téj godzinie. Ruszaj i czasu nie trać.

Sekretarz skłonił się nisko Zuzi i wyszedł spełnić dane rozkazy.

— Zuziu, rzekł Klaudyusz, o której jak sądzisz wyjechał wczoraj pan de la Grille?

— Nie mówił mi godziny; ale wiem, że wyjechać musiał wczoraj wieczorem lub dziś w nocy, pocztą. Każę konie zakładać, powiedział mi, i jadę zaraz sam, bez sługi, jak poseł Rzeczypospolitój.

— Nareszcie... szepnął Klaudyusz jakby sam do siebie mówiąc... nareszcie dowiemy się wszystkiego..

— Czego? spytała Zuzia.

— Cierpię na głowę Zuziu; i co mówię nie może być tak bardzo jasnym...

— Tak, tak, odpocznij tymczasem.

Był kwadrans milczenia, wszedł woźny i oddał Zuzi arkusz papieru, było to pierwsze badanie obwinionego.

Klaudyusz prosił gosposi, żeby mu główne punkta odczytała; Zuzia usłuchała go:

«Obwiniony upiera się tać nazwisko, ale przyznaje się do występku.»

— No, to on, rzekła Zuzia.

— Czytaj dalej, przerwał Klaudyusz.

Gospodyni czytała.

*Pytanie:*— Gdzieś spotkał Klaudyusza Mouriez?

*Odpowiedź.* W ulicy Thiers—szedł sam jeden.

*Pytanie.* A ty, byłeś sam jeden?

*Odpowiedź.* Sam.

*Pytanie.* Jaką bronią go raniłeś?

*Odpowiedź.* Laską ze szpadą we środku, gdy czytał przechadzając się gazetę. Klaudyusz Mouriez upadł. Myślałem że zabity, zaciągnąłem go do ogródka bliższego, którego fórtkę zastałem otwartą, poczem fórtkę zamknąłem, i nie-oddalałem się żeby zobaczyć co dalej będzie.

*Pytanie.* Jaki miałeś powód nastawiania na życie obywatela, któremu władza powierzona została.

*Odpowiedź.* Powodem było moje przekonanie polityczne: Klaudyusz Mouriez był dla mnie nieprzyjacielem.

*Pytanie.* Przekonanie więc twoje prowadzi do zabójstwa?

*Odpowiedź.* Tak jest, jeśli się bić z kim nie można.

*Pytanie.* Więc go wyzywał?

*Odpowiedź.* Tak jest; ostatnich dni przeszłego miesiąca, chodziłem go wyzywać do ratusza. Wzięto mnie za warjata.

*Pytanie.* I rzuciłeś się potem do zabójstwa?

*Odpowiedź.* Tak.

—O, to bezwstydnym! zawołała gospodyni odrzucając od siebie daleko arkusz papieru. Ale mu trzeba oddać tę sprawiedliwość że się nie tai, przynajmniej szczerzy: sędziowie nie będą z nim mieli kłopotu; proces po takich zeznaniach kończy się łatwo— Jesteś winny? Tak.—Zabiłeś?— Tak.— Zastługujesz na śmierć?—Tak. Podoba mi się ta otwartość. Ten zabójca jest niechybnie ex-dworakiem ex-króla.

Klaudyusz Mouriez wydał głębokie westchnienie i głowa jego na w pół podniesiona w czasie czytania, opadła na poduszki.

W sieniach słychać było brzęk karabinów, a Zuzia wybiegła do drzwi wołając:

— Otoż i zabójca! radabym go zobaczyć!

Wtém obwiniony wszedł do pokoju Klaudyusza Mouriez.

---

## XXI.

### V i r o f l a y .

Powróćmy teraz do salonu domu pod N. 49, w ulicy Thiers.

Klaudyusz Mouriez wybiegł był do bramy, u której młot usłyszał, gdy Andrzej dał znak hrabinie do ucieczki; ta ustą-

chała jak niewolnik posłuszny; przycisnęła sprężynę konsoli, a światło salonu wpadło w ciemne podziemie. Ale w chwili gdy się mieli oboje rzucić do tego schronienia, Adrjan podniósł głowę i poruszył rękami jakby zmysty odzyskiwał, a rozważa nagle na nic innego nie naprowadziła Andrzeja, tylko żeby porwać młodego człowieka, który wychodząc z omdlenia miał być świadkiem ich ucieczki i posiadaczem ich tajemnicy. Spełniono to z szybkością jakiej wymagają podobne zdarzenia.

Przy blasku lampy podziemia, Andrzej postrzegł, że Adrjan nie był jeszcze wyszedł całkiem z omdlenia, a gwałtowna kryzys nerwowa rzucała nim, choć oczu jeszcze otworzyć nie mógł.

— Nie mamy chwili do stracenia, rzekł, schronienie to nie jest bezpieczne. Korzystajmy z pozostałych momentów, otoczą dom i lasek przyległy, to nie wątpliwa. Możemy jeszcze dostać się do pobliskiego domu mego, będzie to przytułek do nocy, a w nocy, pomyślimy co czynić.

Hrabina Margareta skłoniła głowę, zamysliła się przez chwilę; potem dała znak poecie, że się zgodzić nie może, wydarła kartkę z książeczki, którą nosiła przy sobie, i napisaławszy ołówkiem: — *Do Denisa*, położyła ją na straży przy pierwszej lampie, u wnijscia podziemia, od strony lasu.

— Okropnymby było, odezwała się do towarzysza, opuścić tego biednego młodzieńca, a jednak...

— Pani, rzekł Chenier, wyniđz pierwsza, nie opuścim nikogo nawet nieprzyjaciela...

Hrabina podniosła horyzontalne drzwi podziemia; Andrzej Chenier wziął na ręce Adrijana jeszcze pozbawionego zmysłów, i znikli w gęszczy lasu od strony Viroflay.

Natura, która mimo szaleństw naszych spełnia zawsze

obowiązki swoje, ożywiała pustynię tę wdziękiem godziny porannej. Wszystkie stworzenia, których Bóg nie obdarzył rozumem ludzkim, weseliły się życiem na drzewach, pod kwiatami krzewów, w płotach gęsto zarosłych i śpiewały na wszystkie tony, wszelkimi głosami hymn miłości i wiosny.

Było to dnia 19 maja, a poeta jakiś w *Merkurym*, występował z wierszami następującemi:

Otoczony igraszki, wdzięki niewinnemi,  
Niesiony przez amorki na tronie z obłoków,  
Miesiąc maj się uśmiecha do odmłodłej ziemi,—  
Swobodnie płyną fale srebrzystych potoków,  
I parami płodnemi żyznąc ziemię w koło,  
Stroją w kwiat różnobarwny jasne roku czoło.

Tegoż dnia, Konwencya z uroczystością niemal religijną, przechodziła przez taras des Feuillans i zajmowała miejsce w Tuilleries, zamczysku pustém od 10 sierpnia; czarném i smutném a zbudowaném zda się na nieszczęście tych, co tu mieszkać mieli—choć nigdy przeto mieszkańców miejscu temu nie zabraknie.

W przecięciu lasu wiodącym do Viroflay, stał naówczas maleńki domek zamknięty w ogródku i otoczony od przechodniów czterma murami. Andrzej Chenier zatrzymał się na chwilę przed tym domem, dla dowiedzenia się czy był zamieszkały lub pusty. Okienice na wpół otwarte, wazony kwiatów na oknach, klatki ptaszków pozaczepiane na murach, szmer z folwarcznego dochodzący dziedzica, wszystko świadczyło dostatecznie, że dom ten był zamieszkały przez szczęśliwych ludzi, wieśniaków znających szczęście swoje.

Chenier całych swych sił potrzebował do walki z nerwowemi konwulsjami biédnego Adrjana; niepodobna mu by-

ło dłużej spełniać to poświęcenie się, które w niebezpieczeństwie stawiło kobietę; bez żadnego więc skrupułu, złożył synowca Klaudyusza Mouriez u progu domu tego i pociągawszy silnie za dzwonek, uszedł z oczów, wiedząc hrabinę Margaretę w blizkie zarośla, zkad mogli widzieć wszystko niepostrzeżeni.

Drzwi się otworzyły, na progu ukazał się mężczyzna na wpół odziany, krzyknął, wznosił ręce ku niebu, schylił się do Adrijana, dźwignął go i zniknął z nim w ogrodzie.

W téjże chwili, dwie okienice otworzyły się od facjaty, kobiety pokazały się w oknach i znikły, jakby nie chciały tracić czasu na patrzanie, gdy chodziło o prędką pomoc.

— Chwała Bogu! rzekł Chenier — są kobiety! sumienie mam spokojne; biédnemu chłopcu nie zabraknie troskliwej pieczy!

I rzuciwszy raz jeszcze wzrokiem na gościnny domek, rzekł podając rękę hrabinéj Margarecie.

— Teraz, pani, o was czas pomyśleć.

— O nas! stryju poeto! odparła kobiéta.

Od téj chwili w postępowaniu <sup>Adrijana</sup> ~~Adrijana~~ widném było umiarkowanie delikatności pełne, które tylko dusze wybranych pojąć i pochwalić potrafią; nie wyrzekł słowa więcej i patrzył tylko na drogę. Mówić o rzeczach próżnych, obojętnych, nie podobna mu było; mówić o miłości, nie pora. Milczenie poety miało wyraz daleko wymowniejszy wśród téj pustyni cudnéj, niżeli najpiękniejsze słowa; wejrzenia jego miały w sobie więcej miłości niżeli mowa wydaćby potrafiła, pożerały przestrzeń i czuwały wszystkiemi strony na zasadzki drogi.

Wreszcie, las, schodząc ku uprawnym polom, rozrzadzać się począł i przyjaźniejszych dopuścił widoków. Hra-



bina Margareta wskazała palcem topole, jak stérnik ukazuje far portu po burzy.

— To tu! odezwała się — i smutek z radością zlały się na pięknej jój twarzy w jednym wyrazie.

— Czyż już? zawołał Chenier.

Są chwile, w których najkrótszy wyraz wymówniejszym jest od najwyszukańszej deklamacyi, i może na cały dzień wystarczyć marzeniu kobiety, która go usłyszy i pojmie.

— Szlachetny mój poeto, rzekła Margareta, w imię Boże! nie mów mi nic więcej, nie więcej po tych słowach! Chcę je zachować jak kwiat, który przyjaciel zostawia przy pożegnaniu. Odpowiem na wszystkie pytania jakiebyś mi mógł uczynić, bo słyszę myśl twoją, jak echo stucia głosu. Sama wnijsć muszę do tego ogródka przytułku, do mego wiernego Denisa — sama! zrozumieć mnie dobrze! Ale ja, co od tak dawna czuwam nad tobą, nie zrzekam się misji, którą wzięłam na siebie; chcę jeszcze czuwać nad krokami twemi i wiedzieć, czy jutro przedłuży ci szczęście wczoraj poczęte. Ty, wielki poeto, powiedz gwiazdom téj nocy, słońcu dnia tego, by zachowało wspomnienie twojego dla mnie poświęcenia, by mi je przypominali po wszystkie godziny życia, jeśli zapomnienie wysuszy mi serce.

Stali przed bramką której dwie topole były jakby zieleniejącym i olbrzymim numerem. Hrabina podała piękną swą rękę pocie i odezwała się:

— Tu posłańcy twoi i listy przyjęte będą zawsze radośnie. Bądź zdrów! bądź zdrów! bądź ostrożny! Ostrożność jest odwagą także. Ostrożność jest najpiękniejszą z cnót, trzyma ona miecz w ręku, ale próbuje jego ostrza nim go użyje. Andrzej Chenier, piorun nas rozdzielił, uśmiech niebios połączyć nas może. Bądź zdrów!

Otworzyła się bramka, Margareta dobyła z siebie resztę

energji, i wskazawszy na niebo jaśniejące słonecznemi blaskami, znikła.

Cienie Erebu spadły na powieki poety; niebo zagasło, kropa żałobna ostoniła drzewa; wioska stała się cementarzem.

Długo szedł na los, jak majątek straciwszy gwiazdę przewodniczą ukrytą w chmurach nocy. Wspomnienie przyjaciela Roucher, zwróciło go do rzeczywistości i obowiązków zwyczajnego życia; począł więc w lesie szukać drogi do domku gdzie miał znaleźć przyjaciela.

Mieszkanie ogrodnika Denisa w Viroflay, miało powierchowność wdzięczną, zdającą się urzeczywistniać marzenie poety, o cywilizowanej oazie Północy. Był to kątek ziemi, w pół cieniem, na w pół światłością oblany; zwilżający kwiaty, dojrzewający owoce, wśród krzewów o wspaniałych łodygach i drzew o gałęzistych koronach; dający chleb powszedni pracującemu, a pocie myśl, chleb także i nie bez kwasu, niestety!

Chroniąc się tu Margareta, która ubior swój zmieniła już na strój kobiety średniego stanu, zrzucała to przebranie jeszcze, i wdziała twarde odzienie wieśniaczki; włosy jej nawet ostonił troisty zawój biały obszyty ze wszystkich stron, po wszystkich brzegach obfitemi fałszywemi koronkami.

Denis ogrodnik, młody człowiek lat trzydziestu, przywiązany jak ojciec do familji de Grave, nie okazał się zdziwionym, widząc przybywającą hrabinę Margaretę; rzekł tylko:

— Czekałem na panią.

Uśmiechem melancholijnym odpowiedziano mu, a uścisk pięknej i szlachetnej ręki dopełnił téj niemój odpowiedzi.

Jednakże Aniela nie przybywała, a hrabina nieustannie wchodziła na dach domku, spoglądając na wszystkie strony

po ulicach wiodących od lasu. Dzień już był w połowie; opóźnienie to zaczynało ją niepokoić.

Prosiła Denisa żeby nie przerywał rannej swojej pracy; ale o południu, przyszedł on z żoną i usiedli pod altanką z bżów, gdzie dziecię ich spało w kołysce, a hrabina Margareta, coraz bardziej dręczona oddaleniem Anieli, poczęła wypytywać Denisa, raczej dla zaspokojenia wewnętrznej męczarni swój, niż ciekawości.

—Czekałem żeby mnie pani spytała, odparł ogrodnik; tak jest, byłem wczoraj kilka godzin w Paryżu, dla mojego handlu.

—Dowiedziałżeś się co nowego?

—Zawsze się to tam coś nowego dowię.

—Złe czy dobre?

—Ba! zdaje mi się na ten raz że dobre—rzekł ogrodnik tajemniczo i po cichu, jakby się lękał, żeby go drzewa nie podsłuchały.

—Powiedz-że mi, mój Denisie, te dobre nowiny.

—Dobre te nowiny, mogą być dla niektórych złe.

—Rozumiém..

—Dobre są dla nas; krzyczano o nich głośno w pałacu Egalité. Czytano pod arkadami list, który Tallien pisał z Tours do Konwencyi, pisze w nim, że w tym kraju złe idą sprawy dla sinych (*bleus*), żali się bardzo na niedbalstwo rządu.

—A kto list ten czytał?

—Ludzie, co tak dobrze umieli czytać jak pani hrabina, i włązili na ławki z gazetami w rękę. Trzeba było widzieć co ludzie dokazywali, i posłuchać co mówili! Furjują przeciwko Żirondynom; krzyczą że oni przyczyną wszystkiego złego, że bez nich szłoby jak po maśle. Potém, czytano inną większą nowinę, a klubiści aż się zanosili od wrza-

sków. Cztery departamenta w ogniu, w Loudun 7 maja wywieszono chorągiew białą..

— Co mówisz Denisie?

— Pani hrabina może mi wierzyć, że tego nie zmyślam. Wszyscy wychodzący z kawiarni Corazza mówili o tém głośno, i nikt się nie tait. Jedni, a to nasi, powiadali, że wszystkimu koniec, że dwóchset rojalistów wystąpi przeciwko Konwencji; inni wołali, wznosząc pięści, że trzeba zadać cios ostatni Żirondynom, bo federalizują departamenta..

— Ale, mój poczciwy Denisie, słyszałeś-że wyraźnie i stanowczo, o tej białej chorągwi wywieszonej w Loudun?

— O! to pewno, pani hrabina może wierzyć słowu memu. To nowina najpewniejsza, i wyciągniona co do słowa z Monitora, jak mówią; przedają ogłoszenie o tém po grozku przed kawiarnią *Regencyi*.. nawet kupiłem.. i... oto jest.

Hrabina wzięta żółtawy arkusz i wyczytała przez trzy radośne, tych kilka wierszy z Monitora: «Cztery departamenta w ogniu, Loudun wywiesił chorągiew białą.»

Trzy razy odczytała tę nowinę, i nie wierzyła jeszcze oczom swoim.

— Chorągiew biała w Loudun, mówiła jakby do siebie.. to prawie u wrót Paryża.

— Właśnie to i tam mówili, zauważył Denis, mnie się tam nie wystrzegają. Zatrzymuję się wśród kup ludu, w sukni wieśniaczej, z miną głupowatą i słucham co mówią dobrego i złego, obracając to na korzyść moje. Tak na ulicy S. Honoré, przed kawiarnią *Wojskową*, był jakiś uczciwy mieszczanin z Loudun i mówił, że u nich tyle rojalistów, że na armją Ludwikowi XVII wystarczą. Trzeba także powiedzieć pani hrabinie żeby być szczerym, że tam wielu

mieszczan i ludu śmieli się z tego jegomości z Loudun, ale to jednak nie wywraca nowiny z gazety rządowej.

— Dziękuję ci poczciwy mój Denisie za te wszystkie szczegóły, odpowiedziała hrabina, biegales więc po całym Paryżu? jakże ci się miasto wydało?

— Biegałem pani po Paryżu. Naprzód dosyć się dobrze sprzedaty moje owoce i warzywa; mówią wszędzie że pieniędzy niema, ale bogaci znajdują za co jeść smaczno. Pano wie konwencyoniści nie odmawiają sobie żadnej nowalji, wiśni i poziomek; dobrze płatni, a nie zaoszczędzą na dzień i dwudziestu czterech groszy, bo niewiele rachują na jutro. Co się tycze Paryża, ani to wesoły, ani smutny; ale nie spokojny. W ulicach wszyscy idą szybko, jakby każdemu pilno było; a to pochodzi ztąd, że każdy coś ciekawego widział albo słyszał i śpieszy z tém do swoich. Kupcy wszyscy na progu sklepów patrzą na przechodniów, czekają na kupujących, ale tych podobno doczekać się im trudno. Sprzedających gazety i portrety P. Marat, którego świeżo trybunał oczyścił, bardzo wielu. W ogrodzie Tuilleries świat wielki, jak gdyby się spodziewano fajerwerku na placu Ludwika XV. Co chwila wychodzi ktoś z Konwencyi, na tarass des Feuillans i deklamuje ludowi mowy reprezentantów jego. Lud klaska lub świszczcze wedle tego jak mu się podoba. Wszystko to bardzo zabawne, ale wprawia w gorączkę. Słowa którym najczęściej powtarzane słyszał na prawo i lewo, są: Jak to się wszystko skończy? ale nikt nie odpowiada na nie.

— Dziękuję ci Denisie, przerwałam ci twoję pracę, straciłeś dla mnie czas drogi. Ale ci bardzo wdzięczna za to, coś mi powiedział.

Grzecznym ukłonem pożegnała ogrodnika, który odszedł. Gdy hrabina Margareta została sama, pierwszą jéj myśl

zajął wielki poeta, bo nic go z pamięci jój wyrugować nie mogło.

— Jakże był szlachetny i pełen godności dzisiaj — mówiła w myśli. Jak wszystko dla mnie zapomniał, nawet miłość swoją. Na jego miejscu, pospolity kochanek, pierwszy z brzegu młody chłopiec, byłby chwycił zręczność wynoszenia swych usług, swego męstwa, poświęcenia i byłby mnie oświadczeniami zarzucił, bo usta lubią je powtarzać, zwłaszcza, gdy ich w sercu niema. On, z którego ust płynie najczystszy miód poezji; on, co każdemu słowu umie nadać urok najwyższy, do jakiego podnieść się może mowa ludzka, milczał jak pustynia którąśmy przechodzili; a jednak ręka moja dotykając jego serca, świadczyła, że to serce biło gorąco, że w niem pałał skarb natchnień, które tłumił i na milczenie wskazywał z niezrównaną wspianiałomyślnością.

Potém unosząc się nad cudnym widokiem strojnym w miesiąca kwiecistego barwy, czuła głos tajemny który jój mówił, że tu było szczęście, w tych cieniach chłodnych, w tój zielonej teбайдzie, gdzie szalone wybuchy ludzi konały nieodbite żadném echem, gdzie dwa serca mogły sobie wystarczyć, i o nic nie prosić świata, tylko by niemi wzgardzić raczył.

— Tu żyć zawsze, żyć z nim! Są wyrazy tak przywykłe chodzić razem, że każda prawie kobieta wyrzec je musi i każdej się zdaje, że je pierwsza wyrzekła, raz przynajmniej w życiu.

Gdy po raz dziesiąty powtarzała te wyrazy, otworzyła się fórtka ogrodowa i weszła Aniela.

Biédna Aniela i twarz miała zmięszaną i ubiór pomięty: długięgo potrzebowała spoczynku i milczenia nim mogła od-

powiedzieć na żywe zapytania Margarety: nakoniec odezwiała się hrabina łagodnie, ale stanowczo.

— Wybacz mi, droga Anielo, moja żywość cię męczy, daruj, ale cię na gorących węglach czekałam. Co się stało?

— Zabity! odpowiedziała Anielo, chwytając powietrze z trudnością.

— Kto? przerwała hrabina głosem stłumionym, z twarzą okrytą okropną bladością.

— On.

— Na BOGA, Anielo, wytłómacz się jaśniej, zawołała Margareta padając osłabła na kanapkę obok Anieli.

— Daruj mi hrabino, tak jestem znużona biegiem. Gdybym nie widziała nie mówiłabym; uwierzyłam na własne widząc oczy... Teraz wszyscy nas zwodzą..

— Zaklinam cię Anielo..

Margareta w najwyższym stopniu przerażona, zatrzymała się nie mogąc dokończyć pytania; ręka jęj którą przycisnęła dłoń towarzyszki, dopełniła reszty.

— Tak pani, kończyła pierwsza, widziałam go, tego straszliwego Klaudyusza Mouriez, rozciągniętego, zabitego, i krwi dużo rozlanęj wkoło...

— Klaudyusz Mouriez zabity? zapytała nagle hrabina zmieniając wyraz.

— Naprzód, sądziłam że pani o tém wiész; potém.

— A jakże o tém wiedzieć mogłam? przerwała hrabina.. nie widziałam nic będąc w podziemiu, wyszedłszy nikogo nie spotkałam aż do tego domku.

— Myślałam, że Chenier pani o tém mówił, że jęj oznajmił to zwycięztwo, bo P. Chenier zabił nieprzyjaciela mężnie, mogę zapewnić. Przypadkiem świadkiem byłam zdaleka tego pojedynku. Nie widziałam nic, ale brzęk szpad

był wielki, potem krzyk śmiertelny... Klaudyusz Mouriez został w ogrodzie pani, a P. Chenier zniknął.

Margareta otwierała oczy ogromnie, a usta jęj drżące zdawały się za każdym wyrazem Anieli, gotowe wykrzyknąć:

— Ale co mi za dziwy mówisz? zawołała; więc pan Chenier zabił Klaudyusza Mouriez w pojedynku?

— A któżby go zabił w ogrodzie pani, jeśli nie on?

— O której godzinie?

— O wschodzie słońca.

— To niepodobna Anielo! niepodobna! Chenier na chwilę mnie nie opuszczał, nie wyszedł z salonu, z podziemia.

— Sądziś pani?

— Jak to, czy sądę?

— A! zawołała Aniela z osłupieniem naiwném kobiety, która zmyślać nie umie.

— Anielo, pobladałaś, zadrżałaś cała.. albo mi ukrywasz prawdę, albo słowa moje zwróciły uwagę twoją na coś tajemniczego, czegom wiedzieć nie powinna. Anielo.. czy widzę na twojej twarzy; wzruszona jesteś nadzwyczajnie; kryjesz przedemną coś strasznego... Anielo, wiész że tajemnice zgaduję... instynkt mój nigdy mnie nie zwodzi.. Nie czekaj żebym ja powiedziała.. mów sama.

Hrabina tych słów domawiając, schyliła się prawie do kolan Anieli, a w mowie jęj było coś naglącego, przymuszającego, czemu się oprzec niepodobna.

— Pani, mówiła Aniela drżąc jak zbrodniarz schwytyany na uczynku — chciałabym.. ale przyrzekłam.. przebac mi... to tajemnica...

— O! zawieliś mi już powiedziała! zawołała hrabina składając ręce jak przed cudownym obrazem. Kończ, kończ, dobra moja Anielo; pani twoja, przyjaciółka, siostra, hrabina, prosi cię, zaklina żebyś jęj powiedziała wszystko.. mów.



— Mój Boże! odparła Aniela wznosząc oczy w niebo. Bóg mi świadkiem, że wołałabym popełnić występki... bo to występki.

— Nie, nie, Anielo, nie miej tych skrupułów. Jeśli to tajemnica, zachowamy ją we dwie; będziemy się do zachowania jęj podbudzać wzajemnie; dwie kobiety są w takim razie silniejsze. Anielo, mów na miłość BOGA!

— Pani! zawołała Aniela z wysiłkiem największym, muszę cię usłuchać.. za słaba jestem, żeby się ci opierać.. będzie to dla mnie nauką.. Zabójcą mężnym Klaudyusza Mouriez, jest hrabia de Pressy.

— A! mój Boże! krzyknęła hrabina zakrywając twarz rękami.

Długie milczenie nastąpiło po tém wykrzyku. Spójrzała śmiało w oczy Anieli i zapytała jęj:

— Widziałas go?

— Widziałam go pani.

— Mówilas z nim?

— Mówiłam.

— Jakże dziś hrabia de Pressy, który znikł z między żywych od 10 sierpnia 1792, zjawić się mógł przed domem moim, właśnie w chwili gdy mnie od nieprzyjaciela bronić było potrzeba?

— Łatwo to się tłumaczy; hrabia czuwał nad panią, gdyś pani czuwała nad kim innym, czuwał dzień i noc ze szpada w rękę; zapomniał o prześladowaniach i osobistém niebezpieczeństwie, myśląc tylko o twojem; a gdy straszliwy ten Klaudyusz Mouriez przyszedł poraz ostatni do pani z obelgą.. między nią a sobą znalazł gotowy oręż wspaniałego hrabiego de Pressy.

Margareta najżywięj była wzruszona, ogniste łzy płynęły po jęj pięknej twarzy.

— Aniello, odezwała się głosem, który łkanie co chwila przerywało. Aniello, to co mi mówisz napełnia mnie boleścią i radością; nigdy nie sądziła, żeby można doznać razem uczuć tak sprzecznych. Szlachetny hrabia de Pressy! zawsze ten sam! zawsze gotów do heroizmu wedle godła przodków swoich! Jestem teraz pewna, że ci zabronił mówić mi o tém swoim poświęceniu?

— Zabronił mi mówić o nim, pani; opowiadając ci żem go widziała, że się z nim spotkałam, łamię uroczyste przyrzeczenie, dane mu dzisiaj rano w obliczu nieba. Jestem winna, aleś pani tego chciała..

— Zawsze mnie kocha! zawołała hrabina nie słuchając Anieli. Szlachetne serce! umysł piękny i prawy! zawsze ma słuszość nawet w błędach swoich! Otoż nowy piorun, który losem moim wstrząsa.. Mój Boże, daj mi zbawienną rozważę.. Głowa mi ptonie, nie wiem co począć.. Z obu stron przepaści — środkiem nie ma drogi. Aniello, szaf czuję w głowie; daj mi rękę.. potrzebuję spoczynku.. spokój lepiej mnie natchnie. Chodź, dobra moja Aniello, zaprowadź mnie do drzwi tego domku; nie mogę się na nogach utrzymać! Szlachetny hrabia de Pressy!



## XXII.

### U Kludyusza Mouriez.

Kludyusz Mouriez podniósł głowę aby rychlej zobaczyć zabójcę, którego wprowadzano.

Był to człowiek niemłody, ale oczy jego pały jeszcze żywością młodzieńczą, która dziwną stanowiła sprzeczność z siwymi włosami okrywającemi mu głowę.

Zuzia mruknęła po cichu.

—Jak u licha ten ogromny Klaudyusz dał się zabić takiemu małemu staruszkowi.

—Zostawcie mnie sam na sam z tym człowiekiem, rzekł Mouriez głosem nieśmiało rozkazującym.

—A! tak! odparła Zuzia, myślisz, że cię sam na sam ze zbójcą zostawię! Nie ruszę się krokiem ztąd.. Daremnie na mnie oczy wytrzeszczasz, zostanę, żeby w czas przynajmniej krzyknąć o ratunek.

—Ręczę ci Zuziu, że niema najmniejszego niebezpieczeństwa, zostaw mnie z nim.

—Panie kochany, jesteś tak osłabiony, żebyś się małemu dziecku nie obronił.

—Nie będę się potrzebował bronić.. wierzaj mi.

—A ja nie wyjdę.. oprócz tego jestem też ciekawą, chciałabym wiedzieć co tego nędznika pobudziło, żeby cię zabił.

—Zuziu, powiem ci to wieczorem.

—Wolę dowiedzieć się o tém zrana.

I Zuzia usiadła, a raczej przyrosła do krzesła jak najwygodniej się rozpierając, jakby w sali teatralnej zabierając się do reprezentacyi zajmującej.

Mouriez ruszył ramionami jak człowiek, który się zdecydował ustąpić.

—Jak się nazywasz? spytał obwinionego.

—Walenty.

—I nic więcej.

—Nic więcej, bom się urodził nie wiem jak na okręcie.

—Gdzieś się urodził?

—W Paryżu, jak wszyscy co na morze są przeznaczeni.

—Śmiało odpowiadasz, zdaje mi się panie Walenty.

—Śmiało jak paż, mruknęła Zuzia.

—Ojciec mój zmuszał mnie zawsze mówić głośno, rzekł Walenty.

—Kto twoim ojcem?

—Ocean.

—Nie potrzebuję pytać cię czyś rojalista?

—Tak, jest to całkiem niepotrzebne.

—Co miałeś przeciwko mnie?

—Więsz pan sam.

—Mylisz się.

—Odczytaj pan pierwsze badanie.

—Nie masz prawa dyktować mi co mam czynić.

Odpowiadaj: co miałeś przeciwko mnie?

—Miesiąc temu przychodziłem cię wyzwąć na rękę; twoi agenci poznali mnie. Podarłeś waćpan moje wyzwanie na kawałki i zrobiłeś mnie warjatem. Onegdaj spotkawszy cię przypadkiem przez sztachety ogrodowe, zmusiłem do obrony. Biłeś się mężnie, oddaję ci tę sprawiedliwość. Biliśmy się i zostałeś zwyciężony.

—Ale ha! przerwała Zuzia, co ci ten bezwstydnik plecie? Klaudyusz Mouriez spójrzył ostro na Walentego i uśmiechnąwszy się rzekł.

—Walenty, rzekł, uczciwy człowiek z ciebie!

—To dla mnie nie nowina.

—Ale, mówił dalej Mouriez, nie mogę dać wiary twe-  
mu pocziwemu kłamstwu.

—Kłamstwu! zawołał Walenty, albowż to co mówię nie  
prawda?

—Tak, nie ze wszystkiém prawda... wyjąwszy coś skłamał... Nie było zbyt jasno, wczoraj rano pod drzewami, u sztachetów, ale dobrzem widział przeciwnika, a nie był nim starzec sześćdziesiątkilko letni. Biłem się z młodzieńcem przyjacielem twoim, krewnym czy panem, który musi mieć powody ukrywania się, a ty bez jego wiedzy chcesz się za niego poświęcić... Nie przerywaj mi. Ten

co mnie ranił w pojedynku, temi dniami bywał tu często, pod nazwiskiem zmyśloném odwiedzając mnie.

—Pan de la Grille! zawołała zdziwiona Zuzia.

—Tak, mówił dalej Klaudyusz, Pan de la Grille. Widzisz Walenty, że nie zmyślam; powiem ci nawet, że ten twój przyjaciel, krewny czy pan, w tój chwili jest w drodze do Calvados... Ale bądź spokojny, Walenty, tajemnicy dochowam. Można mnie było zabić podle w tym ogródku; łatwo to było; wolano wyzwać na niepewny pojedynek; jest to wspaniałomyślne postępowanie, które wspaniałomyślnością wynagrodzić powinienem.

—Panie Mouriez, rzekł Walenty wzruszony, wiesz wszystko, nie więc mówić nie będę. Oczekuję na to co mi przeznaczone.

—A cóż ci ma być przeznaczone! Ściśnij mi rękę, otwórz drzwi i ruszaj sobie, jesteś wolny.

Zuzia powstała i chwytając życzliwie rękę Walentego, wskazała mu drogę do wyjścia.

—Przepraszam pana, panie Mouriez, rzekł Walenty zlekka odtrącając Zuzię... Pan bo mnie nie dobrze zrozumiałeś... Uważaj pan lepiej, a kiedy ci się zebrało na wspaniałomyślność, nie rób rzeczy przez pół.

—Próżno myślę, odparł Klaudyusz, nie mogę cię zrozumieć.

—Ale to rzecz bardzo prosta panie Mouriez. Kilka osób uwięzione jako współników zbrodni, po zaburzeniu na placu Wolności. Obowiązkiem jest moim nie dopuścić, aby ci biedni wystawieni byli na niepewne losy sądu, który ich życia pozbawić może niewinnie. Sprawiedliwość często robi podobne omyłki, zwłaszcza w terażniejszych czasach. Z drugiej strony, nie zcierpię, żeby ten, co się z panem bił, został skompromitowany. Imię jego powin-

no zostać zakryte. A żem się dał dobrowolnie wziąć, to mi z planu wypadło. Przyznam się sam do spełnienia zbrodni; sąd mnie jednego sądzić będzie! Czego się mam lękać? Śmierci? A! mój Boże! starość moja nie długie mi obiecuje życie. Skazany będę i okupię tych niewinnych, których uwolnią. Za kilka dni mowy o tém nie będzie.

—Oto poczciwy człowiek! zawołała Zuzia ocierając łzę, ale my na to nigdy nie pozwolimy, nigdy!

—Zapewne że nie, rzekł wzruszony Mouriez, niepodobna na to zezwolić; nie możemy dopomóc do takiego poświęcenia, które ci cześć czyni, bez wątpienia, ale mnie by hańbą okryło, gdybym na to pozwolił. Jesteś wolny Walenty, nikt cię tu chwili dłużej zatrzymać nie może.

—A co będzie z resztą uwięzionych?

—I ci natychmiast uwolnieni zostaną.

—A cóż powie na to lud?

—Niech mówi co chce. Zresztą mogąż mnie obwinić, że sprzyjam zabójcom moim!

—Wszystko to co pan Klaudyusz mówi, bardzo słuszna, zauważyła Zuzia, ja mu rzadko pochlebiam.

—Tak, panie, zdaje się panu żeś wszystko ułożył, ale to dla mnie nie dosyć. Trzebaż będzie robić poszukiwanie. Sprawiedliwość musi ich śledzić choćby pan nie chciał tego i nie wiedział o tém. Pierwszy urzędnik tego miasta padł pod ciosami zabójców, trzeba się będzie starać koniecznie żeby ich odkryć, a ja tego właśnie chcę uniknąć, i uniknę sam się poświęcając. Tym sposobem ten o kogo mi chodzi, na zawsze wolny będzie. Widzisz pan, że mój plan najlepszy i wszystko razem uprzęta i kończy.

Klaudyusz Mouriez pochylił głowę, zamknął oczy i pociągnął rękę po czole, jak by w niem szukał jakiego sposobu.

Głębokie milczenie panowało w pokoju.

Głos tylko z ulicy obwołującego nowiny miejskie dochodził przez okna. Klaudyusz wyciągnął rękę dając znać, żeby słuchali.

Krzyk doszedł ich uszu:— *Oto szczegóły uwięzienia i badania zabójcy obywatela Klaudyusza Mouriez, po groszu, z portretem zabójcy.*

—Głupi! zawołała Zuzia, dobrze ten grosz zarobi!

—Widzisz, rzekł Walenty, ludowi potrzeba ofiary, dają mu zabójcę, chwyta go i nie puści.

—Waćpan nie znasz Klaudyusza Mouriez, przerwała Zuzia, dałby się zabić za Rzeczpospolitą, ale włosa z głowy niewinnego nie weźmie.

Zapukano do drzwi zlekka, Zuzia otworzyła je, coś zagadała i obracając się ku alkówce, w której leżał ranny, rzekła:— Obywatel Instygator publiczny zapytuje czy widzieć się może?

—Proszę! rzekł Klaudyusz.

Urzędnik zbliżył się do łóżka, i na zaproszenie chorego, mówić począł:

—Lud żąda prędkiego ukarania zabójcy waszego. Ponieważ nędznik ten przyznał się do swój zbrodni, process nie może być długi. Potrzeba przykładu, jeśli gdzie to tu, w mieście pełnem rojalistów; przychodzę po rozkazy wasze, i życzyłbym, żebyście proces kryminalny jutro kazali rozpocząć.

—Proces się nie pociągnie! rzekł Walenty.

—Milcz! przerwała gospodyni ściskając rękę obwinionego.

Klaudyusz Mouriez począł poważnie:

—Lud żąda prędkiego wymiaru sprawiedliwości, ale chce też, żeby ona była sprawiedliwa. Znam lud, bo z niego pochodzę. Jak chcecie rozpocząć, proces kryminalny w nieprzytomności głównego świadka, to jest mnie?

—Pisarz może tu przyjść po zeznanie wasze, rzekł urzędnik tonem człowieka co wszystko przewidział.

—Byłoby to złamaniem świętych form sprawiedliwości, rzekł Klaudyusz.

—Starych form...

—Tak, starych i tém świętszych, że starych, macie słusność, rzekł Mouriez; jak gdyby nie rozumiał, co instygator chciał mówić — rozkażę więc odprowadzić więźnia. Powieśz pan przed sądem, że za kilka dni spodziewam się być zdrowszym i sam zeznanie moje przyniosę o wypadku ulicy Thiers. Do mnie należy nadewszystko dać przykład uszanowania prawa i form. Żadnych excepcyj; niech równość nie będzie czczém słowem.

—Ślicznie powiedziano, odezwała się Zuzanna. Urzędnik dziwnie spójrzał na gospodynię, ukłonił się choremu i wyszedł.

—Otoż tyłem tylko dla zyskania na czasie wymyślić potrafił, rzekł Klaudyusz.

—A na co zyskiwać na czasie? spytał Walenty.

—Słuchaj no Walenty, kończył Klaudyusz, czemu się sprzeciwiasz ze swoim natrętnym heroizmem, moim widokom i myślom? Namyśl się, co byś sądził o mnie, jakiebyś miał wyobrażenie o moim charakterze, gdybym ci takiego poświęcenia dozwolił? Zrób-że cokolwiek dla mnie. Rewolucye tém są dobre, że szlachetnym sercom i poświęceniom wszelkiego rodzaju otwierają drogę. No! Walenty! proszę cię, poświęć się nieco i dla mnie.

—No, niech tak będzie, rzekł Walenty wzruszony, trzeba żyć, żeby ludzi poznać. Ktoby to powiedział, żeś waćpan Klaudyusz Mouriez!

—A ja ci powiadam, że to dziecko, przerwała Zuzanna, ja go znam przecie.



— Zuziu, dodał Klaudyusz, wszystkie twoje uwagi o mnie, gdy rzeczy serjo się traktują, wcale nie są w miejscu.

— Ale ba! myślisz że się będę wstrzymywać od uwag i gadania, choćby chodziło nie wiem o co! Wszystko tu serjo! Musiałabym ciągle milczeć.

— Zuziu, wpuść urzędnika policyjnego i straż, rzekł Klaudyusz, a ty Walenty, obiecujesz mi pomagać?

— Obiecuję, rzekł Walenty ze łzami w oczach. Straż weszła.

— Odprowadźcie go do więzienia, rzekł Mouriez ostro, i niech nikt nie waży się dostąpić do niego, ani z nim mówić.

Gdy Zuzia została sam na sam z Klaudyuszem, zbliżyła się do jego łóżka i rzekła:

— Zrobieś coś poczciwego, zobaczysz, że ci to wyjdzie na dobre.

---

### XXIII.

#### W l e s i e.

Opuszczając zarośla powieści i szczegóły mniej potrzebne; znajdujemy hrabiego de Pressy w małym domku wiejskim, blisko Evreux, u pani Mouriez, matki Adrjana, w chwili gdy oboje wyjeżdżają pocztą, z powodu, który się zaraz wytłómaczy.

Matka Adrjana odebrała list następujący:

Kochana matko!

Niepodobna mi się wytłómaczyć jak się dostałem do domu, z którego do ciebie piszę; wiem tylko, że bardzo osłabiony, jakby po długiej chorobie, poczciwi jacyś ludzie troskliwie chodzą koło mnie, od rana dzisiejszego gorączka i delirium ustały. Długi czas upłynie nim całkiem przyjdę

do zdrowia, ale gdybyś była przy mnie, zdaje mi się żeby mi nic nie brakło.

Nie pisz do mego stryja, nie wstępuj do niego przejeżdżając przez Wersal; nadtom osłabiony żebym ci wszystko wytłómaczył. Przyjedź, opowiem ci resztę.

Pilnuj ściśle skazówki jaką mi dyktują, a łatwo znajdziesz dom, w którym ja jestem.

*«Zapytać od Xawerego Meignan o dom dawnego leśniczego, dadzą przewodnika, ulica de la Treille, N. 28. w Wersalu. Nie pytać o nic więcej; nie badać.*

Syn twój przywiązany

*Adrjan Mouriez.*

Żywo będąc niespokojną, matka Adrjana przyjęła miejsce ofiarowane jej w powozie hrabiego de Pressy, i nazajutrz była u łoża chorego syna swego.

Hrabia de Pressy, uznał przywoitém wstrzymać się od tych pierwszych odwiedzin; nie przestąpił progu domu w którym Adrjan złożony został po strasliwym ranku owym, i przystawszy się w lesie, zajął się nieco sobą samym: spłaciwszy dług sowingi miłości bliźniego, wolno być egoistą w chwili spoczynku po spełnieniu ważnej posługi.

Wszystkie domysły, które pan de Pressy nagromadził rozważając, nie doprowadziły go, wedle zwyczaju do niczego pewnego, ale przez chmury dumań dojrzał, że hrabina Margareta, która miała tajemne stosunki z Denisem, ogrodnikiem w Viroflay, nie musiała być obcą tajemniczój historii Adrjana, opuszczonego na progu domku odosobnionego, wśród lasu.

Ubezpieczony swoim ubiorem i pasportem pod nazwiskiem zmyślonym, na którym stał podpis protekcyjny władzy republikańskiej, hrabia de Pressy postanowił wyjaśnić

swe domysły dalszém badaniem; bo co przypuszczał nade wszystko i nie bez prawdopodobieństwa, to stosunek jakiś występny między hrabiną a Adrianem. Zasiadł więc w szyneczku drwalów niedalekim od domku Denisa, i płacąc sowiście gospodarzowi, żeby u niego być bezpiecznym, zasiadł nie jako szpieg, co zawsze ohydna, ale jako postrzegacz, co czasem dozwolone.

Andrzej Chenier, czekał jeszcze na obiecanych posłańców i ciągle nadaremnie; opóźnienie to co chwila dziwniejsze i mniej pojęte mu się wydawało. Sprzykrzywszy sobie oczekiwanie, napisał list rozpaczliwy, w którym dopraszał się o chwilę rozmowy, dla umówienia się o wyemigrowanie do Anglii. Opatrzony tym listem, poszedł jednego ranka ku Virolay, rachując na zręczność, która mu poddać miała miejscowość i okoliczność z oddaniem swojego pisma hrabinie.

Gdy tak krążył z listem w rękę wzdłuż murów ogrodowych, kryjąc się za drzewami las obrzeżającemi, usłyszał szelest kroków i zwracając szybko głowę, ujrzał naprzód i poznał hrabiego de Pressy. Są chwile w których podstęp wszelki byłby próżny, bo nie pozwalają żadnego daremnego wybiegu.

Hrabia uklonił się Andrzejowi Chenier z tą grzecznością wdzięczną, która w podobnych razach równa się uderzeniu piorunowemu, i podał mu rękę, jakby go spotkał na przechadzce w ogrodzie.

— Pokazuje się, rzekł, panie poeto, że oba razem przetrzemy las, i jednym idziemy tropem, iż użyję wyrażenia myśliwskiego.

— Zdaje mi się, odparł Chenier z zimną krwią dobrze udaną — że wolno mi las przetrzesać jak panu, odkąd prawa myśliwskie nadały nam więcej swobód pod Rzeczpospolitą.

—Dośkonale! rzekł hrabia śmiejąc się— spotykamy się na przesmyku, pan i ja, jakby to było wyznaczone stanowisko. To prawdziwie szczęśliwie! Nie wiesz tam pan o jakim odyńcu lub maciorze?

—Panie hrabio, odparł Chenier, zdaje mi się, że te wstępy są próżne i niegodne nas obu. Potrzeba śmieliej przystąpić do rzeczy, a jam gotów odpowiedzieć mu.

—Na pocziwość, poeto, śmiesznym mi się wydajesz. Jeśli się panu zdaje przystąpić do rzeczy, no to przystępuj pierwszy, a śmiało? Co do mnie, gotów jestem gadać z panem o rzeczach obojętnych do wieczora, jeśli się to panu podoba, i opowiedzieć mu o przepyszném polowaniu, jakieśmy tu mieli z P. de Grave d. 12 lipca 1789, na którym wszystkie nasze psy się rozprzęgły... Niech pan tylko raczy usiąść pod tym drzewem, opowiem panu jakie nam tu figle płatał odyniec, którego w ostatku zmuszeniśmy byli forsować końmi.

—Hrabio de Pressy, rzekł Chenier, pan nadużywasz żartu.

—Tęgo mówisz poeto, ale nie przystępujesz jeszcze do rzeczy.

—Hrabio de Pressy, pan wiesz dobrze, że oba nie mamy jedynéj broni, któraby nas od szermowania słowami uwolnić mogła.

—Jest to jakaś mglista groźba? nie prawdaż panie Chenier?

—Przystępuję śmiało do rzeczy, panie hrabio.

—Chcesz się więc wytłómaczyć pojedynkiem?

—Innego tłómaczenia dać panu nie mogę.

—Mylisz się, kochany poeto.

—O tém ja tylko sądzić mam prawo, a ja nie przyznaję się do omyłki.

—Daruj mi, panie Chenier, przyznasz się do niej, boś

człowiek uczciwy i prawy, i wyzywam cię żebyś milczeć mógł, gdy przemówię do jego honoru. . . Czekasz tu na hrabinę Margaretę?

— Nie, panie hrabio.

— A! panie Chenier, daruj, omyliłem się, rachowałem na twój honor i uczciwość.

— To dobrze, panie hrabio, wybornie; wolę już wprost obelgę rzuconą w oczy, przynajmniej uwalnia od dalszych tłumaczeń; człowiek obrażony nie odpowiada. . . Panie hrabio, gdzie się jutro spotkamy?

— Otoż! jak uparcie trzyma się swego pojedynku! Alem cię nie obraził, nie chcę pojedynku! nie przyjmuję tych wykręcań słów. Wiiesz dobrze żem nie tchórz, wiiesz jak szpada władam, wiiesz żem sto razy miał pojedynki szczęśliwe. Co za szal zmusza cię bić się z hrabią de Pressy? chyba żeś był podporucznikiem w Royal-Angoumois, gdzie się bili wcale nie tęgo; wiem to doskonale, bom w dwudziestym roku był jego półkownikiem. Kochany poeto, pióro ci rękę popsuło. Jeśli się uprzesz, ręczę ci, że pojedynek nie potrwa długo, i choć masz dłoń silną, wyrzucę ci szpadę o dwadzieścia kroków, a co potem powiesz?

— Powiem mości hrabio, żeś zuchwalec.

— No! zuchwalec jestem, zgoda. Chcesz się bić ze mną, będziesz się bił; ale jeśli ci dam tę satysfakcyę, żądam innej od ciebie, dasz mi ją panie Chenier?

— Jeżeli ona. . .

— Bez *jeżeli*. Jak to! robię co chcesz, słucham cię, powoduję się twojami fantazjami poety, a ty mi odmawiasz niewinnej satysfakcyi o którą cię proszę?

— Nie wiem jakiej.

— Dasz mi ją, słowo honoru?

— Ale bić się będziesz panie hrabio?

— Będę.

— No, mów pan, pytaj. Dam panu satysfakcyę jakiej żądasz.

— Odpowiesz mi uczciwie *tak* lub *nie*, bez ogródki.

— Przysięgam ci to hrabio.

— Przysięga twoja zapisana;—niebo mam za świadka. Andrzej Chenier jesteś kochankiem hrabinęj Margarety?

— A to dziwna.

— Tak lub nie, przerwał hrabia tonem poważnym i silnie, tak lub nie. Wiem dla czego zmuszony jestem pytać się o to. Przysięgłeś mi odpowiedzieć. Jesteś kochankiem hrabinęj Margarety?

— Nie.

— Przysięgasz w obec nieba, wzniołszy rękę ku Bogu.

— Przysięgam.

— Na popioły matki twojéj.

— Tak, na popioły mojej matki.

Hrabia de Pressy wyjął maleńkie album z kieszeni, i podając otówek pocie, rzekł:

— Masz-li wstręt zeznać na piśmie i stwierdzić podpisem coś wyznał?

Chenier zawahał się chwilę i odezwał.

— Piszę i podpisuję.

— Dobrze, panie Chenier, kontent jestem z pana i mam nadzieję, że i pan ze mnie rad będziesz.

— Będziesz się bił hrabio?

— Jak to? wątpisz o tém! służę ci. Tylko panie Chenier, pozwól mi zwrócić twoję uwagę na ciebie.

— Rozważyłem wszystko.

— Czekaj pan, słówko, nie przerywaj — nie jesteś kochankiem hrabinęj Margarety; przysięgłeś to na honor: rzecz więc pewna; ale kochasz tę kobietę, ja ci mówię że ona

jest moja żoną; masz więc projekcik wcale nie moralny. Nie przerywaj mi proszę. Projekt ten, niegodny czystego muz ulubieńca, jest następujący: Kochasz kobietę, mąż ci stoi na zawadzie naturalnie, chcesz więc zabić męża.

— Panie hrabio, chcę co Bóg zrządzi.

— Ale Bóg nie żąda żeby kochankowie zabijali mężów a żenili się z ich wdowami. Przestrzegam więc waćpana, że mnie nie zabijesz. Wyjdziem na plac, skrzyżujem szpady; dasz mi śliczną zręczność zabicia kochanka mojej żony, a ja z niéj korzystać nie będę. Cóż potém? nie wiesz? Ja ci powiem co uczynię. Wyjadę z Francyi z panią hrabiną de Pressy, i nie zobaczysz jéj więcej.

— Panie hrabio, rzekł Chenier wzruszony, wyznaję że całej téj mowy pańskiej zrozumieć nie mogę. nic a nic. Nigdy mąż tak lekko nie odzywał się o swojej żonie, i nie wyzywał do podobnych tłumaczeń.

— Tak panie Chenier, to prawda; zwykle nie tak sobie postępują mężowie, ale daruj, ja nie jestem pospolitym mężem. Położenie moje nie wyjaśnione całkowicie, wina to czasu w którym żyjemy. Anormalność jest w powietrzu. Nic się nie czyni jak w czasach zwyczajnych. Rewolucya wszędzie. Mąż pyta młodego człowieka: Jesteś kochankiem mojej żony? To się nigdy jeszcze nie trafiło, a dziś się trafia. Mielśmy czternaście wieków królestwa; wpadliśmy w Rzeczpospolitę, jak mi onegdaj mówiono: dziw-że się tu czemu! Nasz drobny wypadek ginie w chaosie anomalji, które nas otaczają. Nie bądź zbyt naiwnym, panie Chenier.

— Do celu, do rzeczy hrabio de Pressy.

— Pokaż-że mi cel, panie Chenier.

— Jutro o téj samej godzinie, spotkamy się tutaj hrabio, i Bóg nas rozsądzi.

— Upiérasz się przy swoim.

— Wszystkiemu zapomniał oprócz obrazu; jeszcze mi ona czoło rumieni.

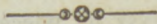
— No, panie Chenier, jeśli chcesz to odwołuję cię powieść.

— A ja nic nie odwołuję.

— Niech i tak będzie, kiedy koniecznie chcesz, muszę się do twój woli zastosować.

Hrabia skłonił się bardzo wdzięcznie poecie i znikł w gęstwinie lasu.

Chenier zapomniał o liście z którym szedł, i zamyślił się o losach jutra.



## XXIV.

### S c h a d z k a.

O umówionej godzinie, Andrzej Chenier stanął na placu; poeta został znów podporucznikiem; niósł z sobą do boju tę odwagę którą instynkta szlachetne obdarzają wszystkich ludzi genialnych, wszystkich artystów władających pieśnią, dźwiękiem lub pędzlem; odwagę, która towarzyszyła Michałowi-Aniołowi w r. 1527 w oblężeniu Florencyi, która ożywiła Danta wstrzymującego Pizanow w Ponto-d'Era i Salwatora Rożę, gdy w wąwozach Abruzzów, chwycił broń rzuciwszy pędzle.

Poeta pożerał chwile upływające, a oko jego wciskające się w każdy przestrzał lasu, nie mogło dostrzedz żadnej postaci ludzkiej poruszającej się w cieniu tych mass zieloności, w których ptacy śpiewali tylko poezje swoich miłostek.

Nawet w tej chwili gorączkowego oczekiwania, podlegał dwóm panującym wpływom, od których myśl jego oswo-  
bodzić się nie mogła. Oczy jego widziały kobietę oddaloną,



usta mruczały jońskimi wierszami; miłość szła do niego od ziemi, natchnienie z niebios płynęło. Siedząc na placu śmierci, odmawiał pomimowoli *pożegnanie życia* Gilbert'a, jak pobożnisz odmawia modlitwy konania, i mówił do siebie:

— Jeden jeszcze, jeszcze jeden poeta ginący w wieku moim, u progu świetnej przyszłości! Biędny Gilbert! Jak się on uśmiechał, umierając, do téj pięknej natury, do *uśmięchnionego lasów wygnania!* a z tchnieniem jego ostatniem, natura nie przestała być piękną, lasy nie przywdziały żałoby! Co obchodzi naturę, że jeden poeta umrze! sama natura jest poetą, i niewiele dba o bezsilnych współzawodników swoich.

Godziny upływały, Chenier wściekle cisnął gardę szpady schowaną pod suknią, obruszał się na to niepojęte opóźnienie, któreby na rachunek tchórzostwa położył, gdyby odwaga hrabiego nie była uznaną powszechnie u dworu i wszystkich co go znali.

— O! wołał jakby go kto mógł słyszeć — jeśli to nie tchórzostwo, to dla mnie gorszego coś jeszcze! Jest to nowa i krwawa obelga! Szlachcic obarcza poetę ironją swęj pogardy! Głos jego szyderski woła do mnie ze wszystkich tych drzew — Wierszokleto nie wart jesteś żebym zszedł do ciebie z dobytym orężem! Ten śmieszny hrabia parodjuje Alexandra Wielkiego, który drugiego Alexandra żądał, żeby się z nim mierzyć! Obelga ta szarpie mi jak sęp wątrobę.

Oczy poety błyskały ogniem, szpada jego dobytą darła trawnik i podrzucała niewinne kwiaty wyrwane ziemi, miotając niemi na wszystkie strony.

Nagle myśl straszna spadła na głowę jego, i od nięj zdrzął jakby go raził płyn elektryczny.

Tak długie milczenie hrabinęj Margarety, doskonale się teraz tłómaczyło. Poeta został zapomniany. Ta kobieta,

którą na chwilę odurzyło przywiązanie płoche, wstrzymała się u brzegu przepaści mając się stać niewierną, zwróciła swą miłość czystą jeszcze i nieskalaną do męża. Hrabia de Pressy oddzielony na jakiś czas wypadkami politycznymi od żony, wrócił zapewne do niej, jak skapiec do skarbu, i w tej chwili, gdy Andrzej Chenier, rywal nie straszny, czekał nań ze szpadą w ręku, hrabia śmiał się siedząc przy niej, z dziwnej roli, którą samotny poeta odegrywał w głębi lasu.

To dojmujące przypuszczenie, co chwila dochodziło bliżej przykrój rzeczywistości. Poeta wkrótce w myśli tej nie widział już cienia wątpliwości; rozpacz, gorączka, szła obłąkały go; głowa nie mogła dłużej powstrzymać; szarpnął się po czole jakby zeń chciał dobyć ostatnią iskierkę rozumu, i z płomieniem na licu, z blademi wargi, rzucił się ku Viroflay.

Tegoż dnia rano, hrabia de Pressy przybył do furtki domku Denisa; rozpiął suknię, dobył z pod niej szpadę i rzucił ją w zarośla, potem wzbudziwszy w sobie odwagę, przycisnął klamkę i wszedł.

Żaden kwiat niema miłszej woni nad słodki zapach, który wyziewa ogród o rannej dnia godzinie. Hrabia z natury swój, nie bardzo skłonny do marzenia, odetchnął tą wonią spokojną z uciechą jakiej nie doznał wśród zielonych wspaniałości Wersalu, w dniach królewskiego przepychu; szedł krokiem nieśmiałym i powolnym przez krzewy bżów, rzucając wzrokiem, na pozór spokojnym, po wszystkich zakrętach ogrodu, gdy postrzegł na prawo wieśniaczkę podejrzanej postaci, która nań patrzyła z podziwieniem konwulsyjnym.

— Pani, rzekł hrabia, wyciągając ręce przed siebie ni-

gdy się przebrać dla mnie nie potrafisz, mam nadzieję że i ja przebrany dla niej nie jestem.

— Hrabia de Pressy! zawołała kobieta chwytając z żywym uczuciem podane jej ręce. Przysięgam na Boga, żem pana czekała.

— To mnie nie dziwi, rzekł hrabia podając jej rękę jakby zapraszał na przechadzkę po ogródku — to mnie bynajmniej nie dziwi; pani jesteś ostatnią z matron Galji nad Rhońskiej; znam jej talenta; wiem żeś w związku z przyszłością.

— Nadewszystko znam przeszłość, odezwała się hrabina wzruszona.

— To łatwiej, pani.

— Czasem panie hrabio.

— Dla tego, że historja zwodzi, toś pani chciała powiedzieć?

— Tak panie.

— Ale i nauka przyszłości ma zboczenia także, nawet dla Gallów; powiedz mi też proszę piękna hrabino, coś pani odgadła w przeszłości mimo kłamliwych świadectw historii?

— Odgadłam że hrabia de Pressy wspaniałomyślnie poświęcił się dla kobiety, i zabił mężnie potworę wypuszczoną na nas przez konwencyą.

— Jest to niemal prawda, pani, rzekł hrabia z poważnym uśmiechem, — szczęściem historja nie mówi o tém.

— Szlachetny hrabio, kończyła z wielkiem wzruszeniem kobieta. Oto czyn któryby królowa dawniej miłością musiała opłacić. Ale dziś niema królowych!

— Gdzie kobiety tam królowe! nigdy ich nie zabraknie!

— Nawet po 10 sierpnia 1792, panie hrabio?!

— Ślicznie to pani powiedziałaś, rzekł hrabia czutem

wejrzeniem obejmując młodą kobietę—ale czy to wymówka? czy ośmielenie?

— Jedno i drugie.

— Oboje przyjmuję.

— Hrabio de Pressy, ciągle czekam na twoje usprawiedliwienie.

— Wszakże wiesz je pani, jak gdyby już należało do przeszłości.

— Ale chcę, panie, poznać je lepiej, dokładniej jak gdyby w przyszłości jeszcze miało miejsce.

— Co za duma! cóż robić! muszę ją zaspokoić kilką słowami. Jednego wieczora, pamiętaj pani ten wieczór, grana *Nanine* Voltair'a, w zamku hrabiego de Poix.

— Pamiętam to panie hrabio.

— Dobrze pani;.. i gdy aktor mówił ten wiersz *Naniny*:

Zwyczajem mędrzec pogardza.

Jam sobie pozwolił poklasnąć.

— Sam jeden pan klasnąłeś tylko, przerwała hrabina.

— Sam, własnem to miał dodać. Naówczas głos jakiś odezwał się:— Co to za oryginał z tego de Pressy! Ukłonem pozdrowiłem autora tego wykrzykniku.

— A ja przypominam sobie, że tego autora zdanie dziełła.

— Coraz lepiej, widzisz już pani przeszłość tak jasno jakby przyszłością była. Pani więc także znajdujesz mnie tak bardzo oryginalnym? spytałem ję naówczas.

— Bardzo oryginalnym, odpowiedziałam.

— Pamięć anielska! i pamiętasz pani co dodałaś jeszcze?

— Nie.

— Nie? przypomnij pani proszę.

— Nie mogę.

—Zgadnij więc jak umiesz zgadywać przyszłość.  
 —Nic nie widzę, ciemności—hrabio de Pressy.  
 —Pozwolisz więc pani, bym jój pamięci w pomoc przyszedł.

—Pomóż pan.

—Piękna hrabino, kosztuje mnie to.

—No, to ci oszczędzę wysilenia, przerwała śmiejąc się hrabina.. Jam panu odpowiedziała:

—Prawda żeś pan bardzo oryginalny—ale bardzo miły..

—Hrabino, dziękuję ci, nie nie zapomniałaś. Tego wieczora miałaś na sobie suknię *resztek żałoby*, rok wdowi się kończył. Mąż twój, hrabia de G... zmarł w Ameryce, od dziesięciu miesięcy, uśmiech twój po łzach, miał w sobie coś boskiego, trzeba cię było kochać lub umrzeć—jam kochał. Często otrzymujemy na cośmy nie zasłużyli; otrzymałem trochę przywiązania od ciebie, tyle żem oczy moje śmiał podnieść wysoko, i wbiłem się w dumę do tyła, żem zapragnął być mężem twoim.

—Przyjęłam go.

—Tak, zostałem przyjęty. W dniu tego szczęścia, otworzyłem ci pani, duszę moją, duszę całą, wyliczyłem szczerze wszystkie wady moje, jak inny liczyłby cnoty.

—To prawda, hrabio.

—Przedstawiłem jój, moje dziwactwa, oryginalności i wzgardę zwyczajów, którą w tym wierszu Naniny ogłosił pan Voltaire; prosiłem cię pani żebyś raczyła zważyć wszystkie te wady organizacyi w szali małżeńskiej, żatując żem naprzeciw nich nie mógł odpowiednich cnót położyć... Paniś się raczyła uśmiechnąć, i odpowiedziałaś słowami Rousseau z Genewy:—*Człowiek co nie miał wady miałże wielkie cnoty!* Pobłogosławiłem słowa P. Rousseau, upadłem

do nóg twoich i postanowiliśmy ślub nasz odbyć dnia 10 sierpnia 1792.

— Co za data! hrabio de Pressy!

— A! pani, data straszna! wywołuje rozwód nim przyszło do małżeństwa! W wigilją dnia tego, przechadzaliśmy się w ogrodzie Tuilleries, jak dwoje małżonków i paniś postrzegła, że liście drzew spadały już zeschę, nim pora przyszła na nie.

— A Ludwik XVI, przerwała hrabina, słowo w słowo tę samą uwagę uczynił panu Roederer przechodząc przez ogród, gdy go prowadzili do Konwencyi.

— Nie wiedziałem o tym szczególe.. Jakkolwiek bądź, ta żałoba przedwczesna natury w pośrodku lata, zasmuciła panią, musiałaś pani naówczas ujrzeć coś fatalnego, straszliwego w przyszłości, i powiedziałaś mi, podrzucając nóżką liść uwiędły i żółtkły: Bardzo złą wróżbą ten listek, w wigilją ślubu!

— Pan odpowiedział mi z uśmiechem, przerwała hrabina—Szczęściem, że pani gardzisz i depcesz te gminne przesady.

— Tak, zdaje mi się, że to sobie przypominam, ale pamiętam także, że uśmiech mój był poważny. Nazajutrz, w chwili gdy jechał odwiedzić rodzinę pani, dzwonią na gwałt, biją trwogę, oznajmują mi, że zamek zagrożony został przez bataljon Marsylczyków; biegnę do Tuilleries bronić króla.. Myślałem że tu się wszystka szlachta zgromadzi... Znalazłem tylko Szwajcarów! kilku szlachty staréj, mało wielkich imion. Wzięto nas szturmem. Wyszedłem z rozpaczą w sercu; nie dali mi czasu zginąć; wszystkie sromy i srom własny mnie obarczył, świat rozpadał się po demną; okropny wstręt zalał mi usta; wspomniałem wczorajszą przepowiednię i nie chcąc ani pociągać z sobą do zgu-

by, ani przeżyć okropną klęskę królewską, wymyśliłem sobie nowy rodzaj samobójstwa, którego Bóg nie zabronił: zagrzebałem się żywcem.

—Ale wprzód napisałeś do mnie, o tém zapomniałeś hrabio.

—Tak, napisałem do pani słów kilka następujących:

«Wracam z Tuilleries.

«w niebie, lub w lepszych zobaczym się czasach, 10 sierpnia 1792.»

—Zachowałam starannie bilet twój, hrabio de Pressy.

—Jam więcej zrobił....

—Cóż przecie?

—Zachowałem miłość moją.

Długa była chwila milczenia; młoda kobieta spuściwszy głowę zdawała się poglądać na przesuwanie się kroków swych po ulicy ogrodu i o niczem więcej nie myśleć. Hrabia czekał na wyraz coby mu odpowiedział na ostatnie słowo: Zachowałem miłość moją.

Odpowiedzi nie było, hrabia wytłómaczył milczenie na korzyść swoją, i tak dalej mówił:

Usunąwszy się od świata, nie przestałem czuwać nad panią, kryjąc przed nią starannie ostatek miłości pozostawłej w sercu, bojąc się nią swobodę jej związać i wolę skrepować. Trzeba mi było dowodu nadzwyczajnego niebezpieczeństwa, żebym wyszedł z kryjówki i rzucił się znowu na życie zewnętrzne, którego się wyrzekłem. Czas szczególniejsze sprowadza odmiany; przyzwyczajają nas do złego, odzwyczajają od szczęścia. Znalazłem w końcu wdzięk jakiś drażliwy wśród burzy od której uciekałem, żegnając się nierozmyślnie ze światem, zapomniałem, że węzeł jeden, ale silny trzymał mnie jeszcze na świecie, że wszystka nienawiść nagromadzona w sercu ustąpić będzie musiała mi-

łości. Tak się stało. A więc, Margareto, co zaszło od 10 sierpnia, jest dla nas jakby nie było. Dzisiejszy dzień, jest jutrem tego dnia fatalnego, a raczej wigilją jeszcze. Przechadzamy się w Tuilleries w godzinie zaręczyn naszych, a pod ślicznymi nóżkami twojemi nie znajdziesz tam listka zeschniętego, wszystko uśmiechnięte, młode dokoła, wiosna ze swemi wdziękami i życiem, miłość ze swoim słodkim spokojem nas otacza.

Hrabia de Pressy spójrzył na młodą kobietę z wyrazem znaczącym, a oczy w których chciał czytać, odpowiedziały uprzedzając usta.

—Hrabio de Pressy, rzekła, przyjmuję datę pańskiego kalendarza, jesteśmy w 9 sierpnia 1792—tak to miło odmłodnieć kobiecie!

Promień wesela wyjaśnił szlachetną twarz hrabiego, ręce nowo-zaręczonych uściśniły się z energją szczęścia.

—Teraz Margareto, rzekł hrabia, zgaduję dobrze o co mnie pyta milczenie twoje. Oto mój plan. Przypadek szczęśliwy dał mi w ręce pasport pod cudzém imieniem. Wyjdziemy do Holandyi, ztamtąd do Anglii, lub jeśli wolisz, zostaniemy we Francyi, w niedostępném jakim schronieniu, gdzie nas oczy świata nie dójdą. Zreszta, piękna Margareto, we wspólném życiu naszym, dozwolę ci się kierować jak zechcesz, bo więcej ufam w twój instynkt, niżeli w mój rozum.

—Hrabio, odpowiedziała Margareta, podobnych postanowień zaimprovizować nie można; trzeba żeby dojrzały. Wiiesz że rodzina moja mieszka w swym zamku dziedzicznym w Berri. Tam udam się naprzód. Kątek ten jest dotąd i zapewne pozostanie spokojnym; przyjdiesz do nas gdy cię wezwę... prędko.. prędko, kochany hrabio.

Pan de Pressy spójrzył na zegarek i pomimo zwykłej



swojej spokojności, nie mógł ukryć lekkiego wzdrygnięcia, które czujne oko hrabinę postrzegło.

Hrabia zapomniał był o honorowém spotkaniu, i we dwie godziny za późno ten obowiązek przyszedł mu na myśl.

Zwrócił się ku fórtce i opuścił powolnie rękę hrabiny.

— Hrabio de Pressy, zapytała wzruszona, masz pan w téj chwili myśl jakąś niepokojącą go, której ja zgadnąć nie mogę.

— Margareto, odparł udając niestosowną na ten raz lekkość... tak, masz słuszność— przebacz mi, mam myśl w istocie... nie prawdaż żeśmy sobie wszystko wyjawić powinni? w wigilją...

— Tak! tak, hrabio.. powinniśmy nic przed sobą nie mieć skrytego— mów pan.

Margareta trochę niespokojna, żałowała już teraz, że wywołała wyznania.

— Często, mówił hrabia, starając się uśmiechem złagodzić wyrazy— często, między kobietami dowcipnemi a ludźmi— pewnej klasy, bywają stosunki.. niewinne, ale które świat nie zawsze korzystnie dla mężów tłómaczy...

— Hrabio de Pressy, przerwała hrabina z tonem i ruchem nagłym wcale nie arystokratycznym, nie mów tym trybem wyroczeni. Zrozumiałam cię od słowa. Tak, wśród odosobnienia na jakie usunienie się twoje mnie skazało, wnięszałam się z braku zającia, do interesów publicznych, czytając wiele, odcytując; wyrobiłam w sobie nienawiści i sympatje, i nie będę kryć przed tobą żywego zającia jakie wzbudził we mnie jeden młody człowiek, pisarz, poeta pełen talentu i przyszłości; od dziś imie jego z ust moich nie wyjdzie, ale je znasz... znasz go.

— Na tém mi dosyć Margareto, rzekł hrabia za rękę ją ściskając. Obelgą by było dłuższe wypytywanie. Są rzeczy

o których raz tylko, raz mówić można i nie godzi się ich wznawiać.

Tu głos pana de Pressy wstrzymał się, hrabina zadrżała i instynktowo przycisnęła jego rękę.

Gwałtowne stukanie do bramy ogrodowej słyszeć się dało, zmieszane z silnym dzwonieniem.

Denis biegł ulicą wchodową otworzyć fórtkę, ale go wstrzymał rozkazujący ruch hrabinój.

— To jakiś gość, któremu bardzo pilno wniść tutaj, rzekł hrabia z udanym uśmiechem.

— Niechybnie — nie jest to przyjaciel, odpowiedziała hrabina.

— Któż wie? z lekką ironją szepnął pan de Pressy.

To — któż wie? przeraziło Margaretę, i rumieniec jej zagasł powleczonej żółtą bladością.

Tymczasem dobijano się coraz gwałtowniej, a bramka ogrodowa zdawała się rozpadać pod silnymi uderzeniami.

— Jednakże, odezwał się hrabia, wypadałoby otworzyć, nim drzwi wybiją.

— Nie, zawołała hrabina żywo — brama mocna, a my mamy czas uciec — to nieprzyjaciel.

W tejże chwili, głowa zbladła, okryta czarnymi włosy rozrzuconemi ukazała się nad murem pobliskim, obok dwóch rąk, które czepiały się muru jak lwie łapy pastwy swojej i podtrzymywały niewidzialne ciało; głowa ta podrzuciona silnie podniosła się, szpada naga upadła w ogród, a człowiek który ją trzymał, rzucił się za nią.

Hrabia i Margareta, poznali Andrzeja Chenier.

Upadły i piorunem rażony Archaniół musiał mieć na swój pięknej twarzy wyraz, jaki rozpałał lice poety. Są wzruszenia, które nagle ryją na obliczu całe skarby gniewu, zemsty, miłości, rospaczy jakie w sobie zawierać może

wielka dusza.. Ci co naówczas widzieć mogą straszliwy rozkład rysów ludzkiej twarzy, stają ostupiali jakby przed zjawiskiem piekielném.

Margareta szepnęła: To on! ale tak cicho, że jój sły-  
chać nie było.

I omdlała upadła na ławkę zakrywając twarz rękoma.

Pan de Pressy, zawsze *gotow na wszystko*, wedle de-  
wizy swojej, uczuł raz pierwszy, że energją jego łamał ten  
piorun niespodziany, i spójrzał na poetę ze wzruszeniem,  
jakiego nigdy śmiało jego serce w obliczu żadnego nie-  
bezpieczeństwa nie doznało.

Szał przez usta Andrzeja Chenier miał się odezwać.

—Tak! zawołał, to oni, dzieci nieprawe Regencyi! ci  
paniezykowie haftujący na kanwie! ci wierszokleci buduo-  
arów! ci rycerze skarleli, sybaryci suchotni, to oni wszy-  
scy, wszyscy w nim jednym! mężczyzna-niewiasta posy-  
pany krochmalikiem, upstrzony muszkami, umalowany bar-  
wiczką, obszyty w korunki! Mężny był bardzo, gdy miał  
tylko do czynienia z rzezańcami w Trianon, z satrapami  
zwierzynca, z podłemi lizunami monarchji! ale spotkawszy  
się z mężczyzną odważnie się cofnął. Uszedł pod opiekę  
Ameryllis ogrodowej, bo ta wielka pani wstyd mu ten wo-  
czy rzuciła! Dał się wzięść szturmem w cytadelli, bo się  
obawiał wyjść w pole! No! Hrabio de Pressy, wziętem  
cię w jamie jak lisa! Wybieraj teraz, nogę co depcze lub  
szpadę, która zabija! Gadzino czy dworaku, nie ujdziesz  
mi teraz!

Hrabia słuchał z wielkim chłodem pozornym; na osta-  
tnie słowo Cheniera, skłonił się i rzekł:

—Niema co na to odpowiedzieć, chodź pan.

I zrobił kilka kroków ku bramie.

Hrabina Margareta, której Andrzej Chenier nie poznał przebranją, wstała nagle i zaparła im drogę.

Głosem królowej, odezwała się do poety.

—Mości panie, oddaj mi szpadę!

Chenier wzdrygnął się, jakby go kto ze snu nagle przebudził; spojrzął na młodą kobietę od głowy do stóp ją opatrując, i otwierając oczy ogromne, uklonił się przywykły do uszanowania.

—Proszę o szpadę, odezwała się hrabina Margareta, na ten dwakroć powtórzony rozkaz ukochanej, poeta musiał być posłuszny, jak dziecię lekliwe niesprawiedliwemu nauczycielowi.

Hrabina oparła szpadę o drzewo i złamała ją.

—A pańska! odezwała się do hrabiego.

—Moja? spytał de Pressy śmiejąc się, pójdę po nią, raczcie mi państwo towarzyszyć.

Chenier spojrzął na hrabinę jak pies na myśliwca i poszedł za danym jej znakiem w ślad hrabiego.

Wyszli wszystkie troje z ogrodu, a hrabia zanurzywszy ręce w zarośle, wyjął z nich szpadę swoją i oddał ją młodej kobiecie, która wzięwszy ukazała poecie.

—Panie Chenier, odezwała się, nie łamię jej, bo była bohaterską; bo pewnego dnia, pan de Pressy, sybarita, wierszokleta, rycerz garderobowy, wziął ją oburącz i powalił olbrzyma w pojedynku straszliwym. Nie łamię jej jakem skruszyła pańską, bo otworzyła żyły Klaudyusza Mouriez.

Chenier założył ręce na piersi, i spojrzął na hrabiego.

—Teraz, panowie, rzekła kończąc—chodźmy do mnie. Scena przedłużała się w ogrodzie. Poeta pochylił głowę na ramię jak atleta zwyciężony proszący przebaczenia: głos

kobięty przeleciał po nad jego czołem i pochylił je, jak wiatr nachyla trzcinę.

—Panie Chenier, mówiła z akcentem melodyi niebieskiej, któremu nie się oprzeć nie może— dałeś pan sobą zawładnąć złemu natchnieniu i wpadłeś tu; zgwałciłeś święty przytułek prześladowanych; winę tę opłakujesz sam pewnie w goryczy serca. Twoje uszanowanie pełne milczenia lepiej mi niż słowa odpowiada; na czole czytam że-  
byś się chciał uniewinnić— i nie żądam uniewinnienia; dość mi na tém, i mnie i hrabiemu de Pressy.

—Pani, rzekł Chenier spuszczać oczy jak winowajca przed sędzią, kiedy tak dobrze sądzisz o myślach moich, nie przemówię, nie dodam i słowa do tego co mówisz pani za mną. Niech mi tylko wolno będzie powiedzieć, że gniew i szaf nigdy by mnie nie uniosły do takiej gwałtowności, gdybym sądził, że mam świadkiem ich hrabinę Margaretę...

—Tak sądzę panie.

—Co się tyczy przyszłego mojego postępowania, kończył Chenier, będzie ono takim, jakim mi je wskazać zechcesz.

—Panie Chenier, odezwała się uśmiechając hrabina, zdaje mi się, że sam oświecić się powinieneś o postępowaniu swoim; po za temi murami, wola twoja niczém nie jest skrepowaną.

—Byłaś pani łaskawą zajmować się losem moim, nie jak kobięta, ale jak anioł opiekuńczy; gdy cię proszę o radę w postępowaniu, nie do kobięty odwołuję się, ale do anioła.

—Hrabina Margareta, która się zawsze żywo zajmuje poetą, prosi cię panie Chenier, raz ostatni...

—Raz ostatni! przerwał Chenier słabym głosem.

—Tak, raz ostatni,—prosi cię żebyś czuwał nad sobą, żebyś nie dawał żadnego powodu do zemsty swoim nieprzyjaciołom politycznym i czekał dni lepszych na osóbnosci, w ciszy rozmyślania. Masz pan geniusz, którego uprawą zająć się winienes, winienes rachunek Bogu z cudnego talentu, którym cię obdarzył, odmawiając go drugim. Pracuj, myśl, pisz, masz pan światy do odkrycia w sobie. Idź pan do dzieła swego, a zapomnij o przeszłości cudzej, i myśl tylko o swojej przyszłości.

—To pożegnanie od ciebie pani? spytał Chenier skłaniając się.

—Nie mogę panie Chenier obdarzyć cię inném, pochodzi ono ze szczerego zajęcia jego losem, jego geniuszem. Pojmujesz dobrze teraz, że od dziś nowe się dla mnie rozpoczynają obowiązki, muszę się także odosóbnić, szukać schronienia, bo i to wygnanie niedostępném nie jest. Bądź zdrów P. Chenier, bądź zdrów!

Wyrazy Margarety, dotąd stanowczym wymawiane głosem, słabły i oznajmywały wzruszenie wewnętrzne, które się zdradzić mogło, gdyby się przedłużyła rozmowa.

Hrabia de Pressy, stojący trochę na ustroni, przez delikatność zręcznie pokrywaną w czasie całej tój sceny, zrobił kilka kroków, przystąpił do poety i podał mu rękę.

Chenier jak automat spełnił wymagania tój straszliwój chwili: uścisnął ręce hrabiego i Margarety, tłumiąc w głębi serca wykrzyk boleści, i wyszedł z Viroflay nie spełna wiedząc dokąd zmierzał.

Mimowolnie monolog w myśli się jego rozpoczął i towarzyszył mu w pochodzie przez lasy. Tak, mówił,—otoż to kobiety! przyciągają cię ku sobie, syreny, usta miodowemi, rączkami białemi; schodzisz z okrętu na brzeg; bieżysz ku nim, a miluchne stworzeńka zabijają cię bez lito-

ści! Co teraz począć? zemsta mi nawet wzbroniona. Zemścić się? za co? na nim? jam winien najwięcej, ja byłem śmiesznym i dziwnym, wziąłem czyste przywiązanie kobiety za nieprawą miłość. Zawsze się tak mylimy. Duma nas obłąkuje; a gdy miłość własna zanurzy nas w głąb przepaści, pogłębiamy czy nas z niej wyciągniona nie podźwignie ręka. Widzę głębią przepaści— nie postrzegam ręki... rozpacz ciśnie mnie, jak obręcz rozpalonego żelaza! powietrza brak piersi mojej, życie ucieka odemnie... bo życiem mojem była miłość!

Andrzej usunął się i padł pod drzewem osłabiony i podobien konającemu; ale ludzie, których utrzymuje ogień elektryczny namiętności, nie mogą być zniszczeni tak pospolitym wypadkiem; powstają zmartwych by cierpieć, a cierpią by żyli; dziwne to ich przeznaczenie: aby ich obalić— potrzeba kuli bojowej lub topora kata! Szczęśliwy Chenier, gdyby go była rozpacz miłośna zabiła.



## XXV.

### Rana i lekarz.

—Tak kochany Andrzeju, mówił Roucher chowając rękopism jakiś do portfela swego, nareście uczyniłeś postanowienie bardzo rozumne. Uważam cię teraz za ocalonego.

—Za szybko decydujesz mój przyjacielu, mówił Chenier siedząc przed kominem, w którym palił listy, ocalony jestem jak człowiek, co go burza nagim i stłuczonym na puste rzuci wybrzeże.

—Ha! mój drogi, i puste wybrzeże coś warto— jest to nadzieja jutra.

—A potem?

—Potem— Opatrzność.

—Opatrzność była dla wszystkich, co z nędzy poginęli.

—Ci co zginęli, zwątpili.

—Przyjacielu Roucher, wcale nie jestem w humorze rozbierania z tobą problemów metafizycznych; co innego ty i ja mamy teraz do czynienia.

—Co do mnie Chenier, jam gotów.

—Ja się przygotuję; ale jeśli tak ciągle mówić będziemy, nigdy tych listów nie popalę, bo je odczytuję na przódce przed zniszczeniem.

—Na co je odczytywać? spali razę wszystkie te szparęły: ogień najskuteczniej poprawia głupstwa naszej przeszłości. A! gdyby tak tylko wszystkie razem głupstwa popalić można!

—Cóż z tym zrobić? rzekł ze wzruszeniem Chenier pokazując pierwszy długi list hrabinęj Margarety.

—Pał wszystko mówię, pał razę, nie rozbierając, jak Juljusz Cezar spalił listy Pompejusza po zwycięztwie pod Farsalją.

—Spalić ten list! zawołał Chenier pogląając nań oczyma pełnemi czułości i boleści.

—Od tego potrzeba było zacząć, Chenier.

—Kochała mnie, gdy to pisała.

—Dzieciństwo mówisz, dobry mój Chenier, jak dójdziesz pięćdziesięciu dwóch lat, które ja mam, nie będziesz tak naiwnym.

—Roucher kochany, i tyś tak wykrzykiwał w moim wieku!

—Otóż się mylisz przyjacielu, nie znałem bliżęj w mo-



jém życiu nad trzy kobiety, a z przyczyny ich nie miałem nigdy wielkiej zgryzoty.

—Dobrześ je wybrał.

—O! wybornie.

—I zapomniałeś o nich?

—Kocham je dotąd, i zawszem radził przyjaciołom moim, żeby o nich wiersze pisali. Te kobiety natchnęły mi w życiu najlepsze wiersze.

—I drukowałeś je?

—W moich dziełach kompletnych.

—I imiona?

—Tak! i imiona— Heleny, Didony i Kleopatry.

—Roucher, żarty twoje bardzo być mogą dowcipne, ale są nie w miejscu.

—Nie sądzę, wszakżeś się rozśmiał?

—Jak się śmieje, gdy łez zabraknie. Roucher? jak myślisz czy pora się ruszyć?

—Nie jeszcze, rzekł Roucher przez okno spoglądając na pola i niebo... Noc jeszcze nie dosyć ciemna.

—Dla mnie noc już ciągnęła.

—Chenier, miej się na baczności, byłeś konwalescentem, żeby nie było recydywy.

—Pojmujesz ty tę kobietę? rozumiesz ty ją? rzekł Andrzej mnąc w rękach list drogi.

—Pojmuję ją doskonale, przyjacielu, mam-że ci to ciągle powtarzać?

—Tak, powtarzaj, dopóki nie zrozumiem.

—A to rzecz bardzo prosta.

—Kto? kobiéta?

—Nie, wypadek. Wszystko cóś mi opowiadał mój kochany Chenier, naprowadziło mnie na dobrą drogę. Mąż tój pani, hrabia de Pressy, jest zabitym rojalistą; komen-

derował bataljonem szwajcarów 10 sierpnia, i imię jego powtarzane było często w *przyjacielu ludu*, z przyprawą najróżniejszych przekleństw. Ten hrabia ukrywał się gdzieś w jakim lochu swojego hotelu, puściwszy żonę na opatrzność Boską; nagle horyzont rojalistowski, w jego oczach przynajmniej zaczyna się rozjaśniać; cztery departamenta powstają przeciw Rzeczypospolitej; Tallien, wcale nie podejrzany, donosi konwencyi najstraszniejsze wieści; monitor 10 maja ogłasza, że chorągiew białą wywieszono w Loudun. Stokroć tego dosyć by wrócić życie temu tchórzowi de Pressy, wychodzi z kryjówki swojej i wraca do żony, w chwili, gdy ta żona nie myślała już o nim, a daleko więcej o swojej swobodzie.

—Dosyć to trafne, rzekł Chenier poprawując starannie list zniszczony, i przypuściwszy to co mówisz, mój Roucher, przypuszczając to jako wcale prawdopodobne, pani de Pressy nie mogła inaczej ze mną postąpić; uczyniła co była powinna. Mąż, pan, ze swemi prawami stanął przed nią; kobieta musiała milcząc go posłuchać. Biedna Margareta! Tak! Roucher.. teraz sobie przypominam! Głos jój z ostatnim pożegnaniem brzmi jeszcze w uchu mojem. Pożegnanie to tak pełne było uczucia, boleści i ostonionego smutku! mąż! co za wyraz! ile władzy z jednej strony! ile słabości z drugiej! Tak! wszystko to przyjmuję Roucher; umysł twój widzi jasno, jam ciemnościami otoczony! Oświecisz mnie.. Biedna Margareta!

—Strzeż się Chenier, czy znowu nie zadaleko się posuwasz! nie bądź tak obfitym w litość; uzdrowienie twoje było by trudnem, gdybyś się nazbyt politowaniu nad panią de Pressy oddawał; litość ta oddziaływać może na ciebie; a jeśli litość własna powie ci, że jesteś jedynem lekarstwem na niewyleczoną boleść, jutro znów, pójdiesz do

Viroflay wierzechołkóm drzew się przyglądać. Chenier kochany, uznajesz że jestem w usposobieniu widzenia jasno tych rzeczy; no, to posłuchaj mnie do końca. Naprzód odwiódłem cię od samobójstwa; samobójstwo mówiłem ci jest ostatecznym wyrazem egoizmu; ten kto się zabija kochał tylko siebie, nie miał przyjaciół, nie było dla niego rodziny. Chcesz-li być takim? Nie, odpowiedziałeś mi. Drugie rozumowanie moje nakłoniło cię do opuszczenia tego mieszkania, do zmiany jego, żeby nie widzieć do koła przedmiotów gorzkie obudzających wspomnienia. I w tém potwierdziłeś zdanie moje. Udało mi się równie wytłómaczyć ci zmartwychwstanie małżeńskie pana de Pressy. W ostatku myślę dopełnić tych pomyslnych powodzeń zaręczając ci, doświadczeniem mojem, że ta kobieta wcale nie potrzebuje owego zbytku litości, którym ją obdarzasz, i że niezapomniawszy może przywiązania płochego, owocu odosobnienia i braku zajęcia, ma się za najszczęśliwszą, będąc połączoną znówu ze szlachetnym, młodym mężem swoim.

—Roucher, rzekł Chenier głosem bolesnym, okrutny jesteś doprawdy!

—Toż samo mówi ranny operatorowi, dobry mój Andrzeju, a operator ocala rannego!

—Tak! gdy rana nie jest zrozpaczona i w ostatku mój drogi towarzyszu wygnania, muszę coś dla ciebie uczynić; spróbuję pójść za radą twoją.

—O to cię tylko proszę.

—Nim skończym tę rozmowę, która się nie powtórzy bądź tego pewny mój Roucher, pozostaje mi skrupuł dręczący; tyłkoś co nazwał tchórzem pana de Pressy; nie mogę sumiennie, zostawić cię przy tém mniemaniu, choć on jest żywą wszystkich moich nieszczęść przyczyna. Nie

godzi się zwać tchórzem tego, co śmiały w pojedynku zabił Klaudyusza Mouriez.

Roucher wielkimi oczyma spójrzał na przyjaciela.

—Tak! tak, mówił dalej Chenier; taki czyn świadczy głośno o mężstwie tego człowieka.

—Jeśli ten człowiek to zrobił! dodał śmiejąc się Roucher.

—Ale to jawna; P. de Pressy to uczynił.

—Widać, mój kochany Andrzeju, że zamieszkujesz w podziemiach i lasach, i że dla ciebie sprawy świata kończą się na twoich miłośkach.

—Cóż to jest? wytłómacz się.

—Kto ci powiedział, że pan de Pressy zabił w pojedynku Klaudyusza Mouriez?

—Wiém to doskonale.

—Któs cię oszukał mój Chenier i skłamał, Klaudyusz Mouriez nie jest zabity w pojedynku, został zamordowany w rozruchu, na placu Wolności, przez rojalistę imieniem Walentego.

—Co ty mówisz?

—Zabójcę dziś sądzić miano; ale ostatniej nocy przepiłowował dwie kraty żelazne w więzieniu, co od kilku dni począć musiał, i uciekł— ścigają go...

—Jakże to wiesz, Roucher?

—Nic pewniejszego. Stara nasza gospodyni, kupująca wszystkie ogłoszenia, dała mi to wczoraj wieczór, przeczytaj.

Chenier wziął arkusz z rąk Roucher, i przeczytał ogłoszenie pod tytułem: *Szczegóły o ucieczce Walentego, zabójcy obywatela Klaudyusza Mouriez.*

Pisemko to było urzędowe, drukowane z dozwolenia municypalności.

—Tak, rzekł Chenier drżąc z gniewu, tak, masz słuszną, de Pressy tchórzem jest i kłamcą; i obrzydliwą, występłą fanfaronadą odzyskał sobie serce hrabinéj Margarety. Kobiéta wszystko przebacza heroicznemu mężowi, który ją umiał ocalić. Pojmujesz ty tę podłość, Roucher? Nędznik ten wynosił się z pojedynku ucziwego, który go czynił wybawcą! Otóż to delikatności pełne postępowanie dworaków! oto jak uwodzą kobiety! Nie pojedą Roucher, jedź sam, ja muszę zdemaskować P. de Pressy; upodę go w obec téj kobiety; niech mi się wyplaci z należnego pojedynku. Myślał, że wszystko skończono: ale nie— wszystko się na nowo rozpocznie. Zabiję go, choćym potem nie miał więcej zobaczyć hrabinéj Margarety. Mam powód do zemsty teraz— i chcę się pomścić.

Chenier wyrwał się żywo z objęcia Roucher, który go chciał powstrzymać, i rzuciwszy się na wschody do ogrodu, otworzył furtkę, a w niej oko w oko spotkał znajomego posłańca Denisa.

—Wychodzisz pan, rzekł Denis, przepraszam jeśli przeszkodzę, nie mam nic do powiedzenia, tylko ten oddać bilecik.. zaraz idę.

—Bilet od pani hrabinéj? spytał Chenier głosem stłumionym.

—Tak jest panie; dziś rano o czwartéj wyjechała.

—Wyjechała! zawołał Chenier uderzając się w głowę, wyjechała z...

—Z panią Anielą.

—A hrabia?

—Hrabia nie u nas, pojedzie później do Berri na wesele.

—Jak to na wesele! co mówisz Denisie! oszalałeś!

—Nie, panie, ja wiem co mówię.

—Więc nie byli się jeszcze pobrali?

—A pan o tém nie wiedział?

—Ten hrabia de Pressy jest więc nałogowym oszukaną, zawołał znowu Chenier drżąc z wściekłości, chwali się z małżeństwa i z pojedynku... Denisie, rychło zobaczysz panią hrabinę?

—Nie, panie, może jój nigdy już nie zobaczę.

—Słyszalesz o Klaudyuszu Mouriez?

—O tém tylko teraz gadają.

—Cóż o tém mówią?

—Mówią, że go w rozruchu zabił jakiś Walenty.

—Tak jest! tak! nie mogę już wątpić o charakterze tego człowieka; wszelką podłość gotów popełnić.

—Czy pan ma mnie jeszcze spytać o co?

—Nie, Denisie, możesz odejść.

Ogrodnik ukłonił się i wrócił ku lasowi.

Chenier dwadzieścia razy chciał podrzeć kartkę, którą trzymał w ręku. W téj chwili Margareta ukazywała mu się w nowém świetle; zdawała się współ winowajcą pana de Pressy; z nim razem dzieliła kłamstwo. O! jak wiele potrzeba doświadczenia, ile oswojenia się z dziwowiskami życia, żeby się wstrzymać w obec fałszywego przekonania, przed wnioskiem mylnym, i nauczyć się wielkiej sztuki powątpiewania i wahania na tym świecie, gdzie każda pierwsza myśl nasza jest błędem, i ostatnia prawdą nie jest jeszcze. Dla najprzebieglejszego człowieka są trzy osoby, których nigdy do głębi poznać nie potrafi: siebie, swój żony i najlepszego przyjaciela.

Ale że zawsze kochamy mimo wiedzy kobietę, którą nienawidzimy, Chenier wszedł do domku odczytać list hrabinéj Margarety, bo noc już była ciemna. Bilet zawarty był w tych słowach:

«Dziś jeszcze mogę do pana tych kilka słów napisać: jutro mi to już nie będzie dozwolone. Chcę wiedzieć, że dni twoje spokojne, schronienie bezpieczne, a umysłowi twemu panuje rozum, który stanowi genjusz. Napisz pan do mnie raz jeden tylko, *poste restante*, do Vierzon, adresując *pani de Grave*, i uspokój mnie. Pamiętam zawsze moje widzenie w Aix. H. Margareta.

Widok tego pisma, zawsze tak drogiego, sprawił skutek zwyczajny. Poeta kilka łez uronionych sam ukradł przed sobą i rozmyśliwszy się, wstrząsnął konwulsyjnie głową, jakby stanowcze przedsiębrał postanowienie.

Roucher czekał ciągle na przyjaciela, jak człowiek gotujący się do wyjazdu, i nie zajmujący się już wcale domem, który na zawsze opuszcza.

Przyjaciele zeszli się w ogródku i uściśnieli się za ręce, z niemém życzeniem wszelkiego szczęścia w podróży, którą odbyć mieli razem.

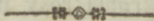
—Gotowiśmy? spytał Chenier.

—Gotowi, odparł Roucher— *omnia mecum porto*, jak Bias.

—A! więc na losy nowe!

I dwaj poeci udali się drogą ku Rouen, ale unikając wielkiego gościńca.

Po czterech dniach pochodu, przybyli do wspaniałego normandzkiego grodu i najęli mieszkanie anachorety po za kościołem Saint-Ouen, tego cudu marzonej architektury cacka w dniach wiary upadłego z niebios na ziemię.



## XXVI.

## W W a n d e i.

Pan de Pressy w zamku swoim, którego park rozciągał się po nad granicą departamentu Wandei, przyjmował kilku przyjaciół. Tylko co powstawali od stołu, a rozmowa, przybierała zwrót poważny, i ciągnęła się dalej na tarassie przed pałacem, zdając się tak ożywioną, że i noc przerwać jęj nie mogła. Towarzystwo złożone ze szlachty okolicznej, na kilka dzieliło się gromadek.

P. d'Elbois, najbliższy sąsiad P. de Pressy, był jednym z tych co zdala szli za myślami Montmorency i Lafayette, i często stawali w sprzeczności z rojalistami czystymi, nieprzyjaciółmi wszelkiego środka i zgody ustępstwem okupionój.

—Dziwi cię to, kochany d'Elbois, mówił P. do Pressy. Łaskaw doprawdy jesteś, że się jeszcze dziwisz! Wojna domowa nie jestli naturalném następstwem rewolucyi?

—Nie! stokroć nie! i pani de Pressy widocznie zdanie moje podziela.

—A! bo pani de Pressy, żona moja, wykarmiona została temi co pan pojęciami, witała, jak to powiadają jutrzeńkę rewolucyjną; frazes utarty i gotowy. Pani de Pressy pożerała *umowę społeczną* w klasztorze jeszcze, poklaskiwała tragedjom Marji-Józefa Chenier i gazetom Andrzejka... brata jego. Nie przerywaj mi proszę Margareto. Wiem, że serce twoje w gruncie jest rojalizmu pełne, wiem, że cię 93 i 89 oświecił, ale dziś, w głębi najlepszych dusz jest zakwas filozoficzny, który się rychło ulotnić nie może, jak kropla rosy na słońcu. To też, kochana Margareto, i ty mój pocziwy d'Elbois, zmuszeni jesteście poprzedzającém, wierzyć i utrzymywać, że we



Francyi mogła się dopełnić rewolucya najspokojniej w świecie, i że wojnę domową można było uchylić środkami ławtewi, ludzkimi.

—Tak jest panie hrabio, ja i dziś tak sądzę, rzekł d'Elbois.

—I ja zawsze to myśleć będę, dodała hrabina de Pressy.

—Jest to więc błąd nieuleczony? rzekł hrabia.

—Wiész czego braknie Francyi? spytał d'Elbois zakładając ręce na piersiach.

—Wielu rzeczy braknie Francyi, to wiemy, odparł hrabia.

—Nadewszystko, ciągnął dalej d'Elbois, braknie nam ludzi stanu. Nie mamy Sullych, Colbertów, Richelieu.

—Zaprawdę! odrzekł hrabia ręce załamując na przeciw twarzy—zaprawdę, kochany sąsiedzie, jesteś najosobliwiej naiwny! Radbym dziś widzieć owych Colbertów, Richelieu i Sullych, i wszystkich wielkich mężów stanu monarchji absolutnej, łamiących się w zaroślach konstytucyi demokratycznej. Szczérze myślisz pan, że Richelieu utrzymałby się dwadzieścia cztery godzin na naszym gruncie rewolucyjnym, ciągle drżącym pod nogami. Zbierz pan wszystkich wielkich administratorów politycznych dawnych czasów, zbierz ich na radę ministerjalną, do koła zielonego stołu w Tuileries, a nazajutrz wszyscy jak Romulus, znikną wśród burzy. Kochany d'Elbois, łatwo to było być ministrem, gdy był tylko jeden minister, jedna wola, jeden król, jedna władza. Robota szła łatwo. Było się sobie Richelieu, Colbertem, Sullym, Mazarinim, jak się chciało. Zażądałeś złączyć Śroziemne morze z Oceanem lądowym łącznikiem, rzekłeś słowo, dałeś znak, i dzieło spełnione. W imie Boże, nie popełnijmy chrono-

logicznych omyłek. Dziś w Konwencyi, w miejscu jednego mamy siedmuset królów; Colbert dziś niepodobieństwem; i szczęściem dla swój sławy że się Colbert przed stu laty urodził!

—To co mówisz, kochany de Pressy, zauważał d'Elbois, pozorne jest, ale mnie nie nawraca na wiarę twoją. Trwam w zdaniu mojem.

—To nic nowego, d'Elbois, wszakże się zawsze rozprawa by pozostać swojego zdania.

—Tak, de Pressy, aleś mi mojego nie pozwolił objawić.

—Objawiaj proszę, objawiaj.

—Naprzód, uznaję że co do położenia mężów stanu dawnych i dzisiejszych, masz słuszość.

—Chwała Bogu, d'Elbois.

—Ale, kochany de Pressy, Konwencya mogła ująć wielkiego błędu, z wielką łatwością przewidując trochę, i bez pomocy mężów stanu.

—Właśnie temu zaprzeczam, kochany d'Elbois—wielkie zbiorowisko ludzi, w naszym kraju, nigdy nie może uniknąć błędu, gdy jest tylko do niego zrzęczość. Siedmuset Colbertów połączonych, nie tyle warci, co Colbert sam jeden.

—No, toby dowieść potrzeba.

—Dla mnie to dowiedziona: ale mów dalej.

—Słuchaj de Pressy, rozumiuję w sposób bardzo prosty. Gdyby Konwencya zastanowiła się chwilę.

—Chcesz od Konwencyi niepodobieństwa! zastanowienia: ale mów dalej d'Elbois.

—Nie przerywaj że mi. Gdyby Konwencya zastanowiła się chwilę, ujrzałaby że traktując Wandę jak ją traktuje, przykuwała sobie do serca płomień co ją miał pożreć. Wielkim błędem chwili obecnej, jest to przekonanie, że woj-

na wybuchająca w Wandei jest wojną polityczną; większego to coś, bo wojna za wiarę, wojna religijna. Dwudziesty pierwszy stycznia poruszył może wieśniaków wandejskich, ale ich nie zagnął do powstania. Więcej potrzeba było. Konwencya winna była pamiętać, że gdzieś w kątku Francyi, żył lud energiczny, mężny, wstrzemięźliwy, pełen wiary, który kochał swą wieś, lasy swoje, kościoły, kapłanów i podania odwieczne.

Mogli odjąć króla ludowi temu, nie powinni mu byli wydierać jego Boga. A jednak do tego szalone ich doszło zaślepienie! zburzono kościoły, złamano krzyże, zniszczono klasztory, wygnano księży. Błąd niesłychany, który ma charakter swawoli polityków—studentów! błąd, który sprawi wszystkie kraju nieszczęścia, bo energiczny opór wewnętrzny musi się złączyć ze straszliwą zewnętrzną napaścią, bo, z nieubłaganej konieczności, rewolucya, usiłując zagasić dwa pożary z winy swój wybuchłe, nie będzie mogła ich inaczej przydusić jako potokami krwi, na polach walki i na rusztowaniu.

—Kochany d'Elbois, zdaje mi się że w tym względzie masz słusność. Przyznaję ci ją. Żle tylko żeś się dziwnym karmił złudzeniem, sądząc iż siedmiuset królów Konwencyi inaczej postąpić mogą, jak postąpili. Możeszli na chwilę przypuścić, by Konwencya tak sobie mówiła: Wandeja jest krajem lasów, gór, jarów, w tych borach kryje się lud bohaterski. Nie tykajmy wiary tego ludu; nie przypinajmy tego ognia do okrętu rzeczypospolitej. Dostyc nam będzie obcych wojsk grożących od Sambry, Meusy i Rennu. Jakto kochany a naiwny sąsiedzie, nie pojąłeś że ta uwaga zbyt jest prosta, bijąca w oczy i sensowna, żeby na nią wpaść mogło razem siedemset mózgów ludzkich!

—No, kochany de Pressy, rzekł d'Elbois z ukłonem,

przyznaję się otwarcie do mojej prostoty, zawsze jednak dziwić się nie przestanę że Konwencya nie wpadła na to, co pomyśleć musiał każdy rozsądny człowiek, ledwie spojrzawszy na Wandę, jej kartę i jej dzieje.

—D'Elbois, przyjacielu, godzien jesteś nabyć doświadczenia i nabędziesz go.

—No, ale tym czasem kochany de Pressy, co nam czynić wypada?

—Co czynić? pytasz? mówiłem ci to dziś rano i powtarzam wieczorem. Nie mamy wyboru, jedno tylko pozostało.

—Jakto! mój de Pressy, ty co jesteś jeszcze w młodszym miesiącu, ty, mąż ukochany najwdzięczniejszej z kobiet, ty, gospodarz domu zamożny i lubiący wygodki, miałbyś pójść i stanąć na czele wieśniaków i począć tę ciężką wojnę po krzakach i jarach!

—A czemuż nie? Co w tém dziwnego? wkrótce zostanie mi do wyboru, z dwóch emigracyi, jedna. Wolę emigrować nad Loarę. Wszyscy moi szlachetni przyjaciele dobyli już wandejskiej szpady z pochew i pochwę rzucili daleko, chcesz żebym się sam pozostał? Imię mojej rodziny, dopóki ja je noszę, splamione nie będzie.

—Masz przecie doskonałą wymówkę.

—Wstrzymuję cię, d'Elbois. Wymówka nigdy być dobrą nie może, bo zawsze zmniejsza tylko, ale dowodzi razem winy. Zresztą, mówiłem już o zamiarze moim pani de Pressy, której serce zbyt jest szlachetne by mnie wstrzymywać miało i odciągać od dobrego.

—W tém, przerwał d'Elbois, pani de Pressy postępuje jak prawie wszystkie żony nasze.

—Jak wszystkie, a wszystkie, — podchwycił de Pressy.

—O! o! rzekł śmiejąc się d'Elbois, znaleźli się i między

nami tacy, co nie wyszli z domów póki im kądzieli nie przystano.

—Więc ja chcę tego podarunku uniknąć, rzekł de Pressy. Zresztą, ta wyprawa rojalistów we własnym kraju całkiem mi do serca przypada. Pani de Pressy, jakkolwiek od niedawna moja żona, radzić mi dezercyi, podłości nie może i nie będzie.

Nastąpiło milczenie. Trzeci to już raz w jednej godzinie, pan de Pressy starał się wywołać zdanie swojej żony o wyprawie Wandéjskiej, a pani de Pressy uparcie milczała, zdając się tylko potwierdzać jego słowa.

Na trzecią odezwę—piękna Margareta pochyliła smutnie głowę i pomyślawszy chwilę, odezwała się z melancholją przenikającą.

—W jakich że to czasach żyć zmuszeni jesteśmy! jak ciężko cierpieć niewinnym, za cudze błędy! Tak: że się tam kilku rachawym i niespokojnym słowom podobało rzucać Francję jak zabawką, dla rozrywki wśród nudy, myśmy zmuszeni zatruwać sobie życie słodkie, spokój zamacać i pożegnać się z pogodą dni naszych! Ciężko zaprawdę cierpieć za błędy cudze, za ludzi, którzy by dla nas nie cierpieć nie chcieli!

—Prawda to kochana Margareto, rzekł de Pressy, ale w tych wyrazach twoich, nie znajduję jeszcze przyzwolenia na mój wyjazd.

—A jakże byś pan chciał panie de Pressy, żebym się wyraziła? Przyzwolitaż to bym ci powiedziała: Tak hrabio de Pressy, nie trać chwili—honor woła! godło rodu ci to radzi! Naddziadowie twoi wymagają tego po tobie! nie spóźniaj się! Każda chwila stracona, wyszczerbia złociste tło twojego herbu!—Wiész to wszystko panie hrabio i bezemnie, nie potrzebujesz by ci to powtarzała kobieta, a ja zna-

jąc twoje szlachetne serce, zawsze milczeć będę, gdy idzie o tego rodzaju postanowienie.

Gdy rozmowa przybrała ten tok poufalszy, d'Elbois pozwoli odszedł na bok, żeby małżonkom zupełniejszego zakończenia jej swobodę zostawić.

Pan de Pressy spójrzył na żonę z tajemniczym jakimś smutkiem, którego głębi żaden świadek nie potrafił by był zbadać. Nie lękał się on ani niebezpieczeństw ani pracy jaką groziła rozpoczynająca się w okolicy wojna. Pochodził z dzielnego rodu rycerskiego, a usposobienie wewnętrzne gnało go raczej na pola wojny, niżeli wiązało do ciszy posepnego zamku feudalnego. Z jakiejże przyczyny tak głęboki smutek wyrzył się na twarzy jego szlachetnej, na której wdzięk łagodził wyraz duszy, w chwili gdy cała arystokracja Francji biegła pod chorągiew wiary, jak za czasów Ludwika IX?

Najnaturalniej było przypuścić:—kłóży smutnym nie był w położeniu podobnym? Zaślubił kobietę którą ubóstwiał, wyrwał skarb ten światu, ukrył go w zamczysku ocienionym i obwarowanym wieżami; rozpoczął życie rozkoszy; Eden idealny stawał się dla niego rzeczywistością—pierwszy rozdział ksiąg rodzaju rozwijał się przed oczyma serca jego—cała ziemia dla nich dwojga była stworzona, mąż powtarzał ciągle jeden hymn zachwytu i miłości—marzył o życiu wiekiuśm pod cieniem tych drzew, kochany i rozkochany. Stońce im tylko świecić miało!

Nagle, że się podobało Konwencyi rozdrażnić pobożnych wieśniaków Wandei, musiał ów nowożeniec zatopiony w małżeńskim swém szczęściu, rzucać swój raj, i rzeczywistość boską zmienić w sen smutny i gniotący, musiał iść na wojnę domową, z nadzieją że zostawi po sobie wdowę, że po-

rzuci, nie wiedzieć komu, w spadku po sobie, niebiańska istotę, przedmiot miłości!

Wolno było, nawet stoikowi takiemu jak de Pressy, mgłą smutku okryć twarz w chwili takiej boleści.

Lecz, że smutek ma nieskończoną różnorodność odcieni i wyrazów, którymi się objawia, bardzo głęboki badacz, nie byłby się takim przypuszczeniem zaspokoił, rozpatrzywszy dobrze oblicze hrabiego de Pressy.

—Margareto, odezwał się po chwili, trzeba nam pomówić otwarcie, w okoliczności tak uroczystej, która jest jakby chwilą przedśmiertnego pożegnania.

—Zdaje mi się, odparła Margareta, że zawsze mówisz otwarcie? miałabyś kiedy mówić inaczej?

—Tak jest, Margareto; czasem ludzie zmuszają nas byśmy się zakrywali przed niemi... Musimy walczyć z niemi równą bronią... Ale z tobą, żoną moją, rzecz inna... Tak, Margareto, gdybym w tobie ujrzał, choćby cień, choćby pozór ruchu wstrzymującego mnie, wyznaję ze wstydem, mozebym pozostał... przytrzymany najmilszą mi ręką. Tak, Margareto, choćbym się tu w tym zamku miał doczekać ironicznego podarku kądzieli, zostałbym przy tobie, mó uwielbiony aniele, gdybym między temi drzewy a chorągwią Wandejską, postrzegł skinienie palca twego.

Hrabina de Pressy spuściła oczy, i myślała jak ktoś co próbuje odgadnąć myśl mówiącego, niżeli mu odpowie.

—Kochany przyjacielu, zawołała podnosząc głowę z pewnym postanowieniem— czy tylko prawdziwa otwartość mówi teraz przez usta twoje.

—Tak, tak, Margareto...

—No, to ci powiem, że twoja otwartość hrabio, podobna jest wielce do udawania.

—Wylómacz się, nie rozumiem cię wcale, kochana Margareto.

—Myślisz-że, że ci mogę doradzić podłość? Zapominasz chyba że i ja pochodzę z rodziny rycerskiej? Zapominasz że synowicą Dupleix, bohatera Indyi? Zapominasz że wдова bohatera który wysadził się na powietrze z okrętem w porcie Pondichery, niechcąc chorągwi swój dać w ręce anglikom?

Hrabina mówiąc to, stanęła poważnie, bohatersko. Nie była to kobieta, stała się bóstwem; dwoje wielkich jej oczów błyskały jak dwie gwiazdy spadłe z niebios pod cienie drzew zamkowych.

—Nie, Margareto, nie— rzekł melancholijnie hrabia, nie zapomniałem niczego—niczego—rozważ dobrze to słowo—ja nie nie zapominam!

Hrabina westchnęła z pozorném uspokojeniem, jak gdyby nie zroszciała prawdziwego znaczenia słów hrabiego.

—A więc to było zmyślenie, udanie—zawołała—mogłamże się na chwilę dać uwieść panu de Pressy usiłującemu odegrywać rolę tchórza, i oczekującemu niby na to żeby mu kądziel przysłano. O! nie. Hrabina de Perssy nie wpadła w łapkę—zna ona szlachetne serce męża.

—O! kobiety! kobiety! zakrzyknął hrabia składając ręce i opuszczając je na czoło.

—Co to znaczy ten wykrzyknik? spytała naiwnie hrabina.

—Nic, nic, zupełnie nic—odparł hrabia. Margareto, jadę dzisiaj w nocy.

—A! a teraz przesadzasz pośpiechem—odezwała się hrabina wzruszona widocznie i szczerze, na co jechać tak prędko? nikt ci tego nie nakazuje—zresztą, myślisz że ci odjechać dozwolę z tym ponurym smutkiem, z którym nigdy żołnierz wychodzić nie powinien?



—Margareto, przerwał hrabia ściskając rękę żony— niepodobienstwem jest, by w takiej chwili kobieta potrafiła o-mamić mężczyznę. Wierzaj mi: są odcienia, są w uczuciu błyski które wszystko objawiają, zdradzają wszystko— w godzinach ostatecznych. Margareto, masz dla mnie szacunek, poświęcenie, przyjaźń; ale... będę miał odwagę ci to powiedzieć: ty mnie nie kochasz.

Hrabina pozostała nieruchomą i milczącą.

—Tak, nie kochasz mnie, kończył hrabia, i ta myśl tylko może mi osłodzić gorycz rozstania.

—Prawdziwie, takiego rozwiązania nie mogłam się spodziewać, odezwała się hrabina głosem usiłującym wyrobić siłę—nie wiem za co spotyka mnie tak pochlebna grzecznośćka.

—O! bez szyderstw, droga Margareto, szukałaś wyrazów by mi odpowiedzieć na tę grzecznośćkę, i zabrakło ci ich— tobie, tak zwykle przytomnej! zresztą, nic ci nie wyrzucam: wszystko jest winą moją. Przyszedł ku mnie z uczuciem prawem wspomnienia, boś była swobodną w Wersalu, i mogłaś...

—Dosyć, dosyć, panie hrabio, przerwała Margareta której łzy wytrysły z oczów!— godzienes być szczęśliwym! nie doradzam ci podłości, ale rozkazuję... nie pojedziesz!...

Hrabia de Pressy odgadł łatwo ile było delikatności w uczuciu które żona jego tak żywo, tkliwie wyrażała; ale temu przebudzeniu przywiązania rodzinnego brakło jednej rzeczy, jednej— której nic nie może zastąpić— brakło miłości.

Hrabia jednak udał jakby się prostem przywiązaniem zaspokajał, w braku czegoś lepszego, i nie rzucając projektów rojalisty wandejczyka, pozornie usłuchał rozkazu co go czynił niewolnikiem żony, gdy honor wzywał całą szlachtę nieemigrującą pod sztandary wiesniaków Wandej.

Niestety! cóż stałego, co pewnego w projektach i zamysłach osnutych w czasach burz politycznych! W tych gorących godzinach, przyszłość jutrzejsza nawet wyrachować się nie daje.

Pod drzewy cienistej alei zamkowej, jeździec cały okryty kurzawą przeleciał jak widmo konne i z szybkością błyskawicy; zatrzymał się przed gankiem, a wnet całe towarzystwo hrabiego zbiegło się ze wszystkich zakątków i głębin parku, dla dowiedzenia się nowin chciwie oczekiwanych, które były rozdziałem nowym strasznej historii owjej epoki, pisaniej żelazem i krwią.

Nowina była następująca:—żądano wodzów, żądano broni. Bój rozpoczynał się na widnokregu. Pożar szerzył się co chwila. I jak w czasach straszliwych klęsk świata starożytnego, wołały głosy nocy *Jam proximus ardet!* Na pomoc! na pomoc biegnijcie!

Na te dziwne wieści, głowy się zapalały i ręce chwytaly rękojeść mieczów. Nie godziło się już stapać nogą rozlargnioną po miękkich kobercach, po marmurowych posadzkach, w zacisznej ustroni, jak przed 89. Każdy szlachcic opóźniony zasługiwał by mu herbowne jego pole przekreślono linią haniebną; szpady przestały być ozdobą mieszczuchów i dodatkiem do stroju; zaczynały znów być orężem. Jedna chwila za długo przesiedziana pod zamkowemi stropami mogła zbezcześcić człowieka.

Kobiety nawet nie ważyły się wstrzymywać; ręce ich nie wskazywały na zamek spokojny, wyciągały się ku płonącym widnokregu krańcom.

Do drogi nie wiele było potrzeba—konia i broni; dość tego byłoby pójść i umrzeć.

Hrabia de Pressy i d'Elbois dali przykład z siebie; pierwsi siedli na koń korzystając z bezpiecznych godzin

nocy, dla połączenia się z jakim odłamkiem armji wandejskiej o pierwszym dnia brzasku.

Dwaj panowie przebiegli równiny, wzgórza, jary, z takim zapałem, że o świcie zostali pieszo, konie ich padły na drodze, i pozdychały z wysiłku. Kraj rozwijający się przed nimi miał fizjonomję dziką i pierwotną; był to raczej widok okolicy wyspy Don-Juan-Fernandez, niżeli jednego z departamentów Francyi: dziewiezza dzikość ziemi, massy ciemne drzew, wzgórza dziwacznie powyrywane, bieg wód błędny, grunt wspaniale gardzący wszelką uprawą, oznajmywały naturę silną— matkę energicznych dzieci.

Hrabia i d'Elbois zachwycali się tym widokiem, jak podróżni coby raz pierwszy odkryli archipelag Oceanu Południowego. De Pressy zapomniał na chwilę boleści swęj, i stał się znowu jakby owym obojętnym gospodarzem hotelu w Wersalu.

—Prawdziwie, zawołał oglądając szybko okolice do kota— trzeba być tak niezgrabnym jak Komitet ocalenia, żeby w takim kraju wywoływać wojnę. Miałeś słuszność mój d'Elbois, można było doskonale uniknąć tój wojny domowęj, wojny co się ukończyć nie może, póki na tój ziemi będzie bodaj dwudziestu chłopów katolików pozbawionych mszy i sakramentów.

—Rzecz niezaprzeczona, rzekł d'Elbois. Pierwszym obowiązkiem męża stanu powinno być poznanie dokładne, szczegółowe Francyi, a tego im właśnie brakuje. Chęć narzucić konstytucyę jednostajną krajowi okrytemu mgłami od północy, oblanemu słońcem od południa; obrosłemu modrzewiami w Dunkierce, pomarańczami w Hyères, pojącemu się cydrem w Normandyi i esencyą w Langwedoku; który z jednéj strony naczytał się Voltaira z drugiejęj Rousse'a; protestanckiemu od wschodu, katolickiemu od zachodu;

który oblewają Ocean, rzeki i morze Śródziemne, który w ostatku, dla tych wszystkich przyczyn, jest ogromnym amalgamem rozmaitych charakterów, temperamentów i organizacyj. Zachciało im się uczynić *jednym i niepodzielnym*, co ze swój natury *jednym i podzielnym* być musi. Oto szkopał, o który się rozbijają zawsze wszystkie władze i wszystkie konstytucye. Na jednoby wyszło zebrać w arce wszelkiego rodzaju zwierzęta i zmusić je by się karmiły w jeden sposób i żyły jednakowo.

—Tak, rzekł de Pressy, ale na to odpowiedzą, że człowiek obdarzony jest rozumem—i że....

—Hrabio de Pressy, przerwał d'Elbois, nie uśmiechaj się gdy to mówisz. Niestety! wiemy doskonale jaką korzyść człowiek ze swego rozumu wyciąga.

—Traci go! dodał smutnie de Pressy.

—Ale, kończył d'Elbois, nie bądźmy za surowi dla drugich. Nie rzucajmy kamieniem na nikogo; my także winniśmy błędów i mamy dziś za nie odpokutować. Słuchaj de Pressy, słuchaj — wróć jak ja do wspomnień dawnych. Dwadzieścia lat temu, byliśmy oba w Chanteloup u księcia de Choiseul; ojcowie nas tam przywieźli! Pamiętasz kochany de Pressy, cośmy to młodzi naówczas widzieli w Chanteloup?

—Doskonale, kochany d'Elbois: grano *wesele Figara* pana de Beaumarchais.

—Tak, a potem?

—Pytasz co robiły rodziny nasze?

—No, cóż one robiły, kochany de Pressy?

—Rodziny nasze poklaskiwały filozofji cyrulika Figaro, i żartowały sobie arcy-dowcipnie ze szlachectwa, które przedstawiał hrabia Almaviva...

—Wybornie, kochany de Pressy, dobrze to pamiętasz.

Dodam tylko, o czém być może zapomniałeś—nie przypominasz-li sobie piosenki co się kończyła:

A Voltaire jest nieśmiertelnym!..

—Przypominam sobie piosenkę.

—I pamiętasz że jój poklaskiwano gwałtownie.

—Tak, ale i to pamiętam że byli tacy co nie klaskali, smutnie potrząsając głowami.

—Tak, prawda, a tych przezywano Kassandrami, Kale-tasami, Cazottami, i proszono o powtórzenie piosenki.

—I myśmy także potracili byli głowy, d'Elbois—Wielki to błąd mniemanie, że niższe klasy robią rewolucye; one je kończą, starsi zawsze sami je poczynają.

—Przynajmniej, rzekł d'Elbois, szczęśliwsi jesteśmy od umarłych ojców naszych. Możemy chwalebnymi przykładami i bohaterskiem poświęceniem opłacić część błędów szlachty francuzkiej. Gdyby wojna wandejska tylko nam dopomogła do starcia plam z kilku tarczy herbownych, powinniśmy ją za to błogosławić.

De Pressy, który rozmawiając wciąż rozpatrywał się w ciemnych massach zieloności, które okrywały wzgórze i w ścieżkach wydeptanych przez pastuchów, wstrzymał się i zatrzymał d'Elbois, wyciągając rękę.

—Tu trzeba oka myśliwca, rzekł uśmiechając się,—nie widzisz li tam nic w tém przecięciu lasu, tu o pięćset kroków na prawo?

D'Elbois wzrok zwrócił we wskazanym kierunku, i dał znak głową jakby mówił—nic nie widzę.

—A ja, rzekł de Pressy, lepsze podobno mam oczy. W tej odległości odkryłbym odyńca w barłogu i mógłbym być dojeżdżaczem...

—No i cóż tam zobaczyłeś?

—Naprzód, kochany d'Elbois, usuńmy się trochę na bok, tu w zarośla. To pewno że tam są ludzie, że mi błysnęła broń.

—Może myśliwi.

—O! ho! niemasz już myśliwych w Wandei, pozostali żołnierze tylko.

—To prawda...

—Czekaj, czekaj— pozwól mi się no wpatrzeć w ten gaj— niech tylko schwytam cokolwiek... Barwę jaką, formę... cień postaci... a powiem kogo mamy przed sobą— przyjaciół czy wrogów.

De Pressy rozpatrywał z uwagą wysiloną tę część lasu podejrzaną, i zabłysły mu oczy.

—Tak, chciałem tylko cienia— otoż jest— widziałem— wyciągnął się od słońca... ciała nie widzę, cień migocze mi i znika... widzę na nim strzelbę bez bagnetu... to straż... obwarowująca posterunek wieśniaków... nie jest to cień żołnierza, bo na cieniu strzelba myśliwska. Przed nami *biali*, niema *sinych*... to pewna, a zatem, naprzód!

To mówiąc, hrabia de Pressy wyjął z kieszeni wielką kokardę białą i przypiął ją do kapelusza, d'Elbois uczynił podobnie i dwaj szlachta poszli naprzód krokiem śmiałym.

Oba odpowiedzieli na zapytanie straży, hasłem rojalistów, i wedle słusznego przewidywania hrabiego de Pressy, znaleźli się wkrótce wśród bataljonu złożonego z osmiuset chłopów wandejskich, których najmniej połowa opatrzona była w broń, reszta czekała zwycięstwa by ją sobie zdobyć.

De Pressy znał młodych oficerów dowodzących wieśniakami; przyjęty został z zapałem; co więcej, okrzykniono go natychmiast wodzem jednogłośnie, a wymówki jego musiały zamilknąć w obec nalegań wszystkich.

—Przyjaciele moi, rzekł de Pressy, kiedy mi każecie sobie dowodzić, dowodzić będę wami; ale teraz z kolei, rozkazuję wam prowadzić mnie; kraju tego nie znam, nie miałem czasu rozpatrzyć go na karcie nawet.

Wieśniacy zakrzyknęli że każdy z nich za przewodnika mógł służyć, ale w tej chwili przewodników nie było potrzeba, bo chodziło o przerznięcie się przez posterunek żołnierzy republikańskich, dla połączenia się z armją wandejską, od której dzielił ich las Valbouis.

—Jak daleko jesteście od sinych? spytał de Pressy.

—Najwięcej kiedy o milę, odparł wieśniak siwy, który zdawał się tu mieć wielką władzę.

—Na coście czekali tutaj nie atakując ich?

—Uczyliśmy trochę rekrutów naszych, a potem mieliśmy ruszyć, rzekł wieśniak.

—A cóż ci poczciwi ludzie umieją!

—Potrafią umrzeć.

—To nie dosyć.

—Potrafią zwyciężyć.

—Tego dość, i wieczorem, przyjaciele, będziecie wszyscy mieli broń dobrą, a jutro połączym się z armją, jeśli Bóg pozwoli.

Hrabia de Pressy usunął się na chwilę z między wojsk, napisał list do żony, i oddał go chłopcu lat około trzynastu, którego pod tym uczciwym pretextem usuwał od walki i niebezpieczeństwa wyprawy.

Dziecię mruknięto odbierając pismo, ale stary wieśniak wskazał mu niebo i rzekł:

—Wszystkie rozkazy z tamtąd pochodzą, choć przez usta wodzów idą— Bądź posłusznym.

Dziecię skłoniło głowę, wzięło list i pobiegło.

Po urządzeniu ludu, hrabia przejrzał swój bataljon, i

podał rękę d'Elbois, który opatrzywszy się w kij okuty żelazem, zajął ostatnie miejsce między Wandejczykami.

—D'Elbois, rzekł mu hrabia, nie będę ci wyrzucać żeś mojej przyjaźni i protekcyi nadużył dla wzmocnienia się i awansu w armij wandejskiej. Zdaje mi się że i u nas jest równość.

Potém obracając się ku wszystkim, hrabia rzekł:

—Dzieci moje, pamiętajcie dobrze żeście jednym człowiekiem, że macie myśl jedną, jedną duszę, jeden cel. To będzie siłą waszą; jedność nierozzerwana zwycięża wszystko. Nikt nie skruszy wiązki którą sam Bóg swemi zadzierżgnął rękoma.

Wieśniacy podnieśli kapelusze do góry, ale żaden nie krzyknął, aby echo tych pustyni nie zdradziło chodu bataljonu wandejskiego.

—Naprzód! rzekł hrabia podnosząc szpadę do góry... Zbliżywszy się do d'Elbois rzekł na ucho:

—Dwadzieścia lat temu, tegoż dnia poklaskiwaliśmy przycinkom Figara.

—A teraz idźmy to odpokutować! odparł zagadniony hrabia; stanął na czele bataljonu, i ujawszy starego wieśniaka pod rękę, rzekł mu:

—Pokaż nam drogę najkrótszą, bo mi pilno zobaczyć się z *sinemi*.

—Panie hrabio, obiecuję ich panu pokazać za godzinę.

—Oj! to coś długo czekać, rzekł de Pressy.

Natura która nigdy nie łączy się i nie sympatyzuje z człowiekiem, i zawsze jest wdzięczną choć ludzkość nią być przestaje, zdobyła niewyliczonemi blaski i wonią pejzaż, który wojna miała okryć krwią i kurzawą. Ptacy śpiewali wśród liści, powietrze napełniało się zapachami, wody mruczały wśród łąk zielonych, zewsząd niebiańskie



głosy wzywały do nasyceńa zmysły i duszę; zdawało się jakby te dwa wiersze poety, wyrzeżane były na korze każdego drzewa:

W świątyni gromiącego Boga,  
Wenus jeszcze wzdycha.

Ale ludzie podobni są zawsze bałwanom Egiptu; uszy służą im by nie słyszeli; jak Rzymianie na czele świątyni piszą imię *zgody*, lub przypinają je na rogu ulic, by całkiem potem o świętej zgodzie zapomnieć.

Bataljon wandejski w cichości posuwał się ku nieprzyjacielowi i drzewa cieniste osłaniały pochód jego; trawy głośzyły stąpanie.

Stary wieśniak, znający okolice, mówił do pana de Pressy.

—Panie hrabio, wychodzیم z lasu; postrzeżemy kawał gruntu okrytego wrzosami, z drugiej strony będzie strumyk, który w czasie deszczów staje się potokiem i wpada do Loary.

W tej porze możemy go przejść mając wody nie więcej jak po kolana. Strumyk ten płynie po nad brzegiem lasu w którym się zamknęli republikanie, usiłując przeciąć linię komunikacyjną, i nie dozwolić Wandejczykom, z tej strony będącym, przejścia najkrótszego i najłatwiejszego do środka *Bocage*, to jest do ogniska powstania.

—A więc? mówcież co więcej? spytał Pressy nachylając się ku przewodnikowi—uczcież mnie proszę? czy nie ma w górze lub w dole innego przejścia przez ten strumień? Czy koniecznie zmuszeni jesteśmy przerzynać się przez ten las i przez *sinych*?

—Przed przybyciem waszém panie hrabio, zdecydowaliśmy, że tędy przejdziemy; ale nie byłaby to racya żęby

koniecznie tak zrobić, gdyby nam co lepszego pozostało, a tu nie mamy podobno w czém wybierać! Naprzód górą i dołem drogi są nie do przebycia, mówię drogi, ale to tylko tak się mówi, bo dróg żadnych niema. Nic, tylko topieliska, bagna, góry porośte gęszczą nieprzebytą, wody i trzęsawiska. Dwadzieścia dni byśmy stracić musieli nimbyśmy z tego wyleźli, a dwadzieścia dni, to życie. Ale jest i druga racya lepsza: kiedyśmy się skupili żeby się bić, czemuż się nie bić od razu, kiedy tak dobra zręczność pod samym bokiem, u drzwi chałup naszych? Jest to w ostatku najlepsza zręczność nabycia broni której potrzebujemy, a gdy przyjdzie się z armią wandejską połączyć, toż już nie będziemy rekruci, ale starzy żołnierze co widzieli ogień, powąchali prochu i opatrzyli się w co potrzeba.

—Wybornie, rzekł hrabia; to najlepsza zapewne racya, i innych mi już nie potrzeba. Nie potrzeba ci powtarzać, kochany towarzyszu, żem te uwagi zrobił w interesie wszystkich; bo, co do mnie, nie mam żadnej przyczyny osobistój żebym się bardzo o siebie troszczył. Nigdy nikt pewnie na niebezpieczeństwo i śmierć nie biegł weselej nademnie.

—A cóż to, czy pan rozpaczasz o naszej sprawie? spytał wieśniak rozpatrując się w twarzy hrabiego, okrytj powłoką smutku—mówisz pan to, takim tonem.

—O! kochany towarzyszu—odparł hrabia uśmiechając się, moje osobiste strapienia nic nie mają wspólnego ze smutnemi wypadkami politycznemi; nie wróż więc nic złego dla sprawy ze słów i tonu któremi je wymawiam; przeciwnie, mam sprawę naszą za bardzo dobrą, bardzo piękną i silną. Wanda będzie grobem swych wrogów, a piedestalem obrońców.

Słów tych domawiał gdy promień słońca przecisnął się

przez drzewa ostatnie, i ciasna dolinka naga ukazała się oczom bataljonu.

Hrabia piérwszy puścił się biegiem, i w kilka chwil przybył do strumyka, który przebyto kilką skoków. Żadna straż republikańska nie zaalarmowała dotąd obozu, i zdawało się, że lasek nie był strzeżony, pomimo zapewnień przeciwnych.

Prawda, że nowe regimenta republikańskie, przybyłe w tę okolicę Wandei, dosyć pogardliwie uważały tę wojnę z ubogim ludem, a wodzowie sądzili, że zbyt wiele honoru uczyniliby wieśniakom, gdyby przeciwko nim przedsiębrali strategiczne ostróżności, zawsze będące we zwyczaju w każdej kampanji, przeciwko nieprzyjacielom straszniejszym.

Hrabia de Pressy, piérwszy przebywszy strumyk, zatrzymał się, ustawił swych ludzi w szyk bojowy, i uregulował ich po żywym pochodzie rozpierzchtych.

— Dobrze wiesz co się tu dzieje? spytał przewodnika.

— Doskonale! odparł wieśniak.

— Ci, co tobie to donieśli, byli ludzie pewni, na których polegasz.

— Jak za siebie, za nich ręczę panie hrabio.

— Zresztą, zawołał hrabia—naprzód ciągle, a jeśli nie spotkamy nikogo, tém lepiej; tém lepiej dla was moi przyjaciele!

Hrabia wpadł do lasu z odwagą myśliwca, który ściga dzika w łożysku, a bataljon poszedł za nim z zapałem, który mężny dowódzca zawsze przelewa w swoich podkomendnych.

Już przebyli połowę lasu, gdy razem krzyk i wystrzał dał się słyszeć.

W tejsze chwili, więcj dwóch tysięcy żołnierzy republikańskich, uspionych jak Kartagińczycy w Kapui, na po-

staniu zieleni, powstali, poczęli się sami formować w ściśnięte kupki, i całą linią dali ognia ze straszliwą zgodnością.

Wieśniacy wandejscy odpowiedzieli, a de Pressy zakrzyknął:— Dostyc! naprzód i przerzynać się!

Rachował on na siłę i zwinność swoich ludzi, których ciała były z brązu, a nogi z sprężystej stali. W podobnym razie, postępować wedle starych prawideł bojowych, i nieustannie się odstrzeliwać, było to narażać się na nieuchronną przegraną, z żołnierzem wprawnym manewrami nad Sambrą i Renem. Potrzeba było wysiłku stanowczego i rozpaczliwego; walki pojedynczych zapaśników, boju energicznego, gdzieby. wedle słów Quinta-Kurejusza, noga się z nogą splątała.

Hrabia rzucił się na środek linii, by go przebić i otworzyć przejście swoim, za nim szli najmężniejsi i najsilniejsi; wybrał ich do tego umyślnie; wszyscy żołnierze od wczoraj, dziś już weterani; ludzie wiary, uważający śmierć za męczeństwo, a niebo za ostatni spoczynek żołnierza. Linja republikancka skrzydłami objęła środek, by wstrzymać i odeprzeć napad tych olbrzymów; Wandejczycy, dla uniknienia wystrzałów, rzucali się na ziemię, powstawali wśród kłębow dymu i granitowemi barkami wywracali żołnierzy.

Hrabia otoczony żołnierzem, jedną ręką odpychał bagnety, drugą uzbrojoną w szpadę, walczył jakby w pojedynku, do którego żywy zastępował ciągle zabitego. Bataljon wandejski otrzymał w tém spotkaniu jedyne zwycięstwo, które był zdolen wywojować sobie; przebił linią jak kupa lwów, nachwytał broni i przeskoczył z szybkością zadziwiającą na drugi brzeg lasu. Hrabia de Pressy, d'Elbois i ze stu wieśniaków, odwiedli sinych w jedną stronę, skupili bój ku sobie, by reszcie dać czas się przeciąć; ale ta walka tak nierówna musiała być dla bohaterów, co się na nią wazyli,

śmiertelną. Nieszczęściem tej wojny wandejskiej było, że z-odu stron odwaga jaśniała równa. Nieustraszonosc spotykała się zawsze oko w oko z nieustraszonoscia. Po bitwie, dusze tylko uciekły, wszystkie ciała placu dotrzymaly.

De Pressy, wpędzony w szeregi żołnierzy, jak między granitowe mury, upadł przeszyty kilką bagnetami, i ostatnim uśmiechem pożegnał bataljon wandejczyków, który od brzegów lasu rzucił się ku swjej ziemi obiecanej.

— Dobrze! plan mój się powiódł! Nie można być szczęśliwszym!

Gdy to mówił, szpada wysunęła mu się z ręki. Z tysiąc żołnierzy republikańskich poszli w pogoń za wieśniakami, ale ci byli już na znajomej sobie ziemi, i niczego się nie lękali: nie obawiali się nawet tych długich wystrzałów, z których tyle hałasu, a tak mało skutku: zresztą postępowanie ich nadal wytknięte było przez hrabiego de Pressy. Czekali na nich bracia; nie chodziło już o bitwę, trzeba było iść i łączyć się z nimi.

Hrabia rozciągniony na trawie, zboczony krwią własną, ratowany był przez żołnierzy republikańskich, otaczających tę szlachetną ofiarę, i ubiegających się troskliwie w daniu mu pomocy. Oficerowie unosili się nad jego mężstwem, zręcznością, cudowną krwią zimną i wyciągali doń rękę, jakby chcieli pożegnać raz ostatni konającego brata.

Oczy wszystkich ostaniały się łzami w obec tego człowieka w kwiecie młodości, którego twarz tętnęła pełną słodczy dumą, a ręka arystokratyczna tak dobrze władnęła w boju pojedynkową szpada. Otoż owoc wojen domowych! smutna zaciętość wśród boju—braterskie politowanie po nim. Czemu te straszliwe wojny, nie mogą się zaczynać od końca? Odkąd one istnieją, nie poznano ich jeszcze i czemuż

nie znamy ich lepiej? Może gdyby Abel przeżył rany swoje, Kaïn by go uściskał nazajutrz.

Hrabia de Pressy z wysiłkiem ostatecznym, wskazał ręką jednego z oficerów, a gdy ten zbliżył się ku niemu, rzekł do niego głosem osłabłym, dziwnie sprzecznym z pogodą niewzruszoną wzroku.

—Bóg wielką mi wyświadczył dziś łaskę. Daje mi chwilę życia jeszcze, naprzód, bym o nim pomyślał, potem o tych co mnie obchodzą, których zostawiam na ziemi bez nadziei szczęścia dla nich.... Wszystko co się w tej chwili dzieje u nas, smutne bardzo.. przyznaj pan sam.

—Spełniamy powinność, odparł oficer śmiało, ale z uszanowaniem. Wolelibyśmy być pod Alpami lub nad Renem,.. ale..

—Wiem o tém, przerwał hrabia ściskając go za rękę. Nic to nowego dla mnie. O! młody człowiecze, gdybyś ty wiedział, jak ironicznym okiem patrzy się na sprawy tego smutnego świata, jedną nogą stojąc w grobie! Zdaje mi się, że życie objawia się nam dopiero, gdy się z niem rozstawać mamy! Posłuchaj mnie pan... i zapewnij mnie, że ostatnia moja prośba spełnioną zostanie.

—Zaręczam to panu—rzekł młody człowiek ściskając rękę hrabiego.

—Zaręczamy ci to wszyscy, zawołali żołnierze otaczający konającego hrabiego.

—Dziękuję wam przyjaciele, odezwał się de Pressy, usiłując podnieść głowę, by wzrokiem choć podziękować tym, co do niego przemówili—dziękuję wam... Oto.. za tym łaskiem, jest gaj Valbouis... jest tam i wioska tegoż nazwiska, tam się zapytać można o drogę do zamku hrabiego de Pressy... Jestem hrabia de Pressy.. czy was nie gniewa to imię arystokraty?

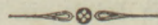
Żołnierze potrzęśli głowami i na twarzach ich litość się tylko odmalowała.

— Wiem o tém, wiem, mówił dalej, że wojsko pełne jest serc szlachetnych.. nawet wojsko co tu się z nami bić przychodzi... Ten, który się podejmie spełnić powierzone mu przez umierającego poselstwo, pójdzie do zamku.. do mojego zamku... i oznajmi mojej żonie... że nazajutrz....

Hrabia wyprężył się jakby usiłował chwilę jeszcze schwycić uciekające życie; ale głowa jego i prawa ręka ciężko na trawę opadły; oczy otworzyły się i ukazały martwe, osłupłe źrenice... Hrabia skonał otoczony przyjaciółmi.

Żołnierze republikańscy, którzy byli świadkami bohaterskiej odwagi hrabiego de Pressy, rzucili płaszcz na ciało jego i postanowili pogrzebać go w miejscu, w którym padł z takim męstwem walcząc, oddając mu honory wojskowe, jakby służył pod ich chorągwią.

Ostatnia wola hrabiego spełniona została nazajutrz, i hrabina Margareta płakała w zamku, okryta żałobą.



## XXVII.

### Dwukroć wdowa.

Margrabia d'Holbein, w pierwszych latach panowania Ludwika XVI, uchodził za zalotnisia i galanta.

W r. 93, był to człowiek pięćdziesiąt pięć letni, wysokiego wzrostu i wspaniałej postawy, co zawsze nieposiadających tych przymiotów nieco upokarza; oko jego miało w sobie wyraz niewieściej słodczy objawiający brak myśli; cera dziecięcej świeżości, była godłem duszy, której żadna gwałtowniejsza namiętność nigdy nie dotknęła. Od

bardzo dawna, margrabia d'Holbein, przezwany pięknym d'Holbein przez wiejskie wdówki, nabył zwyczaju ciągłego wpatrywania się w posadzkę lub sufit, aby nie przeszkadzać ciekawym uwielbiać swe wdzięki, i rozpatrywać się w jego osobie lub wytwornym stroju.

W godzinie na wizyty przeznaczonój, pan d'Holbein, sąsiad zamku de Pressy, nigdy nie omieszkiwał złożyć swe uszanowanie pięknej wdowie hrabinie Margarecie; wyper-swadował był sobie z najlepszą wiarą w świecie, że przytomność jego i rozmowa, były dla niej wielką pociechą w smutku i nudach, i poświęcał, przez ludzkosć jako dobry sąsiad, długie godziny pani hrabinój, mogąc je zająć polowaniem lub przechadzką po lesie swoim i parku.

Często pani de Pressy, która nie domyślała się poświęcenia swego sąsiada, którój nawet odwiedziny te poczynały się wydawać trochę ciężkie, wyszukiwała rozmaitych powodów, by nie wyjść do salonu. Gdy służący, ze zwykłą swemu rzemiosłu śmiałością, przyszedł oświadczyć margrabiemu od hrabinój jak ją bolało, iż mu służyć nie mogła, margrabia wpatrzywszy się w sufit, żądał pióra i papieru i rozmaite wypisywał warjacje z następującego tematu:

«Margrabia d'Holbein składa uszanowanie swe pani hrabinie; cześci on i szanuje boleść słuszną, któraby rad ośłodzić, i przybędzie jutro dowiedzieć się, czy dzień następny mniej jedną łzą nie wysaczył.»

Taki lub podobny napisawszy bilecik, składał go z dowolnością wspaniałą i oddawał służącemu, ciągle wpatrując się w sufit.

Służący ten, odebrał był raz na zawsze rozkaz od pani de Pressy, żeby jój bilecików nie oddawał, a margrabia oddalał się rojąc domysły różne o skutkach, jakie zręczne je-



go frazesiki wywrzeć mogły na sercu młodej wdówki, osamotnionej wśród lasów.

Kobięta żyć umiejąca, potrafi waleczyć z godzinami znużenia, gdy ujrzy, że jej taktyki nie rozumieją, i ekkluzji przypuścić nie chcą, choć ją wyraźnie wskazuje. Po dwóch dniach odprawy, hrabina Margareta musiała przyjąć pięknego sąsiada, który usiłował nagrodzić sobie dni stracone, i stawał się przyjemnym, ciężko przyjemnym, jak to niektórzy być umieją, na postrach i plagę salonów.

Po dwudniowém niewidzeniu, margrabia d'Holbein zawsze sobie wyrozumował, otwierając fórtkę parku przyległego ogrodowi hrabiniej:— Pani de Pressy jest w ósmym miesiącu wdowieństwa— to już wiele! Kobięta ta wie dzie życie jak najprzykładniejsze, nie przyjmuje nikogo a nikogo od śmierci swego męża, prócz mnie. To wiele! Rzecz ma znaczenie. Pani de Pressy walczy — pojmuje! Zgaduję nawet, że niekiedy zdobywa się na stanowcze kroki by uniknąć ze mną widzenia się na cztery oczy; ale trzeciego dnia wszystkie te postanowienia giną.. To wiele! W istocie ta awanturka wiejska ma swój pewien wdzięk!.. Jestem z panią de Pressy nadzwyczaj wstrzemięźliwy, niezmiernie ostrożny, za co mi musi być wdzięczną, a gdy przyjdzie chwila wylania się, usłyszę za to z jej pięknych ust wyrazy wdzięczności, które mi w najwyższym stopniu pochlebią. Co tu sztuki i wprawy potrzeba mężczyźnie w tak delikatném położeniu! Stu innych na mojem miejscu, byliby już wszystko nagłac popsuli.. ale ja znam ludzi.. Ja, tyle mając powodów odwagi i nadziei wygranej.. co czynię? Nic — zupełnie nic.. Czekać! To wiele!

Dnia tego, margrabia d'Holbein, wchodził poważnie na wschody gankowe i zatrzymał się w sieniach, udając przed

sobą, że się przypatruje starym mappom, które ściany zdobiły. Nikt się nie ukazywał.

—Niema służących... rzekł poczynając monolog z nadzieją, że go zakończy dyalogiem—niema służących, by oznajmili o przybyciu margrabiego d'Holbein?

Echo sieni odpowiedziało na te słowa posępném mru-czeniem.

Na prawo, drzwi salonu szeroko były otwarte, jakby wzywając do wnijscia.

D'Holbein zlekka zapukał, stuknął korkami trzewików, odetchnął silnie, ośmielił się spojrzeć wyciągając głowę, i ujrzawszy w salonie pustki, wszedł.

—Ale cóż się stało ze służącemi pani de Pressy? zamruczał półgłosem chcąc coś powiedzieć. Dotykać począł mebli, książek, obrazów, kwiatów, żeby z sobą coś zrobić i dać sobie przyzwoitą postawę w obec siebie, gdyż dwa ogromne zwierciadła odbijały wspaniałą jego figurę i twarzyćkę zestarzałego cherubinka.

Po godzinie próżnego oczekiwania, chód dał się słyszeć w sieni; margrabia d'Holbein rzucił jeszcze okiem na zwierciadła i ukazała się hrabina.

Młoda wdowa nie miała pewnie żadnej myśli zalotności w tém ustroniu, w którym pogrzebła wdzięki swoje, a jednak—niezbadane są serca kobiecego tajemnice! ubrana była, zapewne dla własnej przyjemności, starannie i z wytworem, który nie rażąc praw wdowieństwa, w oczach złośliwych, mógł ją dać w posądzenie o jakieś zamysły.

Piękne jęj czarne włosy, przybrały kształty fantazyjnego stroju z czasów Ludwika XIII; wycięcie czarnej jęj sukni wdowiej zbyt może okazywało obnażone ramiona, ale na to miała wymówkę w gorącej porze roku.

Rzekłbyś, że Julja de Vergennes weszła na salon amfi-

tryty w hotelu Rambouillet. Brakło tylko salonowi zamku de Pressy, pięknego wielkiego świata z wieku Ludwika XIII; pusty był niezmiernie, bo go napełniała nuda w osobie margrabiego d'Holbein.

Widząc margrabiego, pani de Pressy, mimowolnie wzdygnęła się, ruchem zrozumiałym dla pokornych, który, próżni i dumni umiejają sobie na swą korzyść wytłómaczyć.

Ruch ten i wzdygnięcie jasno znaczyły:

— A! mój Boże! znowu ten wieczny margrabia d'Holbein.

Margrabia skłonił się, i biorąc rękę hrabinę, dotknął jej usty zimnemi a pełnemi szacunku.

— Mam nadzieję, hrabino, rzekł pompatycznie— że lekka jej słabość, nie pociągnie za sobą żadnych następności...

— Nie byłam słabą, odpowiedziała hrabina, wskazując ze znaczącem zaniedbaniem fotel gościowi, nie wychodziłam w tych dniach do salonu, bom miała do uporządkowania pałacy rodziny — i to mi cały mój czas zajęło.

— Oddano pani bilecik mój wczorajszy i pozawczorajszy.

— Odebrałam je.

— Napisane były naprędce, tutaj.. ale są wyrazem najszczęśliwszych uczuć moich... Wiész pani jak mnie żywo zajmują...

— Margrabio d'Holbein, przerwała hrabina wrywając kwiatek z japońskiego naczynia — jak to być może, żebyś pan, jeszcze tak młody i zdrów, siedział w swoim zamku, gdy wszystka szlachta Wandei, idzie pod chorągwie królewskie?

D'Holbein wcale się nie spodziewał tak żywego natarcia; cofnął się mimowolnie w axamitne głębie swojego fotelu, i zamruczał naprzód buntującemi mu się ustami, kilka zgłoszek nie mogących złożyć słowa; nareszcie z pomocą niu-

cha tabaki, którego resztki długo otrząsał z koronkowych żabotów, zdobył się na odpowiedź.

— Tak pani, tak— często— bardzo często o tém myślałem.. i mówiłem sobie.. w istocie jest obowiązek święty.. jest tam obowiązek honorowy do spełnienia.. Ale, jeśli mi pani pozwolisz mówić otwarcie...

— Tak, mów pan otwarcie, odezwała się hrabina udając, że wacha kwiatek, by ukryć ironiczny uśmiech.

— Otoż pani, odparł żywo d'Holbein nie wiedząc spełna co powie— głęboko, bardzo głęboko, zastanawiałem się nad tém.. Między nami, rojalistami, możemy to sobie powiedzieć po cichu, że nieszczęsne rozterki powstały między dowódcami Wandei; wieśniacy niewiele mają ochoty słuchać swych dowódców szlachty, wołą naczelników wysłanych z ich stanu.. Jest to bardzo ważna uwaga.. Po cóż, rzekłem sobie, iść na tę wojnę, by patrzeć na te drobne, zawiści? które, jeśli się Bogu podoba— znikną wkrótce, bo wszyscy wreszcie zrozumieją, wodzowie i żołnierze, że dobro wszystkich jest w jedności i zgodzie... Gdy ta godzina pojednania nadejdzie.. o! natenczas, pani, wiem co mi należy uczynić dla honoru familji i imienia mojego...

Wyrzekłszy te słowa, d'Holbein powstał i przybrał postawę Ajaxa, wpatrując się w sufit.

— A! zawołała hrabina z wyrazem głosu i wzroku, którego nie dostrzegł margrabia— a! panie d'Holbein? to więc jest powodem, że Wandea pozbawiona została tak męznego obrońcy!

D'Holbein spojrział nagle na hrabinę, i zdało mu się, że myśl głęboką i jasną wynalazł.

— Pani, rzekł ze wzruszeniem, obiecałem mówić z nią otwarcie, i przyrzeczenie moje zgwałciłem...

— Dobrze, odpowiedziała hrabina z uśmiechem, na drugi raz wiedzieć będę jak się pańska otwartość nazywa.

— Pozwolisz pani, mówił dalej margrabia skłaniając się bardzo pokornie, pozwolisz pani.. W chwili gdym miał mówić z tą otwartością, której pani tak jesteś godna, zabrakło mi odwagi..

— Niech się pan uspokoi.. niech się pan nie lęka.. panie d'Holbein..

— Kiedy pani raczysz mnie swą boską prawdziwie dobrocią ośmielać, będę całkiem już szczery.. Tak pani.. widziałem jęj boleści, jęj nudy, jęj odosobnienie.. i poświęciłem się nawet z ofiarą mego honoru, żebyś pani miała przy sobie głos przyjaźni, głos pociechy; żeby ożywić tę pustynię jaką tu wojna uczyniła dokoła; wreszcie, wyznam wszystko, by na twe usługi pani, oddać człowieka, który przywykł do dworów i salonu, który się zaszczycał względami najdystyngowańszych kobiet, który wśród wieku, w którym się wszystko zatracą, zachował tradycyę dobrego smaku i życia wielkiego, będące wdziękiem wszystkich czasów i wszelkięj pory..

Po tém wyznaniu, P. d'Holbein rozwinął chustkę i otarł kilka kropli potu z zaczerwienionego czoła.

— Prawdziwie, panie d'Holbein, rzekła hrabina z wdzięcznie zaokrąglonym ukłonem — nie spodziewałam się takiego wyznania. Jest to ofiara, poświęcenie godne jego grzeszności, i wielce mnie dotykające..

— Te wyrazy, te słodkie wyrazy pani, rzekł margrabia wzruszony, są dla mnie już nagrodą.

— Więc panie d'Holbein, kończyła hrabina de Pressy, przypuszczając nawet, że owe zawiści, które jak mówią exystują między wodzami wandejskiemi, ustaćby mogły, pan byś wytrwał pomimo to w swém poświęceniu się dla mnie.

— Nawet w takim razie! rzekł d'Holbein pięścią uderzając o kolano.

— I nie poszedłbyś pan na wyprawę?

— Nie, pani.

— Nie zaparłbyś się pan tego poświęcenia honoru swego, poświęcenia nieustannego i tak już trwającego długo?

— Aż do śmierci, do śmierci, stawiam się na próbę i proszę o nią.

— Tak więc, w panu jednym, mam mieć towarzystwo moje całe!

— Jedyne! A! pani, gdzieżbym ja mógł znaleźć wdzięczniejszy salon nad ten, w którym jaśniejesz pięknością swoją. A ty pani, pozwól to sobie powiedzieć, gdzieżbyś znalazła serce jej wyjącej poświęcone, więcej przywiązane, nadewszystko w tej straszliwej epoce, w której wszędzie królują egoizm i nienawiść? Zawsze przyjaciel był rzadkim; dziś go już nie widać.

— Przynajmniej, szepnęła hrabina, wiem już teraz co mnie czeka.

— Tak! to nieuchronne.

— Otwartość pańska, panie d'Holbein, wielką mi sprawia ulgę.

— Od dwóch miesięcy pani, rzekł ognisście d'Holbein, wyznanie to krążyło na ustach moich, ale mnie dziecinny skrupuł wstrzymywał:

— Margrabio d'Holbein, odezwała się wstając hrabina, nie spodziewałam się tu go znaleźć, czekają na mnie na górze, z ułożeniem jakichś tam papierów sądowych, żegnam pana dziękując mu za jego otwartość i wyznanie to, z którego korzystać nie omieszkam.

Margrabia chciał rozpocząć na nowo, niosąc rękę hrabiny ku ustom, ale ręka ta cofnęła się szybko i pożegnała

go tylko skinieniem. D'Holbein tryumfalnie zszedł ze wschodów gankowych, a postępował tak lekko, że pod stopami jego ledwie ugiwały się trawy w alejach parku.

Wróciwszy do domu, wziął pierwszy tom *Nowej Heloizy*, i po połowie frazesu zapożyczając z każdego listu Saint-Preux, ułożył z tych kawałków długą i piękną odezwę, którą nazajutrz miał wręczyć hrabinie de Pressy.

To będzie uderzenie stanowcze! rzekł d'Holbein, odczytując list Jana-Jakóba Rousseau.

Z jakąż niecierpliwością oczekiwał nadejścia szczęśliwej godziny, której wzywał *od niebios taskawych!* Wreszcie — godzina wybiła.

Zielone sklepienia drzew zdawał się dosięgać głową, idąc do zamku hrabiniej, i powtarzając frazes z Heloizy, który zręcznym słów obrótem potrafił zmienić do niepoznania: *Władze niebieskie, dajcie mi duszę do znoszenia nie-szczęścia, dajcie mi siłę znieść szczęście moje.*

Wstąpił na wschody ganku pogodniejszy niż zwykle, i nieco się zdziwił widząc przed sobą drzwi zamknięte.

— Rozumiem tę ostrożność! rzekł do siebie zastanowiwszy się nieco.

Zadzwoił raz, potem dwa; dzwonek rozbudził drzemiące echa sieni, a wewnątrz ani głosu, ani ruchu.

Otwarła się tylko fórtka do sadu i ogrodnik wyszedł.

D'Holbein surowo a dumnie spojrzął na niego, i nie racząc się odezwać nawet, pokazał mu drgający jeszcze konwulsyjnie sznurek od dzwonka.

Ogrodnik kiwnął głową, ale kiwnięcia tego nie zrozumiał margrabia.

— Pani hrabina wyszła? spytał d'Holbein.

— Nie, panie, odparł ogrodnik.

— A czemuż nie otwierają mi?

—Bo dziś rano, pani hrabina wyjechała.

—Do?..

—Do Paryża, pocztą..

—Nie podobna!

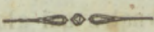
—A! jeśli nie podobna, rzekł ogrodnik, niech pan tu sobie na ganku poczeka, to może na przyszłe lato powróci.

Ogrodnik ukłonił się i odszedł.

Margrabia d'Holbein, wpatrzył się w facyatę zamkową, wszystkie okna były pozamykane. Zszedł z ganku, przeszedł pod stajnię, pod oborę, psiarnię—wszystko stało zaparte, milczące, opuszczone. Postanowił czekać nocy pod drzewami przed zamkową bramą—nikt się nie ukazał. Niepodobna było wątpić o wyjeździe. Margrabia ciągle trzymając list swój w rękę i bijąc po nim palcami, rzekł wrześnie:

—Teraz rozumiem, tu kobieta widziała się zgubioną—uciekła!.. ale powróci!

Schował starannie list do wielkiego pugilaresu, i otworzył furtkę swego parku, zawsze bardzo rad z siebie, ale niemniej trochę strapiiony, że hrabina tak się go przelekła.



## XXVIII.

### Wdowa i Wulkan.

Grano na teatrze Rzeczypospolitej: *Wdowę Malabaru*, tragedya, i *Wulkan*, fantazją *Silvain'a Marechal*. Na parterze, w łóżach ścisk był wielki. Jedni przybiegli patrzeć na niewinne widowisko kobiety palącej się na stosie alexandrynow; drudzy poklaskiwać wulkanowi, który na bez-



ludnej wyspie wyprawiał wielkie *auto da fe* godeł rojalistowskich.

Między dwiema sztukami, mężczyzna wysokiego wzrostu wychylił się z łoży swojej, i przypatrywał się czas jakiś z natężoną uwagą dwóm kobietóm, które zdawały się *incognito* znajdować na teatrze.

Widz ten usunął się potem w głąb łoży i usiadł z widocznymi oznakami wzruszenia, które nie uszło oka młodego sąsiada.

Nie potrzebujemy malować i nazywać tych dwóch osób, bo je poznamy wkrótce.

—Kochany stryju, rzekł szydersko młody człowiek, ile razy pan w ten sposób patrzysz się na kobietę, spodziewam się, że mnie nazajutrz pochwyca duchy niewidome i zanosą znów do jakiej chaty leśnika, w głąb lasów.

—Zdaje mi się, że się omylił, rzekł drugi tonem, wcale przeciwną myśl wyrażającym.

—A ja, kochany stryju, szczęśliwszy jestem od niego, bo pewny, że się nie mylę. To ona.

—Kto? spytał stryj, udając że nierozumie.

—Kto? a, to powiem. Kobieta, z której przyczyny Komitet cię zrzucił z miejsca, z której przyczyny byłeś jedną nogą w grobie, po pchnięciu hrabiego de Pressy.

—A więc z przyczyny kobiety zostałem zrzucony! przerwał stryj, kłamiąc zdziwienie.

—Nie mówię, żeby ona swojemi związkami zrzuciła cię z ważnego stanowiska, które zajmowałeś w Wersalu; ale denuncyacye nieprzyjaciół twoich odkryły Robespierrowi wszystkie twe wycieczki, i odjął ci miejsce, choć twój przyjaciel. Zresztą, miał słuszność. W terażniejszych

czasach nie dają się pogodzić obowiązki urzędnika z awanturnictwem miłośném.

—No, mój kochany Adrjanie, kiedy tak, to mi moje zrzucenie wraca zupełną swobodę, rzekł stryj uśmiechając się. Teraz przed nikim rachunku czynności nie wieniem.

—Prócz, mnie.

—Tobie? myślisz, że całe życie będę pod kuratelą synowca?

—Nie wiem, ale ja nie myślę się jój wcale wyrzekać.

—Myślisz mi być zawsze opiekunem?

—Zawsze,— sto razy ci to mówiłem. Zajmuję przy tobie miejsce zmarłego brata; nie twojego honoru strzegę, ale honoru ojca mego i własnego.

—Ale co cię za szal napadł, mój Adrjanie, w twoim wieku grać rolę Katona!

—Naprzód, stryju mój, nie wiem zupełnie w jakim wieku Kato rozpoczął swój urząd, a raczej missję Cenzo-  
ra; powtóre, myślę, że ludzie młodzi już w naszych czasach rozum mieć powinni, gdy ci co są młodzi jeszcze, nie wiele go okazują.

—Adrjanie, więcój cię na teatr nie poprowadzę.

—A ja, będę stryja prowadził ciągle.

—Milczmy, zaczynają sztukę *Silvaina-Marechal*.

W tejże chwili, w innej łoży, dwie kobiety rozmawiały także, między aktami, i zdawały się bardzo poruszone. Młodsza z nich i piękniejsza mówiła do drugiej:

—Moja Anielo, pókim oczu łzami wylanemi popsutych nie miała, poznawałam każdego w teatrze, chociażby najdalej... Ty, Anielo coś mniój płakała odemnie, czy poznajesz tego człowieka, który na nas patrzy z łoży przeciwniejszej?

—Zdaje mi się, pani hrabino...

—O! dajże pokój tym tytułom między ludźmi, przerwała żywo młoda kobieta— daj mi pokój z hrabiną proszę cię.

—Zdaje mi się, pani, kończyła Aniela wpatrując się w punkt wskazany... zdaje mi się w istocie, że poznaje tego człowieka! poznaje go raczej po ruchach, po postawie niżeli po twarzy, której dobrze widzieć nie mogę... bo w teatrze dość ciemno.

—Jakże ci się zdaje, kto to taki, Anielo?

—To— zdaje mi się— o! mój Boże, chciałabym się mylić! To... Klaudyusz Mouriez.

—Anielo... dręczysz mnie przebiegł jakiś, nie myślę się to on... poznaję także po figurze jego sąsiada, tego młodego człowieka.

—Naraża się zwykle na takie spotkanie, bywając w miejscach publicznych...

—A! mój Boże! zawołała hrabina z głębokim westchnieniem, alboż wiem co począć z sobą? Nie mam celu żadnego w mojem smutném życiu. Chciałam na wieki zagrzebać się w moim zamku; i poznałam, że mi ta samotność nie starczyła. Ten nudny margrabia d'Holbein, wypędził mnie ztamtąd, a on był tylko zwiastunem tłumy Holbeinów, któryby mnie obległ później. Mężczyźni mają passję latać za kobietami, które się usuwają od światła, zawsze pod pretextem rady i protekcyi, a każdy z nich sam chce być jedynym protektorem. Doświadczenie wdowieństwa oddawna mnie tego nauczyło.

—O! to prawda, pani, zauważyła Aniela.

—Tak, mówiła dalej hrabina, położenie moje na wsi stawało się nieznośne. Musiałam się schronić do Paryża. Ogromny Paryż zdawał się pustynią większą od naszego

zamku w lesie. Są zwłaszcza chwile, jak ta, gdy w Paryżu tylko mieszkać można, właśnie dla tego, że i on jest nieznośny. Przynajmniej tu historją mamy pod oknami,— nie łudzą nas codzien, jak na wsi, komerażami wiejskich klubów. W Paryżu życie okropne to prawda, ale przynajmniej, wie się dokładnie jak się żyje. Nie łudzim się, przerzucamy co dnia po karcie rewolucją jak księgi; z tą różnicą, że historja czytana często nas zwodzi, a historja widziana nie myli.

—O, ja jestem całkiem zdania pani, odparła Anielo.

—Ale, moja dobra Anielo, jest czasem fatalność, co wszystkie plany łamie, a szczególniej moje. W chwili, gdy się cieszyła z mojego postanowienia, fatalność ta pchnęła mnie tu, na ten teatr, dając mi lekcją wdowieństwa... ten człowiek okropny zapędził by mnie na drugi koniec świata... bo moja Anielo, to on niechybnie, to Klau dyusz Mouriez, a ja jutro już nie będę w Paryżu...

—Mówiłeś mi pani, że na ostatniej sztuce być nie chciałaś...

—Niech mnie Bóg broni od tego! Przyszłam na teatr, żeby się dowiedzieć, wiesz to najlepiej, co może mówić i robić w tragedji wdowa, kiedy to rzecz przyjęta, że teatr jest nauką moralności, ale w tej szkole nicem się dziś nie nauczyła.

—Można się było tego spodziewać, pani.

—Ja się zawsze spodziewam zawodu, ale dziś wieczór przeszedł oczekiwanie moje. Co się tycze sztuczki pana Silvain, cieszę się, że jój widzieć nie będę.

—A więc wychodźmy pani.

—Tak, ale wynijdźmy powoli, ostróżnie. Zostaw nawet płaszczyk twój na poręczu łoży, jakbyśmy powróci mieli.

—Zginie pani.

—To pewna, ale tracąc tę bagatelę, możemy zyskać coś na tém. Jeśli to Klaudyusz Mouriez siedzi naprzeciwko nas, oszuka go płaszczyk; ja go znam, gotów by śledzić, jeśliby mu się zdało, że wychodzimy.

Ale Klaudyusz Mouriez nie był tak dobroduszny by go płaszczykiem Anieli zwiesić było można; rozmawiając z synowcem Adrjanem, okiem wprawném śledził każdy ruch pani de Pressy, i ujrzawszy ją wstającą, rzekł do synowca od niechcienia.

—No! no! skończy się na tém, że zostaniesz doskonałym synowcem w swoim rodzaju... chętnie pójde za radą twoją... ale że mnie ta rozmowa wielce wzruszyła, pójde cokolwiek powietrzem wieczorném odetchnąć, do końca międzyaktu. Poczekaj tu na mnie.

Synowiec dopuścił się tu błędu, który zwykle popełniają stryjowie, uwierzył protestacyi i uściśnął rękę Klaudyusza Mouriez.

Ten powolnie otworzył drzwi łoży, jak człowiek, któremu wynijść nie pilno, i znalazłszy się w korytarzu, pośpieszył żywo ku wschodom, dając się zaćmić rozmaitym wychodzącym i wchodzącym, by zniknąć z oczów,

Pomimo prostoty republikańskiej stroju, hrabina nie mogła ukryć wdzięku swjej postaci i chodu; Klaudyusz Mouriez poznał ją zaraz w pośród tłumu zchodzącego z nią ze wschodów. Kiedy niekiedy Aniela odwracała głowę, jak straż wierna swemu celowi; ale Klaudyusz ukrywał się szybko przed jej wzrokiem, a hrabina uspokojona przez Anielę, łatwo sobie dała wmówić, że niebezpieczny przesładowca jej nie ściagał.

W tym czasie ulice Paryża dość jeszcze były ciemne, a rzadko rozstawione rewerbery, czyniły je czarniejszemi

jeszcze; kobiety same nie śmiały się w nie zapuszczać po godzinie dziewiątej wieczorem, nawet w najpiękniejszej porze. Dziewiąta biła właśnie, gdy hrabina z Anielą weszły na ulicę Ś. Anny, gdzie było skromne ich mieszkanie. Kilka jeszcze sklepów w pół otwartych, błyskały słabem lamp światłem mieszającym się z jasnością rewerberów i zdradzały rzadkich w tych cieniach przechodniów.

Aniela, ciągle posłuszna rozkazowi, odwracała głowę za siebie, ale wejrzenie to szybkie spotkało tylko kształty niewyraźne i mgliste, których pochwycić nie mogła.

Wśród tych postaci prześlizgujących się w ulicy Ś. Anny i przesuwających po pod domami, nie poznała Klaudyusza Mouriez; ale on nie stracił z oczów dwóch kobiet, których białe suknie byłyby w najczarniejszej zdradziły nocy.

Kobiety zatrzymały się przed numerem dwónastym; dało się słyszeć uderzenie młotem, wrota otworzyły się i natychmiast zamknęły za nimi.

Klaudyusz z największą ścisłością dom rozpatrzył, by go nazajutrz rozpoznać, bo po ciemku numeru wyczytać nie mógł. To dopełniwszy pobiegł szybko do teatru, by wrócić z Adrjanem razem. *Wulkan* Silvain'a już się był rozpoczął; Adrjan surowo spójrzył na stryja, i rzekł mu:

—Zdaje mi się, że trochę za długo oddychałeś powietrzem wieczorném.

—Spotkałem się pod perystylem z Barrerem, rzekł Mouriez siadając od niechcienia, rozmawialiśmy o dzisiejszém posiedzeniu Konwencyi.

Adrjan potrząsł głową tylko, jak gdyby mówił.

—Cóż mi to na bajkę wygląda.

Parter zawołał— cicho! do łoży, a Klaudyusz Mouriez byłby mu tą razą ochotnie za surową naukę podziękował.

Stryj i synowiec przypatrywali się Wulkanowi, jak się ogląda zwykle na sztukę sławną a nieznaną. Silvain-Marechal ułożył swój dramat, dziś całkiem zapomniany, z dosyć ciekawych materjałów. Wychowanek Voltair'a pożyczyl z jego Kandyda karnawału Weneckiego; ale przesadził go jeszcze, zgromadza bowiem swoich dostojnych gości na bezludnej wyspie, a wulkan wybuchający ostatnim jest jój aktem i chłonie co żyło. Autor Wulkanu miał dowcipu dosyć, wiersh jego zręczny; ale to dzieło rewolucyjne jest niestychanie zimne i nie przydało jego stawie, pomimo wielkiego sukcesu, jaki mieć musiał wybuch wulkanu na końcu umieszczony.

Gdy zasłona zapadła, Klaudyusz Mouriez uderzył pięścią w poręcz łoży i rzekł wstając:

—Oto sztuka co mi dawne uczucie w sercu rozgrzewa! Adrjanie! wstyd mi doprawdy mego próżniactwa, muszę się wziąć do pracy, muszę być czémś znowu...

—Stryju, odparł Adrjan, nie urodziłeś się na polityka, uznałeś to nie raz w chwilach zastanowienia chłodniejszego. Byłbyś wcale dobrym republikaninem w fałszywych rzeczypośpolitych Rzymu lub Wenecyi, ale w naszej, wierzaj mi, zawsze zdradzisz stronę niemoralną i zbyt zmysłową swego charakteru. Mądry Kato, którego cytowałeś przed chwilą, miał sto niewolników płci obu, obchodził się z nimi bardzo ostro, mówi historja; a pomimo to był tegi republikanin.

—Prawdziwie, kochany synowcze, rzekł Mouriez podając mu rękę do wyjścia, masz mnie za człowieka zupełnie zniewieściałego?

—Mam cię stryju, za to, czém w istocie jesteś?

—Masz mnie za człowieka bez energji, bez odwagi, bez popędu?

—Nie! o! nie! jesteś owszem energiczny i męzny, ale to nie stanowi jeszcze republikanina; z tém można być dobrym jenerałem kawalerji. Republikanin winien być wstrzeźmięzliwy, skromny, ubogi, obyczajów czystych; musi dać z siebie przykład wszystkich cnót obywatelskich; żołnierz za to będzie wzorem cnót militarynych— mieszkamy w mieście nie w obozie.

—No! no! Adrjanie— skorzystam z twych rozróżnień trafnych, których cię retoryka wyuczyła— będę odtąd wstrzeźmięzliwy jak Curius Dentatus, a czysty jak Scypion.

—Stryju, będziesz czém byłeś— Klaudyuszem Mouriez, i nie potrafiłszy wykierować się na Greka, ani na Rzymianina.

—Zobaczymy później czém ja będę, odparł Klaudyusz— to do mnie należy.

—Ale zarówno i do mnie, stryju— zapominacie bo o tém zawsze!

—No! no! i do ciebie! jeśliś się już uparł wcielić się w stryja. A zatém, synowcze, jutro odwiedzę Robespier-ra, powiem mu, żem się wyrzekł starego człowieka, i będę go prosił o umieszczenie w administracyi.

—Na prowincyi? stryju?

—O, na teraz, nie! w Paryżu!

—Stryju, przerwał Adrjan z surowém wejrzeniem, jest to determinacya, która nowój jakiejś chętki dowodzi.

—Dziecko jesteś! no! wytłumacz mi się z tego.

—Tłómaczyć się nie będę— ale jestem tego pewny, żeś odkrył schronienie hrabinęj Margarety, i to twoją ambicyę rozbudziło.



—Adrjanie, przyjacielu— odezwał się Mouriez oczéwiście zakłopotany, nie obwiniaj, poczekaj.

—I owszem, stryju! ale nie długo poczekam, zobaczysz.

Przyszli na próg domu, na ulicy de l'Echelle: pokazała się gospoia Klaudyusza Mouriez z lampą w rękę, skrzywiona i odezwała głosem surowym.

—Uczciwi ludzie nie o téj godzinie do domu wracają— mogłeś zanocować gdzie byłeś.

Strasliwy Klaudyusz Mouriez schylił głowę, i jak dziecko skarcone poszedł cicho do swojej izdebki.



## XXIX.

### Dwóch przyjaciół Robespierra.

Nazajutrz, Klaudyusz Mouriez wstał bardzo rano, i stanął na straży na tarassie des Feuillans, w Tuileries, czatując na przechód Robespierra, mającego tędy iść do Konwencyi.

Było to w pierwszych dniach miesiąca maja 1794 r. Dzień świetny był i rokoszny, bzy rozkwitłe wonią napępniały powietrze, drzewa rozwijały się zielonością silną i żywą, którą mają tylko w pierwszych chwilach wiosny, dopóki jój letnie nie skazi słońce.

Robespierre siedział przed gierydonikiem z młodym Duperray, przyjacielem i nieprzyjacielem wszystkich jakobinów, i śniadał po spartańsku pod daszkiem ogródka, nazwanym wspaniale kawiarnią.

Klaudyusz Mouriez, z wyżyny terasu spostrzegł go, i zszedł zbliżyć się do niego.

W tej chwili Robespierre zdawał się bardzo uważnie przysłuchiwać towarzyszowi swemu; podniósł głowę widząc nadchodzącego mężczyznę kolosalnego wzrostu, i poznawszy Klaudyusza Mouriez, przywitał go zimno, dając mu znak by usiadł.

—Kończ Duperray— rzekł— obywatel Klaudyusz Mouriez, należy do naszych.

—A więc nie do moich— rzekł Duperray z uśmiechem wdzięcznym, który u niego ośladzał każdy niemiły przyciek. Zresztą, to mi wszystko jedno... Mówiłem ci więc, Robespierze, że jedno jest tylko berło, którym Francya rządzona być może, to berło— szabla z krzyżem związana. Wszelkie inne narzędzie rządu skruszy się u nas. Francya, wierzaj mi, jest krajem katolickim i żołnierskim— lubi tylko procesje i rewje; w tej chwili wszyscy, którym twoja wolność nie do smaku, walczą na czterestu może pobojowiskach; i to wielkie szczęście dla ciebie, bo gdyby byli we Francyi, a nie rozsypani po świecie, twój Komitet ocalenia publicznego nie utrzymałby się dwadzieścia cztery godzin, i jutro już nie byłbyś Robespierrem.

Robespierre dobył srebrnego zegarka i zobaczył godzinę.

—Duperray, rzekł, nie chcesz ze mną zjeść śniadania?

—Chcesz, żebym się kontentował jajami, które udają świeże? Ja pójdę na śniadanie do restauracyi pod *Szyszką*, i zjem sobie coś pokarmistszego.

—A ty Klaudyuszu? spytał Robespierre?

—Ja już dwa razy dziś jadłem śniadanie— odparł Mouriez.

—Nicze mi więc dzisiaj poradzić nie masz? spytał Duperray'a, Robespierre.

— Nic w tej chwili.

— No, to ja ci coś pocieszającego powiem.

— Wątpię, żeby mnie twoja nowina pocieszyła, rzekł Duperray.

— Słuchaj no: 22 prairial przyszłego, przygotowuję wspa-  
niałą uroczystość; uznam na niej *Najwyższą Istność* i nie-  
śmiertelność duszy.

— Co? serjo? Robespierze, rzekł Duperray, czy ty my-  
ślisz, że rząd co się poważnie zabawia takimi szaleń-  
stwami, może mieć jaką przyszłość przed sobą? Powiem ci  
Robespierze, główną wadę twoję— tyś warjat. Ot, o czém  
Francya jeszcze nie wie.

Klaudyusz Mouriez aż podskoczył na krześle i spojrzął  
na Duperray'a z politowaniem, z jakim się pogląda na czło-  
wieka mającego wkrótce wisieć.

Robespierre trochę się uśmiechnął i obracając się do  
Klaudyusza Mouriez:

— Dziwi cię to Klaudyuszu, nie prawda? No, widzisz,  
a Duperray co rana mi tu toż samo powtarza, i ja pozwa-  
lam mu paplać; jednak arystokraci utrzymują żem tyran!

— Ależ wszyscy tyrani byli warjaci!— rzekł Duperray  
zacierwieniony od gniewu— począwszy od Kaliguli, który  
swego konia zrobił konsulem, aż do ciebie, który raczysz  
uznawać pana Boga. Świat sobie wyobraża, że warjaci  
są ci tylko, co siedzą u Bonifratrów. Montesquieu powie-  
dział: zamykają w szpitalu kilka szalonych, żeby wyper-  
swadować, iż reszta ludzi jest przy zmysłach. *Tysiąc ro-  
dzajów szaleństwa, swobodnie chodzi po świecie*, napisał  
Erazm. Teraz, Robespierze, wybieraj i sam się klasyfi-  
kuj, ja nie mam czasu miejsca ci oznaczyć. Spostrzegam

Barrèr'a warjata innego rodzaju, mam mu powiedzieć dwa słowa... Bądź zdrów (\*).

I Duperray pobiegł do Barrèr'a, wypowiadać mu się z tego, co miał na sercu.

Klaudyusz Mouriez ścisnął pięść na gierydonie i ścigając okiem Duperray'a, rzekł:—Prawdziwie, Robespierze, nie pojmuję twojej cierpliwości. Chcesz, żebym na mój rachunek dał nauczkę dobrą temu zuchwałemu arystokracie?

—Próżném by to było— rzekł Robespierre— to warjat. Przywykłem do jego wybryków— no, a co tam mi masz powiedzieć, Klaudyuszu?

—Nie powiedzieć, ale prosić cię o coś, Robespierze.

—Rozumiem, wstańmy, późno się robi, koło nas coraz więcej ciekawych się zbiera. Ty się nudzisz próżnowaniem Klaudyuszu, nie prawda?

—Zgadłeś Robespierze; czuję się młodym, silnym, pełnym zapału, a jestem nieużytecznym rzeczypospolitój.

—Cóż ty chcesz Klaudyuszu?

—Nie wiele; miejsca tylko... Służyłem krajowi i za usługi mam; sto razy naraziłem życie moje, usmierzałem rozruchy, dochodziłem spisków, organizowałem administracją w miastach znaczących, a w nagrodę tego wszystkiego, zostałem z miejsca zrzucony.

—Klaudyuszu— rzekł z zimną twarzą Robespierre— że masz zasługi, to rzecz niezaprzeczone; ale zrzucony zostałeś z miejsca słusznie. Chcesz bym ci przypomniał twoje gorszące sprawy wersalskie?

—Ba! dzieciństwa!

—Nie— łagodniej rzekł Robespierre— byłyby to dzie-

---

(\*) Historyczne.

ciństwa dla kogoś nieznanego, ale popełnione w wyższej sferze, są to wielkie występki.

—Doprawdy, ty to serjo mówisz? przerwał Klaudyusz—  
ty do mnie?

—Zupełnie serjo.

—A ty, w wyższej sferze stojący, nie masz-li sobie do wyrzucenia, jakiej awanturki miłośnej?

—Żadnej! rzekł Robespierre rozpościerając szeroko rękę prawą na rozłwartych klapach kamizelki.

—Bos chyba zimny i zamarzły, jak ten marmur, dodał Klaudyusz.

—Umiem się zwycięzać.

—Robespierre, rzekł Mouriez zaczynając się rozpalać i poruszając ramionami— żartujesz sobie ze mnie! Bierzesz mnie widzę za deputowanego z *Równiny*.

—Klaudyuszu, nieporuszony odparł Robespierre, nadto jestem surowy bym z kogo żartował; szanuję w każdym człowieka.

—Wyjawszy głowę! dodał złośliwie Klaudyusz. Na tę straszliwą uwagę wystrzeloną wprost, ani się zmarszczył trybun; wziął Klaudyusza za rękę i rzekł:

—Przyjacielu, wielkie mam do spełnienia obowiązki.

—Wszyscy to sobie mówią! zamruczał Mouriez jakby do siebie— no— śmiało i otwarcie, powiedz mi, że odmawiasz miejsca, nawet miejsca sędziego w trybunale, który ustanowiła Konwencya?

—Miejsce sędziego! rzekł Robespierre z uśmiechem, który nie tknął oczów— tobie Klaudyuszu! miejsce sędziego!

—No! no! mnie! mnie! alboż to ja nie potrafię tak sądzić jak i drugi? Kiedy prawo ustanawia po dziewięciu przysięgłych i po trzech sędziów do każdej sekcji trybu-

nań rewolucyjnego, przypuściwszy nawet, żeby się tam zamieszkał sędzia nieosobliwy, jak ja naprzykład, miałbyś jeszcze dwóch dobrych sędziów i dziewięciu przysięgłych zawsze nieomylnych, jak wszyscy przysięgli.

—Klaudyusz Mouriez sędzią! zawołał Robespierre, jakby tego nie słyszał, ale ja cię znam i znam od dawna! Pierwsza kobieta, coby do ciebie przyszła z prośbą!

—Żarty już za długie, rzekł Mouriez z okiem zaognioném od gniewu— Robespierze, nie udawajmy między sobą— jeśli mnie do ostatka przywiedziesz, powiem ci czego się nie spodziewasz.

—Ja się spodziewam wszystkiego, rzekł zimno Robespierre— mów.

—Myślisz ty, że Paryż nie wie o twoich domowych saturnaljach?

—A! o tych saturnaljach nie dotąd nie wiedziałem!

—Chcesz, wnijdź ze mną do pierwszego sklepu na ulicy S. Honoré, pogadamy z pierwszym lepszym, postyszysz co mówią o miłośkach twoich z dwiema siostrami...

—Chętnie przyjmuję wezwanie, rzekł Robespierre z uśmiechem— chodźmy.

—Pomiarkowałem, to by było próżném— imię twe nadto przeraża, zaniemieli by widząc nas.

—Widzisz, że musisz się wyrzec znalezienia jednego nawet echa téj potwarzy, która nie istnieje...

—Tak, ale ci daję przyczynę i przyczynę dobrą. Jutro, niech ci władzę wydrą z rąk, a zobaczysz czy w każdym rogu ulicy nie znajdują się echa téj prawdy.

—Klaudyuszu, rzekł Robespierre odchodząc od niego— jesteś moim najdawniejszym przyjacielem, mogę znieść niektóre dziwactwa twoje... Bądź zdrow! Idę do Konwencji---

ale na inny raz, miarkuj się z tém co mówisz, i wyrażaj ostrożniej...

—Więc nic nie zrobisz? nic się nie zrobi? zapytał Klaudyusz głosem sflumionym wściekłością.

—Nic się zrobić nie może, mój przyjacielu.

—Trzeba więc Robespierze, żeby stary twój przyjaciel, zarabiając na życie, fabrykował asygnaty?

—Więsz, że za to kara śmierci?

—Ba! kara śmierci za wszystko! lepiej ze starych gałganów robić monetę, niż nosić biały gwoździk u guzika. Za oboje zarówno kat czeka.

—Klaudyuszu, chcesz dobrej rady?

—O! jakiś mi wspaniały! A no! proszę?

—Idź do wojska, jest to droga dla ciebie przepyszna, która może zawieść cię daleko, i...

—I którą byś ty się mnie pozbył, przerwał Klaudyusz— dziękuję ci za wojsko! w wojsku mrą głodem. Chcę zostać w Paryżu.

—Zostań więc i obierz sobie stan.

—A dobrze, zostanę, wrzasnął Klaudyusz— i stan sobie obiorę! Pójdę krzyżeć po klubach, mam piersi, jak kowalskie miechy, będą mnie słuchali; mam pięści żelazne, twarde jak młoty, będą się mnie lękać. Mówcy mojej siły, niema nawet wasza cała Konwencya. Robespierze! zdruzgoczę cię, ja, i imię twoje oburącz tłuc będę na kowadle klubu Jakóbinów— nie żegnam! do widzenia przyjacielu!

Klaudyusz odszedł, piniąc się od gniewu; a Robespierre najspokojniejszy zawsze z ludzi wzruszonych, wspaniale wszedł po wschodach gmachu, w którym zasiadała Konwencya, wejrzawszy tylko na niego wzrokiem nie poruszoną gniewem, pogardą ani litością, zimnym jak stal.

Ex-proconsul Wersalski, który drżał przed swoją gosposią i synowcem, przypuściwszy szturm nieustraszony do najniebezpieczniejszego z ludzi, miasto żałować swego zuchwalstwa, przechadzał się, konwulsyjnie się rzucał, po ogrodzie Tuileries latając i najdziksze w głowie swój przewracając zamysły. Ci co go mijali, z przerażeniem i niejaką trwogą patrzali na tego olbrzyma, z wyrazem twarzy pełnym wzburzonych myśli i potężnej namiętności.

Nagle powziął myśl, którą zaraz pochwycił:

—Tak, rzekł, chodźmy na Konwencyą. Kto to wie? Robespierre może mówić będzie (mówi codzień), a ja skorzystam z tego i rzucę nań z wierchołka trybuny, dobrą jaką obelgą jak kamieniem. Będzie to przynajmniej początek zemsty; a biada temu, co się mnie tknie!— powalę na ziemię, jak wołu w rzeźni! Chodźmy! chodźmy!

Konwencya była pełna jak zwykle; ale Klaudyusz nie lękał się tłumu; umiał on za pomocą pięści wyorać sobie w nim drogę, choćby ciżba była najbardziej ściśnięta. Przed przyjściem jego zdawało się, że tam się i dziecię nie wciśnie,— a znalazło się miejsce na ogromnego mężczyznę.

Nowy przybyły słuchacz założył dumnie ręce na pierśsiach, i wejrzeniem zmierzył *Górę*, *Dolinę* i *Wzgórze*.

W tej chwili roztrząsano prawo, które nagle zajęło bardzo Klaudyusza Mouriez z powodu któremu się dziwić nie można.

Ta dyskusja przewróciła wszystkie myśli, które Klaudyusz przyniosł z sobą. Chodziło o wygnanie ex-szlachty, nie szlachtę ożenioną z szlachtą i owdowiałą, z Paryża, z fortec i miast nadmorskich.

Kilku mówców weszło na trybunę, nie żeby myśleli projekt ten obalać, lecz by go podtrzymać, i zmienić w niektórych jego szczegółach.



Łatwo się domyśleć, że Klaudyusz widział tylko w tym prawie wygnanie pani de Pressy, a oczy jego pożerały mówców podtrzymujących projekt. Słaba jeszcze została mu nadzieja, ale i ta wkrótce spełzła. Prawo zostało przyjęte niezmierną większością głosów.

Klaudyusz nogą wstrząsnął trybunę i zawołał! — «To prawo oburzające niedorzecznością!» Wszyscy widzowie zajmujący tę część łoży zawołali chórem złowrogim, mrużąc głucho — Precz z arystokratą! Klaudyusz spojrział na nich tylko z wysokości i rzekł:

—Pierwszemu co te słowo powtórzy, wepchnę je pięścią w gardło.

I podniósł dłoń godną Milona z Krotony. Wszystkich oczy z podziwem wlepiły się w jego olbrzymią postać i nikt nie pisnął.

—No — obywatele, puszczajcie mnie, zawołał, muszę odwiedzić jedną ex-panią, która skutkiem tego niedorzecznego prawa, jutro Paryż zmuszoną będzie opuścić. Ale, żeście się grzecznie sprawowali, obywatele, miło was upewnić, że Klaudyusz Mouriez wcale nie jest arystokratą.

Na to imię dobrze znane, tłum się rozstąpił i Klaudyusz wyszedł z sali Konwencji.



### XXX.

#### Prawo wygnania.

Największą z prawd ogłoszonych przez ludzi, jest następująca: *Człowiek się kręci, Bóg nim kieruje*; pomimo to człowiek się jednak kręci.

Są czasem w losach ludzkich tajemnicze zgodności wypadków, związanych z sobą tak starannie, jakby je ktoś umyślnie długą rozwałą z sobą zjednoczył. Niektórzy przypisują przypadkowi, te dramatyczne węzły domowego żywota ludzkości.

Od pierwszego więrsza, historia nasza weszła na tor, którym się sunie ta nić przewodnicza, fatalna, co tyle żywotów gorączkowych wiedzie do nieprzewidzianego końca.

Przypadek jest bóstwem, które widzimy spoglądając na ziemię; by coś innego zobaczyć, wyżej spojrzeć potrzeba.

A teraz, idźmy dalej.

Adrjan zaledwie wstawszy poszedł do stryja, którego nie zastał.— Ba! rzekł, już wyszedł! Zaczynają się wy-cieczki znowu! Co za dziecko! i on chciałby zająć wysokie jakie miejsce w rządzie Rzeczypospolitéj! Szczęściem dobrze go znają.

Sparłszy głowę na dłoni, tak dalej kończył monolog:

—Jeśli go nie napróżno posadzam, gdzieby mógł znajdować się o téj godzinie. W Palais-National czy w kawiarni wojskowej... tak, zaprawdę... biega po Paryżu wedle swojego zwyczaju; kręci się tu i ówdzie, zbiera nowinki, jak wszyscy urzędnicy bez miejsca.

Tymczasem stryj nie wracał, a godziny płynęły. Adrjan, który, w imie praw rewolucyjnych, przemienił także dawne zwyczaje rodziny i mianował się opiekunem stryja, począł go szukać po Paryżu; co, na pierwszy rzut oka zdawało się tak trudném, jak zadanie Telemaka szukającego ojca po archipelagach.

X Dnia tego właśnie, piękna pora wszystkim paryżanom zalecała przechadzkę do Tuileries. Adrjan wychodził z cia-

snój i ciemnej uliczki de l'Echelle, i w końcu ujrzał zielonejacy wiosennie ogród ex-królewski, który go jakoś ku sobie pociągnął.

Szukał tam stryja po wszystkich klubach pod gołębim niebem, gdzie zacni obywatele, z laskami w rękę, krytykowali kręśląc arabeski po piasku, plany Hoche'a w Vosges, operacye wojenne Jourdan'a w Charleroi, marsze Klebera i niedocieczone tajemnicze pochody jenerała Marceau. W tej chwili, wszystek piasek w Tuileries na szerokich ulicach ogrodu nad rzeką zmienił się w karty geograficzne pod ręką taktyków nowych, dających surowe lekcyje jenerałom Rzeczypospolitėj. Niezliczony tłum ciekawych otaczał każdą kupkę i śledził oczyma poruszenia lasek, kręślących siedem pochodów armji francuzkiej pod komendą jeneratów Charbonnier i Desjardins przeciwko księciu Paunitz i dukowi Yorku. Nie potrzebujemy dodawać, że taktycy ogrodowi zbijali *stante pede*, laskami swemi, przeciwników i gnali ich do Wiednia i Berlina, popijając po goń czekolada.

Adrjan nie znalazł stryja w tym tłumie bojowniczym obywateli-tchórzów, którzy nie śpiesząc się do wojska, staczali wojny pod kasztanami Tuileries; powziął naturalnie myśl, że Klaudyusz Mouriez musiał być na posiedzeniu Konwencyi i skierował się ku sali Zgromadzenia, pewien będąc, że stryja znajdzie w której trybunie, ale w drodze, postrzegł na tarasie, kroczącego Klaudyusza z miną Jowisza piorunującego. Ten, zobaczywszy synowca usiłował gwałtownie gniew, którym buchał na zewnątrz, ukryć w sobie, ale Adrjan nie dał się oszukać udawaniem zbyt nagłym i dość niezręcznym.

— Kochany stryju, rzekł mu, widzę, że masz się bić i nie odstąpię cię.

—Nie, Adrjanie, nie, odparł Klaudyusz ocierając czoło, głosem łagodniejszym jak fala po burzy; nie—jestem zupełnie spokojny... Wychodzę z Konwencyi, nadzwyczaj tam było gorąco. Wystaw sobie siedmiuset reprezentantów wszystkich w gorączce, a dwa tysiące ciekawych, chorych na wściekliznę, wszystko to razem wulkan, przy którym Wezuwjuusz byłby lodownią.

—Stryju, rzekł Adrjan surowo, przywykłem na ciebie patrzeć, i znam cię dobrze. Wczoraj w teatrze, oszukałeś mnie, dziś chcesz mnie oszukać znowu. Jeśli tak sobie ze mną postępować będziesz, rzucę cię na łup namiętnościom twoim: jadę do matki i żaden twój list nie potrafi mnie więcej ściągnąć do Paryża.

—No, słuchaj—że Adrjanie— rzekł stryj, biorąc za rękę młodego swego opiekuna i pociągając go z sobą w ciemną ulicę ogrodu—chcę odtąd szczerym być z tobą.

—Zacznijże stryju od dzisiaj.

—Właśnie zaczynam Adrjanie; wiedz naprzód, że wychodzę pełen oburzenia z posiedzenia Konwencyi.

—No, i cóż się tam stało? Czy Góra bierze się do reakcyi?

—Nie jeszcze, ale to przyjdzie. Tymczasem ludzie ci mnożą głupstwa olbrzymie. W tej chwili właśnie, zfabrykowali naprędce prawo, w którym niema najmniejszego sensu... Chcą wygnać z Paryża wszystkie wdowy ex-szlachty? pojmujesz ich szaleństwo?

—A co ci to ma szkodzić mój stryju? spytał Adrjan z wyrazem twarzy okazującym, że rzecz rozumiał.

—W istocie, poniekąd, masz słuszność, to mi wszystko jedno.... ale....

—Ale! zobaczymy co to będzie za *ale*?

—Ale zdaje mi się, że Konwencya, mogłaby lepiej cza-

su używać. Co za głupota pokazywać światu, że mężczyźni kobiet się boją!

—Bo też stryju kochany są kobiety niebezpieczniejsze od mężczyzn...

—Myślisz Adrjanie? spytał Mouriez z udaną naiwnością.

—Tak sędzę, stryju. Naprzykład tobie; jestli kto straszny, jestli kto kogobyś się mógł zląknąć?

—Nikt... a w dowód powiem ci, żem dziś rano dobrze utraktował Robespierr'a.

—No, a Robespierre co na to?

—Nic a nic; Robespierre, jak tylko jest sam jeden, gdy go nie otaczają ludzie, zwykł tchórzyć. Wielu jest śmiałków tego rodzaju.

—Otoż, kochany stryju, ty co się nie boisz nikogo nawet Robespierr'a, drżysz przed panią de Pressy.

—Dziecko! tyś dziecko Adrjanie! rzekł Mouriez z uśmiechem studenta na rekreacyi.

—Jakkolwiek dziecko, odparł Adrjan, zgaduję teraz powód twojego gniewu przeciwko prawu wygnania, które świeżo ogłoszono; prawo to powinno było przynajmniej zawierać wyjątek dla pani de Pressy... naówczas, nieprawdaż, byłoby wyborne?

Żart Adrjana widać było z jego głosu szyderskiego ostrego, a Klaudyusz spuszczał oczy, jako panienka przed urzędnikiem, którego się lęka.

—Kochany stryju— mówił dalej młody człowiek biorąc z uczuciem za rękę Klaudyusza, i nadając głosowi swemu wyraz czułości poruszającej serce— jeśli jesteś szczerze republikaninem, piękna ci się nastrecza zręczność pojednać z samym sobą. Jestem pewien, że znasz schronienie pani de Pressy: stań się jój opiekunem; masz potężnych przyjaciół i użyj ich na dobre nie na złe. Grunt charakte-

ru twojego wyborny; sprobuj cnoty, znajdziesz w niej więcej przyjemności niż w występku. Prawo srogie wypędza panią de Pressy z tego miasta, gdzie ją może tajemne jakie serca utrzymują związki; może to wygnanie dla niej także jest wielkiem nieszczęściem; ja pójdę w twojem imieniu do niej, będę jej ofiarował naszą protekcją i usługi, a ty stryju pozostaniesz na boku, w cieniu. Będzie umiała ocenić to pełne uszanowania usunięcie się twoje, i poświęcenie z taką delikatnością dokonane; jej szacunek i przyjaźń będą ci słodką nagrodą, i zastąpią jej miłość, której nigdy pozyskać nie możesz.

Klaudyusz słuchał mowy Adrjana z uwagą i rozczuleniem, i ściskając dłoń jego, odpowiedział mu:

—Kochane dziecko, jeśli uczynię jak ty mi radzisz, nie prawdaż zostaniesz ciągle przy mnie... bo mój kochany Adrjanie, czego się najwięcej lękam, to ciebie utracić... Zazdroszczę mojej bratowej, matce twojej... Gdy ty mi się u boku mego uśmiechasz, niema w tym tak pięknym ogrodzie, niema promienia wiosennego, co by mnie achwycił! Chcesz dobrego uczynku. Adrjanie, spełnię, co sobie życzysz, z warunkiem, że ci codzień za dobrą radę będę mógł dziękować.

—O! stryju, ja także, obiecuję ci wszystko, czego byś tylko mógł od własnego wymagać syna.

—Nie trać czasu Adrjanie... słuchaj... oto już schryplłym wywołują głosem: *Prawo, które wygania ex-szlachtę z Paryża i miast nadmorskich... za grosz!*

—Proszę o adres pani de Pressy?

—Sam cię zaprowadzę.

—Ale się nie pokażesz?

—Wszakżeśmy tak uradzili; pokażę ci tylko dom zdaleka...

Od téj chwili zachowali milczenie oba: Adrjan w myśli przygotowywał, co miał powiedzieć pani de Pressy.

W rogu ulicy S. Anny, Klaudyusz Mouriez wskazał zdala dom, w którym mieszkała piękna wdowa... Naznaczyli sobie, że się zejda wieczorem, a Adrjan spytał szwajcara N. 42, o mieszkanie obywatelki Pressy.

Szwajcar przypatrzył się młodemu człowiekowi uważnie i nieznacznie okazał ruchem twarzy, że mina, głos wdzięczny i ubranie pytającego dobre na nim robiły wrażenie.

—Obywatelka Pressy, rzekł, w głębi dziedzińca, wschodzi na lewo, pierwsze piętro, drzwi na prawo.

Aniela przyjęła Adrjana, prosiła go żeby usiadł w salonie, i poszła o nim pani oznajmić.

Hrabina w kilka chwil potém nadeszła, poznała pierwszym rzutem oka poczciwego chłopca, który omdlał w jéj małym domku wersalskim, w uliczce Thiers.

Adrjan powód swych odwiedzin wyłożył jéj jasno, a wyrazy poczciwe jak twarz, żywe uczyniły wrażenie na pani de Pressy.

—Przytomność pańska tutaj, rzekła, przypomina dzień okropny; ale razem przywodzi na pamięć jego szlachetne postępowanie w tych chwilach, które o mojem życiu stanowią. Nie lękam się wcale i mówię z całą otwartością.

Adrjan skłonił się i gestem zapewnił o najuniżeńszém poświęceniu.

—Prawo to, mówiła dalej P. de Pressy, wygania mnie z Paryża, ale nie będę kryć przed panem, że o pobyt w nim dbam mało; krok jego tém mnie pociesza, że mi dozwoli bez obawy zamieszkać w miejscu, które najlepiej lubię...

—Gdzie? spytał Adrjan.

—W Wersalu.

—Chcesz pani zamieszkać w Wersalu?

—Tak, panie, wracam tam, dziś zaraz; wystaw pan sobie, że nie wiem nic, nie słyszę o niczym, że żyję w niewiadomości zarówno wielkich jak małych wypadków. Usunęłam się od świata najzupełniej i jednakże nie ukrywam się,—po cóż bym się kryć miała? Wolę niebezpieczeństwo nagłe i niespodziane, niż ciągłą obawę; dla tego to znalazłeś pan drzwi moje otworem. Wersal, od czasu jakim go opuściła, tak mi był obcy, tak daleki— jak Dublin. Nie wiem, co się tam stało. Zapewniasz mnie pan, że bez obawy mieszkać tam mogę,— jutro więc opuszczam Paryż, i mam nadzieję, że się tam zobaczymy?

—Jeśli pani pozwoli, ja to mogę ułatwić daleko dogodniej. Mam przyjaciół w Wersalu; mogę tam wybrać sam dla niej dom stosowny... i...

—A! panie, jeśli tam niema żadnego niebezpieczeństwa, w tym ślicznym moim Wersalu, bardzoby mi miło było, mieszkać znów w tym samym domu... w domu, który pan znasz...

—Czy pani mi polecasz go nająć?

—Jeśliś pan łaskaw... przyjmuję z wdzięcznością jego ofiarę.

Rozmawiano długo jeszcze, a Adrjan, w dalszej rozmowie, okazał szlachetność swego charakteru, i wyjednał przebaczenie błędom dawnym Klaudyusza Mouriez.

Żegnając hrabinę, Adrjan odezwał się.

—Za kwadrans siadam na konia, powrócę przed zachodem słońca...

Pani de Pressy zostawszy sama, doznała dawno już nieznaną sobie rozkoszy; cieszyła się myślą powrotu do



miejsca, które dla niej tyle miłych i strasznych zawię-  
rało wspomnień; ostatnie często tak są drogie sercu ko-  
bięty!



## XXXI.

### D o m z n a j o m y .

We dwie godziny potem, młody nasz Adrjan biegł kon-  
no do Wersalu, i szybkim krokiem udał się do znanego  
domu na ulicy Thiers.

Fizjognomja zewnętrzna jego oznajmywała, że był za-  
mieszkały, co go dosyć podrażniło. Jednakże, pomyślał  
w duchu, ogólnie biorąc każdy dom można kupić lub na-  
jąć; wyrzucając trochę pieniędzy, ułatwiają się wszystkie  
trudności, zwłaszcza, będąc bogatym jak P. de Pressy...

Na drugie pociągnięcie dzwonka, drzwi się otworzyły,  
i stara kobieta wyjrzała z nich.

W owych czasach, dzwonek i młot zawsze prawie o-  
znajmywały coś złego; i otwierając drzwi, oko szwajcara  
lub mieszkańca domu, natychmiast starało się o czems do-  
wiedzieć z rysów twarzy i ubioru niespodziewanego przy-  
chodnia.

Na ten raz udał się examen: poważna strażnica domu  
zdała się całkiem uspokojoną na widok jednej z tych śli-  
cznych, świeżych twarzy, które wyrażają wszystkie przy-  
mioty duszy poczciwej, i nie pozwalają się domyślać za-  
dnego zła skrytego.

Obywatelko, rzekł Adrjan uśmiechając się, dosyć wi-  
dzę jest domów do najęcia w Wersalu, czyby czasem i  
wasz nie był z téj liczby?

— Mogło by to być, obywatelu — odpowiedziała kobieta z miną dowodzącą, że rzadko trafiało się jej pogawędzić, i że rada była rozmowie, którą gotowa była przedłużyć — mówiąc między nami, dwaj lokatorjusze moi nie wiele tu pyłu robią, i pewnie radzi by się zład wynieść, gdyby im kto co za to ofiarował... ale proszę pana do środka...

— Ja dom ten znam, rzekł Adrian przestępując próg... a mało mam czasu... Za pozwoleniem obywatelko, nie mógłbym się widzieć z temi panami?

— A! panie, niema ich w domu... Widzę, że to panu mitręży wielce...

— O! i jak, obywatelko.

— Ale wieczorem pewnie powrócą.

— Ja nie mogę czekać do wieczora... muszę do Paryża wracać z odpowiedzią.

— Gdyby tak pan jutro tu się pofatygował, byłaby już odpowiedź pewnie.

— Jutro... niepodobna!

— Jakto, i dnia poczekać pan nie możesz?

— Ani dnia!

— A to zabawna!

— Nie mogłażbyś mnie obywatelko, mniej więcej wskazać, gdziebym znalazł twoich lokatorjuszów... Może przechadzają się w ogrodzie zamkowym? Powiedz mi tylko jak wyglądają, znajdę ich łatwo, bo nie mogę powrócić do Paryża, bez zaspokajającej odpowiedzi; potrzeba przynajmniej, żebym złożył dowody, iż uczyniłem co tylko mogłem, dla spełnienia polecenia.

— Obywatelu, odpowiedziała pomyślawszy kobieta, trudno by mi było dać wam objaśnienie w tym względzie... Jednakże... jest jedna rzecz, którejbym mówić nie powin-

na, ale ja powiem zważając na waszą pocziwą minę... tylko tego nie powtarzajcie.

—Cóż takiego obywatelko?

—Zdaje mi się, że moi lokatarjusze są w Passy.

—Mieszkają w Passy? przerwał Adrjan nie mogąc dłużej wytrzymać— to pojedę do Passy.

—Ale nie, obywatelu, nie jedź do Passy, nie znalazłbyś ich tam, to pewna. Tylko... W Pan wiesz, że dla swjej gospodyni, to się niema sekretów, słyszę ich mówiących często: chodźmy do Passy! dziś rano powtórzyli to także.

—Ale nie wiesz obywatelko, domu do którego tam uczęszczają?

—Nie wiem...

—Przepędzająż kiedy niekiedy dzień przynajmniej w Wersalu...

—O! bardzo rzadko... prawie nigdy; powracają dosyć regularnie wieczorami na nocleg, a o świcie ruszają; czasem ich i nie widzę. Młodszy z nich do północy często w tym pawilonie siedzi i pisze... Między nami mówiąc, to musi być autor.

—Wszak drzwi otwarte, rzekł Adrjan podchodząc, widać, że wasz autor nie lęka się natrętnych.

—Naprzód, ja obywatelu, czytać nie umiem, a potem nigdy w tym pawiloniku nic nie zostawia, możesz pan zajrzeć...

Adrjan skorzystał z pozwolenia udzielonego, aby natrafić na jaki ślad przypadkowy, coby go lepiej o mieszkańcach potrafił objaśnić, niż stara kobiecina.

Stół kulawy, trzy zbutwiałe krzesła, dywanik podarty, meblowały ten pawilon; kilka arkuszy papieru rozrzuconych było po podłodze— ale nic na nich: białe były, to

jest żółtawe, bo biały papier ówczesny wszystek miał tę barwę.

Młody człowiek przy owój kobiecie nie miał ochoty odegrać roli inkwizytora, zaledwie nieśmiało odwrócił kilka arkuszy by się o ich dziewiczej białości upewnić. Chciał natrafić przynajmniej na książkę, bo książka często odkrywa charakter i obyczaje człowieka; ale nie znalazł żadnej. Papier pisany i drukowany uciekł zład wszystek.

W chwili, gdy już miał wychodzić, Adrjan postrzegł wśród czarnych plam na stoliku kilka wierszy symetrycznie jakoś rzuconych, pochylił się niby od niechcienia, i wyczytał na drzewie następującą strofę, jakby dla sprobowania pióra nakreśloną:

Gdy czarnych wiatrów powiewy niszczące,  
U Mityleny brzegów zburzą fale,  
Gdy chmura groźna zgasi jasne słońce,  
Żeglarz zbłąkany w tym żywiołów szale,  
Uśmiecha się zdaleka ostatniej światłości,  
Świątyni, w której miłość czi Boga— miłości!

To dziwna! rzekł Adrjan w sobie, wiersze te nie zdają się wyjęte z *Almanacha Muz* i *Merkurego!* mają one właściwy sobie charakter. I zwracając się ku staruszce, obojętnym spytał głosem.

—Obywatelko, czy to pismo twojego lokatora?

—Ja— odpowiedziała kobieta przypatrując się— nie umiem czytać i nie znam się na charakterach pisma, ale codzień ocierając ten stolik z pyłu, mogę pana zaręczyć, że pozawczoraj tej plamy nie było. A że ja tego nie zrobiłam, musiał jeden z lokatorów...

—Może ci się naprzykrzam pytaniami, obywatelko?

Mów proszę otwarcie, zdaje mi się, że zaczynam być natrętnym?

—A! mój Boże! nie obywatelu, ja nie mam nic do roboty, a czasem po trzy dni słowa do nikogo nie przemówię, bo mi się nie trafi... Rozmowa, to jak małżeństwo, trzeba do niej dwójga koniecznie... możesz mnie pan pytać, a z chęcią odpowiem;— możeby wygodniej było usiąść, ot i krzesło.

—A! nie uważajcie obywatelko — oczy mając wlepione w wiersze rzekł Adrian, — mogę postać, siądę zaraz na koń... Jakiego to wieku ludzie ci lokatorowie?

—Starszy musi mieć lat czterdzieści kilka, młodszy wygląda na trzydzieści.

—To pewnie młodszy pisał te wiersze?

—Tak, tak obywatel Andrzej... bo drugi tu nigdy nie przychodzi...

—A imie mu Andrzej...

—Tak jest, obywatelu.

—Czy może to jego nazwisko?

—Nie, musi to być imię, a może i nazwisko, bo go z inném nie znam.

Adrian mruknął po cichu sam do siebie.

—To Andrzej Chenier.

I sądząc się już do zbytku natrętnym, nawet względem staruszki, która ohotnie gotowa była mu rozpowiadać o swoich lokatorach i o czém by chciał, zbliżył się do drzwi mówiąc:

—Kiedy już jestem w Wersalu... pozostanę tu do jutra. Postuchaj mnie obywatelko, zostawię tu kilka słów ołówkiem napisanych do młodszego z twoich lokatorów, oddasz mu je, gdy z Passy powróci.

I Adrjan napisał natychmiast następujący bilecik:  
 «Adrjan Mouriez oczekuje go w oberży pod *Lirą Apollina*. Jeślibyś dla jakich powodów nie mógł się tam znajdować, chciój oznaczyć inne miejsce.      *Adrjan.*»

Staruszka wzięła kartkę i patrząc na niego odezwała się.

—Znasz pan więc obywatela Andrzeja, kiedy do niego piszesz?

Adrjan dwuznacznym ruchem odpowiedział i ukłoniwszy się kobięcie, pobiegł w skromnym pokoiku pod *Lirą Apollina* oczekiwać. Ztąd, przez umyślnego, napisał parę słów do P. de Pressy, przepaszając ją za opóźnienie. Obiecywał pomyślną odpowiedź na jutro; około dziewiątej wieczorem, Adrjan usłyszał chód na wschodach i wkrótce potem trzy lekkie uderzenia we drzwi; wstał, otworzył, i w przybyłym poznał Andrzeja Chenier.

—Przychodzę z zupełnym zaufaniem, rzekł poeta wyciągając rękę i podając mu dłoń — z pełnym zaufaniem jak widzicie.

—I zdaje mi się, że na to zaufanie zasługuję, rzekł Adrjan ściskając rękę Chenier'a.

—W pierwszych chwilach niebezpieczeństwa, dodał przybyły, bawimy się ostrożnościami unikając zasadzek i podstępów; ale gdy się te lata przeciągną, ciągła baczność staje się rzeczą ciężką, przekonywamy się, że życia nie warto bronić nieustanną walką.

—Obywatelu, odparł młody Mouriez, to co widzisz znacznie zmniejsza wartość twych wyrazów pierwszych i zaufania, o którym wspomniałeś.

—O! wierz mi pan, przerwał Andrzej, że wcale nie myślę cofać pierwszych słów moich; reszta jest czysto-filozoficzną uwagą; stosuje się to do wszystkich, prócz pana. Daj mi pan rękę, poznaliśmy się w strasznej chwili,

w tym samym domu, w którym dziś pan mnie szukałeś... prawdziwie wielbię pańską przebiegłość cudowną... Zgadłeś więc, że wspomnienia... prędkiej później do tego miejsca mnie napędzą.

—Ale, obywatelu, przerwał Adrjan.... prawdziwie... wiele winienem przypadkowi... i..

—Przypadkowi! powiadasz pan! źle się wyrażasz; przenikliwość rzec potrzebna: już pan znasz dobrze serce ludzkie.

—Przybyłem, przerwał Adrjan zmieniając nagle ton i przedmiot rozmowy, przybyłem prosić pana o jedną uczynność... Chcę ten dom nająć.

—Tak, mówiono mi o tém, rzekł Chenier, oznajmując o jego bytności, i oddając pański bilecik; wziętem to tylko za pretext. W terażniejszych czasach, tysiące się podstawia mniemanych powodów, nim się prawdziwy wyjawia. Wszysey gramy nieustannie zawikłaną partją szachów. Zowią to zręcznością...

—Wybacz, obywatelu, zawołał uśmiechając się młody człowiek, ja nigdy w szachy nie grywam, choć kawiar-nia Regencyi bardzo w modzie. Gdym się stawił u pana, miałem istotną chęć najęcia tego domu, jeśli jest do wynajęcia.

—Prawdziwie, jeśli tak, widzisz mnie pan w rozpacz, rzekł Chenier, bo żądasz pan po mnie jedynę rzeczy, którą mu muszę odmówić. Ten dom jest światem moim. Jeśli go panu odstąpię, nie będę miał gdzie głowy położyć. Cały rok spędziłem w samotności zupełnej w Rouen, i byłbym tam umarł, żeby nie nadzieja, że kiedyś może zamieszkać w czasie swobodniejszego domu, o którym mowa. Los mi sprzyjał, ujrzałem otwierające się przedemną błogostawione drzwi uliczki Thiers, mogęż je sam za sobą

zamknąć? Nie miałbym sił na to. Lecz daruj mi pan moje natrętność; czyś pan koniecznie, gwałtownie przywiązał się do najęcia tego właśnie domu?

—Tak! smutnie odpowiedział młody człowiek.

—Rozumiem, rozumiem, rzekł Chenier, i pan tam zostawiłeś wspomnienie, do którego byś chciał wrócić. Niestety! żyjemy samą przeszłością... Daruj pan, że go muszę opuścić, przyjaciel czeka na mnie niespokojny, pan pojmuje, że... Andrzej postąpił ku drzwiom, Adrjan go zatrzymał.

—Słówko jeszcze, obywatelu Chenier, rzekł zastępując mu drogę— nie chcesz więc pan tego dla mnie uczynić?

—O! Kochany panie, nie mogę— możemy o tem gadać do białego dnia, a jutro zastanie mnie upartszym jeszcze, oszczędźmy sobie próżnych rozpraw, rad będę zawsze widział pana— i— zbliżył się jeszcze do drzwi. Adrjan go zatrzymał.

—Obywatelu Chenier, posłuchaj— rzekł zmieszany Mouriez głosem, który jego niedoświadczenie i bojaźń dowodził— posłuchaj, ja nie chcę domu tego dla siebie.

—Tém bardziej go odmawiam, odparł Chenier.

—Żądam go w imieniu kobiety.

Wzruszenie dokończyć mu nie dało.

—W imieniu?... spytał Chenier niedosłyszawszy.

—W imieniu kobiety, powtórzył Adrjan jasno i wyraźnie.

Andrzej Chenier spójrzał bystro na mówiącego, a że w myśli i wspomnieniach poety jedna tylko była kobieta, domyślił się zaraz, że domu tego żądała pani de Pressy, zwłaszcza zauważywszy w Adrjanie pewne wzruszenie, któreby inaczej wytłómaczyć się w tak prostej rozmowie nie dało.



—W imieniu kobiety! rzekł Chenier krzyżując ręce na piersiach, a imie jój jest zapewne tajemnicą?

—Obywatelu Chenier, odparł Adrjan spuszcżając oczy, nie jestem upoważniony do wymówienia jój nazwiska. Wiész pan, że dziś tysiące jest nazwisk nie należących do tych, co je noszą. Ty sam, obywatelu Chenier, nazywasz się Andrzejem tylko... cóż dziwnego, że kobiéta poleca mi zatrzeć nazwisko swoje.

Adrjan był uszczęśliwiony, że się tak gładko potrafił wywinąć z trudnego pytania, i sumienie miał spokojne.

—To pewnie kobiéta prześladowana, rzekł Chenier głosem, raczej uwagę własną niż pytanie oznaczającym.

Adrjan zamilkł, nie czując się obowiązany do odpowiedzi.

Chenier opuścił ręce, pochylił głowę i pomyślał chwilę, a twarz jego przeleciały myśli radošne i bolesne, które w tój chwili miotają duszą.

—No! obywatelu Chenier, rzekł Adrjan... pomyśl o niespokojności oczekującego cię przyjaciela i kończmy.

—Dziš właśnie, odezwał się poeta, Konwencya ogłosiła prawo przeciw dawnój szlachcie, wczoraj czytałem je w Monitorze. Jakkolwiek bądź, to pewna, że pańskie żądanie ma jakiś związek z tą okolicznością. Żądasz domu mego dla jakiejś wygnanki, którój Paryż zabroniony—dość na tém... jeśli to nie ona, to inna w jój położeniu, to siostra jój wygnania. Dom mój od jutra należy do niej.

—Tysiączne dzięki! zawołał Adrjan ściskając rękę poety—rachuj pan na wdzięczność moję i poświęcenie, dwa uczucia, które w mój duszy nie gasną.

—Dziękujesz mi pan za rzecz bardzo małą, panie Mouriez, rzekł Chenier, cóš mi powiada, że do wielkiej wdzięczności w tój sprawie, nie pan będziesz obowiązany...

—Przyszłość należy do Boga, rzekł Adrjan, spełniłem obowiązek, pan dokonałeś swego, a teraz dalej, gdzie los poprowadzi...

—Bądź zdrow, odpowiedział Chenier ze wzrastającym wzruszeniem— milczenie twoje aż nadto mi już powiedziało. Wszystko czegoś powiedzieć nie chciał wyjawilo się; nie twoja w tém wina, pojmuje. Bądź zdrow, zobaczymy się jeszcze. Znajdziesz mnie pan codziennie o piątęj wieczornej w Passy, ulica Niższa N. 15, jutro się tam przeniosę.

—Bądź zdrow kochany poeto, zawołał Adrjan, niech tajemnica dzisiejszój rozmowy naszój, nigdy nie wyjdzie z sere naszych.

—Nigdy! poprzysięgam— odezwał się Chenier. A! mój Boże... zapominamy, najważniejszój rzeczy... jutro, o południu, klucze tego domu złożone zostaną do rąk gospodarza oberży... i nie zostaną wydane chyba obywatelce...

—Obywatelce... dokończył Adrjan zamykając drzwi— nie zmieniała imienia.

Chenier schwycił te wyrazy schodząc z pierwszych stopni wschodów.



## XXXII.

### Dzień świąteczny.

W chwili tój właśnie, Paryż, miasto, co widziało wszystko, i które na wszystko jeszcze patrzeć może, zmieniło fiziognómją;— w głębi było może sobą, ale powierzchnia znacznym uległa zmianom. Zewnątrz panowała wesotość, a powody metamorfozy dziś się nam może wydałyby śmiesznemi, gdyby doświadczenie nie uczyło, że Pa-

ryż zwykle przeraża się, bawi, lęka i cieszy z powodów, które są tajemnicą historyczną i niepojętym czémś w dniach spokoju i chłodu.

Klubów nie było, wyjąwszy Jakobińskiego, który był małą pomocniczą Konwencją, ulice miały pozór świąteczny. Ogłoszono właśnie ów sławny dekret zawarty w tych słowach: *«Lud francuzki uznaje istność Najwyższej Istoty.»* Ustanowiono święta, pochrzczono dekady, naznaczono uroczystości:

Ludzkości,

Ludu francuzkiego,

Dobroczynców ludzkości,

Męczenników rewolucyi,

Swobody i równości,

Swobody świata,

Miłości kraju,

Nienawiści zdrajców,

Prawdy,

Sprawiedliwości,

Wstydu,

Chwały,

Przyjaźni,

Wstrzemięźliwości,

Męstwa,

Dobréj wiary,

Bohatérstwa,

Bezinteresowności,

Stoicyzmu,

Miłości,

Wiary małżeńskiej,

Miłości macierzyńskiej,

Czułości ojcowskiej,

Przywiązania dzieciennego,  
 Dzieciństwa,  
 Młodości,  
 Dojrzałości,  
 Starości,  
 Nieszczęścia,  
 Szczęścia,  
 Rolnictwa,  
 Przemysłu,  
 Przodków,  
 Przyszłości....

Malarzowi David poleconém było ułożenie programów tych uroczystości, wedle podań Greków i Rzymian.

Gmina i Jakóbinii winszowali Konwencyi tego dekretu *szczytnego*. Śpiewano wszędzie *Hymn do Cnoty*; słowo zgody było we wszystkich ustach i nikt się nie lękał przyszłości jaśniejącej tyłu uroczystemi obchodami.

Przeniesienie popiołów J. J. Rousseau do grobów Pantheonu, do reszty uspokajało umysły.

Początała się więc era nowa. Rzeczpospolita zdawała się osiadać na nowych fundamentach, jak wszystko we Francyi w początku—poczytywanych za niewzruszone.

Danton i Kamil Desmoulins, jedyni postępu przeciwnicy, zginęli w świeżym rozruchu, a nic już nie zagrażało pogodzie horyzontu politycznego. Nareszcie, wedle wyrażenia poetów współczesnych, wracał wiek Saturna i Rhei; Danton i Desmoulins z systematycznej przekory nie mogli stanąć na zawadzie złotemu wiekowi, którym obdarzano Francją. Oddychano nareszcie, a czas bo też było odetchnąć!

Na czołach wszystkich świątyń, zmazano napisy dawne: *Rozumowi*, i zastąpiono je nowemi: *Istności Naj-*

wyższej, na wielu publicznych gmachach widzieć się dawały te słowa Robespiera wyrzeczone na posiedzeniu 17 Pluiose roku 2. «Zasadą rządu demokratycznego — jest cnota.

W tej to nowej epoce znajdujemy hrabinę Margaretę już w Wersalu, pod drzewami ulicy Thiers; wróciła tu z weselem i smutkiem, dwoma uczuciami które się często godzić umieją.

Było to w dekadzie *święta szczęścia*; cały Wersal obchodził szczęście, dnia tego, ale zapał był dosyć umiarkowany. Plakaty od municypalności, naiwnie w stylu sielankowym pisane, wzywały obywateli żeby byli szczęśliwi do zachodu słońca, a twarze przechodniów usiłowały stosować się do programu. Przypominało to wiersze poety włoskiego, który powiada, że szczęście wielu zależy na tém, iż się nam wydają szczęśliwi.

Niestety! we Francji łatwiej rozkazać zwycięztwo niż szczęście! Jednakże, wpośród burz politycznych, zaledwie błysnie trochę spokoju, chwytają go z uniesieniem jak rozbitek, pożarty przez fale, korzysta chciwie z chwili gdy go bałwany na wierzch wyrzuca, ażeby uchwycić powietrza.

Pani de Pressy, chociaż nie wiele miała wiary w programy rewolucyjne, znajdowała jednak niejaką pociechę w tej uroczystości publicznej. Wreszcie, mówiła usiłując się uludzić, kto wie czy i te fałszywe pozory spokoju nie są prawdziwemi symptomatami polepszenia stanu społecznego? Dość się już zrobiło złego, ale ci co je dokonali, sami pragną się zatrzymać i przyszłością przeszłość swą zatrzeć. Niepodobna uwierzyć, żeby ludzie pomyśleli o ustanowieniu nieustannych rzezi, o zalaniu krwią publicznych placów, i napełnieniu wszystkich więzień coraz nowemi ofiarami: — złe się kończy, dobre przybywa.

P. de Pressy, zrobiwszy sobie te pocieszające uwagi, rozweseliła się na chwilę, i to było wiele,— życie się jój uśmiechnęło.

Wyszła z ogrodu z myślą usiadzenia po za firankami dolnego saloniku, i przypatrywania się przechodzącym urzędownie szczęśliwym dnia tego; bo uroczystość miała miejsce główne na wzgórku Satory, w miejscu gdzie dziś odbywają się wyścigi konne.

Wchodząc do tego salonu, który jój przypominał straszliwą scenę z Klaudyuszem Mouriez, noga jój, już zwieszona ku przymurkowi pod oknem, wstrzymała się jakby nagle ujrzała węża przed sobą...

Był to list tylko, który zręcznie zapewne cisnąć musiano po za firanki, oświecony promykiem błędnym słońca.

List wrzucony na posadzkę salonu nie zdaje się być na pierwszy rzut oka rzeczą tak bardzo straszną, jednak hrabina Pressy zadrzała konwulsyjnie i poglądała z przerażeniem na ten kawałek papieru; okoliczności mogą rzeczom najmniej znaczącym nadać wysoką wartość.

Pani de Pressy jakiś czas patrzyła na list ten tajemniczy, nieśmiejąc dotknąć go ręką, próbowała zdaleka wyczytać adres drobnemi nakręslony literami, atramentem błędym jaki pospolicie trafia się w domach zajezdnych. Wreszcie widząc się samą, zebrała się na odwagę i wzięła by mu się bliżej przypatrzeć.

Papier upiekł ją w rękę, rzuciła go jak węgiel rozżarzony.

Poznała pismo Andrzeja Chenier.

—To on! to on! mówiła do siebie, jakże on odkryć potrafił mieszkanie moje? mówiono mi że opuścił Francją, jakim sposobem zagranicą potrafił wpaść na myśl że wróć do tego domu pod oczyma Klaudyusza Mouriez? Czy się

dowiedział o złożeniu z urzędu Klaudyusza? Ale żadne piśmo nie wspomniało o tém? Polecieć zapewne musiał któremu z przyjaciół swoich nadzór nademną! opiekę! Jeśli to uczynił... o! to chyba kocha mnie jeszcze; kochał mnie zawsze z delikatnością milczącą, ze skrytém uczuciem ludzi wybranych! nie strzeże się tak zdała chyba ukochanych osób!

Pani de Pressy wzięła list znowu, i nim go otwarła, zajrzała co się działo zewnątrz, ale z ostrożnością kobiety która chce widzieć nie będąc widzianą.

Uliczki boczne i wielka droga pełne były przechadzających się; hrabina nie ujrzała między niemi żadnej twarzy znajomój. Tłum ten zdawał się spokojny i dekady swój używał dosyć rokosznie, jak niedzieli o trzy dni spóźnionój.

Hrabina Margareta złamała pieczętkę drżącą ręką, i czytała co następuje.

«Pani!

«W samotności mojej, nie wiem zupełnie czy mogę ją odwiedzić, bez obrazy zwyczajów światowych; ale to wiem, że jeśli jój terażniejsze położenie dozwoli zadość uczynić prośbie mojej, błaganu— dzień ten dla mnie godzinę będzie imienia, jakie mu nadał wyrok Konwencyj.

A.

Passy. Ulica Niższa N. 15.»

List ten był ciemny i zrozumiały razem, zdawał się niczego nie żądać, a wymagał odpowiedzi.

Nie porównywajmy nigdy tego co się dzieje w epokach spokoju, z tém co się trafia w burzliwszych czasach, ztąd tysiące wynikać może błędów sądu. Hrabina nie zawahała się ani chwili; poszła natychmiast do swego pokoju i wzięwszy pióro, napisała odpowiedź, nie zastanawiając się nad zwykłemi w takich razach ostrożnościami, to jest,

nie usiłując tak powiązać wyrazów, tak ocenić myśli, by odbierający list niecierpliwił się zbytkiem grzeczności i brakiem uczucia.

List hrabinéj był w tych słowach.

— «Jutro o południu dwie kobiety czekają P. Andrzeja u sadzawki Latony; jedna z nich uściśnie dłoń poety z prawdziwą radością.»

Bilecik ten odniesiono tegoż dnia pod naznaczony adres; Denis wierny tego się podjął.

Później hrabina, której serce zbyt było przepełnione szczęściem by je dla siebie tylko zachować miało, pobiegła do ogrodu, do Anieli, oddawna najlepszej swój przyjaciółki, bo w nieszczęśliwej téj epoce, nie prawo ale wierność sług zbliżała ich do panów i niszczyła tytuły i klasyfikacye towarzyskie.

Aniela dowiedziała się o tém co się stało i odezwała z uśmiechem—Pozwolisz mi pani powiedzieć szczerze co myślę?

—A! czemuż nie! dość wesoło zawołała hrabina—jeśli ci powierzam, kochana Anielo, co mnie obchodzi, to dla tego bym twoje zdanie o tém porównała z mojem; nie obawiaj się więc, mów co chcesz, nie obrazisz mnie.

—To dobrze; jeśli mi pani pozwalasz, nadużyję pozwolenia.

—Nadużyjesz?

—Zobaczysz pani. Ja już z góry widzę jak to pójdzie... Gdy żałoba upłynie... zmienisz pani nazwisko po raz trzeci...

—Anielo,—odezwała się hrabina przerywając—to jedna rzecz, którejbyś nie powinna była powiedzieć.

—Ale, jam panią przestrzegła.



—Tak, prawda, i uwaga twoja nie zadziwia mnie wcale; każdy by ją, mógł być uczynić, prócz ciebie może...

—A! pani, doprawdy, myśli jój nie rozumiem, racz mi to wytłumaczyć jaśniej...

—Pomyśl chwilę! smutnie odparła Margareta.

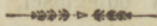
—Tak, tak! myślałam długo i dawno, nie dziś to ta myśl mi przysłała... Cóż w niej tak dziwnego? On cię kocha... i jakąż miłością? o! oni nie kochają jak inni! kochał cię wdową, ustąpił P. de Pressy, znikł nawet zupełnie: to to miłość prawdziwa, bo się łączy z uszanowaniem. Później, Bóg chciał byś znowu odzyskała wdowią swobodę. Dziś, on ci dowodzi że o tobie nigdy nie zapomniał, i pewna jestem, że do wdowy Hr. de Pressy, zbliża się z myślą najuczciwszą.

Hrabina Margareta smutnie potrząsnęła głową, skrzyżowała ręce na piersi, i głosem pełnym wzruszenia i łez, odezwała się.

—Aniello, miłość moja jest fatalną— ona niesie nieszczęście,— dwa razy zostałam wdową, od dwóch uderzeń piorunu. Ci co mnie kochają zdają się przeznaczeni na śmierć gwałtowną. Zobaczę raz jeszcze Andrzeja Chenier, a potem... o! już go zwodzić nie chcę! miłość moja jest fatalną, wierzaj mi Aniello.

—Jakto można tak mówić? zawołała Aniella... to obraza pana Boga!

—Aniello, odpowiedziała hrabina, obrażam siebie tylko... a jutro, boję się być zmuszoną obrazić Andrzeja Chenier.



## XXXIII.

**W ogrodzie Wersalskim.**

W lecie roku 1794, ogrody Wersalskie i czoło pałacu wychodzące na nie, nabrały także fizjognomji rewolucyjnej, której założyciel ich pewnie nigdy nie przewidywał. Okna zamku, pomimo piękności pory, zamknięte były hermetycznie na całej linii i oznajmywały o niebytności właściciela; w uliczkach nie było gładko wysypanego piasku; dziki chwast jeżył się wszędzie, protestując przeciw symetrycznym rozporządzeniom Le Nôtre'a; trytonowie, najady, nereidy z suchemi wargi stali nad sadzawkami próżnemi; bogowie i boginie na skroni dzwigali wieńce nieśmiertelniczek, ale nie mogło ogrodom tym odjąć wspaniały ich zieleni i pysznego blasku jakim stroiło je słońce i lato.

Chenier wyprzedził naznaczoną listem godzinę hrabinę; i chcąc skrócić wiekami długie oczekiwanie, szeptał wiersze jakieś wśród tego marmurowego Olimpu, który nań patrzył z wysokich pedestalów swoich.

W około poety, nikogo prócz tego głumu marmurów, nieruchomego świadka tylu scen straszliwych, który zdawał się uśmiechać scenie powabniejszej, od lat czterech oczekiwanej na próżno.

Poeta usłyszał wybijające południe, a oko jego nie zeszło już z tarasu, a raczej horyzontu, na którym miało się ukazać jego słońce, wśród rozsypanych na nim kwiatów.

W chwilę po wybiciu dwunastej, dwie kobiety ukazały się pod Andromedą Puget'a, a idąca przodem zatrzymała się przed arcydziełem i smutnie potrzęsła głową. Choć w pewnej stojącej odległości, Chenier odgadł myśl hrabinę, która melancholijnie witała kobietę przykutą do

skąły, ofiarę, którą miał oswobodzić awanturniczy poeta leący na hipogryfie. Był to mytologiczny symbol tej chwili.

Z przytomnością, która w trudnych położeniach nigdy nie opuszcza kobiety, pani de Pressy zbliżyła się do Chenier'a, który był blady i niemy jak Vertumnus, najbliższy jego sąsiad.

Aniela skłoniła mu się zdaleka i przystała. Hrabina ścisnęła rękę poety i zawołała:

—Potrzebaż panu powiedzieć że go widzę z przyjemnością, która się zbliża do szczęścia?

—Nie, pani, nie mi nie trzeba więcej nad to, żeś tu przysłała! odparł Chenier.

—Mogłeś pan wątpić?

—O nieszczęściu bym nie wątpił.

—Ja przecie nie szczęśliwego nie mam panu oznajmić.

—Przysłałaś pani, dość mi na tém. W chwili w której żyjemy, nie godzi się pragnąć wiele.

—Powiedz mi pan, panie Chenier, rzekła hrabina wskazując poecie miejsce przy sobie na ławce kamiennéj—jakeś pan odkrył mieszkanie moje?

Pytanie to uczynione zostało z nagłą zmianą głosu, usiłującą rozmowę uczynić poufalszą. Andrzej nie zaraz odpowiedział, żywe wzruszenie odejmowało mu przytomność umysłu.

—Stało się to... dziwnym przypadkiem, rzekł po chwili... często wychodzę z Passy gdzie teraz mieszkam, i Wersal odwiedzam, staję naówczas w oberży pod Lira.

—Poeta innéj obrać nie mógł, przerwała uśmiechając się hrabina.

—Tam dowiedziałem się, że obywatelka Pressy wróciła do Wersalu,— napisałem wówczas, na przypadek... na los...

—Pan tak jesteś wzruszony, tłumacząc rzecz tak prostą:

—A! to też wypadek ten tak prosty, przypomniał mi dom w którym spędziłem najpiękniejsze dni życia.. mogłem być napisać wcześniej, ale nim się na list ośmieliłem, chciałem się upewnić że pani sama... zamieszkujesz w tym domu, sama z Anielą.

Hrabina spójrzała długo na Chenier'a, i po chwili milczenia odezwała się.

—Nie wiesz więc pan o nieszczęściu które dotknęło hrabinę de Pressy.

—O jakim nieszczęściu? pytał poeta bledniejąc.

—A! pan nic nie wiesz! mówiła dalej hrabina— Wandeia, która już tyle szlachetnych pożarła ofiar...

Kobięta umilkła i dwie łzy na twarz jej spadły.

—Hrabia de Pressy! zawołał Chenier na w pół powstając, głosem w którym zmieszały się wszystkie uczucia, jakie nim miotaly.

—Nie wymawiaj pan tu imienia jego,— zawołała kobięta chwytając go za rękę— te posągi mają uszy.

—Umarł! cicho do siebie szepnął Andrzej.

—Dawno już, dawno! mówiła dalej hrabina. Gdyby mąż mój żył, nie byłabym tutaj panie Chenier.

Po tych wyrazach nastąpiło długie milczenie, oboje zamilkli razem, a oczy ich utkwily się w zielone trawniki ulic; rzekłbyś, że dwa posągi przybyły w ogrodach Wersalu.

Chenier pierwszy począł:

—Po tej smutnej wieści, rzekł, dwie mi pozostaje rzeczy uczynić: i podziękować jej za tę chwilę rozmowy, i odejść szanując jej boleść.

—Uczynisz pan jak zechcesz, przyjaźnym głosem odezwała się hrabina. Wolno ci odejść, ale mi się zdaje żem

mu niczém nie dała do zrozumienia, iż rozmowa nasza powinna by się ukończyć.

—Ale to, czegom się w tej chwili dowiedział, wszystkie myśli moje zburzyło... zaprawdę, cokolwiek bym teraz mówił, byłoby kłamstwem ust i sprzecznością z niewzruszoném uczuciem serca mego... Wolę, wolę, odejść.

Chenier konwulsyjnie wzruszony, powstał.

—Panie Chenier, odezwała się hrabina wstając także i poprawując suknię dla pokrycia tym ruchem śmiałego pytania które uczynić miała. Panie Chenier, nie zwykłam nigdy kończyć rozmowy zagadką. Ostatnie jego wyrazy są dla mnie niepojęte, proszę mi je wyjaśnić.

—Wymagasz tego pani?

—Nie wymagam, proszę.

—A więc... słowa te ciemne, takie jasne mają znaczenie. Za życia jój męża, byłbym zawsze najszczęśliwszy widząc ją choć na chwilę, usłyszeć jedno z jój ust słowo, ani bym się ośmielił nigdy wyrzec tajemnicy mojego serca. Należę do tych co szanują małżeństwo; dziś mnie już nie wstrzymują te skrupuły... Jesteś pani wdową, jesteś wolną; miałbym za stracone, za kłamliwe wszystkie chwile którychbym nie poświęcił na powtarzanie jój jedynéj myśli, jedynego uczucia serca... kocham cię. Hrabina rozwarła parasolik i upuściła go pod nogi Chenier'a.

Bóg tylko widział wyraz jój niebiańskiego oblicza w tej chwili.

Wiatr, który się zrywa o południu, przebiegł piękne drzewa Wersalskie i cudnie w nich zamruczał; rzekłbyś że głos poety wskrzesił wszystkie uniesienia miłości co się odbiły o zielone sklepienia zieleni, pod któremi ludzie innego wieku tak wesoło żyli i kochali!

—Panie Chenier, odezwała się hrabina ze wzruszeniem źle pokrytém— wyznanie jego jest dla mnie niespodziane... ale mogę mówić otwarcie... bo okoliczności wszystko tłumaczą. A! któż wie, czy jutro żyć będziemy? miłość twoja jest dla mnie zaszczytem, dumna nią jestem, choć nie wolno mi być szczęśliwą.

Chenier rozpromieniał radością i złożył ręce jak do modlitwy przed świętym obrazem.

—Pani, pozwól mi także, spytać o jasne znaczenie ostatnich słów twoich. Dla czego, nie wolno ci być szczęśliwą miłością moją?

—Poeto! smutnie odrzekła kobieta... te słowa nie mają znaczenia... nie ci nie powiedziałam.

—Na Boga, zaklinam cię pani, chciój mi powiedzieć!

—Pamiętasz pan pierwsze nasze spotkanie w Hotel de la Tour d'Aigues?

—Jakże bym mógł zapomnieć?

—Naówczas, pierwszym raz wspomniała o moich przecuciach i widzeniach,— rzeczach które w tłumie uchodzą za szaleństwa. A jednak! zawsze przyszłość potwierdza przecucia moje! Chenier! nie żądaj na Boga, miłości mojej, miłość ta byłaby dla ciebie zgubną.

—To wyraz którego nie rozumiem, odpowiedział Chenier z zapałem. Wyraz ten nie należy do epoki w której żyjemy... Fatalność jest ojcowizną wszystkich nas; to spuścizna każdego; ojcowie nasi przekazali ją pokoleniom następnym... tylkoś co pani sama wyrzekła: «Kto wie czy jutro żyć będziem?» Tak! to prawda! niepewność jutra każe nam żyć dzisiaj.

—Nie, nie, Chenier, dość mam na sobie żałoby, dość żałoby! dozwól mi pysznić się miłością twoją, ale unikaj mojej... bo moja miłość to śmierć!

—Posłuchaj pani, posłuchaj.. w przeszłym wieku żył malarz wielki— Antoni Van Dyck, który wyrzekł szczytne, potężne słowo. Kochał hrabinę Brignole, kochał ją pewnie jak ja ciebie hrabino. Hrabia Brignole, jój mąż, wiódł swą nowo zaślubioną żonę przez kościół San Lorenzo... Van Dyck oparty o słup, patrzył na niego... ściskając rękę przyjaciela stojącego przy nim, odezwał się do niego z uczuciem niewystowioném— Dałbym życie za kwadrans życia tego człowieka. Van Dyck miał słuszość.

Hrabina przygotowała się na odpowiedź spoglądając na dzikie kwiaty ogrodu, gdy Aniela nadbiegła nagle wołając:

—Pani, jacyś tu są ludzie podejrzani, chciała bym się mylić, ale z poza krzaku usłyszałam wyraźnie nazwisko Chenier i Lirę Apollina powtórzono przez nich... Drzę cała.— Chciałam zobaczyć tych co rozmawiali... widziałam ich... przeszli koło mnie. O! co za postacie! są to wystawnicy policyi... Skryjcie się... jest ich czterech...

Chenier dobył sztyletu i spójrzył w stronę wskazaną przez Anielę.— Schowaj ten sztylet, odezwała się Margareta— co ci on pomoże przeciwko czterem ludziom uzbrojonym.

—Idź pani, idź, zostawcie mnie samego, odparł Chenier... jeśli mnie pochwyca z rozkazu Fouquier-Tainville, na Boga, niech mnie wezmą samego, niech nikt nie będzie ze mną! pani byś także była zgubiona!

—Chenier, ja cię nie opuszczę, zawołała hrabina stanowczo—jestem dumna twoją miłością a jeśli umrę z tobą, pysznić się będę moją śmiercią.

—Ale, moglibyście jeszcze ujsć ich... odezwała się Aniela... Poszli tą uliczką w koło... idźcie ku Rotundzie fontanny, tam, naprzeciw, uciec możecie drugą stroną ogrodu.

—Chodź Chenier, szybko zawołała hrabina podając mu rękę... A cóż? nie zgubnaż miłość moja?



### XXXIV.

## Przyjaciel.

W tém straszliwém położeniu, Chenier nie słyszał, nie uważał na inne wyrazy; dźwięczały, mu tylko słowa—nie zgubnaż miłość moja! wiedział tylko że był kochanym.

Poeta błogosławił niebezpieczeństwo które to wyznanie wyrwało z serca kobiety, i silny miłością jój, wyznana w chwili złowrogiój, nie lękał się krwawych groźb przyszłości.

Strona ogrodów Wersalskich, kończąca się *Wschodami olbrzymów*, była zupełnie pusta; uciekający przeszli Rotundę, niemą naówczas jak urna wyczerpana Najady, i skierowali się ku lewemu skrzydłu zamku.

Aniela odebrała rozkaz pozostania w tyle i uważania na każdy krok policyantów.

Chenier patrzył tylko na Margarełę, i dawał się jój szybko ciągnąć za sobą; gdyby był panem jój woli, byłby pozostał pod rozkoszonym cieniem ogrodu, w którym miłośna rozmowa tak mile się tuli; ale musiał być posłusznym gwałtownemu ruchowi kobiety, która przedewszystkiem chciała ocalić Andrzeja.

Z żywém serca ściśnieniem opuścił poeta ciemne sklepienia alei, i ujrzał wschody, jaśniejące blaskiem słonecznym.

—Teraz, odezwała się Margareta, nie zdradzajmy się chodem: idźmy powoli, nie zwracajmy oczu.



To mówiąc, zastoniła się zielonym woalem, nie dla ukrycia twarzy, ale dla schowania się z pięknością swoją, bo taras zamkowy nie tak był pusty jak ulice parku.

Przeszli bramę zamku i spuścili się ku miastu, w prawo, w część jego, która się zowie częścią kościoła S. Ludwika. Ztamtąd poszli na ulicę Thiers... minawszy drogę, dostali się do drzew stojących po nad znajomem podziemiem.

Tak więc uszli pogoni i byli bezpieczni. Przeszedłszy przez podziemie, hrabina nastawiła ucha, przykładając głowę do drzwi, które dzieliły je od domu, dla upewnienia się że tam nikogo nie było, a nie słysząc wewnątrz najmniejszego szelestu, podniosła klapę i znaleźli się w salonie.

—Nie łudźmy się, rzekła, to schronienie jest tylko chwilowe. Myślmy o lepszym i bezpieczniejszym.

Chenier wpatrywał się w nią ze wzruszeniem, którego niebezpieczeństwo nie powiększało, twarz jego wyrażała anielski spokój wybranych.— Miejsce to dobre, zdawał się mówić, utknijmy tu namioty nasze— Na co odmieniać, gdyśmy dobrze?

Hrabina odgadła stoicką myśl jego i żywo ściskając go za rękę, dodała:

—Łatwo pojmiesz, że ci tu zostać niepodobna. Ci ludzie mają węż swemu rzemiosłu właściwy; będą pytać oberżysty z pod Liry. W takich razach najmniejszy ślad bywa zgubny. Wyprzedźmy wszystkie zdrady i wszelkie nieostrożności; jeśli nam pozostała godzina spokoju, nie używajmy jej, jak dzieci, na zgubę naszą.

—Godzina! powtórzył Chenier głosem melodyjnym i przejętym uczuciem— godzina! to wiek... a potem... umrzeć.

—Chenier, przerwała żywo hrabina, ja cię nie chcę gubić; moim obowiązkiem ocalić ciebie, ocalić mimo twój

woli... mimo mojej! Wzruszenie pokryło wyrazy te, których znaczenia z razu nie zrozumiał poeta.

—Postępuj mnie, droga Margareto, rzekł Chenier... boję się, bo mogę nie ujrzeć cię więcej gdy się dziś rozstaniem. A jeśli cię nie zobaczę, na co mi się zdało to życie któreś mi ocaliła.

—Chenier, przysięgam ci w tej godzinie tak dla nas obojga uroczystej, przysięgam ci, że się zobaczymy, i przysięgam ci... że będę twoją... ale postępuj mnie, mówiąc to wiem dobrze co mówię... tu cię odkryją... w tej nieszczęsnej oberży znalazłam klucze tego domu; każdy nasz krok zagraża nam... tobie... a! na cóż tam znalazłam klucze tego domu! Zresztą nie to, co innego trafiłby się musiało... Wszystko teraz jest omyłką, nieostrożnością, nie wiemy jak żyć żeby życie ocalić! Głowa moja płonie, oszaleję. Chenier... ty wiesz, przeczucia moje, nigdy nie mylą... krew czuję koło nas... nie bądź głuchym. Kochaj mnie jak chcę być kochaną... kochaj niewolnikiem w nieszczęściu, będziesz panem gdy będę szczęśliwą!

Hrabina była w seraficznem uniesieniu, twarz jej jaśniała, oczy sybilijskim płonęły ogniem, ruch jej ręki byłby mocarzy ziemi rzucił pod nogi.

Chenier w upojeniu szczęścia, padł przed nią na kolana, i całując miejsce po którym się przesunęła, odezwał się:

—Mów, spełnię wolę twoją, wola twoja święta... Słucham cię.

—Natychemiast idź do Viroflay, zawołała Margareta; znasz domek Denisa, tam się przebierzesz, i nikt cię nie potrafi dośledzić. Złotaq będziesz mógł napisać do brata.

—O Margareto, rzekł Chenier, na brata nie mogę już rachować, niema on już znaczenia, od czasu upadku klubu

Kordeljerów, od śmierci Kamilla Desmoulins. Kto wie, czy w tej chwili i sam on nie jest jak ja z pod prawa wyjęty? Głosy szlachetniejsze prawdziwych patriotów zgasły wszystkie. Czytałaś może wczoraj w gazetach, dumną apostrofę Robespiera młodszego przeciwko Herbertowi.

«To ty, zawołał do niego, poburzyłeś lud, swobodom wiary zagroziwszy.» Hebert spójrzył na Robespiera młodszego, z miną obiecującą śmierć; a Robespierre starszy wpadł na trybunę, by w zręcznej mowie usiłować pogodzić brata ze straszonym Hebertem, i to jemu, dyktatorowi, ledwie się na wpół udało, a ty chcesz by Marja-Józef mnie ocalił, gdy się mojej domagają głowy. A wiem to dobrze, że brat mój rzucił się między mnie a katów moich, gdy mi ręce zwiążą; ale jego pomocy nie wezwę, naprzód że na nic mi się nie przyda, powtóre że ona by go także na śmierć niechybna i zemstę wskazała. Nie mnie to, Margareto, żądać od brata kroku próżnego dla mnie, a może śmiertelnego jemu.

— A! jeśli tak Andrzeju, nikogo nie wzywaj o pomoc, i pozostań w bezpiecznym schronieniu; złe doszło już do do najwyższego stopnia. Lepsze czasy świtają; z trochę ostrożności doczekamy się dnia może; idź natychmiast. Wierzaj mi. Tak, czytam myśl twoją w oczach, i odpowiem na nieme pytanie. Rachujesz na podziemie tego domu, nieprawdaż? Było to dawniej schronienie, rok temu, dziś niema nic tajemnego w murach, w stropach, pod podłogami. Policya nauczyła się swego rzemiosła. Śledzą wszystko, odkryć umieją rzecz każdą, nikt nie śmie szukać przytułku w tych schronieniach wymyślonych przez terroryzm, odkrytych przez doświadczenie prześladowców. Tak, mój poeto, nie szukaj zbawienia gdzie go niema; idź

do Viroflay, natychmiast. Zobaczymy się, przysięgam ci, zobaczymy...

—Margareto, rzekł Chenier, pójdę gdzie każesz, posłuszny będę najmniejszemu skinieniu twój ręki, jeśli mi przyrzeczesz że odwiedzisz przytułek wygnańca...

—Więcej niż przyrzekam, przysięgam ci to, Chenier. Jutro, zobaczymy się u Denisa.

—Idę, idę! zawołał poeta z exaltacją.

—Teraz przyda się nam jeszcze to podziemie, odezwała się hrabina; ukryje ono ucieczkę naszą, aż do krańców lasu. Chodź, nie traćmy chwili.

Hrabina przycisnęła sprężynę, otworzyły się drzwiczki do podziemia, i zeszli za ręce się trzymając, nie mówiąc słowa aż do drugiego otworu. Tu, poeta, jedną nogą stojąc na progu wschodów, drugą na trawie lasu, uścisnął Margaretę, i posłuszny przyjacielsko—rozkazującemu skinieniu jój, rzucił się pod gęste cieniste sklepienia wielkich drzew.

I pośpieszył drogą dobrze znaną, która mu przypominała słodsze dawne godziny, godziny bez jutra i przyszłości; teraz przynajmniej, u kresu prób i cierpienia, widział świątające szczęście.

Było to w porze najdłuższych dni roku, i choć wiele czasu stracono, Chenier przybył do drzwi domku daleko przed zachodem słońca, zadzwonił, nieznamy jakiś otworzył mu.

—A co tam chcesz? spytał tonem niewzbudzającym zaufania.

—Chciałbym się widzieć z Denisem, odpowiedział Chenier okiem do koła ogród obwodząc—Czym się nie omylił?

—Omyliłeś się, obywatelu—Denis sprzedał swój dom, dziewięć miesięcy temu, obywatelowi Barras.

—A gdzież teraz mieszka Denis? spytał Chenier.

—Tego to nie wiem; nie służyłem u niego za parobka.

I drzwi dosyć niegrzecznie zamknęły się przed nosem Cheniera.

Młody człowiek pozostał chwilę w postaci rażonego piorunem, o którym wspomina Owidyusz; a że musiał coś postanowić przed zachodem słońca, pierwsza myśl jaka mu przyszła zdała się najlepszą. Chenier zwrócił się nazad ku Wersalowi, obiecując sobie być jak najostróżniejszym, przez posłuszeństwo dla pani de Pressy.

Dość było widno jeszcze gdy poeta przybył do drzew kryjących podziemie; ale ani myślał wchodzić tędy, żeby się nie narazić pani de Prëssy. Czekał nocy, a gdy ciemności zdawały się zabezpieczać go od napaści, poszedł ulicą Thiers. Spójrzał w okna domu, ale w nim nie ujrzał żadnego światła, nie dziwując się temu i sądząc że hrabina z Anielą były w mieszkaniu od strony ogrodu.

Szedł tak dalej ku miastu, gdy w rogu ulicy postrzegł kilka kupek ciekawych i rozmawiających po cichu, jak zwykle w miejscu które świeżo było teatrem jakiegoś wypadku—ciekawi coraz przybywają, choć przedmiot ich ciekawości zniknął. Najczęściej nawet ciekawi są nasieniem rozruchów.

Chenier poszedł ku nim niedbale, obojętnie niby, zmieniając o ile możności zwykły chód i postawę, i łącząc się z pierwszą od brzegu kupką.—Rozmawiano powoli w te słowa:

—Nic nie znaleziono, obywatelu, nic a nic—wiem do brze, bom poszedł za temi co dom trzęśli.

—No! a ja ci powiadam że znaleziono dwie kobiety, z dawniej szlachty...

—Ale, to nie tego szukano...

—No! a czegoż szukano?

—Arystokraty jakiegoś.

—Nieprawda, nie szukano arystokraty... szukano dziennikarza tego co to pisał sławny suplement do N. 13.

—Andrzeja Chenier!

—Otoż to właśnie.

—Andrzej Chenier nie jest arystokratą.

—Nie, to autor i przyjaciel Roucher'a.

—Ale autor arystokrata:— Pisał *przyjaciela praw* i tragedye.

—Nic nie zrobiono tym, dwóm kobietom?

—To nie są szlachecianki, cóż im miano zrobić, są to obywatelki jak wszyscy, i nikomu nieszkodliwe.

—A dla czegoż ten dom w którym mieszkają trzęsiono? zgwałcono przezto prawo.

—Tobie w głowie zawsze, gwałt prawa! Wiedzano, że dziennikarz Chenier mieszkał w tym domu; oberżysta z pod Liry zaświadczał o tém, więc musiano go poszukać. Wiesz że pleciesz nie wiedzieć co o pogwałceniu prawa.

Rozmowa ta pod gołém niebem przedłużała się, ale Chenier dowiedział się z niej co żądał. Jedne imie wymówione zostało, które mu przypominało obowiązki, obowiązki mogące w sercu szlachetném nawet miłość przytłumić.

—A! biedny Roucher! zawołał zdobywając się na silne postanowienie—jam o nim zapomniał! Biegnę do niego; podobne nieszczęście i jemu grozi pewnie: był współnikiem mojego występku... o mój Boże! daj mi czas bym go potrafił ocalić.



## XXXV.

## Niewinny zdrajca.

Przybywszy na miejsce, nie znalazł Chenier przyjaciela. Roucher zniknął. Wątpić nie było podobna—Chenier domyślił się łatwo, że poeta *Miesiący*, redaktor *Dziennika Paryzkiego*, jego współnik i towarzysz porwany już został i osadzony w więzieniu, z którego nie wychodzono chyba na śmierć.

To też nie dla upewnienia się, ale dla opłakiwania straszliwej rzeczywistości pobiegł do Passy, do P. de Pastoret, i nigdy natchnienie lepiej nie usłużyło przeznaczeniu! Dom P. de Pastoret właśnie w tej chwili był trzęsiony, a śledztwu temu przewodniczył Guénot. Ten przebiegły sługa policyi miał polecenie przy zdarzonej okoliczności chwycać wszystkich podejrzanych.

Tak postanowili Fouquier-Tinville i Collot-d'Herbois, nieprzyjaciele wszystkich i samych siebie, dyktatorowie siedzący na tronie katowskim i panujący naówczas same-mu nawet Robespierre'owi. Collot-d'Herbois był dostarczycielem ofiar gilotynie, i nikomu nie dozwalał pomagać sobie w tém dziele; pojąć to łatwo: człek ten miał dawne zemsty które chciał nasycić i liczne przeciwko sobie napaści które poskramiał; nie mogąc wskazać swych nieprzyjaciół postanowił wytepić wszystkich, a z niemi i tych co przeciw niemu byli. Collot-d'Herbois długo był wyswistywany na teatrze naprzód jako autor, potem, powiadają, jako aktor, mścił się więc za to, że ani pisarzem, ani aktorem dobrym być nie mógł.

Długi szereg upokorzeń publicznych przytomny był jego pamięci, a węże furji dramatycznych rozdzierały uszy

tego Oresta terroryzmu; dla niego wszysey musieli być podejrzani, podejrzani że go mogli wyświstać na jakim parterze przed 80 rokiem. Historia nigdy dość nie śledzi powodów tajemnych, które nienasyconą zemstę wywołały w ludziach przychodzących później do znaczenia politycznego. Tu, mimochodem tylko, wyjaśniamy charakter Collot-d'Herbois, tyrana Robespiera i Konwencyi.

Obywatel Guenot, wystaniec Collot'a, ujrzał nagle wchodzącego do pana Pastoret młodego człowieka z twarzą cechującą roznerwowanie, postawą śmiałą, okiem ognistém, i poznał w nim zaraz niezaprzeczonego wroga dawnego aktora Collot'a.

— Jak się nazywasz? spytał.

— A co ci z tego? rzekł Chenier zamiast odpowiedzi.

— Odpowiadaj, albo cię aresztuję.

— Ha! zawołał Chenier, przez szacunek dla siebie powiem ci jak się zowie, nie ze strachu, nie mam zwyczaju ukrywać się z tém imieniem, — imie to uczciwe — Jestem Andrzej Chenier.

— Dziennikarz?

— Tak.

— Pisarz?

— Tak.

— Nieprzyjaciel swobody!

— Nie, kłamiesz.

— A nie tyżeś napisał dodatek do N. 13.

— Tak, temu nie przeczę.

— Nie pisałeś na Collot'a i Fouquier-Tinville?

— Nie dosyć.

— Aresztuję cię w imie trybunału rewolucyjnego: jesteś podejrzany.

— Nie lękam się, jestem niewinny.



—Trybunał rewolucyjny i obywatel Collot, nie uznają nikogo niewinnym z tych co są podejrzani.

Guenot napisał rozkaz, oddał go swemu pomocnikowi; dwóch ludzi zbrojnych, ale szczęściem dla wojska nie żołnierzy, porwali gwałtownie poetę, wsadzono go na wózek... zawieziono do więzienia w Luxembourg.

Stróż szemrząc odczytał rozkaz, jako gospodarz domu, w którym do zbytku jest lokatorów, i oddał papier agentom, mówiąc że nie jest formalny.

Wysłani poczęli nalegać, powtarzając pokilkakroć nazwisko obywatela Guénot; ale klucznik także dumny po swojemu, i pewien swój obywatelskiej godności, zamknął drzwi więzienia, zarygłował je, ani zdając się dbać o rozkazy obywatela Guénot.

W czasie całej téj sceny Chenier był zupełnie obojętnym.

Z Luxembourg, wózek potoczył się ku więzieniu S. Łazarza. Tu, nie było najmniejszej przeszkody, stróż czytać nie umiał; ale na głos imienia Collot'a i Guénot, z których łaski żył dobrze, ukłonił się z uszanowaniem i otworzył poecie okropne wnijście więzienia.

Chenier znalazł naówczas w swéj duszy te niespodziane zasłki na których nie zbywa ludziom wybranym w chwilach spełnionego nieszczęścia. Na progu więzienia rzucił wszelką nadzieję, ale mężstwo poszło z nim za smutne kraty, a ono jedno, może straconą nadzieję zastąpić.

W epoce téj trudno było dowiedzieć się o zaaresztowaniu czyjemkolwiek drogą dzienników. Monitor milczał w ogólności o wszystkich uwięzionych, i żadna go w tém gazeta nie zastępowała. W piérwszej więc chwili niepodobna było upewnić się o losie znikłego przyjaciela lub krewnego. Hrabina Margareta, którą u drzwi domku w Viroflay spotkał zawód podobny wczorajszemu, straciła

nagle ślad Chenier'a, zwłaszcza gdy w Passy znalazła pustkę tylko. Może, gdyby się tam była rozpytywała, mógłby ją kto o jego losie objaśnić; ale ostrożność i przezorność nie dozwalały ust otworzyć. Kto wie z resztą, czy by jej odpowiedziano, bo wolano milczeć na wszelki wypadek. Milczenie nie naraża, a słowo jedno w podobnych czasach niebezpieczeństwem grozić może.

P. de Pressy użyła wszelkich środków na jakie się zdobyć mogła dla odkrycie wiadomości o losie Cheniera; ale sama zmuszona do największej ostrożności, w poszukiwaniach swoich bardzo była ograniczoną obawą nie o siebie, lecz o niego. Próżne były jej usiłowania: trzeba było oczekiwać na przypadkowe odkrycie przyszłości, której głos odzywa się późno, ale niechybnie, i czekać w męczarniach gorączkowych, które rozpacz i rozygnacya przeplatają.

Dość długi przeciąg czasu upłynął. P. de Pressy zmieniwszy nazwisko, zamieszkała z Anielą w małym domku w Chaillot. Tu, czytała co tylko Paryż dostarczał gorącej ciekawości ludzi, gazet i pamfletów. W tej chwili, trzy gilotyny czynne były na placu Rewolucyj, w ogródku Paryża i u rogatek Tronu (nazwanych naówczas rogatkami wywróconemi) ale zaledwie rzadkie imiona ofiar, dochodziły do uszu ludzi, nazajutrz po każdej egzekucyi. Słaba nadzieja świeciła w sercu P. de Pressy.

— Człowiek sławny, jak Andrzej Chenier, mówiła sobie, często nie może tak zniknąć głucho na rusztowaniu, trup jego nawet wzbudzić musi odgłos litości lub nienawiści.

Trzeba głęboko wniknąć, nie ze stanowiska historycznego, ale jako postrzegaczowi serca ludzkiego, w krwawe ciemności tej epoki, by w niej odkryć słabe światełko, przy którego blasku jaśnieje charakter ludzi i wypadków. Tak zrazu słupiejęm z podziwienia, czytając wszędzie że Che-

nier w początku zupełnie został w więzieniu swém zapomniany. Nikt o nim nie pomyślał, nawet najzjadlejsi nieprzyjaciele jego. Collot i Fouquier, kazawszy uwięzić sławnego poetę, nie dbali więcej o niego; unosili ich nienawiści nowe, a w tych głowach przewróconych, każdy dzień wiekiem się zdawał, i wczoraj, było już przeszłością starą, o której prokonsul ledwie mógł sobie przypomnieć. Niestety! za słabe są mozgi ludzkie, by znieść potrafiły burze, które są ich dziełem! wielu historyków i mężów stanu zapominają o tém. Najstraszniejsze ze wszystkich szaleństw, szaleństwo krwi chmurą osuwa czoła; naówczas rządzi Bicetre a występni jak Collot i Fouquier, dla zimnego postrzegacza, są rozbestwionemi warjatami.

Przypadek oczekiwany nadszedł wreszcie. Raz P. de Pressy czytała monitora, i zadrżała pod jedną kartą ujrzawszy nazwisko *Chenier*.— Pod niém był adres. Ulica Clerly. N. 97.

Nie pytając o radę ostrożności, wzięła P. Pressy najskromniejsze ubranie i najpospolitszy kapelusz, odziała podobnie Anielę, i wyszła z Chaillot do tego miasta, które pod karą śmierci zakazaném jęj było.

Dwie kobiety szły ulicą Cours-la Reine prawie przez całą jęj długość, i zwróciły się potém w lewo, na pola Elizejskie, które przejść musiały unikając kałuży krwi broczącej plac Rewolucyi.

Było to około połowy lipca 1794. Paryż w niektórych miejscach był smutny i ponury, w innych niespokojny i burzliwy. Sklepy zdawały się pootwierane dla formy, dla przewietrzenia towarów, nie dla zwabienia kupujących. Na targach niedostatek był jawny.

Zgadnąć było łatwo, że cała ta ogromna stolica karmiła się tylko wzruszeniami, chlebem powszednim owego czasu.

Pani de Pressy za ledwie okiem rzuciła na miasto, bawiące się pogrzebem; nic jój od celu oderwać nie mogło. Przebiegła szybko, z gorączką w sercu, zbyt liczne ulice które ją oddzielały od domu będącego celem jój podróży, i szczęściem wpuszczoną została natychmiast do mieszkania P. Chenier.

Tu, zastała starca przeszło siedemdziesiątletniego, był to ojciec wielkiego poety.

Po półgodzinnej rozmowie, wszystko z obu stron powiedziano sobie, wszystko się odkryło, ze wszystkiego zwierzyć się musiano. Starzec ścisnął dłoń kobiety i płakał jak dziecię; od czasu jak smutna ludzkość płacze, nigdy może łzy nie łąły się gorętsze i konieczniejsze, nigdy człowiek z takiej boleści nie płakał.

Ojciec ten sam wydał swe dziecię.

Zapomniano zupełnie o Andrzejku Chenier zamkniętym w głębi więzienia, a ojciec uczciwy i dumny republikanin, poddał się ostrzej próbie: napisał do Collot'a i Fouquier dwa listy pełne uczucia błagające za synem.

Ci dwaj prokonsulowie, silniejsi od dyktatora, jak tego dowiedli 9 Thermidora, odebrali list ojca Chenier'a, i uderzyli się w czoło pozbawione pamięci, wołając: — I jakto! Chenier żyje jeszcze! Niech go natychmiast wiodą przed trybunał rewolucyjny! Taką odpowiedź otrzymał ojciec; oćnie rozpacz jego.

— Wiesz pan imiona sędziów? spytała płacząc kobieta.

— Wiem odparł Chenier, ale ci trzej są mianowani przez Collot'a, możnasz ich zmiękczyć? oprócz nich jest dziewięciu przysięgłych?

— Nie lękam się ich, zwykle są ludźmi, mają duszę i serce... Oni są z ludu; ale sędziowie, sędziowie których słanowi i tworzy Collot! Tych trzeba prosić, tych zmiękczyć i ugłaskać, a z pomocą Bożą kto wie? można cudu dokazać;

można na chwilę wlać duszę i serce w tych seidów Collo'a nawet.

Chenier wymienił trzech sędziów, a ostatnim mianowanym był Klaudyusz Mouriez.

—Klaudyusz Mouriez! zawołała P. de Pressy łamiąc ręce poruszona. Klaudyusz Mouriez! znam go, idę do niego, nie tracę chwili, jest to człowiek energiczny, który może opanować sąd słowem, wejrzeniem, skinieniem. P. Chenier nie dawaj mi czasu na rozmysły, bo mnie mogą powstrzymać poziome względy, nie chcę spoglądać w przepaść nim ją przeskoczę... Gdzie mieszka Klaudyusz Mouriez? Lecę na ulicę de l'Echelle; niech Bóg czuwa nademną!

W ulicy kobieta znowu szła zwolna żeby nie zwracać oczów na siebie. Gdy przechodziła galerją pałacu Egalité, usłyszała wyraźnie w tłumie powtórzone imie Andrzeja Chenier, zaczęła iść powolniej jeszcze, bo chciała się dowiedzieć co też lud sądził o nieszczęśliwym poecie.

To co usłyszała natchnęło ją niejaką radością i wzruszyło niemal radośnie. Rynkowi krzykacze nie okazali żadnej nienawiści ku niemu; wielu z nich nawet bronili go, nadewszystko udający literatów. Cytowano wiersze z Tyberjusza, które fałszywie przypisywano autorowi dodatku do N. 13, ale nikt nie zaprzeczył fałszywej cytacyi. Współczucie powszechne zdawało się towarzyszyć nieszczęśliwemu więźniowi przed trybunał rewolucyjny. Dodać potrzeba, że umysły poczęły się nużyć nienawiścią ciągłą; trybunał tracił łaskę u ludu, a gilotyna, aktor niedawno tak wzięty, codzień mniej miała admiratorów i stronników. Gdy zbyt wiele krwi płynie, nienawiść prędko gaśnie w kraju szlachetnych.

Pani de Pressy doszła do połowy uliczki de l'Echelle tak osłabiona, że musiała się wzmocnić przypomnieniem

świętości swego poświęcenia, nim potrafiła wejść na wschody dawnego wersalskiego prokonsula. Kobieta, znajoma nam już, gospodyni Klaudyusza, wprowadziła panią de Pressy do salonu pana, i poznając ją przez zasłonę, zawołała.

—Ty pani, tutaj!

—Znasz mnie waćpani! zawołała Margareta.

—Czy panią znam? jakże nie! odezwała się uśmiechając gospodyni. Mieszkałaś pani obok nas przy ulicy du Reservoir, w Wersalu. Widywałam panią codzień na balkonie, gdyś podlewała kwiaty.

—Jeśli tak, to wiész pani, zawołała Margareta z wielkim wdziękiem,— że jestem ex-szlachcianką, i że sama bytność moja w Paryżu jest zbrodnią na którą postanowiono karę śmierci.

—Nigdy się w interesa i sprawy cudze nie mierzam, odparła gospodyni,— dość i tak w domu mamy osób, co się tём zajmują; ja myślę o tём co do mnie należy; muszę karmić dwóch ludzi, a w terażniejszych czasach, jest o czём myśleć!

—Chciałabym się widzieć z obywatelem Klaudyuszem Mouriez, odezwała się drząc P. de Pressy. Myślisz pani że rychło powróci? bo widzę że go nie musiałam zastać.

—Tak! wyszedł... wiesz zapewno dokąd... Obywatel Mouriez jest sędzią trybunału rewolucyjnego... nudził się... bo to bardzo czynny człowiek... pisał ze dwadzieścia listów do Robespierri'a, to zuchwałych, to przyjacielskich; u drzwi Konwencyi czekał na niego i robił mu sceny! sceny!

Wreście, co pani powiesz, piękna nasza sąsiadko? dla pozbycia się go, Robespierre dał mu miejsce sędziego... ale to dla niego nic nie warte. Proszę pani usiąść. Jeśli pani życzy sobie na niego poczekać, proszę wziąć książ-

kę, gazety, co chcąc, a ja muszę iść do roboty — przepraszam.

—A synowiec P. Andrzej Mouriez, czy mieszka także przy stryju?

—Tak, pani — i to szczęście nasze. Gdyby P. Mouriez nie miał przy sobie gospodyni i synowca, robił by same głupstwa. Teraz pan Adrjan poszedł z tłumem na trybunał, jak powiada, sędzić stryja swego. Ale wkrótce oba powrócą.

—Będę na nich oczekiwała, rzekła P. de Pressy. I udała że bierze książkę, żeby oswobodzić gospodynię.



## XXXVI.

### Odwiedziny bohaterskie.

Pani de Pressy czekała więcej godziny, w obawie i męczarniach śmiertelnych, na przybycie Klaudyusza Mouriez; pasowała się z sobą, dla zdobycia spokoju i przytomności umysłu tak potrzebnych w tych trudnych spotkaniach, których rozwiązania nikt przewidzieć nie może.

Wreście drzwi się otworzyły, i Klaudyusz Mouriez wszedł nagle, krokiem pana wracającego do domu, który nie potrzebuje oznajmywać o sobie: zdziwiony wstrzymał się widząc kobietę zakwieioną, i ukłonił się, podnosząc nieco kapelusz, z niezgrabnością studenta.

Hrabina Margareta zamknęła książkę, położyła ją na stole i powstała.

Oko Klaudyusza przeszło zasłonę, złamał ręce i z piersi jego wyrwał się okrzyk stłumiony.

—To ty, pani!

Zdjął kapelusz i wybąknął kilka słów niezrozumiałych, a ruchem ręki wskazał jój, żeby usiadła.

W tój chwili, pani de Pressy przymknęła oczy chcąc zebrać myśli, i jak we śnie ujrzała przed sobą krwawe ruszłowanie wznoszące się na ścięcie genjuszu poety. To okropne widzenie wróciło jój odwagę, na ustach znalazł się wyraz energiczny, w głowie spokój i jasnowidzenie, które się jój zdały zesłanym z niebios posiłkiem.

Głosem przenikającym, który matka dobywa z piersi usiłując swe dziecię wyrwać z paszczy dzikiego zwierza, zawołała:

— Obywatelu Mouriez, cała przeszłość znikła mi z oczów; urodziłam się dziś rano, nie znam cię, i dziś widzę cię po raz pierwszy. Mówiono mi, że dusza twoja chętnie się otwiera uczuciom szlachetnym, przychodzę do ciebie w posłannictwie od ojca, od starca. Dziś wieczór, jutro może, młodzieniec pełen genjuszu i przyszłości stanie przed waszym trybunałem; występkiem jego jest niewinność; zwyciężony nim sądzony, jeśli sprawiedliwość wasza jest sprawiedliwą, ocalicie go.

Głos ten melodyjny, twarz cudna, oczy podobne zroszonym rosą dyamentom, ten wdzięk uroczy, co ją otaczał aureolą świetną, roznieciły dawny namiętny ogień w piersi Klaudyusza; zapomniał szlachetnych postanowień swoich; stał się znów Iprokonsulem wersalskim, i z tój duszy ognistej, w którój walczyło nieustannie złe z dobrem, dzikie instynkta buchnęły z szatem pożerającym, gwałtownym.

Krew nabiegła mu do twarzy, sparaliżowała język na chwilę; bełkocząc niezrozumiale począł odpowiadać.

— Któż jest ten młody człowiek, którym się pani tak bardzo zajmujesz?



—Jest to syn republikanina, brat republikanina, jest to Andrzej Chenier.

Szkarłatna twarz Klaudyusza nagle pokryła się białością.

—Andrzej Chenier— rzekł odzyskując mowę powoli— oddawna źle notowany... przeszłość jego nie czysta. Pióro jego, szarpało jak pazur dzikiego zwierza, wszystkich patriotów, ma nieprzyjaciół potężnych, a w konieczności srogięgo karania w jakiej zostajemy, nie podobna żeby otrzymał ulaskawienie u trybunału.

—Jakto? Andrzej Chenier, nie miałby i jednego obrońcy wśród sędziów swoich!— zawołała pani de Pressy; ty panie coś surowy ale prawy, ty coś sędzią, ale sprawiedliwym, miałbyś głosem swym potępić go z innymi!

—Pani, rzekł Mouriez z groźnym uśmiechem, nie wiesz pani, że krok jęj w tej chwili jest niebezpieczny... nie-ostrożny... krok ten karzą prawa rewolucyjne najsrożej. Chcesz pani ująć sędziego, urzędnika.

—Ha! odpowiedziała hrabina blademi usty— więc donieś— donieś o tém i wydaj biedną kobietę, która przychodzi cię natchnąć uczuciem pełném szlachetności i ludzkości.

—Ha! a gdybym poszedł za jęj radą, odparł Mouriez łagodniejąc— jaka będzie moja nagroda?

—Nagrodą dobrego uczynku, jest własne serce; sumienie nasze poklaskuje, gdy pełniąc cnotę zbliżamy się do Boga. Zyskujem na tém spokój żywota,— tracim męczarnie zgryzoty. Chcesz-że pan innęj nagrody!

—Kiedy tak— rzekł Klaudyusz sucho— toś mnie pani nie zrozumiała.

P. de Pressy zamilkła.

—Albo pani udajesz, że mnie zrozumieć nie chcesz?—  
dodał Mouriez.

Hrabina wstała i posunęła się ku drzwiom, Klaudyusz zastąpił jej drogę, i układając ręce na piersi szerokiej, wstrząsając głową zawołał:

—Pani przypomnisz to sobie, i ja także kiedyś o tąskę prosiłem; był dzień gdyś pani życie moje miała w ręku, a z jaką wzdardą poglądałaś wówczas na mój szat, na rozpacz moję! Byłem u nóg twych, zdeptałaś mnie jak robaka; byłem silny, upokorzyłaś mnie, byłem szlachetny i potężny, zabiłaś mnie dwa razy, wzdardą wejrzenia i orężem twego męża! Jakież dziś masz prawo do mojej litości? Co cię tu sprowadzić może, gdzie na żadną nie zasłużyłaś wdzięczność, gdzie musisz znaleźć tylko ręce silne i niezblaganą miłości zemstę!

—Omyliłam się na panu, dumnie podnosząc głowę zawołała hrabina— omyłka moja zaszczyt ci przynosi— puszczaj mnie pan.

—Nie! nie wypuszczę cię zwyciężką— wyjdiesz ztąd upokorzona. Zwołam świadków, nie potrafisz odbić ich świadectwa. Hrabina de Pressy wypędzona z Paryża, przeciwko prawu wróciła dla podejścia, dla przekupienia urzędnika i wymagania od niego przebaczenia dla arystokraty, dla swego kochanka! Wszak jasno? Przymność pani tutaj sama, jest dowodem występku? na co mi świadków nawet by dowieść rzecz tak oczęwistą? U drzwi moich czeka cię prom lub rusztowanie, jeśli twa duma nie upokorzy się przed moją namiętnością!

Klaudyusz porwał hrabinę za rękę, a ta krzyknęła głosem jaki się tylko może wyrwać z piersi kobiety, której bronią, jej słabość.

Na ten krzyk trwogi, drzwi się zatrzęsły i młody człowiek wszedł niemi. Był to Adrjan.

Margareta, wyzwolona z rąk Klaudyusza padła na kolana, dwóma wejrzeniami zbłąkanemi witaając młodzieńca i dziękując niebu.

Adrjan nie rzekł słowa, nie ruszył się, ale żaden pęzel mistrza nie może nadać płótnu tego wyrazu oburzenia, jaki z oczów jego wytrysnął.

Potępienicy w dolinie Jozafat, którzy zawołają do gór, aby spadły na nich, mieć będą postać i twarz, z jakimi w obliczu synowca stanął Klaudyusz Mouriez.

Długiego milczenia, jakie nastąpiło po tej scenie, nie mógł nikt przerwać prócz Adrjana.

—Wstań pani— rzekł i wynijdź— jeśli w głębi serca zachowałeś choć trochę szacunku dla imienia Mouriez, chciej w tajemnicy pograć szkarady, które cię tu spotkały.

Mouriez upadł na krzesło i głowę zakrył rękami, jak obłąkany, który myśli zbiera, by za szaf swój żałował.

—Powodem moich odwiedzin— odezwała się pani de Pressy do Adrjana— była prośba, której odstąpić nie mogę.

—Mów pani— zawołał Adrjan głosem gospodarza, który czuje się w domu.

Naówczas hrabina opowiedziała cel odwiedzin swoich, ale z największym umiarkowaniem nie wspominając o niczem przykrém i zawstydzającym Klaudyusza.

—Ha!— rzekł Adryan, expiacya gotowa— tak zaufałaś pani domowi temu i słusznie— imię Klaudyusza Mouriez pozostanie czystém. Andrzej Chenier będzie miał więc jedynym obrońcą między urzędnikami trybunału rewolucyjnego, stryj mój stanie się jego najszczerzym patronem. Chciej pani wierzyć temu— zdajesz się wątpić?

Rozumiem tę wątpliwość, ale niech sam ci powie, a powątpiewanie to zniknie.

Postąpił ku Klaudyuszowi, wziął go za rękę Adrjan, ścisnął ją poufale i odezwał się głosem pełnym wdzięku.

—Nieprawdaż stryju, mój drogi ojcze? Słyszałeś com mówił? Czyż nadto rachowałem na twe serce prawie zawsze pełne uczuć szlachetnych?

Mouriez podniósł głowę i okazał oczy też pełne, a twarz łagodnością dziwnie sprzeczną z rysami wzburzonymi, które hrabina widziała przed chwilą. Ścisnął dłoń Andrzeja i rzekł:

—Pani de Pressy dobrze zrobiła, że o mnie pomyślała w tym razie... ale źle uczyniła, że sama tu przyszła... Cemu się nie było udać do ciebie Adrjanie, nie pokazując się przedemną? Ja, zobaczywszy ją wpadłem w szal dawniejszy... namiętność jest zawsze panią méj woli. Czuję, że mi się rozum obłąkał, i chciałym krwią okupić przebaczenie. Na Boga, pani, nie zbliżaj się do mnie... nie patrz... póki daleki jestem od ciebie, dopótym bezpieczny... Pozwól służyć sobie z poświęceniem, ale nie słysząc twojego głosu, nie patrząc na twarz twoją... Ty, Adrjanie, przysięgam ci, będziesz rad ze mnie dzisiejszego wieczora.

—A! więc to dziś wieczór!— zawołała mimowolnie pani de Pressy.

—Tak pani— rzekł nie patrząc na nią Klaudyusz— dziś wieczór Chenier stawiony będzie przed trybunałem rewolucyjnym, to jest wyciągnięty na rusztowanie.

—Teraz pani— odezwał się Adrjan, ja odpowiadam za stryja, a jeśli, o czém nie wątpię, masz pani mężtwowłaściwe niewiastom tych czasów, możesz sama być przytomną sprawie, możesz pójść na nią ze mną, nasza przytomność doda siły dobrym chęciom Klaudyusza Mouriez.

—Będę więc!— odpowiedziała gasnącym głosem pani de Pressy.

—A ja będę miał honor zaprowadzić panią na te nie-szczęsne posiedzenie, mam zamówione miejsce... rzekł Adrjan.

—Jestem gotową!— zawołała idąc ku drzwiom hrabina.

—Tak pani— rzekł Klaudyusz twarz swą tuląc do szyby okna wychodzącego w ulicę— ręczę będziesz pani kontenta ze mnie.

Adrjan podał rękę P. de Pressy, mówiąc:

—Musimy się śpieszyć, bo zamówione miejsca bywają czasem wcześniej zajęte przez osoby protegowane.

Aniela czekająca w ulicy w okropnej bojaźni i niepewności, ujrzała hrabinę z żywą radością.

—Anielo — odezwała się do niej pani de Pressy— nie obawiaj się o mnie, jestem z przyjaciółmi, idź i czekaj na mnie w Chaillot, i nie niepokój się, gdybym musiała opóźnić.

Codzienni goście trybunału rewolucyjnego, nie opuścili sali posiedzeń od rana, miejsce zamówionych mało już było; ale Adrjan, dobrze znajomy straży, potrafił wyszukać ławki dla swjej towarzyszki w bliskości kratek sądu, a sam stanął obok niej, we wklęsłości okna. Na podwórzu słyhać było rozlegające się śpiewy, piosnki *Ça ira*, bo Marseileza z wojskiem z Paryża uszła, głosy śpiewania słabsze jednak były niż dawniej; upojenie krwią przechodziło w zdrętwiałość, a szubienice traciły widocznie najgorętszych stronników.

Pani de Pressy liczyła po jednej wiekuiście minuty dwóch nieprzebytych godzin, które czekać musiała na posiedzenie trybunału.

Nareszcie, ruch się dał słyszeć większy w przyległej sali, i obwinieni w liczbie dwódziesiu ósmiu, usiedli przed krzą. Byli to mężczyźni i kobiety różnych lat i stanów. Pisarz mięszał imiona nieznanne z świetnymi nazwiskami Montmorencyeh, Montalembertów, Roucher'a, barona de Trenck. Gdy wywołano Cheniera, pani de Pressy podniosła oczy i ujrzała poetę stojącego, spokojnego jak najheroiczniejszego Greka dawnych wieków, ze stoicyzmem, który się nie zachwiał na chwilę. Andrzej trzymał w ręku arkusz papieru i odczytywał raz ostatni, ostatnie wiersze, które głos stróża więzień przerwał mu w dziedzińcu Conciergerie: jakże ich tu nie wypisać — to był przedśmiertny, łabędzi śpiew poety:

Jako promyk ostatni, jak zefiru tchnienie,  
 Ożywia wieczory lata,  
 Tak śpiew mój płynie, snuje się marzenie,  
 Nim je przerwie ręka karta...  
 Może, nim ta godzina przejdzie i uderzy,  
 Nim obumarła żrenicą,  
 Więziń jęj kroki powolne wymierzy,  
 Zimną zegaru skręśłone tablicą;  
 Może sen grobu ściśnie mu powieki,  
 Nim te dwa wiersze końcami się złączą,  
 Nim wiersz za wierszem zdąży niedaleki  
 Mury się wstrząsą i wbiegając rączo —  
 Przyjdzie śmierci posłaniec, pasterz cieniów srogi,  
 Z niemą swych żołdaków zgrają,  
 Rzuci moje nazwisko o wylęktę progę...

Ostatniego wiersza nigdy nie dośpiewał poeta.

Chenier złożył starannie arkusze i zwrócił się ku widzom, jakby między niemi szukał godnego, któremuby je mógł powierzyć.

W tój chwili, słońce lipcowe spuszczało się nad ziemią, a snop promieni jasnych, które wkrótce zagasnąć miały, wpadł jak pożaru płomień do sali posiedzeń, oświecając najpiękniejsze oblicze, jakie kiedy boleść zachmurzyła.

Poeta ujrzał tę szlachetną i bladą twarz, którój oczy spotkały się i wejrzeniem zlały z jego wzrokiem; poznał panią de Pressy, i co tylko wdzięczność może wyrzucić najsilniejszego w twarzy, ruchu, spójrzeniu, oblało nieśczęśliwego Chenier.

Cudowna pantomina poety zdawała się malować dobitnie powtórzenie słów kantyku Simeona.

Sędziowie weszli, Klaudyusz Mouriez usiadł przy rogu stołu od strony synowca i P. de Pressy, ale wzrok jego nikogo w sali nie szukał; postawa jego była poważna bez wymuszenia, i dziwnie odbijała od gniewnych twarzy i fignr współ-sędziów. Adrjan znający stryja i odgadujący łastwo, co miał złego lub dobrego uczynić, bardzo był rad temu, czego się spodziewał po nim, i pocieszył po cichu wyrzeczonymi parą słowami panią de Pressy.

Hrabina siedziała milcząca, ostrożna, nie pokazując po sobie co się w niej działo; gdyby była samą w tój sali, patrzyłaby tylko na Andrzeja Chenier; ale zbyt wiele wejrzeń plątały się pod sklepieniem izby sądowój; trzeba było uniknąć najmniejszego podejrzenia; P. de Pressy spoglądała na sędziów, na obwinionych, na widzów z udaną obojętnością kobiety, którą nic nie obchodzi, którą tylko pospolita przywiódła ciekawość.

## XXXVII.

## Ó s m y t h e r m i d o r a .

Posiedzenie było burzliwe, pisarz odczytał obwinienie dwudziestu ośmiu osób.

Obrońców nie było, uważano ich za całkiem niepotrzebnych, chodziło tylko o uznanie tożsamości osób, wedle metody szybkiej Fouquier i Collot'a.

Oskarżający akt przeciwko Andrzejowi Chenier, wysłuchany został w milczeniu przez zwykle burzliwych widzów, zamkniętych w skwarnej i wzywami nieznośnymi napętnionej izbie.

Akt ten zasługuje na szczególną uwagę, zwłaszcza z powodu sporu jaki wyrodził, a którego nie było przykładu w historii sądownictwa krajowego.

«Antoni-Quentin Fouquier-Tinville, oskarżyciel (instygator) trybunału rewolucyjnego, przedstawia, że w skutek postanowienia Komitetu ocalenia publicznego Konwencji narodowej, Andrzej Chenier, mający lat trzydzieści i jeden, urodzony w Konstantynopolu, literat, ex-adjutant generała szefa brygady Dumouriez, mieszkający przy ulicy Clery N. 97, został powołany przed trybunał rewolucyjny, jako oskarżony o jawne okazanie się nieprzyjacielem ludu:

«Andrzej Chenier, jak wielu innych, starał się ująć z pod czujnego oka władzy, i potrafił wsunąć się między obrońców kraju, otrzymując stopień adjutanta generała szefa brygady armiji północnej. Zdaje się, że posiłkował w zdradach niecznych niegodziwego Dumouriez, z którym zostawał w najściślejszych stosunkach; po ucieczce zdrajcy Dumouriez, starał się zatrzeć wspomnienia udziału, jaki w niej miał.



«Pomimo to podejrzenie jakie wzbudziło jego postępowanie, skłoniły ministra do zawieszenia go ze stopnia, który zajmował, i rozkazania mu by się usunął i zamieszkał w gminie Breteuil; tu intrygował; usiłował zwaśnić współobywateli i rzucić nasiona wojny domowej; spotwarzył władze ustanowione w obelżywym paszkwilu, który podpisali z jego natchnienia obywatele uwiedzeni i obłąkani.

«W skutek przedstawienia powyższego, instygator publicznej następujące składa obwinienia....»

Andrzej Chenier powstał i prosił o głos.

—Mów, a krótko!— rzekł sędzia.

—Ograniczę się ile możliwości— odparł Chenier. Akt oskarżający pełen jest widocznych fałszów materjalnie dowiesić się mogących. Nie byłem nigdy adjutantem, nigdym nie służył w armji północnej; cały mój zawód wojskowy trwał pół roku, i ukończył się przed rokiem 89. Jako podporucznik, spędziłem te sześć miesięcy na załodze w Strasburgu; nigdym nie znał, nigdy nie widziałem generała Dumouriez. Nigdy nie mieszkałem w gminie Breteuil, anim tam jakikolwiek memorjał pisał; zresztą prócz nazwiska nic nie mam wspólnego z osobą, w której wspomina akt oskarżenia.

—Wszystko to prawda!— rzekł Klaudyusz Mouriez, którego głos przeczuwać kazał blizkie wybuchnienie.

Wulkan wrzał już lawą.

Antoni-Quentin Fouquier, spojrzawszy jastrzębim okiem na Klaudyusza, i powstając z powagą urzędnika zawołał.

—Zadziwia mnie to, że między członkami trybunału, znajduję jednego, który śmie zaprzeczać...

—Ba!— rzekł Klaudyusz uderzając w stół żelazną pięścią— dziwisz się łatwo jak widzę? ale to nie ja jeden, wszyscy przeczą temu oskarżeniu. To bajka, z końca

w koniec bajka. Znam obywatela Andrzeja Chenier— jest to pisarz, nigdy w wojsku nie służył i nigdy oficerem wyższym nie był. Spytajcie pierwszego z brzegu. Gdzie u licha pobrano te wiadomości?

Szmer przyzwalający, dał się słyszeć pomiędzy widzami napełniającemi salę; nawet szwajcar się uśmiechnął potwierdzająco.

Antoni-Quentin Fouquier wziął akt obwinienia oburącz, odczytał go, czy udał, że go odczytuje, szukając innego środka, jakim by mógł oskarżonego potępić.

—O!— rzekł Klaudyusz— daremnie ślepisz nad tym aktem, gdybyś go i do jutra czytał, nie uczyni go to prawdziwszym.

Jeden z przysięgłych zabrał głos i rzekł:

—Widzę kilku obywateli, którzy proszą o pozwolenie odezwania się, chcąc popierać zdanie obywatela Klaudyusza Mouriez.

Fouquier rzucił piorunującym wzrokiem na widzów i rzekł:

—Trybunał rewolucyjny nie ma obowiązku słuchania ani świadków ani obrońców; oświeca się własnem sumieniem, i jest nieomylnym. Na najmniejszą wrzawę, każe salę wypróżnić; niech nikt sądów nie przerywa, gdy się naradzają.

—Ale to ty nam przerywasz— rzekł Klaudyusz wyciągając rękę cyklopa ku instygatorowi. Kiedy wszyscy uznają, że akt oskarżający opiera się na zupełnie fałszywych faktach, no! to uznaj błąd swój czy roztargnienie, i rozkaż uwolnić obywatela Chenier.

Fouquier błady, stał na podwyższeniu, odczytywał ciągle akt i uderzając weń ręką zawołał:

—Ale to się opiera na urzędowych podaniach! nie wymyśliłem przecie tego!

—Właśnie żeś to wymyślił— odparł Klaudyusz— chociaż zapewne bez złej intencji, a zatem, idźmy dalej i rozkażmy wypuścić na wolność biednego muz wychowanka! nie jest to człowiek niebezpieczny! to dzieciak!

Widzowie zdawali się łagodnym szmerem potwierdzać słowa sędziego, a głos ten ostro brzmiał w uszach instygatora.

Jeden z sędziów powstał i po cichu słów kilka szepnął do ucha Fouquier-Tinville.

Był to zauszniak Collot'a.

Fouquier wysłuchał uważnie, co mu ten człowiek mówił i zdawał się bardzo rad wiadomości. Sędzia powrócił na miejsce.

—Obywatele— rzekł Fouquier wyciągając obie ręce ku zgromadzonym— dziecinny spór, który się tu rozpoczął, kosztuje nam już dosyć drogiego czasu.

—Ba! dziecinny!— zawołał Klaudyusz uderzając o stół— a! dziecinny, mówisz!

Kilku przysięgłych i sędziów powstałi gwałtownie zmuszając milczeć towarzysza swego, a Fouquier widząc się popartym przez znaczną część trybunału, dodał:

—Nie nie powinno przerywać biegu sprawiedliwości. Natychmiast zaskarżym wszelkich odzywających się sprzecznie, ktobykolwiek oni byli...

Tu szmer niepotwierdzający wcale dał się słyszeć, ale Fouquier udał, że znaczenia jego nie wyrozumiał, i mówił dalej:

—Mijamy więc ów spór, i odrzucamy całą kwestję!

—Dziecinna! szydersko na stronie rzekł Klaudyusz.

Adrjan spójrzył na stryja, i zdawał się ostrzegać go, aby się nie narażał zbytecznie stając w obronie obwinionego.

Mouriez odgadł znaczenie wzroku; wyciągnął ręce na stół, spartł na nich głowę i przymrużył oczy, jak lew, gdy mu ruch jego pana nakaże uspokojenie.

—Akt oskarżenia, ciągnął dalej Fouquier— byłby niekompletny, gdyby nie zawierał jeszcze co następuje: Andrzej Chenier jest autorem dodatku do N. 13 Dziennika Paryzkiego, a to najważniejszy zarzut przeciwko niemu; on w sobie zawiera cały żywot kontr-rewolucjonisty. Czy i temu zaprzeczycie, że Chenier jest autorem dodatku?

Klaudyusz spójrzył z ukosa na synowca i ruszył ramionami.

—Obywatele przysięgli, mówił dalej Fouquier, oceniam zresztą ważność moich zarzutów i innych zaprzeczeń; ale z tego wszystkiego wynika fakt jasny, oczwisty, niezbity, że Andrzej Chenier był redaktorem głównym Dziennika Paryzkiego.

—No! a wolność druku! zawołał Klaudyusz.

—Wolność druku— krzyknął oskarżyciel— nie upoważnia wcale pism kontr-rewolucyjnych!

—Ba! wasza wolność do niczego nie upoważnia!— rzekł Klaudyusz śmiejąc się konwulsyjnie.

—Przysięgli oceniam— dodał Fouquier z udaną godnością— widzicie, że instygator w ciągu całej sprawy, dał dowód wielkiego umiarkowania.

—Ha! ha! poszlizcie i nas wszystkich od razu na gilotynę!— zawołał Mouriez.

—Nikt mi tu nie może praw przepisywać— rzekł Fouquier, — a ja sam, schylam głowę przed wyrokiem obywateli przysięgłych. Sprawa na stole!

—Jak to na stole— przerwał Klaudyusz— nikt jej nie

zna dotąd. Czy sprawiedliwość może sobie igrać z życiem dwódziesiętu ósmiu ludzi?

— Obywatelu sędzio Mouriez— rzekł Fouquier— nie jesteś tu niczym obrońcą, a ja po raz ostatni ci powiadam, że trybunał nie potrzebuje adwokatów, i niema czasu ich słuchać.

Narady się rozpoczęły. Dwódziesiętu ósmiu obwinionych rozmawiali tymczasem spokojnie zebrawszy się kupkami, jak gdyby process toczący się wcale ich nie obchodził. W tych nieszczęśliwych czasach, Francya dawała światu przykład heroizmu starożytnych bohaterów; dzieci jej umiały umierać z uśmiechem na polach bitwy i na rusztowaniach. Tak pomimo excessów politycznych, cześć kraju ocalała.

Andrzej Chenier skorzystał z chwili zamieszania i wyciągnawszy rękę, doścignął pani de Pressy, której oddał ostatnie wiersze swoje. Margareta przyjęła je ze czcią, z jaką pierwsi chrześcijanie chwyтали relikwje męczenników. Noc ciemna okrywała salę, i dwie tylko lampy oświecały złowrogo, trybunał, obwinionych i widzów. Ogłoszono czytanie wyroku, cisza głęboka nastąpiła.

Prezydujący nie wymienił powodów; przeczytał imiona obwinionych i gdy skończył, na wszystkich wyjąwszy jednego, ogłosił wyrok śmierci.

Krzyk boleści dojmującej, straszliwej rozległ się pod sklepieniem izby krwawej; ale ciemność nie dozwoliła dojrzeć kobiety, z której ust się wyrwał, ten jęk rozpaczny.

Adrjan tylko wiedział o nim: ujął za rękę hrabinę i zlekka dłoń jej uściśnął.

Ale, prawie razem z tym odgłosem straszliwego cierpienia, piorunowy głos wychodzący z piersi olbrzymiej,

zagrział nad głowami sędziów. Wołał on do nich w te słowa:

—Popelniliście zbrodnię! jesteście trybunałem zbrojców! Tak to myślicie natchnąć lud miłością Rzeczypospolitej! Dwadzieścia siedem głów oddaliście w ręce kata! jedną los nie wy oszczędziliście! To szyderstwo okrutne! to ludzkość śmiechu warta! Uniewinniacie jednego żebyście mogli bezkarnie zarznąć dwódziesięciu!

Głos Fouquier'a, połączony z piskiem sędziego przyjaciela Collot'a, usiłował groźbą stłumić wrzący gniew Klaudyusza Mouriez. Ale ex-prokonsul wersalski nie dawał się tchórzom zastraszyć, którzy usiłowali szerczyć postrach, sami lękając się wszystkiego. Klaudyusz wyrzucił stół sądowy, i porywając drąg, krzyknął głosem piorunującym.

—Puszczajcie mnie! puszczajcie mnie z tej jaskini dzikich zwierząt! Adrjanie, Adrjanie, gdzie jesteś? Chodź do mnie! Chodź! niech się ci ludzie zostaną tu w kałuży krwi, którą rozleli! chodź, Adrjanie! do wojska! do wojska, na bohaterskie boje! do chwały, do walki!

Adrjan sparł obumierającą P. de Pressy na rękę swoim, i wszedł na podwyższenie, z którego Klaudyusz Mouriez piorunował przeciwko Fouquier i Collot'owi.

Ludzie zbrojni otaczali oszczędzonych, i nie pozwalali z nimi żadnej styczności przytomnym, Klaudyusz Mouriez wszedł, przebił się przez zgraję zbrojną z zuchwałstwem nieznanym żadnej zapory i uściskał Andrzeja Chenier, rzekł mu:

—Gdy genjusz jak ty idzie na ruszłowanie, znak to, że za nim pójdą wkrótce kaci. Bądź zdrów przyjacielu! Nie jestem sędzią odtąd, będę żołnierzem.

Hrabina Pressy pociągnięta została przez Adrjana aż

ku poecie, i zbliżyła się do niego drogą, którą im silne ramię Klaudyusza otworzyło. Chenier radośnie wykrzyknął i usta jego zetknęły się z ustami biednej kobiety. To ślub mój — to małżeństwo moje! zawołał w szale uniesienia — O! słodką będzie mi śmierć jutro.

Strażnicy i tłum płakali; wszyscy czuli, że ta straszliwa śmierć będzie ostatnią; niektórzy nawet wyglądali już lepszego jutra. Ale się o dzień jeden mylili.

Klaudyusz podał rękę Margarecie i dumnie wyszedł z izby nie znajdując najmniejszej przeszkody, choć Fouquier, wysłał za nim kilku swych najsprawniejszych gońców.

Gdy wyszli na ulicę, Klaudyusz odezwał się do Margarety i synowca: Cóż mi mówi, że ta ofiara spełnić się nie powinna! Dostyc już mają krwi wszyscy, Paryż oburza się na te trzy gilotyny. Miej pani nadzieję, miej nadzieję! Czasem noc jedna, w epoce w jakiej żyjemy, bywa płodną w wypadki, wróżby są dobre! Gdyby w przeszłym miesiącu ktokolwiek bądź, bodaj najlepszy przyjaciel Robespiera ośmielił się mówić i robić w izbie sądowej, com ja uczynił i powiedział, lud i żołnierze byłiby go w miejscu rozsiekali. Widzicie, że zuchwałstwo moje uszło bezkarnie! Dobrze wybrałem chwilę! Dobrze odgadłem współczucie, które mnie otaczało, nawet wśród przysięgłych.

—Masz więc nadzieję? spytała kobieta głosem przystępnym.

—Mam, i mam wielką — naprzód, zaraz zład lecę do Robespier'a...

—A! na Boga! zawołała pani de Pressy, nie idź pan do niego; na nic by się to nie zdało, a mogło by cię zgubić. Po tém coś uczynił, Robespierre wściekać się może na pana, bo Fouquier już mu donieść musiał o wszystkim.

—A więc,— rzekł Mourier,— odprowadzim panią do naszego domu, Adrjan i ja; przepędzim noc w mieście, zobaczymy się z przyjaciółmi, jutro o wschodzie słońca, Adrjan da znać jój o tém, co się zrobić może.

Hrabina skłoniła głowę i nie sprzeciwiała się więcej dobremu sercu swych przyjaciół, usiłujących ratować skazanego.

Promyk nadziei świecił jój w ciemnościach; i miasto całe już widziało połysk bladego jeszcze tego światełka przyszłości.

U progu swego mieszkania, Klaudyusz pożegnał z uszanowaniem P. de Pressy i odezwał się do Adrjana.

—Idź z panią hrabiną, poleć ją naszej gospodyni, i wracaj co najprędzej, będę cię czekał. Pani de Pressy uścisnęła i ucałowała rękę Klaudyusza Mouriez: on konwulsyjnie się wstrząsnął i zawołał:

—O! pani, wartaś by za ciebie umrzeć, zwłaszcza dziś, gdy tak łatwo umierać!

—Do zobaczenia, do jutra!— odpowiedziała Margareta,— i weszła wewnątrz domu.



### XXXVIII.

#### Rogatka wywrócona.

Był znak jeden ważny, powiada historyk starożytny, który zwiastował upadek tyrana Maxencjusza i zwycięstwo Konstantyna; cyrki i amfiteatry, w których płynęła krew ludzka zostały opuszczone i stały pustkami. Kolos-



seum nawet nie wabiło widzów, i gdy ogłoszenie *tabulariów* zwoływało lud na uroczystość krwi i śmierci, rzadcy tylko ciekawi z przedmieść, rozsypani po stopniach wyższych galerji, przychodzili mu się przypatrywać.

Igraszka krwawa długą być nie może; lud w początku namiętnie się ku niej ciśnie; lecz wkrótce obrzydnie mu ona i rzuca kata sam na sam z męczennikiem.

Nigdy dziś tego napowtarzać nie można, dla ludzi, którzy od sześciu tysięcy lat nic ze starego doświadczenia nie zachowali.

Słońce 8 thermidora, oświeciło nieliczną kupkę ludzi stojącą pod więzieniem Conciergerie. Dwa wózki czekały przed wschodami więzienia, na łup kata.

W wielkich przesileniach, Paryż zawczasu czuje, co go czeka i rzadko myli go przeczucie. Myśl miliona mieszkańców składa się na jednego proroka. W tych kupkach, mówiono po cichu jeszcze:

—Coś się gotuje w Konwencji.

—Coż takiego?

—A! zobaczymy.

—Mówią o spisku Góry przeciwko Robespierrowi.

—O! to być nie może.

—Powiadają nawet, że wczoraj, gdy przechodził przez targ Jakóbinów, strzelono do niego z pistoletu.

—To fałsz.

—Powtarzam com słyszał.

—To pewna, że coś jest.

—Tymczasem widziałem przechodzące trzy wózki, dwa poszły na plac Rewolucyi, jeden ku ratuszowi.

—A gdzież tych stracą?

—U rogatki Wywróconej; tylko co mi mówił woznica, on to wie najlepiej.

—Ale to daleko, do rogatki!

—Mówią, że przedmieście Ś. Antoniego nie chce więcej patrzeć na przewożonych ku rogatce Tronowej.

—Bo to nie wesoła rzecz dla przedmieścia.

—Właściciele domów podają prośbę.

—Dla czego tak się ta rogatka nazywa?

—Nie trudno się domyśleć, to inwencya Collot'a.

Rozmowy te były dosyć spokojne; zaledwie gdzie niegdzie ozwało się słabo— *Ca ira*, ale mu chór ludu nie towarzyszył.

Godzina, która miała otworzyć wrota więzienia, wybiła; straż przysunęła się z końmi ku wozkom, dając się stoicznie łajać starym babom, które to miejsce uważały za swoje.

Dwódziestu siedmiu skazanych ruszyli w podróż ostatnią, a wzrok wszystkich ścigał ich z litościwem zajęciem.

W tym tłumie nikt nie wiedział, że dwóch poetów szło na śmierć pokutując za dwojaką zbrodnię— niewinność i genjusz.

Andrzej Chenier, stał na pierwszym wozie, i ujrzał obok wchodzącego dobrze znanego, drogiego dawnego przyjaciela: był to poeta *miesiący*, komentator Wirgiljusza. Chenier i on podali sobie ręce, i twarze ich się rozjaśniły niebieską radością— ostatnią.

—Tak, zawołał:

Kiedy mojego druba przy sobie znajduję,  
 Losu srogości, cierpień mych nie czuję,  
 Zda mi się złagodzonem, uśmiecha weselej,  
 Gdy nas przynajmniej nie dzieli.

—Cytacya wyborna,— rzekł Roucher uśmiechając się,— ale porównanie nie dokładne— niema tu Pylada, są tylko dwaj Oreslowie.

Tymczasem, żałobny pochód szedł dalej otoczony kupą jeźdźców zbrojnych, niewiele okien otworzono by mu się przypatrzeć; przechodnie nawet spostrzegając zdaleka przybory i wystawę zwykle towarzyszące wybrancom giloty-ny, szybko się przemykali w sąsiednie uliczki, dla uniknie-  
nia obrzydłego im widoku.

Dzień był przesłiczny; złoto i lazur świeciły na niebie; kopyty, wieże, dzwonice, dachy kapały się w atmosferze światłości; słońce thermidorowe rozlewało falami życie i wesele na ów gród wielki, który się dozwalał dziesiątko-  
wać osłupiały, dla dogodzenia kaprysom Collot'a i Fouquier, tyranów siedzących na tronie podtrzymywanym przez Konwencyą.

—Szczęśliwsi jesteśmy od tego biednego Bailly, rzekł Roucher patrząc z rokoszą na ożywne światło słońca... nie zadrżym z chłodu na rusztowaniu.

—Wistocie, to szczęście,— odpowiedział Chenier— nie po-  
sądzą nas przynajmniej o to, żeśmy się kata ulękli. Bailly biedak drżał z zimna!

—To dziwna— mówił Roucher— przypominam sobie z tego powodu epitet, który Wirgiljusz z cudną zręczno-  
ścią wyrzucił na początek wiersza drugiego... Ty to mu-  
sisz pamiętać Chenier?

Wozek szedł dalej; wjeżdżali na przedmieście S. An-  
toniego prawie puste; młodzież cała była na placu boju, starcy i kobiety nie wychodziły już patrzeć na te ofiary  
codzienne.

Chenier skłonił głowę i pomyślał trochę, nim odpowie-  
dział przyjacielowi.

—Tak! tak, zdaje mi się, że ten epitet odgaduję, *torridus*? nie prawdaż?

—Tak jest! klasnął w ręce Roucher— *torridus*. I zważ tylko, co to za potęża wyrazu, który stoi na *miejscu właściwém*, jak mówi Boilleau. Mógł Wirgiljusz powiedzieć:

*Solstitium pecori defendite, torridus aestas jam venit...*

Daktyl ów całkowity: *torridus*, zdawał się tu lepiej brzmieć niżeli *jam venit aestas*. Ale nie? poświęcić wolał *torridus*, jako daktyl przed spondejem kończącym, i wyrzucił to do drugiego wiersza, w którym *torridus* tak wielkie sprawuje wrażenie w przeskoku.

—Tak Roucher!— rzekł Chenier— przyznać trzeba, że ten wiersz dobrze się dziś zastosować daje.

—I dla tego mi na myśl przyszedł,— rzekł Roucher,— promień *palącego lata*, uderzył czoło moje. *Torridus!*

I Roucher uśmiechał się, rozmyślając nad tym wyrazem.

Zdala widać było jakieś rusztowanie czerwone, posępne, które się ukazywało z pomiędzy dwóch kolumn rogatek Wywroconej— to była gilotyna!

Andrzej Chenier przypatrywał się z uwagą troskliwą wszystkim przechodzącym, bo mu się zdawało niepodobnym, żeby go ktoś na drodze śmierci, nie przyszedł pożegnać. W tém się nie mylił poeta.

Wóz śmierci zatrzymał się u rogatek; tłum prawie był zapomniał o téj drodze, mało było mężczyzn, kilka starych kobiet tylko, siwowłosych i pochylonych, sławnych ponczosnie ani jednej. Kat, w postawie smutnej, zdawał się rozpaczać nad swém osamotnieniem, którego nie pojmował, bo rzeczy tego długiego dramatu krwawego co-

dzień były żywsze i bardziej zajmujące; dziś topor miał spaść dwadzieścia siedem razy i wylać strumień krwi, jak najada Eumenidów, — a Paryż obojętny nie patrzył, nie przyszedł! Kat nie pojmował, i mileżał ponury.

U stóp jednego ze słupów rogatki, kupka złożona z dwóch mężczyzn i jednej kobiety, czekała od rana na to, co się tu dzieć miało.

—Niema nadziei! niema nadziei! wołała kobieta i nogi jej drzące słaby i chyliły się pod ciężarem jej ciała.

—Pani, na Boga, — mówił Adrjan, — miej jeszcze nadzieję... wszystko przygotowano... Rozdrażnienie doszło do najwyższego stopnia... Jedna krwi kropla, a rzeka wyleje i pochwyci katów. Lud, spójrz pani, nie dozwoli dziś na straszliwe wykonanie wyroku.

—Tak, — wołał Klaudyusz, — podtrzymując Margaretę — tak — Adrjan ma słuszość. Tęj nocy, widzieliśmy się ze wszystkimi przyjaciółmi naszymi. Wszyscy tu są. Czeka ją tylko na znak, który nam będzie dany z Konweneyi, a za danym znakiem, wywrócim rusztowanie wołając, niech żyje Rzeczpospolita!

—Jada! jada, zakrzyknęła hrabina, wskazując okiem zeszkloném rozpaczą wozy wiozące dwódziesięciu siedmiu skazanych.

—Tak! to oni, — rzekł Klaudyusz Mouriez, — miejmy nadzieję, pani, miejmy nadzieję!

—Widzę go, — odezwała się P. de Pressy konającym głosem — widzę go — on pierwszy... szuka okiem w tłumach... podtrzymujcie mnie... słońce ciemnieje... ziemia z pod nóg moich ucieka... Przytrzymajcie mnie,

niech mnie mijając zobaczy raz jeszcze.... więcej już nie żądam.

Wóz przesunął się blisko stojących rzędem trzech osób, Chenier stał jak zwycięzca na przedzie, spostrzegł Margaretę... wszystkie skarby miłości, któremi na długie życie obdarzył go Bóg, w jednym spójrzeniu konającym spożył.

Lud był milczący, ponury, nieruchomy, kilku ludzi śmiałych możeby dokonali tego dnia, co się nazajutrz stać miało, i Chenier nie umarł by trzydziestoletni! Ale potrzeba było tej szlachetnej i ostatniej ofiary, żeby po za nią zajaśniała jutrzeńka 9 thermidora. Rzeczpospolita grecka skazywała poetów na wygnanie wieńcząc ich kwiatami, Fouquier skazywał ich na śmierć i wieńczył krwią.

Roucher pierwszy się ukazał na rusztowaniu wysockim,— przedsieniu grobu; zachował on i tu szczęśliwą swą obojętność, a oczy jego mierzyły piękną ulicę drzew wiodącą do Vincennes, nie zwracając się nawet na kata.

Po Roucher, Andrzej Chenier zajaśniał swém pięknem i szlachetném obliczem, jaśniejącem pogodą,— a kat schwytał tę głowę jak pospolitego złoczyńcy.... Topor upadł na nią.... Rozległ się krzyk okropny.... Topor uderzył razem w serce kobiety. Uderzenie odbiło się od rusztowania i powtórzyło pod kolumną rogatki. Dwie dusze razem wleciały ku niebu.

Adrian rzucił się ku P. de Pressy dla ratowania jój, tłum się poruszył, ludzie w łachmanach płakali i przeklinali trybunał rewolucyjny. Okropna machina szła dalej nieubłagana.

Pani de Pressy zaniesioną została przez Klaudyusza i Adriana do blizkiego domku, tłum poszedł płacząc

za niemi,— ale starania były daremne, Margareta nie żyła....

Klaudyusz Mouriez i Adrjan czuwali sani u łoża śmierci biédnej kobiety, a nazajutrz oddawszy jój ze łzami ostatnią posługę, opuścili Paryż zaciągając się jako prości żołnierze, do armij połączonych Północnej i Sambre-et-Meuze. Tylko co wojska Francyi zajęły Niderlandy, po świetnej wyprawie, która wślawiła imiona Jourdan'a, Pichegru i Moreau. Była to cudna chwila obozowego żywóła!

K O N I E C .





# WSPOMNIENIE

## O ŻYCIU

### ANDRZEJA CHENIER.



CZYTELNICY tej interesującej powieści skрэślonej z talentem tyle oryginalnym, a pełnym osóbnego, taką świeżością i zapątem nacechowanego kolorytu, jaki spotykamy we wszystkich niemal utworach jednego z najlepszych tegoczesnych powieścio-pisarzy francuzkich, *Mery*, a przełożonej piórem naszego znakomitego pisarza, który pomimo tylu prac ważnych i oryginalnych, nie wahał się przyłożyć swęj rękę do tego przekładu, już tém samém utwor przed publicznością zalecając, czytelnicy mówię, będą nam obowiązani, żeśmy dla dogodzenia słusznęj ich ciekawości, zebrali tu interesowniejsze szczegóły życia tego znamienitego wieszczu francuzkiego, bohatera powieści, który pod koniec przeszłego wieku tyle obiecującym zajaśniawszy poetyckim gienjuszem, padł niewinną, czystą i szlachetną ofiarą krwawęj rewolucyi, co Francją podówczas miotąła.

---

Marja-Andrzęj Chenier urodził się w Konstantynopolu 20 Października 1762 roku. Matka jego rodem Gre-  
CHEN.

czynka (\*) słynęła dowcipem i pięknnością. Był on trzecim synem Ludwika Chenier jeneralnego konsula francuzkiego. Najmłodszy zaś z 4-ch braci był Marja-Józef, autor *Fenelona*, *Karola IX-go* i *Tyberiusza*.

Przewieziony do Francyi w wieku dziecinnym, Andrzej Chenier postłany został do Karkassony i powierzony opiece ciotki aż do lat 9-ciu. Tam to pod niebem Langwedockim nad brzegami malowniczej Audy zaczął wychowanie zupełnie swobodne i usposabiające go do marzycielstwa. Około 1773 ojciec jego powróciwszy do Paryża umieścił go wespół z dwóma starszemi braćmi w Kollegium Nawarskim. Zdolność i zamiłowanie poezji wczesnie w nim się nader objawiły, a w 16 roku życia swego umiał już dobrze po grecku i tłómaczył w Kollegjum odę Saphony: przekład ten nie będąc godnym druku, nosi wszelako już piętno bardzo oryginalnego talentu.

W 20-tym roku życia swego wstąpił jako podporucznik do pólku *Angoumois* stojącego garnizonem w Strasburgu. Lecz on, który szukał sławy, a znalazł tylko w tém próżniaczém życiu i w obyczajach swawolnych owoczesnych oficerów, nudę i niesmak tak niezgodne z jego charakterem, po 6-ciu miesiącach powrócił do Paryża, mając rozpocząć tu prace naukowe tém pożyteczniejsze, że zajmował się niemi bez przerwy i bez przewodników, a idąc za własnych sił i skłonności popędem.

Starął się tam tylko o znajomość bliższą z ludźmi, co się w sztukach, naukach lub literaturze odznaczyli. Zastąpił w owym czasie na przyjaźń szlachetną Lavoisier'a, Palissot'a, Dawid'a, i Le Brun'a, który odgadł rodzający się

(\*) Nazywała się ona Santi L'homaka i była rodzoną siostrą babki P. Thiers'a. Ten ostatni więc jest siostrzanem Andrzeja Chenier'a.

przyszły jego gienjusz. Ożywiony zapałem do nauki, o świecie wstawał do pracy, a poznanie wszelkich gałęzi wiedzy ludzkiej, było jedynym marzeniem jego zabiegów.

Zbytek pracy wtrącił go w niebezpieczną chorobę, z której czułym staraniem dwaj jego przyjaciele dzieciństwa bracia Trudaine pomogli mu powstać i następnie namówili go na podróż z niemi do Szwajcaryi; miał on naticzas 22 lata. Znaleziono później kilka nót jego z przełotnych wrażeń téj podróży, ale bez żadnego pewnego planu zrobienia z nich książki.

Po powrocie z téj poetycznej wycieczki, hrabia de la Luzerne, poseł w Anglii zabrał go z sobą do Londynu, gdzie zdaje się, że musiał przebyć dość gorzkie chwile, gdyż nie kontent z losu i zależności, dręczony już tą chorobą, która go zawsze napastowała, strawił kilka lat życia błędnego, niespokojnego i niepewnego w częstych podróżach i nareszcie osiadł w Paryżu w 1790 roku.

Wśród ówczesnych rozruchów rzucił on pierwsze myśli kilku poematów, których plany nie były zupełnie oznaczone. Pod ogólnym tytułem *Hermès*, chciał jak Lukrecyusz objaśniać *naturę rzeczy*, ale za pomocą naszych nauk nowoczesnych. Zamierzał opiewać *Amerykę*, dalej skreślić *Sztukę kochania*, tak głęboką, a tak już dobrze zbadaną w obyczajach francuzkich; nakoniec zamyślał w poemacie *Zuzanna*, zawładnąć całą tę niezmierną poezją Książ Świątych, w ich pierwotnej piękności i świeżości.

Kilka tylko osób było przypuszczonych do tajemnicy jego planów literackich: brat, *Le Brun, Roucher, Pange*, i ci cały dla niego areopag składali. Unikał o tyle, o ile drudzy szukają zręczności chwilowego błysnięcia swym talentem, owszem dawał mu dojrzewać w cichości i ukryciu, pogardzając niewczesnym, a niezastępowym blaskiem.

Andrzej Chenier oddawał się ciągłej pracy, kiedy nadzwyczajne wypadki, zwichnęły jego zawód. Rok 1789, zajaśniał dla Francji. Szlachetne serca uderzyły nadzieją, a serce takiego człowieka jak Chenier, nie mogło pozostać obojętnem wśród zatrudnień literackich, kiedy sprawy ojczyzny ważyły się na szali. Jakoż zaciągnął się pod chorągiew obrońców swobód publicznych, dźwięczny język Muz, zamienił na zwięzłą loikę rozpraw politycznych, drogą swą spokojność dla oświecenia i wyjaśnienia sprawy publicznej poświęcając.

Połączywszy się z kilku zdolnemi i znamienitszemi pisarzami, a między innemi z przyjaciółmi swemi z Pange'm i Roucher, utworzył w dzienniku Paryskim silną i energiczną opozycję, tak przeciwko anarchji, jako i przeciw zabiegom arystokratycznym, które się ze wszęch stron objawiały. Tym sposobem przygotował nad głową swoją tę straszną burzę, która go następnie i pochłonęła.

Mówiono dość powszechnie, że dwaj bracia Chenier, trzymali się w polityce i w ciągu Rewolucyi, zasad zupełnie przeciwnych, lecz to jest błędem, który tu miejsce sprostować. Różnica ich sposobu myślenia, zasadzała się tylko na jednym głównie punkcie, punkcie dość ważnym wprawdzie, ale dającym się zresztą łatwo z samą różnicą ich charakterów, wytłómaczyć.

Kiedy *Przyjaciele Konstytucyi* pod tą piękną nazwą, utworzyli klub, Marja-Józef Chenier, zgodził się doń należeć, brat zaś jego Andrzej jako starszy i rozważniejszy, przeczuł jak zgubny wpływ na sprawę publiczną stowarzyszenie to w następstwie wyrzucić może. Pierwszy zaczął on potępiać śmiało pismami ich zasady i krwawe zabiegi. Marja-Józef, znajdując w tém zgromadzeniu gorliwych przyjaciół i opiekunów obiecujących pod-

trzymywał go czy to na scenie, czy na mównicy, nie chciał zrazu dać się przekonać o ich zbrodniczych zamiarach; ogłaszał w dziennikach publicznych, że pisma jego brata wcale jego myśli nie zawierają, lecz bardzo wkrótce potem opuścił to stowarzyszenie, co pod nazwaniem *Jakóbinów* tak się rozgłośnie stało.

Krótko trwał błąd jego, bo już się w nim postrzegł, nim pierwsze bezprawia kolegów jego na jaw wystąpiły, lecz dość było tych pozorów dla ugruntowania o stosunkach między braćmi fałszywej opinii. Że byli rozdzielni w jednym punkcie, wniesiono złąd, że we wszystkich, i jeszcze u wielu pozostało to przekonanie, że Andrzej Chenier był obrońcą przywilejów niesłusznych i dawnych nadużyć. Nic dziwnego, że takiego człowieka stronnictwo rojalistów radeby przyswoić sobie, lecz tu, jak w innych przypadkach, oczwistość faktów, pretensye jego wywraça.

Obdarzony wyższym rozumem i tą odwagą cywilną, tak rzadką we Francyi, gdzie jednak męstwo jest tak pospolite, Andrzej Chenier należał do tych rzadkich ludzi, któremi ani żądza wyniesienia, ani bojaźń, ani interes osobisty nie powoduje. Wielu niechce wierzyć, jak można nie należeć do żadnego stronnictwa, do żadnej sekty, jak można myśleć za siebie tylko; a to właśnie jest cechą prawdziwych przyjaciół swobody. Tacy zwykle stoją w środku walczących fakcyi, i nie sądzą, że nie rozumieją oni niekorzystnego swęgo położenia, narażając się w takich okolicznościach. Podobnym ludziom zaprzeczają często bieglności, trafności w działaniach, nie chcąc oddać czci należnej ich odwadze.

Charakter Andrzeja Cheniera oburzał się na wszelką hypokryzję i samowolność: nie nawidział on równie wściekłych zapędów demokracji, jak i nadużyć feodalnych; ty-

ranji patryjotów, zarówno z tyranją Bastylji, przywilejów dam dworskich i przekupek rynkowych. Rumieniły się, gdyby mu wybierać przyszło między Koblentz (\*), a Jakóbinami. Z narażeniem własnego życia, które też mu później i wydarto, ofiarował się na obrońcę Ludwika XVI; a kiedy sprawa téj wielkiej niedoli, wydała mu się świętą, godną społecznia, poświęcał jéj te same pióro, które najdzielniejszymi dowody opór władzy królewskiej przeciw słusznym swobodom ludu i Kościoła, karcieło.

Tymczasem nadzwyczajne wypadki szybko postępowały jedno po drugim. Chenier zasłużył na nienawiść partji: opiewał on Karolinę Corday, potępiał Collot-d'Herbois, zaciepiał w pismach swoich Robespierrea, a nakoniec sprawa Ludwika XVI, obudziła przeciwko niemu zemstę potężnych wrogów. Wyczerpawszy w dziennikach ówczesnych wszelkie dowody, na jakie tylko dusze szlachetne zdobyć się mogły dla zmienienia form téj procedury, ofiarował się nakoniec panu Malesherbes na spół-obrońcę nieszczęsnego króla; jakoż i stało się zadość jego szlachetnemu żądaniu.

Wiadomo, że po zapadłym nań wyroku śmierci, król listem pełnym spokoju i godności, prosił Zgromadzenie Narodowe o prawo odwołania się do ludu od pomienionego wyroku. List ten podpisany w nocy z 17 na 18 Stycznia, był dziełem Andrzeja Chenier; drukowano go z kopji własną jego ręką pisaną, a przez P. Malesherbes w kilku miejscach poprawioną.

Tyle cnot nieostróżnych, naraziły życie Chenier'a. Namówiono go więc do opuszczenia Paryża około 1793 r.

---

(\*) Miasto w Prusiech, główne siedlisko zabiegów politycznych emigrantów francuzkich, po wydaleniu się ich z Francji po 1790 r.

Udał się on naprzód do Rouen, a następnie do Wersalu, gdzie brat jego Marja-Józef został wybrany na reprezentanta ludu. Przyjaźń dwóch braci podtrzymywała się ciągłymi wzajemnymi dowodami przywiązania. Znajduje się między innymi list autora tragedyj *Henryk VIII*. (Marji-Józefa), w którym maluje się cała dawna szczerą a czułą ich przyjaźń; Andrzejowi to poświęcił on swą tragedya *Brutus i Kassiusz*. W Wersalu deputowany zastąpił wpływem swoim starszego swego brata, sam wybrał dom mający mu służyć za schronienie, i wśród tych murów samotnych, pędząc życie smutne ale spokojne, gdyby nie najboleśniejsze i najmniej spodziewane wydarzenie, wielki poeta byłby zachowany dla Francji.

Andrzej dowiedziawszy się, że jeden z jego przyjaciół, P. Pastoret został aresztowany w Passy, śpieszy tam, pragnąc zaniesć rodzinie jego słowa pociechy. Kommissarze naznaczeni do przejrzenia papierów, uznali za *podejrzane* osoby znalezione w tym domu i uwięzili je także. Czynnio no poszukiwania, jakiego to komitetu te rozporządzenia mogły być dziełem, jaka władza wydała podobne rozkazy; chciano bowiem ją nakłonić do oswobodzenia więźnia, ale wszystko napróżno. Ofiarowano nawet znaczną sumę, jako kaucyę za wolność Chenier'a, nikt nie śmiał go uwolnić, a był jednak aresztowany bez rzeczywistego rozkazu pisanego.

Tymczasem wyroki trybunału rewolucyjnego okrywały Paryż żałobą; jedynym ratunkiem dla więźniów, było zapomnienie, jakiemu podpaść mogli, dzięki tak wielkiej liczbie ofiar. Ci co wyszli w owęj epoce z tój strasznej próby więzienia, pamiętają dobrze, że przyjaciele ich tym tylko rodzajem pomocy usiłowali życie im ocalać. Marja-Józef, znieważony naówczas na mównicy, stawszy się przedmiotem szczególnéj nienawiści Robespierra, który się za-

sad jego lękał, a talentu mu zazdrościł, mógł tylko chyba zgubę brata przyspieszyć, lecz wybawić go nie zdołał; przestał nawet pokazywać się na Konwencji. Za szczęśliwego by się poczytał, gdyby usłuchano rady jego, co do ostrożności w staraniach uwolnienia Andrzeja, ostrożność ta bowiem ocaliła brata jego Salwatora, równie wówczas w Conciergerie uwięzionego.

Przytoczyliśmy tu te szczegóły nie dla zbiecia potwarzy, która Marją-Józefą, obwinięta o śmierć Andrzeja, takowe usprawiedliwienie byłoby zniewagą jego pamięci. Najgwałtowniejsi najbardziej uprzedzeni przeciwnicy jego zasad, talentu, walcząc z nim nigdy jednak rzucić na niego tego podejrzenia nie śmieli. Zapewne Chateaubriand, następca Chenier'a w Akademji, nie nader mu sprzyjał, dość nawet zdradził się ze swą niechęcią w mowie, którą miał przy wstąpieniu w to uczone grono, a jednak w tejże mowie powiada: «M.-J. Chenier wiedział równie jak «ja, co to jest brata czule kochanego utracić; był on znatury swój szlachetnym i byłby mi wdzięczny za ten hołd «bratu jego oddany.» Wiadomo, że przyjaciele jednego byli przyjaciółmi drugiego aż do śmierci; a matka, która czternaście lat opłakiwała Andrzeja, mieszkała przecież cały czas z Marją-Józefem, on ją pocieszał. Odwołajcież się teraz od tej nikczemnej, ślepej potwarzy do serca wszystkich matek, niech ono na nią odpowie.

Ojciec zaś obu poetów, daremnemi skargami utrudzał ciągle ludzi przeważniejszego wpływu owęj krwawej epoki. Nierozważny starzec! wysłuchano go nakoniec! «Co! rzecze mu jedno z tych narzędzi *teroryzmu*, czy dla tego, że on nosi imię Chenier, że jest bratem reprezentanta, to od 6 miesięcy jeszcze go nie sądzono? Bądź pan spokojny, za trzy dni syn pański wyjdzie z więzienia.» Niestety!



tak było w istocie. A kiedy nieszczęśliwy ojciec, mówił przyjaciółom swego syna o swoich nadziejach, odpowiadał mu: «bogdajbyś nigdy nie miał powodu na troskliwość swego przywiązania narzekać!»

Andrzej Chenier poprawiał w więzieniu swoje utwory, które brat jego wydałby na świat niezawodnie, gdyby się później rękopisma po różnych rękach i miejscach nie rozproszyły.

Na kilka dni przed uwięzieniem rozgatunkował on swoje rękopisma na 3 teki i własną ponumerował je ręką. W pierwszej, były dzieła jego wykończone, takimi je przynajmniej sądził stosownie do potęgi swego talentu, i w uszanowaniu swoim dla zdania publiczności, te tylko do wydania na świat przeznaczał. Teka N. 2-gi zawierała szkice bardzo już podkończone, lecz potrzebujące według przekonania autora, głębszych, dłuższych studyów i tego jeszcze jednego błysku natchnienia, co to nagle czasami, pewnego pięknego poranku, umysł poety rozjaśni. Trzecia natomiast mieściła zbiór szkiców niewykończonych, plany nieoznaczone i ta tylko właśnie została zachowaną i od Publiczności jest znana.

Nie wiadomo, co się stało z dwiema drugimi tekami, w nich to był zapewne cały znakomity poemat: *O Sztuce kochania*, *Hermès*, *Zuzanna* i t. d.

Cała poezja Andrzeja Chenier, ma w sobie coś uroczonego, nosi charakter, piętno prawdziwego gienjuszu, ma ona jakąś moc porwania nas od własnych myśli i przeniesienia zupełnie w świat kreacyi poety. Umysły najrozwześniejsze, przywykłe obrachowywać polot, potęgę każdej myśli, nie zdołają oprzeć się temu gorącemu upojeniu, jak pomimowolnie czytelnika utworów naszego poety przejmują. Większa część jego sielanek, są to wzory, których układu sam Teokryt by się nie powstydział, są to na-

technienia, ożywione zdaje się zapalem Tibulla, a wdziękiem Lafontaine!

Ale wróćmy do boleśnego opisu, ostatnich chwil wielkiego poety, które mu w więzieniu pozostawały. Dwaj Trudain'owie byli trzymani również w więzieniu Ś-go Łazarza; i *Suvéé* więzień jak oni, zaczął malować portret Andrzeja Chenier. Małowidło te, jedyna pamiątka tego rodzaju, jest dziś w rękach P. Cailleux. W więzieniu to Ś-go Łazarza, ułożył on odę na cześć panny Coigny pod tytułem: *Młoda Branka*, której bez rozrzewnienia czytać nie można. Dniem przed sądem, ojciec uspakajał go, mówiąc mu o jego cnotach i talentach: «Niestety! odpowiedział, i P. Malesherbes miał wielkie cnoty, a zginął jednak na rusztowaniu!»

Przed trybunałem rewolucyjnym nie chciał odpowiadać, ani bronić się. Ogłoszony za *nieprzyjaciela ludu*, przekonany niby, że pisał *przeciwko wolności*, a bronił *tyranji*, był jeszcze prócz tego obwiniony o dziwną zbrodnię, oto o *knowanie* ucieczki z więzienia! Wydano na niego ten niecny wyrok, który miał być spełnionym 7 Thermidora, to jest dwóma dniami przed tym dniem wielkim, któryby skruszył jego pęta, a całą Francję z pod jarzma terrorystów uwolnił.

Dwaj Trudain'owie prosili o łaskę umrzeć z nim razem, lecz zachowano tych nieszczęśliwych na dzień następny (8-go Thermidora)! Siepacze cieszyli się, gdy ich ofiara mogła na rusztowaniu rozpoznać ślady krwi przyjaciół, tam, gdzie swoją własną rozlać miała.

O godzinie 8-mej zrana wstąpił Chenier na wózek złoczyńców. W owych strasznych chwilach, kiedy się najgoręcej czuje potrzebę przyjaciela dla wylania przed nim serca co wkrótce bić już przestanie, nieszczęśliwy młodzieniec nie widział około siebie nikogo, komuby powie-

rzył ostatnie wrażenie, lub od kogoby doznać mógł słodkiego spótczucia. Może z prózną rospaczą na swych bladych towarzyszóv śmierci spoglądał; ani jednego z nich nie znał! Zaledwie wiedział, że wśród 38-miu ofiar, które z nim wieziono, były imiona: Montalemberta, Crequi, Montmorency, barona Trenck'a, szlachetnego Loiserolles, co chciał umrzeć ochotnie, byle synowi życie ocalić; lecz żaden z tych nieszczęśliwych nie był w tajnikach duszy jego! Nie było téj myśli, coby myśl jego pojnowała, tego serca jego serca, jak mówi poeta, a Chenier szczęścia tego, wszystkimi siłami swój duszy przyzywał; gdy nagle otwierają się wrzeciędzy ciemnicy od 6 miesięcy zamkniętej, i wyprowadzają i umieszczają obok niego, na wozie fatalnym! Kogoż?! oto jego przyjaciela, poetę, malarza *Mięsicy*, nieszczęsnego Roucher!

O ileż to żalów, ileż to oni boleści jeden nad drugim wylewali! «Ciebie, mówił Chenier, najprawszego z obywateli, ojca, małżonka ubóstwianego! ciebie to poświęcają!— A ciebie, odpowiadał Roucher, ciebie cnotliwego młodziana, wiodą na śmierć, promieniejącego gienjuszem, nadzieją!— Nic nie uczyniłem dla potomności,» przerywał znowu Chenier; potem uderzając się nagle w czoło, dodał: *A jednak miałem tu coś!*

Była to Muza, jak powiada autor *René* i *Atali*, która w ostatniej uroczystej chwili śmierci, gienjusz mu jego poetycki odśłaniała! Dziwna rzecz, że Francya pod koniec ostatniego wieku, straciła trzy piękne talenta przy ich zaraniu: Malfilatra, Gilbert'a i Andrzeja Chenier. Dwaj pierwsi skończyli życie z nędzy, ostatni na rusztowaniu.

Tymczasem wóz postępował przez tłumy ludu, rozjuszonego własnym swoim nieszczęściem. Wzrok dwóch poetów, spotkał się przypadkiem z wzrokiem przyjaciela

towarzyszącego śmiertelnemu pochodowi, jakby dla oddania im ostatniej posługi. Opowiadał on później wszystkie smutne szczegóły ich śmierci nieszczęśliwemu ojcu, który dziiesięciu miesiącami zaledwie stratę ukochanego syna przeżył.

Mówili oni między sobą w ostatnich chwilach o poezji, bo po ich przyjaźni była to dla nich najpiękniejsza rzecz na ziemi. *Racine* był przedmiotem téj rozmowy i ostatniego ich uwielbienia. Deklamowali jego wiersze, jakby dla zagłuszenia wrzasków wściekłej tłuszczy, która ich odwadze i niewinności urągała. Jakaże to sztukę wybrali? oto pierwszą scenę *Andromaki*! Tak więc naprzemian odmawiali dialog z prologu owéj wspaniałéj tragedyi. Zaczynał *Chenier*, który naprzód tę myśl powziął; i może ostatni uśmiech przebiegł usta jego, kiedy następne piękne wiersze wymawiał:

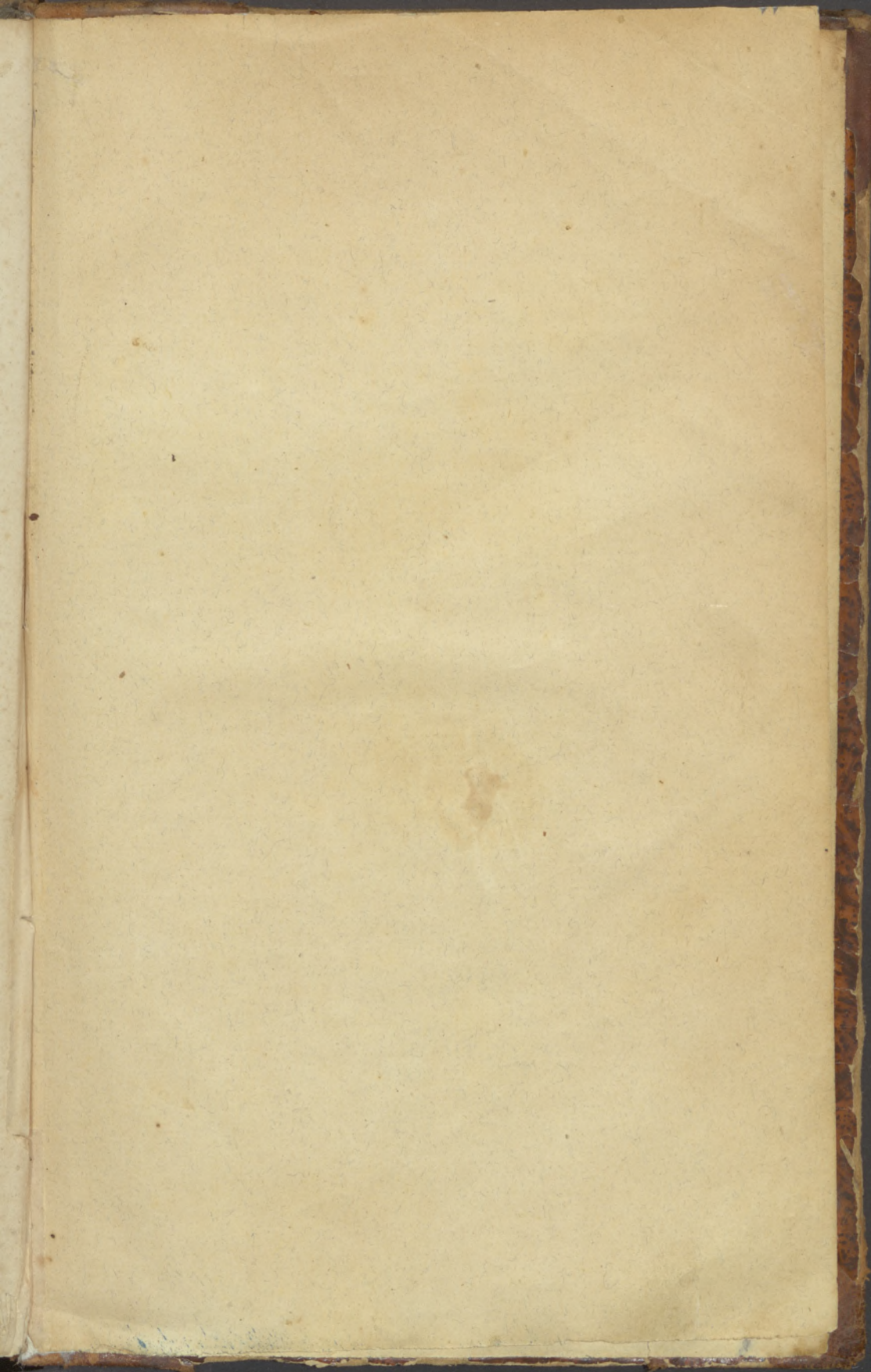
Odkąd przyjaciel taki jest znów przy mym boku,  
Czuję jakby zmiękczoną surowość wyroku,  
I serce niezachwiane groźną losu próbą,  
Z wytrwaniem zniesie wszystko— co ma znosić z tobą.

Te uczucia były w jego sercu, a wyjaśnia je epoka, w której zginął. Mógłże on żałować przyszłości, on który zwątpił już o sprawie Cnoty i Swobody.

Tak zginął ten młody łabędź, zduszony krwawą ręką rewolucyi. Szczęsny, że tylko Prawdzie, Ojczyźnie i Mużóm palił ofiary! Powiadają, że idąc na śmierć cieszył się ze swego losu; jest to prawdopodobne! Tak pięknie bowiem umrzeć młodym! Tak jest pięknie oddać swym wrogóm ofiarę bez zmazy, a Bogu, który nas sądzi, życie ze złudzeń jeszcze nie ogołoczone. A. Z.

(Wyjęto z wiadomości o życiu Andrzeja *Chenier*, umieszczonej w *Bibliothèque Charpentier*).





34 -

1718/161160

322290

